



Alice Duncan

Na Północ po szczęście

1

- Nowy Jork? - Rowena Belle Monroe miała trudności z przełknięciem śliny, ale siedziała nadal prosto, jakby kij połknęła. Tylko w niewielkiej części było to zasługą sztywnych fiszbin w gorsecie. Całą resztę zawdzięczała swoim nieposzlakowanym manierom.

Była pełnia lata i panowała upalna, wilgotna i bardzo męcząca pogoda, ale Belle pofolgowała sobie tylko na tyle, by się raz czy dwa powachlować i odpędzić muchy od swego Zarumienionego oblicza. Wiedziała, co przystoi dobrze ułożonej pannie z Południa.

Panna Philomena Sprockett, właścicielka agencji „Dyskretne pośrednictwo przy zatrudnianiu pomocy domowych”, znajdującej się w pełnym uroku, starym miasteczku Blissborough w Georgii, przytaknęła.

- Tak. Miasto Nowy Jork w stanie Nowy Jork.

- Rozumiem. - Belle rozdygotała się cała w środku. I musiała się bardzo przyłożyć, żeby nie rozdygotać się również na zewnątrz. Ale... Nowy Jork?

Panna Sprockett poprawiła okulary w stalowych oprawkach, które zsunęły się po jej długim, chudym nosie.

- W samej rzeczy.

Mrużąc oczy, przyglądała się przez okulary drukowanemu formularzowi, który trzymała w palcach równie długich i chudych jak nos. Przejrzawszy wydrukowane tam słowa, odezwała się znowu.

- Rodzina nosi nazwisko Richmond. Pan George Richmond zajmuje się bankami, giełdą i inwestowaniem. Pani Richmond to z domu panna Gladys Lodge. Wydaje mi się, że jest daleką krewną bostońskich Lodge'ów. - Tu panna Sprockett spojrziała znad okularów na Belle. - Bostońscy Lodge'owie to stara i szacowna rodzina. Jak na Jankesów.

Belle pokiwała głową. Rozumiała, jak wielkie to ma znaczenie. A ponieważ robiło jej się słabo, czego nie pochwałała, postanowiła wziąć udział w rozmowie i w ten sposób uspokoić rozedrgane nerwy.

- Powiada pani, że jest tam dwoje dzieci?

- W samej rzeczy. Dziewczynka, pięcioletnia, i chłopiec, siedmioletni.

Richmondowie poszukują wytwornej damy, która mogłaby zostać nianią ich potomstwa. - Tu panna Sprockett blade się do Belle uśmiechnęła. - Nawet Jankesi w poszukiwaniu wytworności zwracają się na Południe.

- Rozumiem. - Nowy Jork. Dobry Boże, czy Belle Monroe zdoła w Nowym Jorku przeżyć? Na samą myśl błękitna georgiańska krew ścinała jej się w żyłach.

- Oczywiście natychmiast przyszła mi na myśl pani, Belle. Od chwili, kiedy w zeszłym tygodniu odwiedziła mnie pani, pragnąc znaleźć jakieś zatrudnienie, wiele rozmyślałam nad pani sytuacją.

Panna Monroe wiedziała, że panna Sprockett mimiką stara się wyrazić życzliwość i współczucie; niestety, jej wygląd dokładnie odpowiadał dzieciennym wyobrażeniom Belle

o tym, jak powinna wyglądać zła czarownica, tak więc właścicielka agencji nie miała żadnych szans, by swój zamiar zrealizować. A ponieważ Belle obawiała się, że może wybuchnąć płaczem, uczepliła się nazwiska nowojorskiej rodziny.

I odchrząknawszy, zapytała:

- Na nazwisko mają Richmond? Panna Sprockett przytaknęła.

- Zaproponowali, że pokryją koszty przejazdu pociągiem z Atlanty do Nowego Jorku.

Cisza rozprzestrzeniała się po gorącym, schludnym biurze jak mgła. Belle znowu z trudem przelknęła. To był dla niej taki poważny krok. Jak pamięcią sięgnąć, nikt z rodziny nigdy nie wyjeżdżał ze wspaniałego stanu Georgia w poszukiwaniu zatrudnienia. Niedawne przykre zajścia stanowiły oczywiście wyjątek od tej reguły, ale walkę w słusznej sprawie opromieniała szlachetność, uwalniając należących do rodziny Belle żołnierzy od wszelkich podejrzeń, iż wyruszając na Północ, zachowali się niestosownie, które to podejrzania w przeciwnym razie mogły na nich paść.

Nowy Jork. Belle nawet sobie tego wyobrazić nie potrafiła.

Zanim cisza zdołała bez reszty pochłonąć obydwie panie, panna Sprockett odezwała się ponownie, modulując głos tak, by uzyskać ton łagodny, nieosiągalny dla niej na tym świecie.

- To bardzo dobra propozycja, Belle. Obawiam się, że najlepsza, jaką może pani otrzymać, skoro perspektywy zatrudnienia dla młodych dam w Blissborough są takie, jakie są.

Belle powoli pokiwała głową. Wiedziała wszystko o perspektywach znalezienia w Blissborough pracy dla młodej damy o jej pozycji społecznej. Po prostu takich perspektyw nie było. Jeżeli chciało się znaleźć w Blissborough zatrudnienie, należało mieć gorsze pochodzenie niż Belle. Fatalna sprawa, że duma z zajmowanej pozycji społecznej oraz wspaniałe dziedzictwo rodziny Monroe nie szły w parze z większą ilością pieniędzy.

- Richmond - wyszeptała, obracając to nazwisko na języku. Trochę ją ono pocieszało. Richmond było stolicą Wirginii. Richmond było kolebką wielu pokoleń przyzwoitych, związanych z Południem rodzin i takichże tradycji. Richmond było dobrym nazwiskiem. Szlachetnym nazwiskiem.

A nazwisko to nosili jacyś zatraceni bogaci Jankesi, którzy mieszkali w Nowym Jorku i potrzebowali niańki.

Belle natychmiast przywołała się do porządku. Nie może sobie w tej chwili pozwolić na grymasy, że życie jest niesprawiedliwe, a fakt, iż tak wspaniałe nazwisko

nosi jakaś rodzina z Nowego Jorku - absurdalny. Belle potrzebna była praca. Bo chociaż jej rodzina z miłą chęcią ją utrzymywała, Belle wiedziała, że mają na to niewiele środków. Majątek Monroe'ów obrócił w perzynę ten plądrujący, podły Sherman* i przez trzydzieści lat, które minęły od napaści z Północy, rodzina nie doszła do siebie.

A chlebodawcy mieliby na nazwisko Richmond.

Uniosła brodę do góry i mocno ściskając malutką, leżącą na podolku torebkę, powiedziała:

- Bardzo dobrze.

Panna Sprockett popatrzyła na nią rozpromieniona.

- Doskonale! Jestem pewna, że nie pożałuje pani tej decyzji, Belle.

Niewykluczone, że lepszej oferty nigdy nie widzieliśmy tu, w agencji, i bardzo się cieszę, że to pani na niej skorzysta, ponieważ zdecydowanie jest pani najlepiej kwalifikowaną młodą damą w całym mieście, by się tej pracy podjąć.

No, to już coś. Belle usiłowała cieszyć się z pochwał panny Sprockett i z jej rekomendacji, ale nic z tego nie wyszło. Ponieważ jednak była bardzo uprzejmą i dobrze wychowaną młodą damą z Południa, zdołała przywołać na twarz uśmiech.

- Dziękuję, panno Sprockett.

- Napiszę do Richmondów bezzwłocznie. Spodziewam się, że wyjedzie pani za niecały miesiąc. Powinno dać to pani czas na przygotowanie garderoby i pozałatwianie wszystkich drobnych spraw na miejscu w Blissborough.

Przygotowanie garderoby i pozałatwianie drobnych spraw. W samej rzeczy. Garderoba Belle była w tak opłakanym stanie, że nie wymagała specjalnych przygotowań, bo Belle musiała na co dzień naprawiać ją i cerować, żeby nie chodzić nago. Co do załatwiania drobnych spraw, pewnie najtrudniejsze okaże się przekazanie rodzinie informacji, że niedługo podejmie pracę i przeniesie się do Nowego Jorku.

Monroe'owie będą przerażeni, że krew z ich krwi i kość z ich kości Opuści piękny, choć nieco podupadły rodzinny dom, by

udać się do szatańskiego Nowego Jorku. A jeśli już o tym mowa, to sama Belle również bardzo była tym przerażona.

**W. T. Sherman - jeden z dowódców wojsk Unii podczas wojny secesyjnej: zdobył m. in. Atlantę i Savannah (przyp. tłum.).*

Win Asher zaciskał już szczęki tak długo i tak mocno, że go rozbolały. Udało mu się rozewrzeć je na tyle szeroko, by powiedzieć:

- Dobry chłopak. Siedź spokojnie jeszcze przez minutkę i zobaczymy, czy uda mi się z tym skończyć. - Rzucił się do aparatu. To cholerne dziecko ma tylko trzy lata. Pewnie powinien odnosić się do niego z większą cierpliwością.

Cierpliwości zdecydowanie mu brakowało. Miał ochotę sprać tego nieznośnego potworka. Miał ochotę wziąć go na ręce i wyrzucić przez okno pawilonu na Midway Plaisance. Miał ochotę powiedzieć jego tęgiej, irytującej matce, żeby poszła do diabła i zabrała ze sobą swojego tłustego, irytującego bachora.

- Czyż on nie jest rozkoszny? - zagruchała mamusia chłopca. Win usłyszał zgrzytanie własnych zębów.

Chłopiec się poruszył. Cierpliwość Wina się wyczerpała.

- Nie!

Odrzucił czarną płachtę w górę z takim impetem, że przeleciała na drugą stronę aparatu, i zamarł w bezruchu, nie ośmielając się wyjść zza kamery, bo bał się tego, co mógłby zrobić chłopcu... albo jego matce; zaciskał tylko pięści i gniewnie na nich spoglądał.

- Ojej - wykrzyknęła matka chłopca i rzuciła się do swego puciołowatego bachora, który wetknął tłustą pięść do ust, jak tylko Win ustawił się za kamerą.

- Czy coś się stało, skarbuńciu? Czy to pomoże malutkiemu skarbuńcowi siedzieć spokojnie, jeżeli mama da mu jeszcze jedną żelkę?

Win zaczynał mieć pewne obawy, że jego użębienie może nie przetrwać tego najnowszego przedsięwzięcia w dziedzinie biznesu. Kiedy dyrekcja Światowej Wystawy w Chicago wybrała go na oficjalnego fotografa targów, uważał się za

najszczęśliwszego z ludzi. I z reguły nadal tak uważał. Już zarobił mnóstwo pieniędzy, a jego fotografie pojawiały się w gazetach i periodykach na całym świecie.

Na nieszczęście musiał również kontaktować się ze zwiedzającymi, ponieważ obejmowała to umowa, jaką zawarł z dyrekcją targów. Powiedziano mu, że jego pawilon przyciągać będzie ludzi, podnosząc w ten sposób dochody z całej Wystawy, nie wspominając już o dochodach samego Wina.

Mieli rację. Nie uprzedzili go jednak, że będzie miał do czynienia z tłustymi matkami i ich tłustymi bachorami, które ani chwili nie usiedzą spokojnie, by dać się sfotografować. Przyglądał się kobiecie i dziecku i czuł, że jego wściekłość rośnie jak słupek rtęci w termometrze w sakramencko upalny dzień. Nie ważył się jeszcze odezwać, a nie mógł już znieść widoku tej kiepskiej namiastki rodziny, odwrócił więc z pewną trudnością głowę - miał wrażenie, że wszystkie mięśnie w jego ciele, łącznie z tymi w ramionach i karku, musiały zrosnąć się w jedną bryłę - i wyjrzał przez frontowe okno.

Zaczerpnął głęboko powietrza; musi się opanować. Ta szatańska baba i jej pomiot niedługo sobie pójda. Trzeba jeszcze tylko zrobić jedną malutką fotografię czorcicięcia i zapomnieć o nim na zawsze, poza chwilą, kiedy jego wstrętna i kochająca mamusia wróci, by odebrać gotowy produkt. Powtarzał sobie, że nie z każdym modelem tak trudno sobie poradzić jak z tym ropuchowatym chłopakiem, który przycupnął teraz przed ulubioną płócienną dekoracją Wina i rozsmarowywał po sobie żelkową breję. Większość dzieci, chociaż nie stanowiły one ulubionego tematu fotografii dla pana Ashera, udawało się lepiej czy gorzej wziąć w karby. Ale tego nie. Ten był czystym...

Miejsce myśli w głowie Wina zajęła kompletna pustka, a jego oczy szeroko się otworzyły. Po Midway Plaisance, wśród kłębiącego się tłumu, zwiedzającego targi, przesunął się najwspanialszy temat do fotografii, jaki w życiu widział. Panicz Wiggles i jego korpulentna matka kompletnie wylecieli panu Asherowi z głowy; rzucił się do drzwi pawilonu, żeby lepiej widzieć.

- Panie Asher?

Najwyraźniej nagle porzucenie kamery przez fotografa zaskoczyło matkę panicza Wigglesa. Nie odwracając głowy od widocznej na zewnątrz sceny, Win machnął ręką.

- Chwileczkę. Niech pani każe chłopakowi siedzieć spokojnie, dobrze?

- Coś podobnego! Jeszcze nigdy...

Ale Win nie czekał, żeby dowiedzieć się, czego podobnego matka panicza Wigglesa jeszcze nigdy... Jak tylko upewnił się, że go oczy nie mylą, wypadł za drzwi.

Oczarowany wpatrywał się w oszałamiającą kobietę i dwoje uroczych dzieci, którzy szli w jego kierunku. Cała trójka spoglądała na tłumy i kolory, i widoki wokół Midway, jak zafascynowana - i niewątpliwie, pomyślał sobie Win, tak musiało być. Światowa Wystawa w Chicago stanowiła zdumiewający przykład amerykańskiego umysłu i ducha. Kre- atywność i nowoczesność, które złożyły się na jej utworzenie, nie mieściły się Winowi w głowie.

Wystawa z założenia miała eksponować amerykańską pomysłowość, przedsiębiorczość i charakter, ale przy realizacji tych założeń dyrekcja odniosła sukces, przekraczając oczekiwania największych nawet entuzjastów. Nigdy wcześniej nikomu nie udało się lepiej przedstawić geniuszu kraju, opartego na zasadach wolności i równości. Zdaniem Wina, nawet bajeczne bogactwo Morganów i Rockefellerów nie oddawało prawdziwej istoty tego, co się w Ameryce działo. Do diabła, bogaci ludzie trafiali się wszędzie. Ale tylko w Ameryce mógł człowiek sam zdecydować, jaką drogę obierze sobie w życiu, a potem tą drogą pójść. Tylko w Ameryce bujnie rozkwitały takie możliwości.

I oto w jaskrawym świetle słońca, w ten idealny czerwcowy dzień, po Midway spacerowym krokiem nadchodziło uosobienie wszystkiego, co w Stanach Zjednoczonych dobre. Win przyglądał się kobiecie i jej dzieciom z sercem przepelnionym uczuciem. Przez króciutką chwilę zazdrościł jej mężowi; każdemu mężczyźnie, któremu udało się zagarnąć dla siebie taką doskonałość, należały się gratulacje.

Mała dziewczynka miała letnią sukienkę w różową kratkę, z nisko opuszczoną talią, a do tego szarfę w ciemniejszym odcieniu różu. Na jej ładnych blond lokach tkwił słomkowy kapelusik, opasany dobraną kolorystycznie wstążką, której końce trzepotały za plecami. Nóżki panienki opinały bawełniane pończochy, na stopach miała czarne lakierki z okrągłym noskiem. Chłopiec, krzepki sześć- albo siedmioletni malec, ubrany był w szykowny strój marynarski i słomkowy kanotier. Ubranko było modne, ale męskie, i Win to pochwalał. Zrobiło mu się żal chłopców, których matki obstawały przy tym, by ubierać ich w niebieskie aksamity i inne maminsynkowate materiały.

Ta matka nie dopuściła jednak, by syna spotkało takie upokorzenie. Na poczekaniu Win nie potrafił przypomnieć sobie, by kiedykolwiek widział kobietę, która tak idealnie pasowałaby do roli Amerykańskiej Matki. Jej suknia uszyta była z muślinu w niebiesko-białe wzory roślinne, w ręce niosła parasolkę, którą osłaniała dzieci. Lśniące, kasztanowe loki okrywała słomkowa budka z szerokim rondem, opasana niebieską wstążką, zawiązaną pod kształtną bródką. Win gapił się na kobietę w wielkim podnieceniu.

Widział ją na własne oczy, szła po jego własnym Midway. Prawdziwa amerykańska piękność: matka, żona, córka, siostra, kochanka, żywicielka. Była idealna. Bezgranicznie idealna.

Win musiał przelknąć, kiedy pochyliła się, uśmiechnęła słodko do dziewczynki u swego boku i pokazała jej coś interesującego. Dzieci uśmiechnęły się i popatrzyły. Dziewczynka zachichotała. Kobieta, wprost anielska w swej nieskazitelnej promienności, przytrzymała ręką słomkową budkę, kiedy lekki wiatr uniósł odrobinę rondo, odsłaniając przy tym jeszcze pół cala doskonałego, alabastrowego czoła.

- Panie Asher! - dobiegł zza pleców Wina władczy głos matki panicza Wigglesa. I znowu Win machnął ręką, żeby ją uciszyć. Usłyszał, jak sapnęła z irytacją, ale nic go to nie obchodziło.

Musi uchwycić na filmie ten symbol amerykańskiego macierzyństwa. To bez znaczenia, że pojęcia **nie** ma, kim ta kobieta jest. To bez znaczenia, że matka młodego

Wigglesa gotuje się ze złości i sapie mu za plecami. Niech się gotuje i sapie. Mniej więcej równie daleko jej było do anielskiej doskonałości zachwycającej damy z dziećmi jak piekła do nieba.

Win oderwał się od drzwi i ruszył biegiem w stronę kobiety i dwojga jej cherubinków.

- Czy to nie urocze, Amalie?

- Czy mogę to pokazać mamie, panno Monroe? Czy myśli pani, że mama mi to kupi?

Belle się roześmiała. Uwielbiała swoich podopiecznych, Garretta i Amalie, chociaż po tylu miesiącach pracy u państwa Richmondów ich nosowy, jankeski akcent wciąż sporadycznie ją drażnił. To były słodkie dzieci. I nie miało to najmniejszego znaczenia, że urodzone zostały w Nowym Jorku przez jankeskich rodziców. Nie ponosiły za to winy i nie można im mieć tego za złe.

Chociaż Belle nigdy by się otwarcie przed nikim do tego nie przyznała, zaczynała zastanawiać się, czy wszystkie lęki jej rodziny i cała ostra krytyka Północy są w pełni usprawiedliwione. Oczywiście Północ nie miała najmniejszego prawa nakazywać wspaniałemu Południu, jak się powinno ono prowadzić. A to, że najechali na jej kraj ojczysty, było czystą niegodziwością. Ale mimo wszystko...

W głębi duszy Belle z trudnością usprawiedliwiała zło, które wiązało się z niewolnictwem, koniecznym, by utrzymać dawny sposób życia na rolniczym Południu. Tej buntowniczej myśli również nie ośmieliłaby się poruszyć w rozmowach ze swoją rodziną.

Do tego dochodziła jeszcze sprawa wielkopańskiej} biedy. Belle kochała swą rodzinę dozągonną i niemal nabożną miłością. Ale nie była zakochana w biedzie, czy to wielkopańskiej, czy innej, a oni chyba wszyscy byli. I chociaż przysłuchiwała się chętnie i jak urzeczona opowieściom o dostojęństwie swoich przodków oraz ich bajecznym, żeby nie powiedzieć ostentacyjnym, bogactwie, zmiecionym już z powierzchni ziemi, dawno doszła do wniosku, że nie ma zamiaru usychać z żalości za

minionym okresem, kiedy rodzina była bogatymi plantatorami tytoniu.

Belle uważała siebie za rozsądną młodą damę. Za rozsądne uważała również przekonanie, że lepiej osiągnąć coś w życiu, do którego się człowiek urodził, niż usychać z tęsknoty za cywilizacją, która - co ze smutkiem należało przyznać - odeszła na zawsze, i to już parędziesiąt lat temu.

Skłonna była stanowczo stawić czoło rodzinie, kiedy ta nie wyrażała zgody, by Belle, ukończywszy College dla Młodych Dam we Wschodniej Wirginii, poszukała sobie pracy. Rzekła im wtedy - z wielką uprzejmością - że skoro już ma wykształcenie, może je równie dobrze spożytkować.

Matka zemdląła na wieść, że Belle przenosi się do Nowego Jorku. A gdy wróciła do siebie, po tym jak córka przesunęła jej solami trzeźwiącymi pod nosem, nie przestawała płakać przez pełne trzy dni. Ta jawna demonstracja zatroskania i żalości bolała Belle i wywoływała w niej poczucie winy, ale nie na tyle silne, by rezygnowała ze swoich planów.

Kiedy niemal przed rokiem przybyła do Nowego Jorku, natychmiast zaczęła żywić obawy, że matka się nie myliła i że żadna dobrze wychowana dama z Południa nie powinna mieć nic wspólnego z wrzaskliwymi, hałaśliwymi, zatłoczonymi, śmierdzącymi i całkowicie przytłaczającymi miastami Północy. Zgiełk, grubiaństwo, szybkie tempo życia i nosowy akcent codziennie urażały wrażliwość Belle, która jednak także odkryła, ile radości może przynieść regularne otrzymywanie czeku z wypłatą.

Sumiennie odsyłała większość swoich zarobków do domu w Blissborough, wiedząc, że rodzinie potrzebne są te pieniądze. Dla siebie zatrzymywała małe kieszonkowe, ale życzliwi Richmondowie dawali jej pokój i wyżywienie.

W sumie Belle była właściwie zadowolona ze swojego życia na Północy. Jeżeli od czasu do czasu brakowało jej wytwornych manier i miękkiej wymowy georgiańskiego domu, koła ten ból, pisząc listy do krewnych i czytając listy, które otrzymywała z domu. Miała też mnóstwo książek, bo Richmondowie byli rodziną

oczytaną i regularnie uczęszczali do biblioteki.

Belle od urodzenia wiedziała, że jej matka, dama o romantycznych inklinacjach i skłonnościach do omdleń, nadała córce imię po bohaterce sławnej powieści pana Scotta „Ivanhoe”, ale dopiero ostatnio zapoznała się z tym dziełem. Po przeczytaniu książki jeszcze bardziej była zadowolona, że zdecydowała się używać drugiego imienia.

Kiedy Richmondowie postanowili pojechać na Światową Wystawę w Chicago i zapytali, czy miałyby ochotę im towarzyszyć i zająć się dziećmi, Belle niemal własnym uszom nie wierzyła. Czy miałyby ochotę? Dobry Boże, doczekać się nie mogła!

Podróż na Światową Wystawę do Chicago w Illinois była najbardziej podniecającą rzeczą, jaka kiedykolwiek przydarzyła się Belle, i utwierdziła ją w przekonaniu, że mądrze postąpiła, przyjmując pracę w charakterze niańki dzieci Richmondów. Może wyłamała się z tradycji rodzinnej, może zasmuciła matkę, ale bardzo dobrze wiedziała, że gdyby została w Georgii, nigdy nie zobaczyłaby tej wspaniałej Wystawy. Ani żadnej innej, skoro już o tym mowa. Przez swoją biedę i szczytne tradycje rodzinne Monroe'owie niewiele bywali.

- Proszę pani! Halo, proszę pani!

Belle tak była pogrążona w szczęśliwych marzeniach, że niemal ze skóry wyskoczyła, kiedy jakiś młody człowiek podbiegł do niej, coś przy tym wykrzykując. Błyskawicznie przygarnęła do boku Garretta i Amalie i wyprostowała się na całą swoją wysokość, wymachując parasolką.

- Niech się pan nie zbliża! - zawołała. - Och, niech się pan nie zbliża, niegodziwy donżuanie! Młody człowiek zatrzymał się z piskiem podeszew i zamrugał powiekami.

- Słucham panią?

Belle serce łomotało w piersi, a krew huczała w uszach. Matka przestrzegała ją przed złem, którego nie brakowało w żadnym wielkim mieście. Do tej chwili Belle sądziła, że pani Monroe przesadzała. A oto stanął przed nią żywy przykład takiego właśnie nikczemnego potwora, przed jakim ją ostrzegano. Wycelowwała czubkiem parasolki w napastnika.

- Niech się pan nie zbliża. Niech się pan nie zbliża, powiadam!

Niegodziwy donżuan cofnął się spłoszony o krok.

- Niech no pani chwilę zaczeka, nie chciałem pani wystraszyć.

Belle ani przez chwilę mu nie wierzyła. Prawdę mówiąc, nie wyglądał na donżuana - chociaż nie potrafiłaby powiedzieć, jak typowy donżuan powinien wyglądać - ale najwyraźniej nim był. A w każdym razie, poprawiła się skrupulatnie, jeżeli nawet nie żywił niegodziwych zamiarów, musiał być przynajmniej szalony. Żaden mężczyzna, dobrze wychowany i z zasadami, nie wykrzykiwałby tak jak ten człowiek do kogoś całkowicie mu nieznanego, a jeszcze na dodatek do damy.

- Co się stało, proszę pani? - doszedł do jej uszu cichy głos Garretta. Belle zebrała się w sobie. Miała obowiązek chronić dzieci Richmondów i zamierzała ten obowiązek wypełnić.

- Ten człowiek próbował nas napastować, Garretcie, ale nie obawiaj się. Nie pozwolę, by was skrzywdził.

- Napastować was? Skrzywdzić! - Młody człowiek spojrzał na nich rozszerzonymi oczami, po czym je (Belle nie potrafiła znaleźć uprzejmiejszego określenia) wybałuszył. - Wcale nie chcę pani skrzywdzić!

W jego głosie słychać było oburzenie i Belle dała się ponieść złości.

- Nie? To dlaczego podbiegł pan do nas w tak gwałtowny sposób? - Na wszelki wypadek nie opuszczała parasola. Zaczynało jej się wydawać, że może okazała się ociupinkę zbyt pochopna w założeniu, że zamierzał skrzywdzić ją i dzieci, niemniej jednak nadal potępiała taki rażący brak manier

- Ależ broń mnie Boże, co też pani...! - Nadal wydawał się oburzony i gwałtownymi ruchami poprawiał na sobie surdut i prostował krawat.

Belle zmarszczyła czoło. Musiała przyznać, że napastnik wygląda dosyć elegancko. Próbowwała przypomnieć sobie, czy matka wspominała coś kiedyś o elegancko ubranych, napastujących kobiety donżuanach, ale nie mogła.

- Przepraszam, jeżeli źle pana oceniłam, sir, ale przestraszył mnie pan. - Zerknęła

w dół na dzieci, które przyglądały się dorosłym z zainteresowaniem. Amalie wydawała się zmartwiona. Włożyła palec do ust; był to nawyk, od którego Belle usiłowała ją odzwyczaić.

Młody człowiek głęboko wciągnął w płuca pachnące targami powietrze.

- Proszę o wybaczenie, madam. Zobaczyłem, jak spaceruje pani ze swymi czarującymi dziećmi po Midway, i byłem pod wrażeniem.

Belle przechyliła głowę na bok i uniosła brodę do góry. A więc ten niegodziwiec był jednak donżuanem! W czasie rozmowy pozwoliła, by czubek parasolki opadł w kierunku południowym; wskazywał teraz chodnik. Natychmiast go znowu poderwała.

Mężczyzna uniósł ręce do góry.

- Moje zamiary są honorowe, o pani! Uczciwie! Może pani schować broń. - Przyglądał się parasolce, jakby miał ochotę wyrwać ją z rąk Belle i złamać na kolanie. - Chciałem tylko zadać pani jedno pytanie. Pani oraz pani uroczym dzieciom. - Znowu głęboko wciągnął powietrze i wypuścił je powoli, jakby usiłował nie stracić panowania nad sobą.

To było absurdalne.

- Nie jestem przyzwyczajona - fuknęła Belle - by zaczepiał mnie w miejscu publicznym szalencie, sir. Jeżeli ma pan jakąś sprawę, proszę ją wyłuszczyć i pozwolić nam odejść. A jeżeli będzie się pan nadal tak niedelikatnie zachowywał, poczuję się zmuszona zawołać o pomoc. - No. I niech jej **teraz** spróbuje coś zrobić.

- Och, do stu tysięcy... - Młody człowiek, uświadamiając sobie, że przekleństwo obraziłoby Belle, cofnął się o krok, zarówno fizycznie, jak i słownie.

- Chciałem powiedzieć, że nazywam się Win Asher, pan Win Asher, madam, i jestem oficjalnym fotografem Światowej Wystawy. Kiedy zobaczyłem panią i pani dzieci... pani urocze dzieci... na spacerze na Midway, przyszło mi na myśl, że fotografia państwa we troje byłaby pełna uroku.

Belle wpatrywała się w młodego człowieka i mrugała oczami.

- Och.

Nie wiedziała, jak zareagować. Wcale nie była pewna, czy mu wierzy.

Najwyraźniej młody człowiek wyczuł jej wahanie, bo odsunął się na bok i szerokim gestem skierował jej uwagę na swoją fotograficzną pracownię. Belle przeczytała złocony, wiszący nad drzwiami szyld. „U Ashera”. Drobniejszym, czarnym drukiem pod nazwą pawilonu wypisano słowa: „Oficjalny fotograf Światowej Wystawy w Chicago”. Jakaś tęga kobieta stała przy drzwiach i piorunowała fotografa wzrokiem. Belle wydało się, że ze środka, zza pleców kobiety, dobiega głos mażącego się malucha. Głos był nieprzyjemny i Belle przez chwilę cieszyła się, że żadne z dzieci Richmondów nie ma skłonności, żeby się mazać.

Odchrząknęła. Nie pomogło, bo dalej nie wiedziała, co powiedzieć.

- Widzi pani, nie jestem ani szaleńcem, ani niegodziwcem, madam. Prawdę mówiąc, jestem artystą-portrecistą. Maluję **za** pomocą aparatu fotograficznego, a moim płótnem jest film. Jedno spojrzenie na panią i na pani dzieci...

Przerwał. Belle spodziewała się, że uzupełni wypowiedź, dodając zdanie podrzędne, w którym występować będzie słowo „urocze”, ale nie zrobił tego.

- Jedno spojrzenie na panią i pani dzieci i natychmiast wyobraziłem sobie państwa trójkę jako studium.

- Studium? - A cóż to mogło znaczyć?

Młody człowiek ekstrawagancko zamachał rękami. Belle nie pochwalała takich zamasztych ruchów. Były niewytworne i całkowicie typowe dla niechlujnych manier, dominujących w północnych stanach.

- Tak. - Pokiwał głową. - Widzi pani, jako artysta fotografik lubię tworzyć studium, to jest serię fotografii. Rzuciłem raz okiem na panią i pani dzieci... pani...

- Tak - powiedziała Belle zniecierpliwiona - zgadzam się, że są urocze. Proszę mówić dalej.

- Już mówię. - Tym razem to pan Asher odchrząknął. - Kiedy zobaczyłem, jak spacerujecie państwo po Midway, przyszło mi na myśl, żeby zrobić serię fotografii, przedstawiających państwa.

- Aha. Rozumiem. - Belle ściągnęła brwi i zerknęła w dół na Garretta i Amalie. Z zadowoleniem zobaczyła, że Amalie przestała ssać palec. Garrett wyglądał tak, jakby miał ochotę iść dalej i skończyć tę pogawędkę na środku Midway. Belle rozumiała jego punkt widzenia.

- Przepraszam, że panią zaskoczyłem - ciągnął młody człowiek... pewnie powinna o nim myśleć jako o panu Asherze. - Ale nie chciałem, żeby pani odeszła, zanim będę miał okazję porozmawiać z panią o mojej... mojej wizji.

Przyglądając mu się kątem oka, Belle zauważyła w jego zachowaniu coś w rodzaju zażenowania, jakby krępował się trochę opowiadać o swoich wizjach.

- Rozumiem.

- Czy zechce więc pani odwiedzić moją pracownię i porozmawiać ze mną na ten temat? Proszę! Czeka tam na mnie klientka. - Skrzywił się i dodał: - Ten zatracony chłopak nie chce siedzieć spokojnie. Za każdym razem, kiedy wchodzę pod płachtę, zaczyna się wiercić. Ale spróbuję skończyć jak najszybciej, żebyśmy mogli porozmawiać o tym pomyśle na studium. Amalie pociągnęła Belle za rękę. Kiedy Belle z uśmiechem pochyliła się ku niej, zobaczyła, że jasne, niebieskie, podniesione na nią oczy są pełne zapału.

- Czy masz ochotę, żeby ci zrobiono fotografię, Amalie?

- O, tak, proszę! - wykrzyknęła dziewczynka. Belle popatrzyła na Garretta.

- A ty, Garrett? Czy sądzisz, że byłbyś zadowolony, gdyby pan uchwycił twoją podobiznę na kliszy?

Chłopczyk zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Pod warunkiem, że będziemy mogli obejrzeć resztę targów - powiedział w końcu z rozwagą.

Pan Asher roześmiał się.

- Dopilnuję, młody człowieku, żebyś obejrzał całą resztę targów.

- To ja dopilnuję, żeby zobaczył resztę targów, panie Asher.

- Oczywiście.

Belle poczuła do fotografa urazę, bo przewrócił oczami, jakby jej poprawka wydała mu się równie zbyteczna, jak idiotyczna.

- Proszę pozwolić, że pokażę pani moje tymczasowe studio na terenie Wystawy - zaprosił, idąc przodem.

Chociaż Belle ubolewała nad dominującą w tej części świata niedbałością manier, patrząc, jak pan Asher idzie przed nimi, ograniczyła się do jednego westchnienia. Niekiedy tęskniła za rycerskością rodzinnego Południa. Z drugiej strony przydałby jej się odpoczynek. Nogi ją bolały, bo chodziła przez cały ranek. Obiecała Richmond, że będzie na Midway w porze lunchu. Przypuszczała, że nie wezmą jej za złe, jeżeli zaczeka na ich przybycie w pawilonie fotografa.

Poza tym Belle nie wątpiła, że pani Richmond będzie podekscytowana faktem, iż ten fotograf, który nazywał się artystą-portrecistą, uznał jej dzieci za idealny temat do serii fotografii. Wiedziała, że gdyby kiedykolwiek miała własne dzieci, byłaby dumna, gdyby im się coś takiego przytrafiło.

Przy drzwiach do pawilonu cała czwórka natknęła się na tęgą damę, która najwyraźniej była rozwścieczona. - To nie do wiary, panie Asher! Dlaczego pan tak pędem wybiegł ze swego pawilonu?

Belle odwróciła się z przyjaznym uśmiechem do matrony, która nie odpłaciła jej tą samą monetą, więc poprowadziła Garretta i Amalie pod frontowe okno, gdzie pan Asher ustawił krytą perkalem ławę.

Z westchnieniem ulgi usiadła. To miejsce jej odpowiadało, bo mogła skupiać uwagę na Midway, tak więc zauważy Richmondów, jak tylko pojawią się, by dołączyć do dzieci i do niej na lunch, i równocześnie pozwalała odpocząć stopom. Garrett i Amalie usiedli po obu stronach Belle. Dzieci wpatrywały się w scenę, która rozgrywała się w pawilonie fotografa. Belle tylko słuchała, rozbawiona, kiedy tęga kobieta prawila panu Asherowi kazanie na temat jego zachowania, moralności oraz postępowania w interesach.

Biedaczysko, był tego dnia besztany przez damy wszelkiego typu i rodzaju. Belle

doszła do wniosku, że pewnie zasłużył sobie na to.

2

Minęło kilka minut i Belle przekonała się, że przedstawienie, które rozgrywa się w pawilonie fotografa, odwraca jej uwagę od Midway. Zaczynała współczuć panu Asherowi, chociaż niechętnie i wbrew woli, bo nie pochwałała tego, że wystraszył ją i jej podopiecznych. Mały, paskudny chłopczyk za nic nie chciał siedzieć spokojnie. Właściwie, zdaniem Belle, robił takie wrażenie, jakby z ogromną radością psuł panu Asherowi szyki, kiedy ten usiłował zrobić mu zdjęcie.

A matka chłopca, równie okropna jak malec, podsycala tylko napady złości swojego dzidziusia, karmiąc go żelkami i gaworzeniem. Belle była do niej usposobiona niemal tak samo negatywnie jak do pana Ashera.

Kiedy przyglądała się tej scenie, przenosząc wzrok z fotografa na chłopca i na matkę, znalazła chwilę, by z przyjemnością pomyśleć o tym, że potomstwo Richmondów to takie dobrze wychowane brzdące. Niemal wszystkie znane Belle dzieci, od koleżanek z klasy, z którymi dorastała w Wirginii, poczynając, do maluchów, które codziennie widywała na ulicach Blissborough, nauczono odróżniać dobro od zła, nie mówiąc już o tym, że wpojono im zasady zachowania w miejscach publicznych.

Inaczej rzeczy się miały na zwycięskiej Północy. Najwyraźniej pokonanie ukochanego przez Belle Południa uderzyło Jankesom do głów i obywali się bez dobrych manier, uznając je za niepotrzebne obciążenie. A chociaż panna Monroe przekonała się, że przeprowadzka do Nowego Jorku okazała się mniej straszna, niż się początkowo obawiała, brak jej było dobrze wychowanych ludzi. Nie można oczekiwać od dzieci grzeczności, jeżeli się ich jej nie nauczy. Richmondowie i niektóre inne rodziny znajdowały czas i chęć, by uczyć swoje pociechy, jak należy zachowywać się zarówno w miejscach publicznych, jak i na łonie rodziny, natomiast wiele innych osób, jak na przykład matka tego wstrętnego dzieciaka, nie robiło tego. Ze ściągniętymi

brwiami Belle przenosiła wzrok z okropnej matki na okropnego synka i gardziła kobietą za to, że broni zachowania, które zdaniem Belle było nie do obrony.

Mało brakowało, a byłaby klasnęła w dłonie, kiedy pan Asher w końcu zaniechał uprzejmości i ryknął na małego potwora, by zamknął się i siedział spokojnie. Matka chłopca zabelkotała coś, zaczęła robić z tego wielką sprawę, jej zarumieniona na różowo twarz przybrała jaskrawoczerwony kolor, a pan Asher tymczasem dał nura pod czarną płachtę i zdążył zrobić zdjęcie.

Garrett i Amalie wyglądali za okno, wypatrując rodziców. Rozchichotali się, kiedy błysnęło światło. Belle wyciągnęła do nich ręce, gotowa uspokajać dzieci, gdyby ta niewielka eksplozja któreś z nich przestraszyła.

Ale mali Richmondowie wcale się nie bali. Natomiast chłopiec, któremu pan Asher robił zdjęcie, przeraził się i zaczął głośno porykiwać. Belle musiała zatkać sobie uszy. Na szczęście po kilku chwilach najgorsze wrzaski przycichły, przechodząc w rozpaczliwe łkania. Belle głęboko odetchnęła z ulgą i odkryła uszy.

- Dlaczego ten chłopiec płacze? - chciała dowiedzieć się Amalie.

Belle zwróciła uwagę, że ton dziewczynki jest twardy i krytyczny, i pomyślała, że powinna nieco złagodzić jej nastawienie.

- Przypuszczam, że dlatego, że przestraszył się błysku. Amalie się nachmurzyła.

- Ten chłopiec nie jest bardzo grzeczny, prawda?

- Nie, z pewnością nie jest - prychnęła Belle.

- Zwykły tchórz, i tyle - oznajmił Garrett.

Belle się uśmiechnęła. Miała wielką ochotę się z nim zgodzić, ale równocześnie usiłowała miarkować swoje uczucia. Wiedziała, że powinna nauczyć małych Richmondów, jak utrzymywać dobre stosunki z innymi

- Przypuszczam, że błysk go przestraszył, Garreccie. Garrett sapnął tak, jakby chciał powiedzieć, że chłopak

powinien dać się sfotografować bez płaczu. Belle zgadzała się z nim, chociaż nigdy by się do tego nie przyznała.

- Czy błysnie tak też wtedy, kiedy pan Asher będzie robił nam fotografie?

Belle zauważyła, że Garrett wygląda na bardziej podekscytowanego niż zaniepokojonego. I nic w tym dziwnego. Większość znanych jej panów z radością rzuciłaby się głową naprzód w niebezpieczeństwo, gdyby tylko dano im po temu okazję.

- W rzeczy samej, tak będzie, Garretcie.

- To dobrze. Chcę zobaczyć, jak on robi ten wybuch. - Garrett usadowił się ponownie na ławce. Nie wiercił się już tak jak zaraz po przyjsciu do pawilonu.

- Śmieszne - wyraziła swoje zdanie Amalie, która przyglądała się z zainteresowaniem aparatowi. - Dlaczego to wybuchło, panno Monroe?

- Wydaje mi się, że wybuchła magnezja, której użył pan Asher. Eksplozja wytwarza taką ilość błyskowego światła, żeby kamera mogła działać. - Belle miała nadzieję, że się nie myli. Po przeprowadzce do Nowego Jorku odkryła, że istnieje całe mnóstwo rzeczy, o których nie ma pojęcia. Och, potrafiła cudownie czytać i na zawołanie napisać dziesięcio-stronicową epistolę, umiała grać na fortepianie i śpiewać, znała wystarczająco dobrze arytmetykę, by poradzić sobie z domową rachunkowością. Ale po dobrze wychowanych damach z rodziny Belle nie oczekiwano dogłębnej znajomości działania różnych wielkich wynalazków. Taka wiedza w świecie Belle była domeną mężczyzn.

- Chcę mieć swoją fotografię - powiedziała Amalie stanowczym tonem.

- To dobrze, kochanie, bo pan Asher chce ci zrobić fotografię.

- A ja chcę się nauczyć fotografować - oznajmił Garrett. I znowu Belle wcale nie poczuła się zaskoczona. Mali

chłopcy nieodmiennie interesowali się tym, jak różne rzeczy działają. I chociaż dzieci miały odrażający akcent, skłonność do głośnego mówienia i nieco zuchwałe maniere w towarzystwie, ich zachowanie pasowało do wyobrażeń Belle, jaką rolę powinni grać chłopcy, a jaką dziewczęta, a przez to z jeszcze większą radością pracowała dla Richmondów.

Na przykład Garrett doczekać się nie mógł, kiedy będzie mógł się dowiedzieć, jak działa kamera pana Ashera, natomiast Amalie chciała tylko, by tym aparatem zrobił jej zdjęcie. Takie postawy mieściły się bez trudu w granicach form towarzyskich, wśród których Belle swobodnie się czuła. Natomiast kiedy musiała wyjść na nędzne ulice Nowego Jorku czy udać się na zakupy na targ rybny albo w rejon sklepów z ubraniami, ogarniało ją niemiłe skrępowanie.

Na szczęście Światowa Wystawa w Chicago była tak odległa od normalnego, codziennego życia, że Belle wiedziała, iż nie różni się tu od reszty mieszkańców Stanów Zjednoczonych, obojętne czy z Północy, czy z Południa. Nikt nie mógł powiedzieć, że jest przyzwyczajony do panującego na targach podniecenia i wszechobecnych nowości.

- Panie Asher, czuję się zaszokowana, że moje dzieciątko mogło zostać tak haniebnie potraktowane.

Belle przyglądała się, jak matka nieznośnego smarkacza, tupiąc głośno, podchodzi do pana Ashera i nagle zrobiło jej się fotografa żal. W normalnych okolicznościach za skarby świata nie wtrąciłaby się do rozmowy, o ile by jej do niej nie zaproszono, ale przecież znajdowała się teraz na terytorium Północy. Okazało się, że reaguje tak, jakby była tutejsza. Wstała z ławki pod oknem. Pochyliła się, poklepała Garretta po ramieniu, a Amalie po kolanie i powiedziała:

- Zaraz wrócę, dzieci. Posiedźcie tu przez minutkę i cały czas wypatrujcie mamy i papy.

Nie czekała, aż mali Richmondowie zareagują na jej polecenie, tylko podeszła do pana Ashera i stanęła obok niego. Zachowanie Belle było nieodmiennie nienaganne i wiedziała, że godnie się prezentuje. Całe jej wychowanie w dzieciństwie obracało się wokół tego, jak postrzega ją świat. Tak więc nie poczuła się zaskoczona, kiedy tęga kobieta przestała krzyczeć na pana Ashera i zagapiła się na nią, przy czym oczy zaczęły jej wychodzić z orbit, policzki przybrały odcień ciemnej czerwieni i liczne podbródki zaczęły się trząść. Dziecko kobiety nadal akompaniowało im zawodzeniem.

- Jeżeli pozwoli pani, to chciałabym powiedzieć, że winna jest pani panu Asherowi przeprosiny. Przyglądałam się przez ostatni kwadrans, jak pani syn z rozmysłem niegrzecznie się zachowuje, i przekonana jestem, że pan Asher był w pełni usprawiedliwiony, kiedy polecił mu siedzieć spokojnie i zamilknąć. Nagle Belle zrobiło się gorąco w środku. Na litość Pana, czy Północ naprawdę ma na nią aż tak wielki wpływ? Tak wielki, że wtrąciła się do rozmowy, która w najmniejszym stopniu jej nie dotyczyła? Pewnie ma, skoro dokładnie tak właśnie postąpiła. Jedyna nadzieja, że rodzice nigdy się o tym nie dowiedzą.

Matka chłopca zeszywniała niczym jeden z czarno-brązowych psów na szopy wujka Luthera, kiedy chwytał wiatr. Wycelowała olbrzymim biustem prosto w Belle, co tę ostatnią nieco zdeprymowało, bo nie miała w zwyczaju z premedytacją irytować ludzi. Rozdygotała się nagle, a w ustach tak jej zaschło, jakby w pawilonie panował klimat pustynny.

- Młoda kobieto, muszę powiedzieć, że...

Tu wtrącił się pan Asher. Belle nie pochwałała takiego zachowania, ale ucieszyła się, że rzucił jej się na ratunek. W końcu ona też mu się rzuciła na ratunek. Niemniej jednak zawsze czuła się zaskoczona, kiedy jakiś Janek postąpił tak, jak powinien.

- Pani Wiggles, bardzo jest mi przykro...

Tęga kobieta sapnęła, oczy jej przerażająco wyszły z orbit, a policzki pociemniały do tego stopnia, że stały się śliwkowe. Panna Monroe poczuła ukłucie lęku, czy przypadkiem nie zdenerwowała tej pani tak, że dostanie ona teraz apopleksji.

- Jak pan się do mnie zwrócił, młody człowieku? - zapytała ostro.

Belle z ogromną ulgą uświadomiła sobie, że to nie ona jest przyczyną wzmożonej furii kobiety.

Pan Asher na sekundę przymknął oczy i przesunął ręką po czole. Chłopiec, któremu przed chwilą zrobił fotografię, najwyraźniej doszedł do wniosku, że obecni nie zwracają na niego wystarczającej uwagi, ponieważ zaczął na nowo zanosić się rykiem, siedząc przez cały czas przed tą ładną dekoracją, którą wcześniej fotograf ustawił za

jego plecami. Belle popatrzyła na chłopca ze srogą miną w nadziei, że ten zrozumie, iż nie pochwała jego zachowania, ale malec oczy miał szczelnie zaciśnięte i niemal niewidoczne w nalanej, poczerwieniałej twarzy. Nic dziwnego, że pan Asher był zadowolony, kiedy zobaczył na Midway dzieci Richmondów.

- Proszę o wybaczenie... - zaczął pan Asher, ale kobieta przerwała mu w pół zdania.

- Muszę powiedzieć, panie Asher, że spodziewałam się większego profesjonalizmu po oficjalnym fotografie Światowej Wystawy w Chicago.

Czerwień zaczęła odpływać z jej twarzy, a razem z nią rozplýwała się obawa Belle, że kobieta może paść trupem w pawilonie pana Ashera. Z jakiegoś kompletnie niezrozumiałego powodu poczuła, że musi ponownie rzucić się mu na ratunek.

- No, nie, proszę pani. Nie wydaje mi się, by była pani sprawiedliwa. Pani synek zachowywał się niesłuchanie niegrzecznie, a pani nie robiła nic, by jego wybryki ukrócić.

Kiedy kobieta odwróciła się ostro w jej stronę, Belle niemal pożałowała, że nie trzymała języka za zębami. Ale nie ustąpiła. Nie darmo pochodziła ze wspaniałego stanu Georgia. Wiedziała, jakie jest jej miejsce w świecie, znajdowało się ono na samym szczycie.

- Jak pani śmie!

- Wie pani, zdaję sobie sprawę, że większość matek uważa swoje potomstwo za doskonałe, ale przyglądałam się i muszę powiedzieć, że pani synek zachowywał się paskudnie. Co więcej, robił to z premedytacją. Każdy poza panią by to przyznał.

- Nigdy w życiu...

Tu wtrącił się pan Asher. Belle poirytowana odwróciła się i spiorunowała go wzrokiem. Podobnie uczyniła matka chłopca.

- Bardzo panie przepraszam. Proszę mi wybaczyć, że tak się do pani zwróciłem, madam. Czy zechce pani zaczekać przy oknie, madam?

To ostatnie zdanie skierował do niej, uświadomiła sobie Belle, wstrząśnięta. Coś

podobnego! Mogła się spodziewać, że Janke osobę, która usiłuje mu pomóc, potraktuje z niewdzięcznością.- Oczywiście - fuknęła i z ostentacyjnym wzburzeniem **odeszła** pod okno.

- **Jak** pani myśli, czy ta dama zwariowała, panno Monroe? - **zapytał** Garrett zgrzytliwym szeptem.

- Nie wiem, Garrettcie - odrzekła sztywno Belle. Wiedziała, że powinna była zaprzeczyć, ale za bardzo ją pani **Wiggles** zezłościła.

- A ten chłopiec jest brzydki, prawda? Tak. Z pewnością był brzydki.

- Garrett, proszę cię. Nieuprzejmie jest mówić coś takiego.

- Ale Garrett ma rację - pisnęła Amalie. - Jest okropnie brzydki.

Do licha.

- Może - przyznała Belle - ale nie powinno się czegoś takiego mówić, kochani. To niegrzeczne i przykre.

- Jego wrzaski też są przykre - zwrócił jej ponuro uwagę Garrett.

Prawda, prawda. Belle jednak zdawała sobie sprawę, że jak się doda do siebie dwie niestosowności, to żadna racja z tego nie wyniknie, poza tym uważała, że nie powinna zachęcać małych Richmondów do obmawiania tej wstętnej matki i jej synka.

- A więc pokażmy mu, jak powinien się zachowywać, dobrze?

I chociaż Garrett przewrócił oczami, co było normalną reakcją, kiedy Belle usiłowała wpoić południowe maniery jego północnej duszy, Amalie poprawiła się na ławce i złożyła ręce na podołku. Belle tak bardzo lubiła Amalie. Garretta też lubiła, ale z nich dwojga Amalie była bardziej uległa.

W milczeniu przyglądała się razem z dziećmi rozgrywającemu się na ich oczach przedstawieniu. Tłusta kobieta pomaszerowała do swego ryczącego synka i wzięła go na ręce. Belle zauważyła z niesmakiem, że zaproponowała odrażającemu malcowi następnego cukierka, żeby go uciszyć. Zdaniem Belle jeden energiczny klaps w pupę poukładałby potworkowi w głowie szybciej niż przekupywanie go cukierkami. Raz już jednak odprawiono ją z kwitkiem i nie zamierzała niczego więcej sugerować. Ci

Jankesi pojęcia nie mieli, jak należy wychowywać dzieci.

Oprócz Richmondów, którzy stanowili wyjątkowo rozsądną rodzinę i gdyby zdecydowali się przeprowadzić do Georgii, pasowaliby tam w sam raz. Jeżeli pominęłoby się ich akcent. I to, że mieli skłonność do hałaśliwego zachowania. I tę odrobinę niezależności, którą Belle często czuła się zaskoczona, kiedy zauważała ją u pani Richmond. No i może pani Richmond bywała od czasu do czasu odrobinę za bardzo bezceremonialna. Belle, która, dorastając, słyszała wokół siebie spokojną, powolną mowę mężczyzn i słodki szczebiot kobiet, wciąż jeszcze nie potrafiła pogodzić się z twardym, nosowym akcentem Jankesów.

- Klisze będą gotowe we środę, madam - mówił pan Asher. - Czy przyjdzie pani wtedy?

Pani Wiggles prychnęła.

- Będę musiała omówić tę sprawę z moim mężem, panie Asher. Nie jestem pewna, czy chcę mieć do czynienia z mężczyzną, który jest okrutny dla dzieci. - Posadziła na podłodze swoje dziecko, które do tej chwili tuliła w ramionach, gruchając do niego i gaworząc. Chłopiec pisnął zaskoczony, a potem na nowo zaczął wydawać ryki wściekłości.

I znowu Belle pomyślała, że racjonalne przetrzepanie mu skóry dałoby więcej niż taktyka kobiety, która podała synkowi następnego cukierka.

- No, no, skarbuńciu. Pójdziemy z mamą kupić ci hamburgera. Czy skarbuńcio miałby ochotę?

I chociaż chłopiec nie przestał wrzeszczeć, kiwnął na to głową. Kobieta rzuciła ostatnie pełne dezaprobaty spojrzenie na pana Ashera i wymaszerowała ze sklepu.

Belle wcale się nie zdziwiła, że - jak tylko drzwi zamknęły się za nimi - pan Asher wyciągnął dużą chustkę z tylnej kieszeni i otarł nią czoło. Spojrzała przez okno na matkę i chłopca, którzy toczyli się po Midway: kobieta przypominała od tyłu okręt wojenny pod pełnymi żaglami, a jej syn - mały, okrągły holownik. Ucieszyła się, kiedy oboje zniknęli jej z oczu. Byli istnym wcieleniem tego, co **Belle potępiała u Jankesów.**

Pan Asher oddychał **głęboko przez** chwilę czy dwie, bez wątpienia starając się dojść **do siebie po** tym świeżo zakończonym, a niezbyt fortunnym incydencie. Potem odwrócił się i bacznie przyjrzał się **Belle** oraz jej podopiecznym. Belle uniosła brodę do góry. **Wcale** nie była zachwycona, że fotograf **poddaje ją dokładnym** oględzinom, jakby była kawałkiem **wołowiny**, a on **nie** mógł się zdecydować, czy mięsko upiec, **udusić czy** może zrobić z niego potrawkę.

Fotograf ciężko westchnął.

- Przepraszam panią za ten incydent, madam. Niektóre matki pojęcia nie mają, jak zmusić dzieci do grzecznego zachowania.

Obdarzył ją tak promiennym uśmiechem, że Belle trochę się rozkrochmaliła. Zamierzała zachowywać się w stosunku do niego chłodno, ponieważ odprawił ją, kiedy rzuciła mu się na pomoc, ale ten uśmiech spowodował, że lód w jej wnętrzu stajał, a gdzieś w samym środku coś zaczęło ją dziwnie, serdecznie łaskotać, i musiała się do niego uśmiechnąć.

- Ma pan zupełną rację.

- Ten mały był naprawdę nieznośny - Garrett wtrącił do rozmowy swoje dwa centy, choć nikt go o to nie prosił. Belle obawiała się, że chyba nigdy nie przyzwyczai się do tego, jak dzieci tu, na Północy, mieszają się do konwersacji dorosłych z pełnym przekonaniem, że wolno im to robić.

- Bez wątpienia - powiedział pan Asher, szeroko uśmiechając się do Garretta.

- Och, patrzcie! - zawołała Amalie tak nagle, że Belle się wzdrygnęła. - Tam jest mama! - Zeskoczyła z ławki i popędziła do drzwi.

- Amalie, zaczekaj chwilkę! - zawołała za nią Belle. Ale Amalie już nie było. Belle usłyszała, jak woła:

- Mamo! Papo! Chwyciła za rękę Garretta i pospieszyła za dziewczynką. Garrett ociągał się trochę, najwyraźniej bardziej zainteresowany fascynującymi problemami fotografii niż rodzicami, ale Belle nie ustąpiła.

Win Asher patrzył w ślad za nimi, drapiąc się po głowie; ogarniało go jakieś

niemiłe uczucie. Czy dziewczynka rzeczywiście zawołała: „Mamo!”, kiedy zobaczyła tamtą elegancko ubraną parę na Midway? Podszedł wielkimi krokami do drzwi i, przymrużywszy powieki, przypatrywał się powitaniu, które miało miejsce o kilka jardów od niego, po czym pod nosem mruknął cicho: „Cholerny świat!”.

Ale jeżeli nawet się zniechęcił, to tylko odrobinę. Kiedy Win Asher czegoś chciał od życia, sięgał po to i albo brał, albo zmuszał to coś siłą, by mu uległo, jeżeli z własnej woli nie było uprzejme się podporządkować. Tak więc wyszedł za Belle i Garrettem ze swego pawilonu i ruszył w kierunku pary na Midway.

- Papo - powiedział Garrett, kiedy Win podchodził - ten miły pan nazywa się Asher i chce sfotografować mnie i Amalie!

- Amalie i mnie - poprawiła go cicho Belle.

Garrett nawet nie przewrócił oczami, tylko natychmiast powtórzył:

- Chciałem powiedzieć, Amalie i mnie.

Na podstawie tego krótkiego dialogu Win założył, że taka wymiana zdań między Garrettem oraz kobietą, którą wcześniej wziął za jego matkę, musi być dla obojga czymś zwyczajnym. A stąd wysnuł wniosek, że pewnie ona u tej rodziny pracuje. Jako guwernantka albo może niańka.

- Naprawdę, Garrett? - Pani, która (jak się już teraz domyślał Win) była matką obojga dzieci, wzięła córkę na ręce i uśmiechnęła się do swego potomstwa. Ojciec tej dwójki, wyglądający na zamożnego, zadowolonego z siebie mężczyznę, a ten typ dobrze był fotografowi znany, spojrzał rozpromieniony na swego syna i dziedzica, a potem podniósł wzrok i zobaczył zbliżającego się Wina.

Wyplątał się z isticie portretowej rodzinnej sceny powitalnej i postąpił kilka kroków w stronę nowo przybyłego. Wyciągnął rękę.

- Jak się pan ma, panie Asher, czy tak? Rozumiem z tego, co mówił mój syn, że zabawiał pan moje dzieci.

- Czy je zabawiałem, tego nie umiałbym powiedzieć - odrzekł Win ze śmiechem, potrząsając jego dłonią. - Ale rzeczywiście nazywam się Winslow Asher i jestem

oficjalnym fotografem Światowej Wystawy w Chicago. - Win walczył długo i zaciekle o ten tytuł i wreszcie zdobył go, wygrywając z setkami innych ambitnych fotografów. Dzięki sporej dozie zuchwałości, olbrzymim zdolnościom i całej masie autoreklamy odniósł sukces tam, gdzie innym się nie powiodło, i nigdy nie przegapiał okazji, by o swoim stanowisku wspomnieć. Zamierzał zarobić na nim mnóstwo pieniędzy.

- George Richmond - przedstawił się ojciec rodziny, odwzajemniając serdeczny uścisk ręki Wina. - Poznał pan już moje dzieci, Garretta i Amalie, oraz zapewne ich nianię, pannę Belle Monroe.

Belle prychnęła.

- Nie zostaliśmy sobie w sposób właściwy przedstawieni. - Wyciągnęła drobną, obleczoną w rękawiczkę dłoń. - Jak się pan ma, panie Asher?

- Dziękuję, wspaniale. - Ujął jej dłoń, zastanawiając się równocześnie, czy aby na pewno panna Monroe przedstawia sobą ideał amerykańskiej kobiecości. W tej chwili wydawała mu się nieco pretensjonalna.

- Pan chce nam wszystkim zrobić fotografie, mamó - wtrąciła z radością Amalie.

- Uważa, że Garrett i ja jesteśmy urocze.

- Jesteśmy uroczy - wymamrotała panna Monroe takim tonem, jakby nie spodziewała się, by jej poprawka miała zapisać się im w pamięci.

Niemniej jednak Amalie powtórzyła jak papuga:

- Jesteśmy uroczy, chciałam powiedzieć.

- Czy tak? - zapytała pani Richmond. Uśmiechnęła się z zaciekawieniem do Wina, a on nabrał otuchy. Chociaż tej damie daleko było do wizerunku kobiecej postaci, którą widział okiem wyobraźni i chciał przedstawić na serii fotografii, może uda mu się namówić ją, by wypożyczyła mu dzieci. No i ich nianię.

- Tak, w istocie, pani Richmond. - Obdarzył ją jednym ze swych najlepszych profesjonalnych uśmiechów. - Z radością omówiłbym tę sprawę, gdyby zechcieli państwo odwiedzić mnie w moim tymczasowym studio fotograficznym. - Machnął ręką w kierunku pawilonu.

Pani Richmond z powątpiewaniem popatrywała to na Wina, to na męża.

- No, sama nie wiem. Bardzo chciałabym mieć portretowe zdjęcia dzieci, ale...

Tu pałeczkę przejął pan Richmond.

- Właśnie wracamy z koncertu, którym dyrygował pan John Philip Sousa, panie Asher. To był wspaniały koncert. Potem oglądaliśmy imponujące wynalazki w Machinery Hall. - Potrząsnął głową; gestem tym, jak domyślał się Win, pan Richmond chciał mu przekazać swoje poczucie czci i podziwu. - Dobrze tam ukazano geniusz Ameryki, niech pan pozwoli sobie powiedzieć.

- W pełni się z panem zgadzam - przytaknął Win. - Zrobiłem wiele fotografii eksponatów w Machinery Hall. Pewnie widywał je pan od czasu do czasu w gazetach. - Nie wspominając już o periodykach, broszurach z targów, afiszach, książkach i transparentach reklamowych. Win bardzo był dumny z siebie i własnej wersji amerykańskiej pomysłowości.

- Jestem pewien, że je widzieliśmy - zapewnił go pan Richmond. - Pochodzimy z Nowego Jorku, a wiele z tych fotografii zamieszczał „Times”.

Win nie starał się nawet powściągnąć zarożumiałego uśmiechu.

- Tak, w istocie. Sprzedałem „Timesowi” kilka fotografii.

- Właśnie mieliśmy pójść na lunch do meksykańskiej *Cantina* - powiedział pan Richmond. - Może by się pan do nas przyłączył, panie Asher? Moglibyśmy przy jedzeniu omówić sprawę fotografii naszych dzieci.

- Brzmi to wspaniale - rzekł Win. - Proszę tylko pozwolić, że zamknę.

Pozornie przypadkowo przesuwali się w kierunku jego pawilonu. Win wpadł do środka, chwycił marynarkę, którą zdjął podczas rozgrywki z paniczem Wigglesem, narzucił ją na siebie i zamknął drzwi na klucz.

- Nasi strażnicy czujnie pilnują wszystkich pawilonów na targach, ale nie chcę podejmować ryzyka, mając tak kosztowne wyposażenie.

- Bardzo rozsądnie - zgodził się z nim pan Richmond.

Pani Richmond postawiła córeczkę na Midway i otarła czoło chusteczką,

wyciągniętą z małej torebki. Panna Monroe, jak zauważył Win, wzięła Amalie za rączkę, jakby chciała mieć pewność, że dziecko nie odejdzie gdzieś na bok. Win nie sądził, by w tym względzie miała jakieś podstawy do obaw. Dziewczynka Richmondów wydawała mu się uległa i grzeczna, raczej nie należała do dzieci, które się gubią. Chłopiec to inna sprawa. Właściwie Garrett Richmond przypominał Winowi jego samego z okresu, kiedy miał siedem lat; doszedł do wniosku, że nie zaszkodzi tego podobieństwa wykorzystać.

Mrugnął do chłopca i zapytał:

- Czy chciałbyś, żebym nauczył cię podstaw fotografii, Garrecie?

- Och, tak, sir! - wykrzyknął chłopiec. - Proszę!

Win wyciągnął rękę, a Garrett posłusznie pospieszył do jego boku.

- Jeżeli twoi rodzice się zgodzą, z radością to zrobię, Garrecie. Fotografia to jeden z cudów naszych czasów. Pomyśl tylko, można sporządzić podobizny prawdziwych ludzi i wydarzeń i zachować je na zawsze.

- No - wymamrotał Garrett, najwyraźniej oczarowany. - Zanim wynaleziono kamery, ludzie pewnie musieli rysować to, co się działo. Win się roześmiał.

- Pewnie tak. A pamięć ludzka nie jest tak dokładna jak kamera.

- Właśnie.

- Gdyby Siedzący Byk miał kamerę pod Little Big Horn, to mógłby zrobić fotografię ostatniej linii oporu Custer - wtrąciła Amalie bystro. - A wtedy wiedzielibyśmy, co się naprawdę stało, i nie musielibyśmy patrzeć na obrazek, który później narysował ten pan Indianin, ani oglądać wszystkiego w Dzikim Zachodzie, cyrku Buffalo Billa. Ale podobał mi się Dzikie Zachód - dodała zamyślona. - Bardzo bym chciała to jeszcze raz zobaczyć.

- No nie - wymamrotała panna Monroe zaszokowanym tonem. - Amalie!

Win nie chciał wzbudzać wrogości panny Monroe, bo domyślał się, że będzie mu potrzebna jej przychylność, jeżeli fotograficzne plany mają zostać uwieńczone sukcesem, ale nie zdołał się powstrzymać i spojrział na nią dosyć cierpko.

- Jednak ona ma rację, panno Monroe. Musi to pani przyznać. W odpowiedzi panna Monroe rzuciła mu spojrzenie, które wyraźnie mówiło: „Zmusz mnie, bym to przyznała, jeśli się ośmielisz”. Win doszedł do wniosku, że chociaż pewnie świetnie by się bawił, sprzecząc się z ładną panną Monroe, gdyby tylko miała ona nieco bardziej przyjazne usposobienie, lepiej chwilowo poniechać tematu generała Custer a i Siedzącego Byka.

Na szczęście dla nich obojga w tym momencie wtrącił się pan Richmond. Jeśli Win się nie mylił w ocenie tego dżentelmena, rzadko zwracał on uwagę na rodzinę, chyba że się nią popisywał albo zabierał ją w różne ciekawe miejsca. Znał ten typ mężczyzny. Nastawienie pana Richmonda było dość szeroko rozpowszechnione w ostatnim, wielkim dziesięcioleciu dziewiętnastego wieku.

Rodzina Wina nie pasowała do takiego wzorca patriarchalnej obojętności. Jego ojciec był lekarzem i poświęcał wiele czulej uwagi swoim dzieciom obojga płci. Win serdecznego za to kochał. Zarówno brat Wina, Carlton, jak i jego siostra, Victoria, zostali lekarzami, chociaż rodzice musieli wywierać bardzo silną presję, by Victorię przyjęto do medycznej szkoły. Dyplom otrzymała w końcu we Francji, gdzie przeważało bardziej oświecone nastawienie do lekarek. Win podjął co prawda studia na medycynie, ale kiedy był na drugim roku, zainteresowanie fotografią okazało się silniejsze niż zainteresowanie medycyną.

Już przed tym epizodem Win miał wystarczająco wiele powodów, by wysoko cenić matkę i ojca, a jego wielkie uznanie dla nich jeszcze się pogłębiło, kiedy poparli decyzję syna, który postanowił opuścić szkołę i zawodowo zająć się fotografią. Może mniej ze względu na siebie, a bardziej ze względu na rodziców tak ciężko pracował nad tym, by odnieść sukces w profesji, która na samym początku musiała wydawać się im co najmniej ryzykowna.

A teraz kroczył po Midway Plaisance, rozglądał się po wystawionych na pokaz cudach i był w znakomitym nastroju. Rozeszła się już opinia, że jest wspaniałym artystą-fotografikiem. Wiedział, że jeżeli uda mu się namówić Richmondów, by

wypożyczyli mu dzieci i ich niańkę do serii zdjęć, przyniesie mu ona sławę. Wyczuwał to instynktownie, a instynkt nigdy go jeszcze nie okłamał.

Po drodze rzucał sporadycznie okiem na pannę Monroe. Wydawała się bardziej sztywna niż wtedy, kiedy po raz pierwszy dostrzegł ją wśród zwiedzających targi tłumów, a gdy raz zerknęła na niego, natychmiast odwróciła wzrok. Zupełnie jakby go nie lubiła, co było po prostu głupie. Przecież go nawet nie znała. Chociaż rzeczywiście nie pochwalała chyba jego osoby. Może wciąż jeszcze ma mu za złe, że z tak nadmiernym pośpiechem wkroczył w jej życie. A może po prostu jest pruderyjną świętoszką. To byłoby wielkie rozczarowanie, ale Win je wytrzyma. Nie chciał jej dla siebie; potrzebował tylko jej twarzy i ciała do zdjęć. Zastanawiał się, jak panna Monroe może mieć na imię.- A, już ją widać.

Pełne satysfakcji stwierdzenie pana Richmonda wyrwało Wina z kontemplacji ślicznej twarzy i figury panny Monroe. Podniósł wzrok i zobaczył *Cantine*. Jadł tam już kiedyś i przekonał się, że proponowane potrawy są smaczne.

- Podają dobre jedzenie - powiedział, otwierając drzwi przed paniami, zanim pan Richmond zdążył sięgnąć do klamki. - Jestem pewien, że będzie państwu smakowało.

Panna Monroe zaczęła, aż Richmondowie wejdą do restauracji, potem zagoniła tam dzieci, dziewczynkę przodem.

- Dziękuję panu - zamruczała, mijając Wina lekkim krokiem.

- Proszę panią najuprzejmiej. - Wydawało mu się, że słyszy, jak prychnęła, ale nie był pewien.

Belle wpatrywała się w kartę dań i zastanawiała się, co te wszystkie nazwy mogą znaczyć. Nigdy nie słyszała o wymienionych tam potrawach. Do licha. Nie cierpiała własnego braku wiedzy. Jednak obecnie był to dla niej normalny stan rzeczy i domyślała się, że mądrze zrobi, przyznając się do ignorancji. Dużo lepiej się przyznać, niż udawać i zostać zdemaskowanym.

Naturalnie, zanim się sama wypowiedziała, zaczęła, aż Richmondowie zdecydują się, co wybrać z karty, porozumieją się z dziećmi i z panem Asherem. A

kiedy pan Richmond tubalnym głosem zapytał:

- A co pani miałyby ochotę zjeść na lunch, panno Monroe?

- Właściwie nie jestem pewna, co jest czym - odpowiedziała. Pan Asher odwrócił głowę i wytrzeszczył na nią oczy.

Belle w odpowiedzi ściągnęła brwi. To nie jej wina, że nigdy nie jadła czegoś, co nazywa się *coś-tam-picada* albo *sopaipilla*. Tej ostatniej nazwy nie potrafiła nawet wymówić. Uniosła brodę do góry i zwróciła się bezpośrednio do pana Ashera, który twierdził, że już tu wcześniej był.

- Może pan mógłby wyjaśnić mi, co te nazwy znaczą, panie Asher. Pan Asher wzruszył ramionami.

- Pewno.

I zabrał się do wyjaśniania, chociaż jego wyjaśnienia wcale Belle za wiele nie dały. Przyzwyczajona była do mamałygi, kukurydzianego i kartoflanego chleba, jarzyn i bekonu. Do południowego jedzenia. Dobrego jedzenia. Wiedząc, że musi się na coś zdecydować, nawet jeżeli nie będzie wiedziała, co dostanie, wybrała w końcu nadziewaną *sopaipillę*. Czym miała być ona nadziewana, niemal bała się zapytać.

Ale ostatecznie wszystko okazało się całkiem smaczne. Belle ogromnie się Z tego ucieszyła, ponieważ dręczył ją lęk o własny delikatny, południowy żołądek. Zajmując się dziećmi, skupiała równocześnie uwagę na prowadzonej przez dorosłych rozmowie. Pan Asher, jak wkrótce miała okazję się przekonać, dysponował wielkim darem przekonywania.

- Zgodnie z moim wyobrażeniem ta seria zdjęć przedstawiać będzie portret Ameryki, proszę państwa - mówił. - Zamierzam ukazać tam prawdziwe bogactwo wielkiego narodu.

- Bogactwo to dobra rzecz - stwierdził niepewnie pan Richmond.

Pan Asher się uśmiechnął.

- Bogactwo to bardzo dobra rzecz. Ale ja największy atut tego cudownego kraju widzę w jego obywatelach. Kiedy przymykam oczy, staje mi przed nimi cała seria

portretów, przedstawiających matkę i jej słodkie dzieci; oni ucieleśniają to, co w każdej amerykańskiej rodzinie najlepsze.

Belle zauważyła z zainteresowaniem, że pani Richmond zarumieniła się i ma całkiem zadowoloną minę. Rzuciła okiem na męża. Pan Richmond zauważył jej spojrzenie i szeroko się uśmiechnął. Belle poczuła się wzruszona tą wymianą spojrzeń. Musiała otrzeć pojedynczą łzę z oka. Żałowała, że reaguje tak emocjonalnie - zwłaszcza tu, na Północy, gdzie nie doceniano wrażliwości Południa.

- Nie jestem pewien, czy wyrażam się całkiem jasno, proszę państwa, ale może tak czy owak państwo mnie zrozumiecie. Zgodnie z moim planem zdjęcia te mają symbolizować Stany Zjednoczone. Przedstawić to, co nasz naród ma najlepszego do zaoferowania. Będą światu ukazywać doskonałą wolność, doskonałe piękno i doskonałą harmonię, jaką można znaleźć tu, w Stanach Zjednoczonych Ameryki. - Posunął się do tego, że uderzył w stół, przez co lekko zakolysała się stojąca przed Belle szklanka z wodą. Belle wyciągnęła rękę, by ją przytrzymać. Pan Asher tego nie zauważył.

- Gdyby było inaczej, ludzie nie przybywaliby gromadnie do naszych brzegów. Moje portrety w sposób konkretny ukażą tę naszą amerykańską cechę: równość. I nadzieję dla znużonych mas ludzkości, która nie ma żadnych szans w swoich krajach.

Twarz pana Richmonda skąpana była w pełnym zadowolenia uśmiechu. Na ostatnie słowa Wina uśmiech ten nieco się skrzywił.

- Już mamy tu za dużo brudnych imigrantów, gdyby mnie pan pytał o zdanie. Pani Richmond poklepała go po ręku.

- Spokojnie, George. Wiesz sam, że nie wszyscy z nich są brudni i prymitywni.
- Humf.

Pani Richmond uśmiechnęła się słodko do Wina.

- Zastanawianie się nad sytuacją imigracyjną kompletnie wytrąca George'a z równowagi, panie Asher.

- Ale czy pan tego nie widzi, panie Richmond? - dorzucił szybko Win, jakby nie

chciał, by cokolwiek zepsuło jego wizję. - Te zdjęcia będą natchnieniem dla wszystkich, którzy tu przybędą, by stali się wielkimi ludźmi! Nikt nie zechce taplać się w jakimś getcie, kiedy raz zobaczy tę serię, którą sobie wyobrażam.

Państwo Richmondowie zastanowili się nad jego słowami. Podobnie jak ich dzieci. I Belle. Pan Asher uśmiechał się do nich kolejno, a potem odchrząknął. Prostował się w taki**jakiś sposób**, jakby zbierał się na odwagę, by stawić czoło **trudnemu** problemowi. Belle czuła się tym zaintrygowana. **Dopóki** pan Asher się nie odezwał.

- Rzecz w tym, panie Richmond, że pana dzieci są urocze. Idealne. Pasują dokładnie do tego, co chciałbym zrobić. **Podobnie** jak państwo. Ale... no cóż... widzicie państwo, tak naprawdę chciałbym do tej serii portretów wykorzystać państwa dzieci i pannę Monroe.

Stłumiony okrzyk zdumienia wyrwał się z ust wszystkim zgromadzonym.

3

Okrzyk zaskoczenia, którego Win się spodziewał, ucichł niemal natychmiast, reakcja Richmondów była również dokładnie taka, jak oczekiwał. Oczy pani Richmond rozszerzyły się, potem zwężyły. Usiłowała ukryć rozczarowanie i irytację, ale nie do końca jej się to udało. Pan Richmond minę miał lekko zakłopotaną, wyglądał, jakby nie był całkiem pewien, czy wybuch złości będzie tu na miejscu czy może raczej nie.

Gdyby Win się zastanowił, mógłby również przewidzieć reakcję panny Monroe. Ale nawet o niej nie pomyślał. Przyjął po prostu, że każda ładna młoda kobieta będzie zachwycona, kiedy jej zdjęciami oblepi się całe Stany Zjednoczone, zwłaszcza że miała reprezentować ideał amerykańskiej kobiecości wobec wszystkich, którzy studium pana Ashera będą oglądali. Nie przewidział, jak zareaguje, i zarówno panna Monroe, jak i własna krótkowzroczność go zirytowały.

- Co takiego? - Na jej krzyk wszyscy goście w restauracji odwrócili się na

krzesłach, by zerknąć na ich stolik. Panu Asherowi nieszczególnie przeszkadzały te pełne zaskoczenia, badawcze spojrzenia, bo zawsze aprobował powszechne zainteresowanie swoją osobą czy pracą. Panna Monroe za to poczerwieniała jak jabłuszko. Win usiłował ukryć irytację.

- W pierwszej chwili razem z dziećmi zobaczyłem panią, panno Monroe, o ile pani pamięta. To widok waszej trójki jako całości mnie zainspirował.

Panna Monroe zamachała w powietrzu drobnymi, obleczonymi w rękawiczki dłońmi. Win odniósł wrażenie, że ma nadzieję tym sposobem przywołać jakieś koherentne usprawiedliwienie swego, jego zdaniem niedorzecznie wielkiego - zaniepokojenia. A niech to, przecież nie zamierzał jej zniewolić. Poza tym, nawet gdyby mu na coś takiego przyszła ochota, nie miałby szans, skoro pętać się będzie przy nich dwoje małych dzieciaków.

- Ale... ale... ale ja myślałam, że panu potrzebne będą tylko dzieci - wyjąkała w końcu. - Nie miałam pojęcia, że chciał pan fotografować mnie! - Tu pokazała palcem na własne łono, jakby w nadziei, że może Win bierze ją za kogoś innego.

Win wzruszył ramionami;

- Zobaczyłem, jak idziecie we trójkę po Midway, i z miejsca zorientowałem się, że to musi być ta a nie inna trójka. - Domyślał się, że rodziców dzieci trzeba będzie zdrowo udobruchać, odwrócił się więc do nich z jednym ze swoich bezkonkurencyjnych uśmiechów. - Rozumieją państwo, fotografika... podejrzewam zresztą, że inne dziedziny sztuki również... charakteryzuje się pewną osobliwością. Bywa, że rodzina, stanowiąca w rzeczywistości doskonałą, sympatyczną, spójną grupę, nie wychodzi tak na fotografii. Zestawienie panny Monroe z paniczem Garrettem i panienką Amalie pozwala na wychwycenie czegoś... czegoś... - Tu przerwał, żeby nabrać powietrza i znaleźć właściwe określenie.

Panna Monroe wydała z siebie niezrozumiały pisk. Win nie zwracał na nią uwagi. Będzie mogła nakrzyczeć na niego później, kiedy już uda mu się zdobyć aprobatę Richmondów dla proponowanego projektu. **W końcu** zdecydował się na

następujące sformułowanie:

- Zestawienie państwa uroczych dzieci z panną Monroe **praktycznie** oznajmia całej Ameryce, wszem i wobec: „oto **idealna**, szczęśliwa rodzina”.

Pan Richmond zmarszczył brwi.

- A po mojej żonie, dzieciach oraz mnie tego nie widać? Nie **jestem** pewien, czy w pełni pana zrozumiałem, panie Asher.

Ale zrozumiał, bez dwóch zdań. Tylko nie chciał się do **tego** przyznać.

Najgorszą, zdaniem Wina, stroną pracy fotografa (oprócz kontaktów z wierzącymi się smarkaczami i ich matkami) było przekonywanie ludzi, że to on jest artystą, a oni tylko podmiotem jego prac. Trzymał jednak nerwy na wodzy i perswadował co siłą.

Uruchomił cały swój urok.

- Oczywiście, że widać po państwu, iż jesteście szczęśliwą rodziną, panie Richmond. - Tu dźwięcznie się roześmiał i dodał dyplomatycznie: - Wystarczy na państwa popatrzeć, by natychmiast zorientować się, że nasz Stwórca pobłogosławił państwa udanym wspólnym życiem.

Pan Richmond wydał coś w rodzaju pełnego satysfakcji stęknienia. Stęknienie to podniosło Wina na duchu, nie przestawał więc mówić, często gęsto rzucając uśmiech w kierunku pani Richmond, by dać jej do zrozumienia, że również jest ważna, chociaż, prawdę mówiąc, nie była. Dla urzeczywistnienia wizji Wina ważny był przy tym konkretnym stoliku tylko on sam, dzieci oraz panna Monroe.

- Kiedy zobaczyłem państwa dzieci razem z panną Monroe, z miejsca wiedziałem, jak skomponować moją pracę i jak ją zaprezentować. - Nagle zauważył jeszcze jedną możliwość i gdyby nie znajdowali się w miejscu publicznym, palnąłby się dłonią w czoło, że nie przyszła mu ona do głowy wcześniej. A w oczywisty sposób powinna była przyjść, chociażby dlatego, że na pewno pomoże wygładzić drogę do sukcesu. - Naturalnie zrobię również serię zdjęć panu, pani Richmond oraz dzieciom. Należy się to państwu, jeżeli mam od państwa wypożyczyć dzieci. Będzie to podziękowanie za okazaną mojej wizji cierpliwość. - Tuzaśmiał się jeszcze raz, by

Richmondowie uświadomili sobie, jaki jest wspaniały. - Ale idea, którą mam nadzieję zaprezentować prasie i narodowi, to naprawdę nieosiągalna doskonałość.

Przenosił pospiesznie wzrok z matki na ojca i z powrotem. Wydało mu się, że zamigotało w ich oczach coś w rodzaju pączkującego zrozumienia, jeżeli nie wizji artystycznej, to przynajmniej sprawy bezpłatnych, fachowo wykonanych zdjęć. Mimo to wiedział, że nie zaszkodzi mówić dalej.

- Może zechcą państwo pomyśleć o tym studium, które proponuję, jak o czymś w rodzaju serii obrazów pędzla Williama Hogartha. Nie wiem, czy państwo kiedyś o nim słyszeli...

- Oczywiście, że słyszeliśmy - odezwał się natychmiast pan Richmond, uśmiechając się z pewną wyższością. - Pani Richmond i ja uwzględniliśmy dzieła pana Hogartha w naszych planach, kiedy zwiedzaliśmy Anglię.

Win mógł się czegoś takiego spodziewać. Większość bogatych Amerykanów przynajmniej raz w życiu odwiedzała Anglię oraz resztę Europy. Taka podróż była *de rigeur*, jeżeli chciało się błyszczeć w wyższych sferach Ameryki.

- Ach, to dobrze. Wiedzą więc państwo, o czym mówię - zamruczał miękko.

- Tak - zgodził się z nim pan Richmond. - Pani Richmond sama jest całkiem utalentowaną malarką, panie Asher.

- Czy tak? Nie wiedziałem. - Uśmiech Wina miał zgodnie z jego intencją przekazać pani Richmond poczucie koleżeństwa „między nami, artystami”. Nie wiedział, dlaczego dama ta nie wygląda na bardziej zadowoloną z siebie.

Wyjaśniła mu to.

- Muszę powiedzieć, panie Asher, że jeżeli tematycznie pana projekt zbliżony będzie do niektórych studiów pędzla pana Hogartha, to nie pochwalam go wcale. - Popatrzyła na niego surowo.

Oj! Win zapomniał, co było tematem niektórych studiów pana Hogartha. Roześmiał się znowu i starał mówić śpiewnym, wesołym tonem. - Dobrze nieba, nie! Nie dla Wina Ashera przygnębiające studium degeneracji młodego hulaki i nierządnicy.

Panna Monroe znowu zapiszczała. Win zerknął na nią spod ściągniętych brwi. Zajmie się nią później, ale naprawdę wolałby, żeby w tej chwili nie histeryzowała. Miał przed sobą jeszcze sporo przekonywania i nie chciał, by go coś rozpraszało.

- Dobrze nieba, nie - powtórzyła słabiutko pani Richmond. Win domyślił się, że nie powinien był powiedzieć na głos

hulaka ani *nierządnicę* i zdusił westchnienie.

Jego domysły potwierdziły się, kiedy Amalie zapytała:

- Co to jest nierządnicę, panno Monroe?

- Amalie! - wykrzyknęła pani Richmond.

Panna Monroe posłała Winowi jedno paskudnie gniewne spojrzenie i pochyliła się nad Amalie.

- Porozmawiamy o tym później, kochanie. Musisz teraz być cicho, bo twoi rodzice omawiają ważną sprawę z panem Asherem.

Amalie naburmuszyła się, ale posłuchała. Garrett z napięciem przyglądał się dorosłym. I chociaż jego siostrę odprawiono z kwitkiem, ośmielił się powiedzieć:

- Myślę, że świetnie byłoby mieć całe mnóstwo swoich fotografii. Co złego widzi papa w planie pana Ashera?

Panna Monroe położyła mu rękę na ramieniu.

- Ty również musisz jeszcze trochę pomilczeć, Garretcie. Jestem pewna, że mama i papa wytłumaczą ci to później.

- Właśnie. Bądź teraz grzecznym chłopcem, a my całą sprawę uzgodnimy - powiedział mu ojciec. Miał niezadowoloną minę.

Win, pomyślawszy, że w tych okolicznościach nie zaszkodzi wylać trochę oleju na wzburzone wody, rzekł:

- Przepraszam państwa za wzmiankę o tym Angliku. Ale ilustruje ona mój punkt widzenia. Studia Hogartha, o których wspomniałem, przedstawiały drobny odprysk życia w Anglii pod koniec lat tysiąc siedemsetnych. Ja chcę zrobić serię fotografii, będących ilustracją dużo bardziej chwalebnego odprysku życia: fotografie idealnej

amerykańskiej kobiety i jej idealnych amerykańskich dzieci, żyjących w dzisiejszym społeczeństwie. Nasz kraj jest wielki, proszę państwa. Nie przypomina obecnie Anglii. Poczynił ogromne postępy! Stał się oświecony. Ameryka to przykład dla reszty świata. Pokazuje, czego ludzie mogą dokonać, mając odrobinę wyobraźni i mnóstwo wolności, pozwalającej tę wyobraźnię wykorzystać! - Win widział, że opór pani Richmond słabnie, więc szedł za ciosem. - Kiedy zobaczyłem dwoje uroczych dzieci państwa oraz pannę Monroe na Midway, wiedziałem, że mam przed sobą swoje modele. - Uniósł ręce w geście, mającym przekazać im, że nie jest w stanie zaprzeczyć prawdzie ani zmienić faktów. - Po prostu... to oni. Nie wiem, jak inaczej mógłbym to wyrazić.

Pan Richmond potarł podbródek.

- Rozumiem. - Popatrzył na żonę, która odpowiedziała mu spojrzeniem i na dokładkę delikatnie poruszyła ramionami. Ta forma komunikacji była najwyraźniej dla pana Richmonda niezrozumiała, bo zapytał:

- I jak myślisz, Gladys?

Wyczuwając rychłą kapitulację, Win pospiesznie wtrącił:

- Proszę nie zapominać, że otrzymają państwo swoje indywidualne portrety, a do tego co najmniej dwa egzemplarze studium rodzinnego. Dorzucę je w prezencie, ponieważ mam nadzieję, że pozwolicie mi państwo wykorzystać swe dzieci. - Tu przypomniał sobie o jeszcze jednym ważnym, a nawet zasadniczym członku grupy, i dodał: - Oraz ich nianię.

Próbował posłać uśmiech pannie Monroe, ale odbiła go z wielką łatwością swoją pełną lodowatej dezaprobaty miną. Nie wiedział, o co się właściwie ta panna tak złości, ale pewien był, że koniec końców uda mu się przekonać ją do swego sposobu myślenia.

A jeżeli mu się nawet nie uda, co to za różnica? Byle tylko przekonał Richmondów, żeby pozwolili mu wykorzystać dzieci jako modele, panna Monroe się podporządkuje, boidzie w parze z dziećmi To jest jej praca, której pewnie nie będzie chciała stracić. Zastanawiał się, czy można by uznać takie postępowanie za formę szantażu, i doszedł do wniosku, że to też bez różnicy. Miał przed oczami swoją wizję i

wiedział, że jeżeli uda mu się ją zrealizować, to zrobi karierę. Pannie Monroe może się to podobać lub nie, ale pozować będzie. Pani Richmond wahała się przez chwilę, potem powiedziała:

- No cóż, to interesująca oferta, George. Na pewno miło byłoby mieć rodzinne portrety. Niemalże już je widzę na fortepianie w saloniku na tyłach.

Win wzdrygnął się wewnętrznie, ale nie pokazał tego po sobie. Przypomniał sobie, że artyście często w życiu przypada taki los, iż jego dzieła relegowane są na fortepian w saloniku na tyłach.

- Proszę również nie zapominać - gładko wpadł jej w słowo - że jestem najlepszym fotografem w Chicago i okolicy. Gdyby tak nie było, dyrekcja targów nie wybrałaby mnie na oficjalnego fotografa Światowej Wystawy. - Obdarzył Richmondów uśmiechem, który miał wyrażać zadowolenie, a oprócz tego uczciwość oraz dumę z siebie i własnych osiągnięć. Pies to drapał, przecież jest najlepszy.

Wydało mu się, że od strony panny Monroe dobiegł go jakiś zduszony odgłos, ale kiedy na nią zerknął, siedziała bez ruchu, z kamienną twarzą, wyprostowana jakby kij połknęła. Miał nadzieję, że uda mu się namówić ją, żeby podczas fotograficznych sesji się odprężyła. Był pewien, że mu się uda; miał nieograniczone zaufanie do siebie.

Win poczuł się niezwykle szczęśliwy, choć wcale nie zaskoczony, kiedy Richmondowie skapitulowali, przekonani tym, jak zachwalał swój „towar”.

Co do Belle, nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy czuła się tak zażenowana, wściekła, zlekceważona i oburzona. Nie zdarzyło jej się tak paskudnie odezwać jak w chwili, kiedy zareagowała okrzykiem: „Co takiego?”, na zasugerowany przez pana Ashera plan, od czasów gdy w dzieciństwie Johnny Meadows upuścił jej żabę na podolek.

A potem pan Asher miał czelność, miał bezgraniczny tupet ignorować ją kompletnie i zwracać się wyłącznie do Richmondów, jakby aprobatą Belle Monroe dla jego wymarzonego planu znaczyła tyle co nic. A przecież musiała być najważniejszą częścią tego planu albo zdecydowałby się sfotografować dzieci z ich matką.

Belle zapragnęła zdzielić pana Ashera po głowie parasolką, ale wytwornie wychowane damy z Południa nie postępowały w taki sposób. Zresztą przegapiła już wspaniałą okazję, by dokonać tak pożytecznego czynu na Midway, kiedy omyłkowo wzięła go za jakiegoś donżuana.

Nie był donżuanem. Był czymś dużo gorszym. Był zatraconym Jankesem najgorszego rodzaju: aroganckim, niegrzecznym, chciwym i wypranym z wszelkich zasad.

Kiedy Richmondowie zaczęli wyprowadzać dzieci z restauracji (zajęcie to zwykle spadało na Belle), pan Asher został z tyłu, żeby z nią porozmawiać. A wtedy Belle doszła do wniosku, że powie mu dokładnie, co o nim myśli, niczym nie ryzykując, bo ze zdenerwowania żołądek już ją bolał. Pan Asher przytrzymał jej krzesło, kiedy wstawiała. Jak tylko Belle się wyprostowała, napadła na niego.

- Panie Asher, jest pan arogancką, niegrzeczną, pozbawioną zasad i chciwą jankeską świnią, nigdy jeszcze w życiu nikt mnie tak bez skrupulów nie ignorował. Powinien się pan wstydzić!

Miał czelność najpierw zrobić oszołomioną, a potem rozbawioną minę. Wziął ją pod rękę, nie czekając, aż da mu do zrozumienia, że taki gest będzie mile widziany, i poprowadził do drzwi restauracji.

- Przykro mi z tego powodu, panno Monroe. Mówi pani prawdę. Ale pomyślałem sobie, że pani i dzieci to jeden pakiet, i ważniejsze wydawało mi się nakłonienie Richmondów, by zaaprobowali mój pomysł, niż wpływanie na panią.

- Tak - powiedziała Belle oziębłym tonem. - Doskonale rozumiem, jak przebiegało pana rozumowanie. Proszę mnie puścić.

Poczuła się urażona, kiedy Win podniósł oczy do nieba.

- Nie jestem naprawdę aż tak okropny, panno Monroe. A jeżeli przy stole zachowywałem się z wyrachowaniem, to dlatego, że czasami ponosi mnie, kiedy spadnie na mnie artystyczna wizja.

- Ha.

Dogonili Richmondów przy szatni, gdzie pan Richmond właśnie odbierał laseczkę i kapelusz oraz parasolki pań. Pan Asher również wziął kapelusz od chłopaka za ladą i rzucił mu monetę nonszalanckim gestem, który dla Belle stał się symbolem doskonałej wyższości, jaką tak chętnie demonstrowali ludzie z Północy.

Wykorzystała okazję, kiedy panowie odbierali swoją własność, by zająć należną jej pozycję u boku podopiecznych. Przykazała sobie w każdej chwili pamiętać, że opieka nad Amalie i Garrettem oraz dbałość o ich dobro są jej obowiązkiem i jej odpowiedzialnością. Wygarnęła panu Asherowi prawdę w oczy. A chociaż czułaby dużo większą satysfakcję, gdyby pan Asher był łaskaw się zawstydzić, czas już wracać do pracy.

Belle zacisnęła zęby i pożałowała, że nie może jeszcze przez jakąś godzinę pokrzywić na pana Wina Ashera. I w ogóle co to za imię, Win? W życiu nie słyszała tak absurdalnego imienia. To również z chęcią by mu powiedziała, ale nie powie. Jest przecież damą. Mogła się znaleźć w trudnej sytuacji życiowej, ale nie poniży się do tego, by wyśmiewać się z kogoś, kto nosi takie a nie inne imię, zwłaszcza że pewnie nie mógł na to poradzić.

Przyszło jej na myśl, że to przede wszystkim za sprawą ludzi takich jak Win Asher musiała szukać zatrudnienia. Gdyby szlachetni krewni Belle z Południa i ich sąsiedzi nie musieli się bronić w czasie wojny Abrahama Lincolna, jej rodzina nadal uprawiałaby bawełnę i tytoń i żyła sobie dostatnio na niezrujnowanej plantacji w Blissborough w stanie Georgia. Razem z niewolnikami.

Do licha. Belle nienawidziła tego, kiedy przypominali jej się niewolnicy.

Ale jeżeli pan Win Asher choćby raz jeszcze jej dotknie, żeby poprowadzić ją do szatni czy gdziekolwiek indziej, huknie go parasolką. Pod warunkiem, że w pobliżu nie będzie Richmondów. Ani dzieci. Nie chciała dawać dzieciom złego przykładu

Pan Asher nie zrezygnował z narzucania im swego towarzystwa nawet wtedy, kiedy wszyscy wyszli już z restauracji.

- Czy nie będzie państwu przeszkadzać, jeżeli się do państwa na chwilę

przyłączyć? Chciałbym zorientować się, jak odnoszą się do siebie dzieci i panna Monroe. Pomoże mi to podjąć decyzję, jak wykorzystać ich w moim studium.

Belle aż zagotowała się ze złości, a Richmondowie, których zawsze, aż do dnia dzisiejszego, uważała za jankeską rodzinę lepszego gatunku, popatrzyli na siebie, porozumiewając się w milczeniu, jak to mają w zwyczaju małżeństwa. Bardzo pragnęła wyrazić własne zdanie, ale przecież była tylko najętą pomocą domową. Czasami żałowała, że podjęła decyzję, by przenieść się na Północ i podjąć pracę. Jak na przykład w tej chwili.

Na pytanie fotografa odpowiedziała pani Richmond.

- To miło z pana strony, panie Asher. A ponieważ zna pan lepiej targi niż my, może zechciałby pan poradzić nam, co może najbardziej zainteresować dzieci, które miejsca powinny odwiedzić.

Uśmiech Wina był szeroki i efekciarski, Belle aż palpitanie dostała na jego widok. Chyba że te palpitanie wywołane były resztkami irytacji. Poczuli się lepiej, kiedy ugruntowała się w przekonaniu, że musi to być irytacja. Takiej myśli, że pan Win Asher mógłby w jej łonie wywoływać uczucia inne niż irytacja, po prostu nie dawało się rozważać na pełny żołądek bez szkody dla zdrowia.

- Z ogromną przyjemnością. - Ukłękł przy Garretcie i Amalie. Gdyby ten gest wykonał każdy inny dżentelmen, spotkałby się on z aprobatą Belle, bo wskazywał na pewną swobodę w kontaktach z dziećmi. Ale u Wina Ashera nie tylko go nie pochwalała, ale po prostu ścierpieć nie mogła.

Przyglądała się z przymrużonymi oczami, jak rozmawia z jej podopiecznymi. Nie podobała jej się ich reakcja na niego, a reagowali bez cienia niepokoju, promieniując wręcz życzliwością. Wolałaby, żeby odnosili się do niego z taką samą dezaprobatą jak ona. Ale to było niemądre. Dzieci nie miały rozeznania. Dojrzałość wyleczy ich z tej wady.

- Posłuchajcie, czy mielibyście ochotę odwiedzić wysepkę Wooded Island? Zbudowano tam rekonstrukcję osiemnastowiecznej wioski w stylu kolonialnym,

będziecie mogli na własne oczy zobaczyć, jak żyli Pielgrzymi*.

Garrett zwrócił błyszczące, pełne entuzjazmu oczy na rodziców.

- Och, czy możemy? Brzmi to wspaniale!

I rzeczywiście tak brzmiało. Belle w życiu by się do tego nie przyznała.

- Ja też chciałabym tam pójść - powiedziała Amalie. Patrzyła na pana Ashera szeroko otwartymi, błękitnymi oczami i z uśmiechem się do niego wdzięczyła.

Belle zerknęła spod oka na dziewczynkę, zastanawiając się, czy mała się przypadkiem w tym fotografie po dziecinnemu nie zadurzyła. Takie już ma garbate szczęście, że cała rodzina może znaleźć się pod urokiem paskudnego mężczyzny, który ją samą ignoruje i nie zwraca uwagi na jej opinię, i chce tylko wykorzystać ją do własnych celów. Belle czuła się wyzyskana i źle traktowana i wcale jej się to nie podobało.

Tak więc była wyjątkowo milcząca, kiedy Richmondowie i pan Asher wolnym krokiem ruszyli w stronę jednego z wielu jeziorzek, mieszczących się na terenie Wystawy. A kiedy Amalie wzięła pana Ashera za rękę i w podskokach biegła przy jego boku, Belle poczuła się jak stary znoszony but, który nikomu już nie jest potrzebny.

**Pielgrzymi - pierwsi angielscy koloniści przybyli do Ameryki w 1620 r. (przyp. tłum.).*

- Na Wooded Island jest domek myśliwski, który pewnie zainteresuje ciebie, Garretcie - ciągnął pan Asher, nie zwracając uwagi na skrepowanie Belle.

A niby dlaczego miałby uwagę zwracać? Nikt nie dba o wynajętą pomoc domową. Belle aż się wzdrygnęła, kiedy uświadomiła sobie, że pograża się w ponuractwie i malkontenctwie, i postanowiła się rozchmurzyć. Jej ukochany ojciec zwykł był mawiać, że człowiek może sam wybrać, czy chce być w nastroju radosnym, czy nie, i na ogół ilustrował to przykładem.

Te werbalne ojcowskie przykłady miały dla Belle wielkie znaczenie, przede

wszystkim ze względu na to, co osobiście zaobserwowała w rodzinie. Chociaż nigdy nie ośmieliła się wypowiedzieć swojego zdania na głos, nabrała przekonania, że matka lubi być nieszczęśliwa, tak jak niektórzy ludzie lubią chorować.

Przyszła jej nagle na myśl babcia. Babcia upajała się szczegółowym wyliczaniem wszystkich swoich dolegliwości i bólów. Z wielką ulgą Belle dowiedziała się, że sama nie musi wyrosnąć na kobietę nieszczęśliwą i chorą. A skoro przypomniała już sobie radę ojca, postanowiła, że nie wpadnie w żadną otchłań rozpacz przez jankeskiego fotografa o pożałowania godnych manierach.

Tak więc wyprostowała się w ramionach, wzięła Amalie za drugą rączkę i, wzbraniając się spojrzeć na Wina Ashera, przyspieszyła kroku. Richmondowie włączali ją do swoich rozmów jeszcze przed pojawieniem się pana Ashera, postanowiła więc teraz dochodzić swoich praw.

- Jak rozumiem, na Wystawie mieści się również interesująca ekspozycja reliktyw z odkrywczej podróży Kolumba.

Pan Asher przytaknął, co w niewyjaśniony sposób dodało Belle otuchy.

- Tak, rzeczywiście. Całe targi mają w zamierzeniu stanowić obchody z okazji czterechsetnej rocznicy odkrycia Ameryki przez Kolumba.

- Spóźnili się o rok. - Garretta to rozśmieszyło.

Pan Asher naciągnął chłopcu czapkę na nos, a ten rozchichotał się, poprawiając nakrycie głowy.

- Tak, tak, mądralo - powiedział fotograf. - Mogli się spóźnić o rok, ale znakomicie się spisali, tak szybko montując tę wystawę.

- Boże drogi, to nie ulega kwestii - wtrąciła pani Richmond i, uśmiechając się do Belle, dodała: - Nalegam, żebyśmy zwiedzili wystawę poświęconą Kolumbowi. W końcu całe targi zorganizowano dla uczczenia dokonanego przezeń odkrycia, więc powinniśmy co najmniej ją zobaczyć.

- Jest fascynująca - zapewnił ich Win. - Zdumiewa mnie, że te maciupęńkie stateczki naprawdę przepląły przez ocean i nie zatoneły.

Po tym rozmowa się ożywiła i Belle nie czuła się już tak bardzo pozostawiona poza nawiasem. Powiedziała sobie, że dostała cenną nauczkę. Gdyby, postrzegając siebie jako osobę nic niewartą, pogrzyła się w czarnej rozpacz, byłaby to wyłącznie jej wina. Z miejsca zdecydowała, że jeszcze tego wieczora napisze do ojca i podziękuje mu za tak cenną lekcję.

Kiedy panie postanowiły zwiedzić ogród różany na skraju Wooded Island, pan Richmond, pan Asher i Garrett odłączyli się od nich. Belle nie miała nic przeciw temu.

- Wiem, że wy, panie, będziecie chciały zajrzeć do pawilonu dla dam. - Pan Richmond puścił oko do syna i Wina. - A my, mężczyźni, znajdziemy sobie coś innego, co nas bardziej zainteresuje.

Pani Richmond poczuła się odrobinę urażona.

- Pani Potter Palmer napisała bardzo ciekawy artykuł dla „Timesa”, George. Sam mówiłeś, że najwyższy już czas, by działalność kobiet doczekała się uznania i szacunku.

- Prawda, prawda, Gladys. Nie ma się o co dąsać.

- Wcale się nie dąsałam - powiedziała pani Richmond nadąsana. - Żle by z wami było, panowie, gdybyście sami musieli robić wszystko to, co my robimy bez waszej pomocy. Win uśmiechnął się, błyskając przy tym białymi zębami tak, że Belle aż zacisnęła swoje.

- Pani Richmond ma tutaj absolutną rację, sir. Musimy oddać paniom sprawiedliwość.

- W rzeczy samej, musicie - mruknęła Gladys i złagodniała na tyle, że lekko się uśmiechnęła.

- A dyrekcja targów oddała szlachetnym damom cały pawilon do ich dyspozycji - dodał Win.

Panowie roześmiali się w taki serdeczny, pełen wyższości sposób, że Belle miała ochotę i jednego, i drugiego kopnąć. Zatraceni mężczyźni, którym wydaje się, że rządzą światem. Z żalem przypomniała sobie, że jednak rządzą. To nie było sprawiedliwe.

Chociaż Belle od dnia narodzin przesiąkała wytwornością Południa i obowiązującymi tam damy łagodnymi manierami oraz koncepcją rządzenia z za tronu, jednak od czasu do czasu żałowała, że kobiety nie mają więcej władzy i nie mogą kierować własnymi czynami i życiem jawnie. To czyste utrapienie, że zawsze musi się stosować misterne podchody, by dojść do celu.

W głębi serca Belle nie należała do buntowników i z rezygnacją, chociaż bez zachwyty, godziła się ze swoim miejscem w świecie i amerykańskim społeczeństwie. Naturalnie słowem się nie odezwała.

- Świetnie, George. Chciałabym też, by Amalie zwiedziła pawilon przeznaczony dla dzieci. Jak rozumiem, jest tam cudowna wystawa lalek, nowomodnych, nakręcanych grających zabawek i temu podobnych.

- Ma pani rację - przytaknął Win.

Belle zerknęła na niego spod oka, zastanawiając się, co go skłoniło, żeby oglądać nowomodne, nakręcane zabawki. Jakby czytając w jej myślach, pan Asher półgębkiem się do niej z rozbawieniem uśmiechnął i wyjaśnił:

- Fotografowałem tę ekspozycję dla „Globe”.

W odpowiedzi skinęła mu głową iście po królewsku:

- Rozumiem.

- A ja chciałabym jeszcze zobaczyć wszystkie nowe urządzenia do kuchni - dodała Gladys.

Belle zauważyła zachłanny błysk w jej oczach. Zauważył go również pan Richmond.

- Postaraj się nie wpadać na nadmiar dobrych pomysłów, Gladys - napomniął ją. Powiedział to jednak dobrodusznie i Belle doszła do wniosku, że pewnie nie będzie miał nic przeciw temu, by wyposażyć swój wspaniały nowojorski dom w najnowsze i najwspanialsze kuchenne urządzenia, które spodobają się jego żonie.

- Nie martw się, mój drogi. Nie rozbiję banku. - Gladys się roześmiała.

Belle przysłuchiwała się tej wymianie zdań, a w sercu ją lekko zakłuło. Całkiem

często zastanawiała się, jakby to było mieć pieniądze. Wystarczającą ilość pieniędzy. Mnóstwo pieniędzy. Poczwała następne drobne ułkucie, kiedy uświadomiła sobie, że pewnie nigdy się tego nie dowie.

- Spotkamy się z wami o piątej - powiedział pan Richmond, wyciągając z kieszonki kamizelki swój drogi, złoty zegarek i przyglądając mu się ze zmrużonymi oczami.

- Tylko żebyście się nie odważyli pójść na wystawę Kolumba bez nas. - Pani Richmond pogroziła mężowi żartobliwie palcem.

- Nie pójdziemy. - Pan Richmond zerknął na Wina. - Może pan Asher zechce przyłączyć się do nas na wieczorny posiłek.

Propozycja wydawała się Belle mało pociągająca, ale nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia i zachowała pogodny wyraz twarzy. I dobrze, bo tak już ten świat urządzono, a dla kobiet w jej sytuacji najlepiej było, jeżeli nauczyły się akceptować wszystko z obojętną twarzą. Jeżeli tego nie potrafiły, chlebodawcy mogli je odprawić. Belle uświadomiła sobie, że znowu zaciska szczęki, i przerwała to bezsensowne zajęcie.

Chociaż w myślach Belle panował taki chaos, popołudnie minęło sympatycznie. Czwała się dużo swobodniej pod nieobecność pana Ashera, chociaż jakoś nie mogła o nim przestać myśleć. Jej stosunki z panią Richmond już wcześniej ułożyły się miło i teraz obydwie z przyjemnością przechadzały się po różanym ogrodzie. Było ciepło, ale podniósł się wiatr.

Porwał raz kapelusik Amalie i dziewczynka musiała go gonić. Belle kupiła jej ładną różową wstążkę, którą mogłaby przewiązać nakrycie głowy. Ten drobny gest sprawił jej wielką przyjemność, nieproporcjonalną do czynu. Ale bardzo rzadko do tej pory mogła pozwolić sobie na kupno jakiejś błahostki tylko i wyłącznie dlatego, że miała na to ochotę.

Humor jej się po tym nieco poprawił, chociaż wciąż jeszcze nie potrafiła pozbyć się pana Wina Ashera z myśli. Zastanawiała się, czy to nie początek jakiejś choroby.

Zdarzało się, że kiedy podupadała na zdrowiu, podatna była na chorobliwe urojenia. Chociaż wytworzony przez jej fantazję wizerunek pana Ashera nie był chorobliwy. A nawet wręcz przeciwnie. Powiedziała sobie, że musi skupić się na oglądaniu Wystawy i skończyć z tym filozofowaniem. Myślenie nie wychodziło jej najlepiej, miała niewiele wprawy.

Trzy panie spędziły cudownie czas, oglądając eksponaty w dziale dla dam.

- Och, Belle, wyglądasz zupełnie jak tamta statua greckiej bogini.

Belle popatrzyła i musiała przyznać, że przez moment czuła się dumna. Statua, którą pokazywała pani Richmond, była naprawdę śliczna. A ponieważ wiedziała, że to poczucie dumy nie przynosi jej chluby, bo w końcu uroda nie jest jej zasługą, tylko darem od Boga, rodziców i innych przodków, powiedziała tylko:

- Och, ba, pani Richmond. Uważam, że pani sama bardzo przypomina boginię... - Na Boga! Właśnie miała porównać panią Richmond do Bogini Płodności. To absolutnie nie wypada. Udała, że coś jej wpadło do gardła, i szukała ucieczki w kaszlu.

- Bardzo panią przepraszam.

Ucieszyła się, kiedy pani Richmond nie zorientowała się w podstępie, tylko poklepała ją po plecach gestem uświęconym tradycją i całkowicie bezużytecznym, który w zamierzeniu miał pomóc osobie klepanej oczyścić drogi oddechowe.

- Już w porządku, Belle?

Belle poczuła się winna, co zrozumiałe, bo nie była przyzwyczajona do wykrętów.

- Wszystko w porządku, dziękuję. Jest pani bardzo dobra.

- Nie ma o czym mówić.

- Właśnie chciałam powiedzieć - kłamała Belle - że bardzo przypomina pani Boginię Natury. - Pokazała na inną statwę, która, obiektywnie rzecz biorąc, była równie ładna, chociaż jej twarz nie oddawała sprawiedliwości eleganckim rysom pani Richmond.

Na szczęście dla Belle do rozmowy postanowiła włączyć się Amalie.

- A czy ja wyglądam jak któraś z nich, panno Monroe?

Belle, zadowolona, że im przerwano, pochyliła się na tyle, na ile pozwalały fiszbiny w gorsecie, wzięła Amalie na ręce i przytuliła ją. To dziecko było wyjątkowo serdeczne i Belle czule je pokochała.

- Boże drogi! Panno Amalie, przypominasz je Wszystkie! - oznajmiła, starannie cedząc słowa, by oddać jak najlepiej swą ojczystą, południową wymowę. - Ale myślę, że zdumiewająco jesteś podobna do posążku tamtego niedźwiedzia grizzly. - Tu lekko Amalie przytuliła i puściła oko do jej matki, która się roześmiała.

- Zdecydowanie - zgodziła się ta pogodna dama. - Albo może do czającego się w kacie kojota.

Pani Richmond pokazała palcem rzeźbę, o której mowa. Wcześniej pokazała też tę, do której jej zdaniem podobna była Belle. Ale Belle nie miała jej tego za złe. Zaczynała godzić się z faktem, że na niekulturalnej Północy nie obowiązują maniery, jakie jej wpojono w dzieciństwie, i że nie uznaje się za niewytworną damy, która się do takiego gestu ucieka. Pokazywanie palcami czy podnoszenie głosu, chociaż przecieźtak nieeleganckie, nie było tu uważane za niegrzeczność.

Westchnęła. Serce jej się ścisnęło, bo nagle poczuła się samotna. Ale kiedy rozejrzała się po tłumie, wypełniającym Ladies'Department, powiedziała sobie, że czego jak czego, ale towarzystwa tu z pewnością nie brakuje. I nie powinna przejmować się tym, jak bardzo są obcy jej sercu i duszy. Podjęła sensowną decyzję i najlepiej będzie się do nich przyzwyczaić.

Pocieszyła ją świadomość, że jeszcze tego wieczoru będzie mogła porozmawiać, metaforycznie, z rodziną, siedząc samotnie w swojej sypialni na dwunastym piętrze nowiuteńskiego i wspaniałego Congress Hotel. Go więcej, zabrała przezornie ze sobą w tę podróż do Wietrznego Miasta kilka listów, które rodzina przysłała jej do Nowego Jorku, zanim wyjechali. Belle była pewna, że kiedy ponownie przeczyta ich epistoły, lepiej się poczuje.

Gdyby tylko proponowane przez pana Ashera fotografie aż tak jej przez cały czas

nie niepokoiły, czułaby się właściwie wspaniale.

- Nie mogę się już doczekać na obiad - powiedziała Amalie, wtulona w ramiona Belle. - Chcę znowu zobaczyć pana Ashera. Bardzo go lubię.

Belle wiedziała, że słowa dziewczynki wyprane są z wszelkich niegodziwych intencji; gdyby nie to, chyba byłaby ją upuściła.

4

Win spędził z panem Richmondem i Garrettem miłe popołudnie. Miał tylko nadzieję, że nikt w dyrekcji targów nigdy się nie dowie, że dla spraw osobistych opuścił swój pawilon. Od kiedy przyznali mu tytuł oficjalnego fotografa Światowej Wystawy, obserwowali go baczniej niż innych koncesjonariuszy. Przekonany był jednak, że potrafi wybronić się przed każdym detektywem, który by przesłuchiwał go na polecenie dyrektorów, więc za bardzo się nie martwił.

Pan Richmond, podobnie jak większość mężczyzn w jego wieku i sytuacji życiowej, okazał się nadęty i zadowolony z siebie, a tym samym bardzo Wina nudził. Ale dzień był pogodny i nie nazbyt wietrzny, Garrett wydawał się chłopcem przyjaznym i ciekawym, a do tego Win miał nadzieję przy wieczornym posiłku spotkać się z panną Monroe.

Nie mówiąc już o tym, jak się cieszył, że w zasięgu ręki ma szansę na stworzenie prawdziwie wielkiego dzieła sztuki. Życie jest wspaniałe i Win zamierzał radować się każdym jego aspektem, nawet jeżeli od czasu do czasu musiał znosić towarzystwo nudnych biznesmenów. W końcu to właśnie nudni biznesmeni mieli wszystkie pieniądze w swoich rękach, a Win zamierzał wyciągnąć z nich tyle zielonych, ile tylko mu się uda.

Same targi dostarczały gwarantowanej rozrywki i ciekawostek aż w nadmiarze. Nawet gdyby ktoś nie zechciał zwiedzać ekspozycji - przypuszczenie tak absurdalne, że spokojnie można je było pominąć - wystarczyło rozglądać się dookoła i patrzeć na

publiczność, by godzinami się bawić. Wina ekscytował sam zapach targów. Uznał, że bez przesady może powiedzieć, iż potrafi wyczuć zapach podniecenia w powietrzu.

- Któregoś dnia będziesz musiał skosztować hamburgera, Garretcie - zwrócił się do chłopca, który co prawda uważał, że jest za duży, by trzymać ojca za rękę, ale nie wykazywał najmniejszej chęci, by się od dorosłych oddalać. Win podejrzewał, że za bardzo oszalamiają go nieprzebrane tłumy i unikalne widoki, by miał gdzieś odbiec.

Garrett oderwał wzrok od arabskiego kupca, od stóp do głów okrytego narodowym strojem - Win z rozbawieniem zwrócił uwagę, że malca szczególnie wydaje się interesować olbrzymi, zakrzywiony bułat, wiszący w pochwie u pasa mężczyzny - i podniósł na mówiącego oczy. Fotograf szeroko się do niego uśmiechnął, zadowolony, że nie pomylił się, zakładając, iż na wzmiankę o jedzeniu chłopiec zapomni o wszystkim.

- Co to jest hamburger?

- To wołowy kotlecik usmażony na wolnym ogniu i podany na okrągłej bułce.

Garnirowany jest różnymi dodatkami...

- Co to jest „garnirowany”?

- Ozdabiany. Korniszonami, cebulką, różnymi takimi - wyjaśnił pan Richmond, który również wydawał się zainteresowany tematem rozmowy.

Zerknąwszy na talię pana Richmonda, która ostatnio chyba gwałtownie musiała się rozwinąć, pan Asher wcale nie zdziwił się okazanym przez niego zainteresowaniem. Jeszcze trochę, a pan Richmond będzie musiał zrezygnować z paska na rzecz szelek, chyba że Win się w swoich domysłach pomylił. Ślubował sobie, że jeżeli kiedykolwiek zrobi majątek, ustatkuje się, ożeni i zacznie produkować dzieci, nie dopuści do tego, by się roztyć. Prawdopodobieństwo, by któraś z tych rzeczy się wydarzyła, no, może poza zdobyciem majątku, wydawało się w tej chwili nikłe.

- Może uda nam się to zrobić jutro, Garretcie - zaproponował ojciec chłopca.

Winowi zdawało się, że słyszy ciche mlaśnięcie oczekujących na smakołyk warg. A były to wargi pana Richmonda.

Ruszyli spacerkiem po „Ulicy w Kairze”, będącej kopią siedemnastowiecznej alei z Egiptu. Win przyglądał się, jak Garrett odkrywa nowe rodzaje jedzenia, niezwykle materiały, reprodukcje starożytnych egipskich płaskorzeźb nagrobnych, obrazy, amulety, biżuterię i wiele innych rzeczy. W pewnym momencie sam siebie przyprawił o wstrząs, bo przyszło mu do głowy, że miło byłoby pokazywać to zdumiewające widowisko własnemu dziecku. Pozbył się tej myśli z czymś zbliżonym do paniki.

Rzewnie sentymentalny nastrój na szczęście szybko mu minął, i dzięki Bogu. Ale inny nastrój trwał na posterunku. Jak tylko Win na coś popatrzył, natychmiast wyobrażał sobie, jak wyglądałaby na tym tle Belle Monroe z dziećmi Richmondów. Ta kobieta była absolutnie doskonała. Pod względem cielesnym.

Jej osobowość to zupełnie inna sprawa. Win miał tylko nadzieję, że da się z nią pracować. Jeżeli będzie trzymała buzię zamkniętą, mniej go będzie drażniła. Skoncentrował się na swoim planie i jej urodzie i wyraźnie podniosło go to na duchu.

Cerę miała nieskazitelną, co bardzo pomagało przy pracy nad studium fotograficznym. Oczy połyskliwe, brązowe, w oprawie gęstych, ciemnych rzęs, które same z siebie podwijały się do góry. Taka modelka nie co dzień trafiała się zawodowemu fotografowi. Na dodatek jej lśniące kasztanowe włosy tworzyły ramę dla doskonałego owalu twarzy. Win już widział oczami duszy, jak te włosy rozsypują jej się na ramiona, kiedy otula swoje kochane cherubinki kołderką w łódeczkach.

Powinna mieć przy tym na sobie obszerną nocną koszulę. Najlepsza byłaby cieniutka i dosyć przejrzysta, ale Win wiedział, kto te zdjęcia będzie oglądał. Nigdy nie pogodziliby się z tym, że idealna amerykańska matka może być obiektem pożądania, bez względu na to, co musiało się stać, żeby w ogóle Została matką. Obszerna, to da się zrobić. Cieniutka - niestety, bez tego trzeba będzie się obyć.

I dopiero kiedy przypomniał sobie, jak ta dama z Południa słodko cedzi słówka i jak łatwo z byle powodu wpada w panikę. Tego ranka bardzo niewiele brakowało, żeby mu przyłała parasolką, na miłość boską! - zaczęły nękać go wątpliwości Ale znał siebie

i wiedział, że potrafi przekonywać. Był pewien, że uda mu się nakłonić ją, by mu pozowała. A jeżeli zdoła jeszcze, wzorem malarza, tworzącego studium za pomocą pędzli i płótna, doprowadzić do tego, by siedziała bez ruchu i się nie odzywała, prawdopodobnie jakoś cały ten eksperyment przeżyje.

Właściwie problem dostrzegał tylko w jednym: zaczynała mu się roić następna seria fotografii. Tylko że w tej serii nie miały występować dzieci. Miała tam występować wyłącznie panna Belle Monroe oraz Światowa Wystawa, a na kilku zdjęciach panna Monroe pojawiałaby się sama. Oczyma duszy Win wyraźnie widział, jak ten cykl zdjęć publikują gazety i periodyki na całym świecie.

Wiedział, że rzadko kto potrafi tak zachwalać własne pomysły jak on, a mimo to nie potrafił wyobrazić sobie, by Belle miała przystać na ziszczenie tego konkretnego pragnienia pana Wina Ashera. Wyglądała mu na kobietę, która z satysfakcją krzyżuje innym plany. Instynktownie wyczuwał, że tylko dlatego zgodziła się na studium z dziećmi, bo chcieli tego Richmondowie.

Tego wieczoru przyłączył się do Richmondów na sympatyczny posiłek w najdroższej restauracji na terenie Wystawy. Kiedy się już najedli, a Garrett i Amalie dzielnie usiłovali dokończyć lody, które zamówili sobie na deser, zaproponował Belle tę drugą serię fotografii. I potwierdziły się jego najgorsze przeczucia co do osoby panny Monroe.

Utkwiła w nim wzrok, a jej śliczne cyrkonowe oczy zrobiły się tak okrągłe jak świecący na zewnątrz księżyc.

- Słucham pana? Win westchnął.

- Chciałbym zrobić serię zdjęć tylko z panią, panno Monroe. Jestem pewien, że widywała pani fotografie panny Mabel Clyde.

- Ja - odrzekła tak twardo, że Winowi nasunęła się myśl o gładkich, górkach, betonach i innych nie dających się ruszyć z miejsca przedmiotach - nie jestem panną Mabel Clyde.

Mabel Clyde królowała w zespole rewiowym. Jej fotografie pojawiały się w

gazetach i periodykach na terenie całego kraju; widniały na tyłu pudełkach z papierosami, że Win nie potrafiłby ich nawet wymienić; a plakaty z panną Clyde wykorzystywano, by reklamować wszystko, od mydła Pear's do farbki do bielizny.

- Och, Belle! - pisnęła Gladys Richmond. - Co za cudowna szansa dla ciebie! - Przycisnęła ręce do łona, a jej ładne oczy rozjarzyły się z radości, że ich pomocy domowej tak się poszczęściło. Win domyślał się, że obie panie łączy coś więcej niż zwykle chlebodawczynię z pracownicą, i poczuł do pani Richmond szacunek za jej tolerancję.

- No właśnie - powiedział z przekonaniem. Uśmiechnął się do pani Richmond, wdzięczny za pomoc, chociaż widział, że Belle nie dała się przekonać.

- Chyba nie zależy mi na tym, by moją podobizną oblepiono cały świat, uprzejmie panu dziękuję, panie Asher. - Belle odwróciła się do Gladys. - Moja rodzina byłaby przerażona, pani Richmond.

Win założyłby się, że to tylko wykręty. W tym przypadku osobą przerażoną była sama panna Monroe.

- Proszę sobie sprawę przemyśleć, panno Monroe. Z pewnością uzna to pani za mądre posunięcie, jeżeli tylko się pani nad tym zastanowi.

- Obawiam się, że brak mi koniecznej w tym przypadku osobowości - powiedziała groźnym głosem Belle. - Jestem pewna, że panna Clyde to w pełni godna szacunku młoda dama, ale... - Nie dokończyła zdania.

Nie musiała. Win czytał w jej myślach. Uważała, że wszystkie kobiety, które pozują do reklam papierosów czy ogłoszeń w gazetach, są niewiele lepsze od ładacznic, rajfurek i innych niewiast upadłych. I pewnie miała rację, ale wcale z tego nie wynikało, że ona również musi stać się kobietą upadłą, by mu pozować.

Przecież zgodnie z założeniem studium to przedstawić miało światu idealną Amerykankę. A idealna Amerykanka nie jest nierządnicą, na Boga! Z wielką ochotą pogroziłby pannie Monroe palcem przed jej doskonałym noskiem i wrzasnął na nią, żeby przestała być taką świętoszką. Ale dobrze wiedział, że to by ją tylko

rozwścieczyło.

Za to na pewno pogada z kilkoma koleżkami z gazet i paroma zaprzyjaźnionymi biznesmenami, którzy odnosili sukcesy w okręgu chicagowskim. Był taki facet, H. L. May, z którym współpracowali już wcześniej przy różnych okazjach. Win wyobrażał sobie, jak H. L. pisze wzruszający artykuł o ślicznej pannie Monroe. Nie znał co prawda historii Belle, ale H. L. pewnie odkryje - albo raczej wymyśli - coś, co spodoba się czytelnikom i wzruszy ich tak, że czule serduszka popękają im na drobne kawałki. H. L. May umiał takie rzeczy robić. Udowodnił to już wcześniej w okresie targów, kiedy podbił serce Wind Dancer, najlepszej wołyżerki, jeżdżącej na oklep u Buffalo Billa. Pobrali się kilka tygodni temu, a Win uwiecznił to wydarzenie na kliszy.

Kiedy zaplanuje już precyzyjnie, jakie zdjęcia chce zrobić Belle do tej serii, i kiedy uzyska zgodę H. L.'a na napisanie artykułów, które miałyby towarzyszyć fotografiom, ponownie zwróci się do panny Monroe. W tej chwili pewnie lepiej będzie nie naciskać. Belle uparta była jak osioł i Win obawiał się, że mogłaby okopać się na pozycji, z której duma nie pozwoli jej się ruszyć.

- A może porozmawiamy o tym później, panno Monroe? Belle tylko prychnęła. Win westchnął, ale wiedział, że jeżeli zacznie się z nią teraz kłócić, będzie tracił czas.

Tak więc zatarł ręce i uśmiechnął się promiennie do siedzącego przy stole towarzystwa, z którego większość przedstawiała sobą obraz sennej sytości.

- Jeżeli państwo pozwolicie, to chciałbym tej dwójce zrobić kilka zdjęć od razu. A potem chciałbym zrobić jedno pannie Monroe, samej. - Obdarzył szerokim uśmiechem Garretta i Amalie, którzy zrezygnowali z dokończenia lodów i ze znudzonymi minami osuwali się coraz niżej na krzesłach. Dzieci ożywiły się natychmiast, usłyszawszy, że coś zacznie się dziać. Właśnie tego się spodziewał.

Chociaż cała piątka była taka objedzona, skwapliwie ruszyli z restauracji do pawilonu Wina. Win otworzył drzwi i uprzejmie odstąpił na bok.

- Może państwo zechcieliby usiąść pod oknem, pani Richmond? A ja zajmę się dziećmi.

Gladys chwyciła męża za rękę.

- Och, George, to takie podniecające!

George najwyraźniej również tak uważał, ponieważ niemal rozjarzył się, patrząc, jak jego potomstwo w podskokach przechodzi na drugą stronę pawilonu w towarzystwie Wina. Belle zajęła krzesło w pobliżu Richmondów. Win zauważył, że trzyma się prosto jakby kij połknęła. Swoją maleńką torebkę ścisnęła, jakby była ona balastem, bez którego mógłby ją wiatr porwać. Nie zdjęła kapelusza.

Postanowił skupić się na dzieciach. Może Belle się odpręży, kiedy uświadomi sobie, że w jego propozycji nie ma nic zdrożnego.

- Mam zamiar zrobić dwa ujęcia na tle, którego zwykle używam, Amalie i Garretcie. Po prostu chcę przekonać się, jak będziecie wyglądać, kiedy spojrzę na was okiem kamery.

- Czy nie będziemy wyglądać tak jak my? - zapytała Amalie. Garrett pociągnął ją za jeden z warkoczyków.

- To się nazywa fotogeniczność, głupia. Win się roześmiał.

- Fotogeniczność jest słowem, o które ci chodzi, jak sądzę, panie Garrett.

Garrett wzruszył ramionami.

- Wiedziałem, że to coś takiego. Amalie pokazała bratu język.

- Obawiam się, że dzieci są wyczerpane, panie Asher. Nie sądzę, żeby wieczór był najlepszą porą na realizację pana ambitnego projektu.

To, jak mógł się spodziewać Win, odezwała się Belle. Westchnął ponownie.

- Zrobię dziś wieczorem tylko trzy ujęcia, panno Monroe. - Przemawiał łagodnym, wyważonym tonem, żeby jej nie obrazić. Natomiast pannie Monroe najwyraźniej było wszystko jedno, czy obraża pana Ashera, czy nie, bo obrzuciła go wściekłym spojrzeniem i prychnęła. No jasne. - Chcę tylko zobaczyć, jak wasza trójka prezentuje się na zdjęciach.

- Rozumiem.

Sposób, w jaki to powiedziała, wcale nie podniósł Wina na duchu; nie chciał

jednak rezygnować. Ta praca zbyt wiele dla niego znaczyła. Poza tym, jeżeli mu na czymś naprawdę zależało, pod względem oślego uporu nikt nie mógł się z nim równać.

Przyszło mu na myśl, że nawet jeżeli nie uda się przekonać panny Monroe, by pozowała ze względów artystycznych, może się ona nie oprzeć chciwości. Zachowa na razie tę opcję w tylnej kieszeni i wyciągnie ją na światło dzienne, kiedy się okaże potrzebna.

- No dobrze. Chciałbym, żebyś usiadła tutaj, Amalie. - Pokazał gestem na kłode, przygotowaną do scen „rustykalnych”. Kiedy zaczął poważnie rozważać możliwość zrobienia kariery jako fotograf, szybko przekonał się, że im bardziej ktoś oddalił się od swoich wiejskich korzeni, tym silniej się czepia ich szczątków.

Amalie klapnęła na kłode. Była urodzoną modelką, bo nie miała jeszcze w sobie ani odrobiny dorosłej próżności, a stąd i onieśmienia. W przeciwieństwie do niani, która w tym momencie zrobiła taką minę, jakby żałowała, że nie jest z gipsu. Win znowu ciężko westchnął.

- W porządku. A teraz ty, Garretcie: stań tu, za siostrą. Połóż jej rękę na ramieniu.

Garrett wskoczył na podest, gdzie w oczekiwaniu na niego siedziała Amalie. Uniósł rękę wysoko w powietrze i wyglądało na to, że zamierza ją z rozmachem opuścić, ale Win zdążył go uprzedzić.

- Delikatnie! Nie uderz Amalie. Połóż tylko lekko rękę na jej ramieniu.

Garrett nie wydawał się uszczęśliwiony, że pokrzyżowano mu tak wspaniale straszliwy plan, ale zrobił to, o co Win prosił. Amalie pokazała bratu język, a on natychmiast mocno ścisnął jej ramię. I chociaż Amalie skrzywiła się, mając ku temu powody, nie zaczęła się mazać ani zawodzić, więc Win postanowił Garretta nie besztać. Tak czy owak na własnej skórze nauczył się, że rodzice nie pochwalają fotografów, którzy udzielają reprimendy ich ukochanym bachorom. **Chociaż ta dwójka do bachorów nie należała. Z niechęcią przyznał Belle rację.** Zrobiło się późno, dzieci miały za sobą podniecający i wyczerpujący dzień, niedawno skończyły obfity posiłek i

pora im już była kłaść się do łóżka.

- To nie potrwa długo - zapewnił wszystkich. - Nie ruszajcie się teraz, to zrobię zdjęcie. - Dał nura pod czarną płachtę, pociągnął za łańcuszek, proszek magnezjowy wybuchnął, jedno i drugie dziecko podskoczyło, potem pisnęło, a na koniec oboje się rozchichotali.

- Świetnie! - Win był z nich całkiem zadowolony, bo ruszyli się dopiero po błysku. - Chyba to jedno zdjęcie pozwoli mi się zorientować, jak prezentujecie się na fotografii. Możecie teraz zejść z podestu i usiąść z rodzicami. - Wziął się na odwagę i odwrócił twarzą do Belle. - Pani kolej, panno Monroe.

- Bardzo dobrze. - Belle ciężko westchnęła, żeby Win nie miał najmniejszych wątpliwości, jak bardzo cieszy się na czekającą ją próbę... mniej więcej tak bardzo, jak cieszyłaby się na miażdżenie kciuków czy łamanie kołem. Podeszła marszowym krokiem do podestu, wspięła się na niski stopień i odwróciła twarzą do fotografa.

Przypominała mu generała, który stawia czoło zbuntowanym wojskom. Usilnie starał się nie skrzywić ani w żaden inny sposób nie ujawnić nękających go co do niej wątpliwości. Z sekundy na sekundę te wątpliwości robiły się jednak coraz silniejsze. Belle musi się odprężyć, jeżeli jego wizja ma się kiedykolwiek ziścić.

- Czy mogłaby pani odłożyć torebkę, panno Monroe? I może zechce pani usiąść na kłodzie. - Wyglądało na to, że zaraz tę swoją torebkę zadusi na śmierć.

Jak z łaski zastosowała się do jego uprzejmej prośby. Kiedy odwróciła się znowu przodem do niego, zadarła do góry brodę, zacisnęła wargi i wyprostowała się jak struna. Win z trudem zdusił następne westchnienie i z przylepionym do ust zachęcającym uśmiechem powiedział spokojnie:

- Chciałbym teraz, panno Monroe, by spróbowała pani udawać, że mnie tutaj nie ma. Spojrzenie, jakie mu na tę sugestię rzuciła, utwierdziło Wina w przekonaniu, że Belle należy do pełnych skrepowania świętoszków. Nie poddawał się.

- Może odwróciłaby się pani troszkę, żebyś widział panią w trzech czwartych. Zrobiła to, z niechęcią, ale jednak. Win postanowił pogodzić się z tym, że plony

są na razie niewielkie, i mieć nadzieję, że rozrosną się z czasem, jeżeli w odpowiednich dawkach będzie je nawoził dobrym słowem.

- A teraz, gdyby zechciała się pani lekko pochylić, jakby otulała pani ukochane dziecko kołderką na noc.

Belle odwróciła się znowu twarzą do niego i przez moment wyglądało na to, że zaraz się zbuntuje. Win zebrał się w sobie. Otrzymał pomoc z niespodziewanego źródła.

- Przecież pani to zawsze robi, panno Monroe. Otula nas pani co wieczór. I kocha nas pani, prawda?

Twarz Belle złagodniała tak nagle i niespodziewanie, że Winowi aż dech zaparło.

- Oczywiście, że was kocham, Amalie.

- Tak trzymać! - zawołał Win ze wzrastającym podnieceniem. Gdyby tylko udało mu się skłonić tę kobietę do współpracy, seria fotografii byłaby fantastyczna.

Rozsławiłaby go jako artystę-fotografika na cały świat. - Dokładnie tak! A teraz proszę się znowu odwrócić, jak przed chwilą, i lekko się pochylić.

Belle zerknęła na niego gniewnie, rujnując tym samym wyraz twarzy, który pan Asher pragnął uchwycić na kliszy, i wykonała pierwszą część polecenia. Win miał ochotę tupać nogami, bo nie pochyliła się lekko - a właściwie nawet wcale.

Powściągając zniecierpliwienie i irytację, poprosił ją ponownie:

- W porządku. Ustawiała się pani wspaniale; a teraz proszę się lekko pochylić.

Belle nadal wzdbraniała się spełnić jego prośbę. W umyśle Wina zaczęło rodzić się pewne podejrzenie. Zyskało ono potwierdzenie w kilka zaledwie sekund później, kiedy panna Monroe wymamrotała przez mocno chyba zaciśnięte zęby:

- Nie mogę się pochylić ani lekko, ani w żaden inny sposób. W ogóle nie mogę się pochylić.

Win aż się przygarbił z rozczarowania.

- Gorset.

Belle okręciła się jak fryga.

- No nie! Nie ma żadnej potrzeby, by był pan wulgarny. Win zamrugał oczami.

- Wulgarny? - Czyżby użycie słowa „gorset” równoznaczne było z wulgarnością?

Wzruszył w duchu ramionami i doszedł do wniosku, że pewnie tak się sprawy mają tam, skąd ona pochodzi. Diabli nadali, dlaczego ta kobieta nie mogła chować się w New Jersey czy Massachusetts, czy jakimś innym nowoczesnym stanie? Dlaczego taka doskonałość musi wywodzić się z nieoświeconego Południa?

Belle prychnęła.

- Tak. Moim zdaniem nie wypada publicznie wspominać o intymnych częściach garderoby dam.

Amalie i Garrett się rozchichotali. Win zobaczył, że matka mierzy ich surowym spojrzeniem, chociaż również wyglądała na rozbawioną. Sam też mógłby uznać nieznośną pruderię Belle za zabawną, gdyby nie to, że stawała ona na przeszkodzie jego natchnieniu.

- To nie jest miejsce publiczne - wymamrotał pod nosem. A ponieważ nie chciał, żeby mu się totalnie zbuntowała, zmusił się do jeszcze jednego uśmiechu. - No cóż, nie musimy dziś wieczorem wypróbować tej pozy. Gdyby zechciała pani tylko raz jeszcze odwrócić się tak, bym ją widział w trzech czwartych, to zrobię zdjęcie i zobaczymy, jak ono wyjdzie.

- Bardzo dobrze. - Belle się odwróciła.

Win przechylił głowę na bok i zastanowił się, czy na dłuższą metę gra będzie warta świeczki. Ale natychmiast przywołał się do porządku. Oczywiście, że będzie. Psiakrew, po prostu jest dziś wieczorem trochę zmęczony. Wystarczy, że oczaruje tę lodową piękność z Południa tak, by zastosowała się do jego życzeń, i już do końca swego doczesnego życia nie będzie się z nią musiał zadawać.

Dodało mu to otuchy, więc kiedy odezwał się, ton miał przyjazny:

- Dobrze. Doskonale, panno Monroe. A teraz proszę, niech pani spróbuje przybrać taki sam wyraz twarzy, jaki miała pani kilka minut temu. Wie pani, kiedy wieczorem przed snem otulała pani kołderką swoje cherubinki.

Zauważył, że rzuciła mu spod oka zjadliwe spojrzenie, ale zdecydował się nie reagować na nie. Choćby zadanie było jak najcięższe, nie wolno mu dać się wyprowadzić z równowagi. Jeżeli wybuchnie, panna Monroe zniknie, i Win nigdy nie będzie mógł zabrać się do realizowania planu, który stał się dla niego taki ważny.

- Niech pani pomyśli o tym, że mnie pani opatula, panno Monroe - poddała sennie Amalie.

Oto, pomyślał sobie Win z goryczą, kobietka, która zna swoją wartość i nie boi się opinii tego świata. Żałował, że nie da się pożyczyć od Amalie odrobiny wiary w siebie i pogody ducha i spryskać nimi panny Belle Monroe. To smutne, ale życie nie jest takie proste.

- Spróbuję, kochanie.

Napięcie i powątpiewanie wyczuwalne w głosie Belle minimalnie tylko Wina zniechęciły, ale poszło jej lepiej, niż się spodziewał. Jak tylko zmieniła wyraz twarzy, zanurkował pod czarny materiał i pociągnął za łańcuszek; Na wybuch dzieci znowu zareagowały chichotem. Razem z rozbłyskiem światła przygasła serdeczność na twarzy Belle.

Nie spojrzawszy nawet w kierunku Wina, chwyciła spódnicę w garść i skierowała się ku schodkowi, by zejść z podestu.

- Zaczekaj chwilę! - wykrzyknął, zanim przypomniał sobie, z kim ma do czynienia.

Na jego wrzask Belle jednak przystanąła. Zesztywniała jak zamarzająca woda i obrzuciła go spojrzeniem o tej samej temperaturze.- Słucham pana?

- Przepraszam - wymamrotał Win. Pospiesznie wymienił magnezję i wsunął następną kasetę do kamery. - Nie zamierzałem podnosić głosu. Ale chcę zrobić jeszcze jedno ujęcie pani razem z dziećmi. Kiedy wywołam te klisze, będę już lepiej orientował się, jak ustawić was do planowanych fotografii.

Ładne alabastrowe czoło Belle zmarszczyło się, jakby nie zrozumiała, co właśnie powiedział. Na szczęście zastosowała się do jego prośby... do jego krzyku... wszystko

jedno do czego... nie spierając się o szczegóły. Win nie tylko nie przewidział, że tak łatwo się zgodzi, ale wdzięczny był, że się z nim nie spiera.

Nie trzeba dodawać, że dzieci natychmiast zeskoczyły z ławy i pospieszyły na podest. Fotografowanie dzieci to świetna zabawa - chyba że były stworzone na wzór i podobieństwo panicza Wigglesa - bo na ogół miały w sobie mnóstwo egoizmu. Win domyślał się, że człowiek z czasem tę cechę traci, ale dopóki ktoś ją posiadał, dużo łatwiej było go fotografować niż tych, których pozowanie denerwowało i onieśmiało.

Nie dla Wina niestrawne fotografie sztywno upozowanych grup rodzinnych z minionych lat. W żadnym wypadku! Cenił naturalność w fotografii i zamierzał wydusić coś w rodzaju naturalności z Belle, żeby nie wiem co! Niemal się w głos roześmiał, kiedy uświadomił sobie, że dla Belle naturalne zachowanie jest kompletnie nienaturalne. No cóż, nie jemu pytać, czemu.

- Co pan chce, żebyśmy zrobili, proszę pana? - zapytał Garrett Było to rozsądne pytanie. Win rozważał je przez chwilę.

Nie ośmielił się jednak za bardzo przeciągać rozważań, bo nie spodziewał się, by Belle zachowała pogodę ducha jeszcze przez wiele sekund. W końcu, kiedy nie udało mu się wymyślić żadnej szczególnie uderzającej pozy, doszedł do wniosku, że i tak nie ma ona większego znaczenia, i powiedział: - Po prostu z łaski swojej stańcie razem. Panno Amalie, proszę stanąć na prawo od panny Monroe. Paniczu Garrett, proszę na lewo. O tak.

Z własnej woli Belle objęła dzieci za ramiona. Ten gest zdziwił Wina, bo fotograf nie spodziewał się, że zdoła ona wykrzesać z siebie choć odrobinę spontaniczności.

Dając znowu nura pod czarny materiał, zastanowił się, czy nie jest dla niej trochę niesprawiedliwy. Chyba naprawdę dobrze ułożyła sobie stosunki z dziećmi Richmondów, więc nie mogła być kompletną kołtunką. Może tylko w obecności mężczyzn lubi robić wiele hałasu o nic.

Ale co tam; nic go to nie obchodziło. Po raz ostatni tego dnia pociągnął za łańcuszek; kiedy błysnęło, pozujący lekko podskoczyli, a Win poczuł, że osiągnął

chyba coś ważnego.

Potrząsając z radości w powietrzu pięścią, odwrócił się do Richmondów, którzy podnieśli się z ławy.

- A więc wszystko w porządku. Wywołam zdjęcia i skontaktuję się z państwem.

Richmondowie spojrzeli po sobie, jakby już się na ten moment cieszyli, a pan Richmond zapytał:

- Jak pan przypuszcza, kiedy będą gotowe?

- Nie mogę doczekać się, żeby zobaczyć, co będzie pan robił z Belle i dziećmi, panie Asher - dodała pani Richmond z miłym entuzjazmem.

Świetnie. Win wiedział, że dopóki ma po swojej stronie Richmondów, łatwiej przyjdzie mu skłonić Belle, by była grzeczna i współpracowała z nim.

- Za dzień albo dwa. Czy chcecie państwo, bym odwiedził ich w hotelu, czy wolelibyście przyjść tu, do mego pawilonu? Czy zatrzymacie się państwo jeszcze na jakiś czas w Chicago? Jeżeli tak, to nie będę musiał spieszyć się z moim projektem.

- Och, zamierzamy spędzić tutaj jeszcze sześć tygodni - powiedział pan Richmond, a jego głos wprost ociekał zadowoleniem. - Chcę, żeby moje dzieci w pełni zapoznały się z Wystawą. A Gladys i ja zamierzamy poodwiedzać przyjaciół i krewnych w Chicago, skoro już tu jesteśmy.

- Czyli jeszcze przez kilka dni będą państwo zachodzili na targi?

- Och, oczywiście - zawołała Gladys. - Nie widzieliśmy **ani** ćwierci tego, co jest tu do zobaczenia. Są takie olbrzymie. Win, szeroko się uśmiechając, pokiwał głową.

- Bez wątplenia są olbrzymie. Każdy tu coś dla siebie znajdzie. To największe targi, jakie ktokolwiek kiedykolwiek zorganizował.

- Są zdumiewające. - Pan Richmond potrząsnął głową, jakby nie mógł się temu nadziwić. Win z zainteresowaniem zauważył, że nawet okazując zdumienie, miał nadal zadowoloną i pewną siebie minę. - Może będziemy tu codziennie do pana zaglądali, zwiedzając targi, a pan powiadomi nas, kiedy klisze będą gotowe i kiedy będzie pan sobie życzył zacząć sesje zdjęciowe.

- To doskonały plan - podchwycił Win, zadowolony że zdecydowali się na takie rozwiązanie sprawy, bo nie chciał zostawiać pawilonu na dłużej. - A może zamiast czekać, aż klisze będą gotowe, zaczniemy pozowanie do zdjęć rodzinnych już jutro? - Wiedział, że jeżeli najpierw pomyślnie wywiąże się z darmowej części umowy, Richmondowie - nie wspominając już o niani ich dzieci - z większym zapałem przyczynią się do realizacji reszty jego planów.

- Cudownie. - Pan Richmond szeroko się do Wina uśmiechnął. Potwierdziło to podejrzenie fotografa, że od darmochoy należy zaczynać.

- Świetnie. - Win odczepił pojemniczek ze sproszkowaną magnezją od bocznej ścianki kamery. - Co jeszcze poza targami zamierzacie państwo zobaczyć podczas tych wakacji?

- Zamierzamy odwiedzić farmę kuzyna tatusia - poinformowała Wina Amalie.

Głos jej brzmiał tak, jakby była tą perspektywą podniecona. Rzeczywiście, przez te sto dwadzieścia kilka lat od rewolucji życie bardzo musiało się zmienić, pomyślał Win. Kiedyś dzieci chciały wyrwać się z rodzinnych farm. A teraz wizyta na farmie była czymś, na co czekały jak na wakacje.

- To wspaniale! - zawołał wesoło. - Moi wujostwo, Charlie i Verna, mają farmę niedaleko Chicago. Jeździłem tam do nich niekiedy na letnie wakacje. - Mówiąc to, nie ustawał w pracy: rozbierał aparaturę i chował kasety z kliszami do torby.

Oczy Amalie zrobiły się wielkie z zaciekawienia.

- Och! A czy na farmie dobrze się pan bawił? Win zastanowił się nad tym, składając trójnóg.

- Właściwie to miałem tam sporo pracy - powiedział w końcu. - Farmerstwo nie jest łatwym życiem.

- Ale można sobie pojeździć na koniach - zwrócił mu uwagę Garrett.

Jego ojciec parsknął śmiechem.

- To prawda, synu, ale co innego dla zabawy jeździć konno po Washington Square, a całkiem co innego jechać na koniu, który ciągnie pług.

Win nie chciał irytować pana Richmonda, nie zwrócił mu więc uwagi, że na ogół w dzisiejszych czasach nikt czegoś takiego nie robi. Powiedział tylko:

- No właśnie.

Ale kiedy prznosił trójnog do szafy, w której przechowywał go przez noc, zobaczył, że Belle również przygląda się panu Richmondowi tak, jakby zastanawiała się, skąd też bierze on swoje wyobrażenia o życiu na farmie. Po tym incydencie odrobinę już lepiej odnosił się do przyszłych kontaktów z Belle, bo najwyraźniej miała jednak z nim coś wspólnego. Zaczynał dostrzegać pewne łączące ich podobieństwo, mniej więcej takie jak między niedźwiedziem polarnym i chihuahua, tyle że nie był całkiem pewien, które z nich jest którym.

Kiedy zamknął pawilon na klucz, odprowadził pana Richmonda i jego towarzystwo do głównego wejścia na Wystawę. Zapadła już noc, ale drogę oświetlały im wszystkie elektryczne światła, którymi przystrojone były targi. Win zauważył, że Belle podnosi oczy na niebo, i zapytał z uśmiechem:

- Przez te miejskie światła gwiazdy wydają się przyćmione, prawda, panno Monroe?

Belle lekko się wzdrygnęła i popatrzyła na niego.

- Rzeczywiście tak jest.- Lubię elektryczne światła - oznajmił stanowczo Garrett.

- To jest postęp.

- Masz rację, chłopcze - zgodził się z nim ojciec.

Pani Richmond pozwoliła sobie na leciutkie westchnienie.

- Och, sama nie wiem. Moim zdaniem księżyc i gwiazdy są ładniejsze niż światła elektryczne.

- Moim też - poparła ją Amalie.

- Jeśli chodzi o mnie, też chyba wolę księżyc i gwiazdy - powiedziała z wahaniem Belle.

- Muszę przyznać - rzekł Win - że chociaż z pełnym przekonaniem popieram postęp, wydaje mi się, iż będzie nam nocami brakowało widoku gwiazd, jeżeli ludzi

zbytньо poniesie entuzjazm dla elektrycznego oświetlenia.

- Też coś - zakpił pan Richmond. - Postęp, mój chłopcze. Postęp jest jedyną odpowiedzią na niedostatki tego świata.

- Pewnie ma pan rację. - Win nie był pewien, czy lekkie ukłucie bólu, którym zapłacił za zgodzenie się z panem Richmondem, ma swoje źródło w tym, że sam jest staroświeckim reakcjonistą, o co do teraz podejrzewał Belle, czy też może w tym, że naprawdę za każdym razem, kiedy ludzkość posuwała się o krok do przodu w technologii, traciła odrobinę ze swojej historii. Może to drugie. Naprawdę nie chciał myśleć, że może być podobny do Belle Monroe.

- Niekiedy jednak postęp niszczy piękno - powiedziała Belle tak cicho, że Win ledwo ją słyszał.

- Bzdury - roześmiał się pan Richmond.

- Belle ma rację, George - zaprotestowała pani Richmond. Win nie odezwał się, ale musiał się z nią zgodzić.

I jedno, i drugie dziecko już ziewało; Win pomyślał, że można uznać to za nie najgorszy sposób zakończenia dyskusji. Pomachał Richmondom i Belle, kiedy odjeżdżali dorożką, którą dla nich przywołał. Potem wepchnął ręce do kieszeni i spacerkiem wrócił do pawilonu. Minęła północ, a on długo jeszcze pracował, wywołując klisze, na których były zdjęcia Belle i dzieci. Kiedy przeanalizował wyniki swojej pracy, wiedział, że obojętne, ile go to będzie kosztowało, musi nakłonić Belle, by pozwoliła mu zrobić tę wymarzoną serię zdjęć, na których miała występować sama.

5

- Wcale nie wiem, czy to dobry pomysł - mamrotała pod nosem Belle, kiedy razem z panią Richmond i dwójką dzieci spacerkiem szli po Midway w stronę pawilonu Wina. - Głupio się czułam, wpatrując się w tę kamerę.

- Nonsens - powiedziała pani Richmond energicznie. - Moim zdaniem pan Asher

to genialny fotograf i uważam, że pomysł, by zrobić serię zdjęć z tobą i dziećmi, jest dobry.

- Ja też! - Podskakująca między Belle a matką Amalie w sukience w żółtą kratkę i kapelusiku, oplecionym żółtymi, trzepoczącymi z tyłu wstążeczkami, była równie promienna jak pogoda.

- I ja - zgodził się Garrett. Ubrany był tego ranka w jeszcze jedno marynarskie ubranko i wyglądał niesłychanie elegancko i schludnie. Chociaż Belle wiedziała, że ten stan nie potrwa długo, dopóki trwał, z radością na chłopca patrzyła.

Wiedziała na pewno, że Garrett ma co najmniej cztery marynarskie ubranka, co wydawało jej się lekką przesadą, chociaż nigdy nie żałowała ich chłopcu. Jeżeli rodziców dziecka stać, by na każdy dzień tygodnia sprawiać mu czyste ubranie, czemu nie mieliby tego robić? Belle również z wielką chęcią sprawiałaaby własnym dzieciom nowe ubranka. Jeżeli kiedykolwiek będzie miała dzieci. I pieniądze.

- Hmm. - Stanowczo bardziej odpowiadał jej pomysł, że kiedyś będzie miała dzieci, nawet gdyby nie wiązało się to z posiadaniem pieniędzy, niż perspektywa, że zostanie obfotografowana. Wiedziała jednak, że pani Richmond zależy na fotografiach Amalie i Garretta oraz na tym, by zrobić dobry interes. Ci Jankesi razem ze swoimi interesami to jeszcze jeden aspekt nowojorskiego życia, którego Belle nie potrafiła zaaprobować; nie pochwalała ludzi, którzy afiszowali się swoimi umiejętnościami targowania.

Dzień jednak był śliczny i z entuzjazmem odnosiła się do spędzenia następnych kilku godzin na Światowej Wystawie, więc pozowanie panu Asherowi nie przepełniało jej aż taką niechęcią jak wczoraj wieczorem. Pobyt na targach musiał mieć spory wpływ na rozróżnianie tego, co wypada, i tego, co nie.

A przynajmniej tak napisała rodzicom poprzedniego wieczoru, kiedy usiłowała wytłumaczyć im, w jaki to nowy interes została zamieszana.

Jest w tych targach coś - pisała najpiękniejszą, najbardziej elegancką kursywą - co chyba oddziałuje na moje poczucie przyzwoitości.

Byłabym przerażona, gdyby pan Willard z drogerii zaproponował, że zrobi mi serię fotografii i będzie je sprzedawał do gazet, i nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego to, że będę miała serię fotografii z Amalie i Garrettem na Światowej Wystawie w Chicago, nie wydaje mi się takie okropne.

Tu zadumała się i przez dłuższą chwilę gryzła pióro, i się martwiła, aż wreszcie postanowiła zostawić ten akapit bez zmian. Rano oddała list dżentelmenowi w hotelowej recepcji, więc może już tylko z rezygnacją czekać na wszystkie konsekwencje, które on przyniesie.

Powiadomiła rodziców o fotografiach przede wszystkim dlatego, że pewnie i tak by się o nich dowiedzieli, gdyby któreś z jej zdjęć pojawiło się w gazetach w Georgii. Wiedziała z doświadczenia, że lepiej otwarcie wyznać grzechy niż pozwolić, by chyłkiem się do człowieka podkradły i zaskoczyły go w chwili, kiedy się najmniej tego spodziewa.

Stało jej przed oczami jak żywe wspomnienie brata, który usiłował zataić fakt, że pali fajkę, a wszystkie jego wybiegi wydały się, kiedy zapaliły mu się spodnie. Trwało to kilka tygodni, zanim zagoiło mu się siedzenie, a w tym czasie ludzie okropnie biednemu Paulowi dokuczali. Prawdę mówiąc, wciąż mu jeszcze nie przestali tym dokuczać.

Belle dreszcz przeszedł na samą myśl, że ktoś mógłby się o tym fotograficznym epizodzie w jej życiu dowiedzieć i go ujawnić, i wyszłoby na to, że ukrywała go ze wstydu. Bo z faktem, że naprawdę się go wstydzi, i że ukryłaby go, gdyby to tylko było możliwe, będzie się chyba musiała pogodzić. Mogłaby kategorycznie odmówić pozowania z dziećmi Richmondów, ale taki postępek na pewno nadwreżyłby jej dobre stosunki z ich rodzicami. Kilka fotografii nie było tego warte.

A przynajmniej miała taką głęboką nadzieję.

Damy przechadzały się po terenie targów, zafascynowane widokami, odgłosami i zapachami. Belle zachwyciła się wielkim basenem i ekspozycją w Court of Honour, chociaż jej ukochanego Południa nie przedstawiono tam najlepiej. White City, które

wspaniale prezentowało się wczoraj wieczorem w świetle elektrycznych lamp, teraz, w dobrotliwych promieniach porannego słońca, nadal wyglądało rewelacyjnie.

- Trudno to wszystko objąć myślą, prawda, pani Richmond? Gladys, która również rozglądała się pełna podziwu i zafascynowana, pokiwała głową.

- To świadectwo amerykańskiego „know-how”, jak nam powtarza pan Richmond.

- Bez przerwy - wymamrotał Garrett pod nosem. Amalie zachichotała.

Belle powiedziała „Garrett” karcącym tonem, ale nie zganiała go ostrzej, bo się z nim zgadzała.

Gladys Richmond również zachichotała i Belle zadowolona była z okazanej powściągliwości.

- Rzeczywiście zdarza mu się powtarzać to w kółko.

Belle doszła do wniosku, że najlepiej będzie zmienić temat - uważała, że dzieci nie powinny pozwalać sobie na krytykowanie rodziców.

- Kiedy skończymy pozować panu Asherowi do paru fotografii, może w nagrodę pojeździmy sobie na diabelskim młynie?

- Hurra! - Garretta ogarnął taki entuzjizm, że rzucił swoją marynarską czapkę w powietrze. Nie udało mu jej się złapać, kiedy spadała; z bruku porwała ją małpka katarzyniarza i wsadziła sobie na łebek.

Naturalnie rozbawiło to oboje dzieci do łez. Nawet Belle i Gladys śmiały się, dochodząc do pawilonu Wina, który stał w drzwiach i wypatrywał ich, jakby nie mógł doczekać się, żeby zacząć.

Pan Richmond, który musiał dopilnować jakichś interesów, zanim poszedł na targi, stał za Winem i patrzył rozpromieniony na swoją zbliżającą się rodzinę. Synek podbiegł, by uraczyć go opowieścią o małpce katarzyniarza. Pan Richmond oparł mu dłoń na ramieniu. Belle poczuła, jak zalewa ją fala tkliwości.

Czasami pan Richmond zachowywał się pompatycznie albo hałaśliwie; zdarzało się, że robił na Belle wrażenie chciwego na pieniądze półgłówka. Ale kochał swoją

rodzinę i panna Monroe go za to szanowała. Jej ojciec również kochał swoich krewnych. Od kiedy Belle przeprowadziła się do Nowego Jorku, porównywała niekiedy swój dom w Georgii z domami ludzi, z którymi musiała się kontaktować na Północy. A kiedy od czasu do czasu jej własna rodzina źle wychodziła na tym porównaniu, czuła się niesprawiedliwa.

Uświadomiła sobie, że zapuszcza się na wody bezproduktywnych, żeby nie powiedzieć niegodnych rozważań, i postanowiła skoncentrować się na fotografii.

Win powitał je serdecznie.

- Dzień dobry paniom! Tak miło panie znowu zobaczyć! Jego również miło było zobaczyć, chociaż Belle poczuła

niesmak z powodu własnego zaciekawienia. Nie może przecież dopuścić, by pociągał ją jakiś zatracony jankeski fotograf, na litość Pana. Win uklonił się oficjalnie. Widząc to, Belle uświadomiła sobie, że niewielu Jankesów tak się kłania. Mogłaby niemal uwierzyć, że pan Asher należy do jakiejś wyższej ich klasy, gdyby nie podejrzewała, że tylko żartuje.

- Witam w mojej jaskini, drogie panie.

W tym momencie przestała mieć najmniejsze wątpliwości, że tylko dowcipkuje, bo poruszał brwiami niczym czarny charakter z melodramatu. Westchnęła w duchu, zastanawiając się, dlaczego Jankesi muszą żartować ze wszystkiego, co cenila w tradycjach Południa. Na przykład z dobrych manier.

Pani Richmond zachichotała jak jakaś zalotna uczennica. Podobnie jak Amalie. Belle na siłę uśmiechnęła się do pana Ashera. Uważała, że nie wypada, by biznesmeni albo niańki zachowywali się zalotnie.

- Wyjątkowo piękna pogoda - powiedział Win, głęboko wciągając świeże, poranne powietrze.

- Bez wątpienia - zgodziła się pani Richmond.

Belle zgadzała się, że dzień jest rzeczywiście wyjątkowy. Nie sądziła, by kiedykolwiek mogła przyzwyczaić się do zapachu sławnych chicagowskich spędów

bydła, którym przesycone było powietrze, kiedy wiatr wiał z właściwej strony. Czy może raczej z niewłaściwej.

Zresztą chyba przedkładałaby aromat bydła nad smród nowojorskiego targu rybnego, gdzie krztusiła się za każdym razem, kiedy odwiedzała go z panią Richmond. Jednak zdaniem pana Richmonda nigdzie nie można było kupić lepszych świeżych homarów z Maine, a pan Richmond ubóstwiał homary. Belle musiała przyznać, że były pyszne, chociaż nie uważała, by pod jakimkolwiek względem przewyższały jej ojczyście raki.

- Czy nie wyczuwają panie podniecenia w powietrzu? - Win stał w drzwiach swego pawilonu.

Belle poczuła się zaskoczona ferworem w jego głosie. Jakie to dziwne. A może i nie. W końcu fakt, że jest Jankesem i do tego jej się podoba - a w stosunku tak do jednego, jak i do drugiego nastawiona była bardzo nieufnie - nie wyklucza szczerego, pełnego entuzjazmu zaangażowania we własną pracę. Chyba nawet Jankesi zasługują na to, by cieszyć się swoją pracą, przyznała bez przekonania.

Win spojrział na nią nagle tak, jakby spodziewał się odpowiedzi na coś, co uznała za pytanie retoryczne.

- Hmm, tak. W rzeczy samej, atmosfera na Światowej Wystawie ewidentnie jest ekscytująca.

Nie spodobało jej się to, że wyraz oczu pana Ashera zmienił się z podnieconego na cyniczny. I nie rozumiała, dlaczego miałyby tak być.

- No cóż. To by załatwiało sprawę entuzjazmu.

Powiedział to tak, jakby uważał, że Belle osobiście unicestwiła całe unoszące się w powietrzu podniecenie. Fakt, że nie zorientowała się, iż kieruje to pytanie do niej, w najmniejszym stopniu nie usprawiedliwiał takiego tonu.

- W porządku, zaczynajmy. - Chyba z dużo większą radością mówił do Richmondów. - Wszystko się uda wspaniale. Po prostu wspaniale.

Odprawiona w ten sposób Belle podeszła do wyściełanej perkalem ławy pod

oknem i usiadła. Czuła, że wszyscy ją pomijają, zaniedbują i źle rozumieją, i sama siebie przez to znieubiła. Przecież jest tylko niańką i opiekunką. Nie ma prawa czuć się pomijana przez rodzinę Richmondów, bo nigdy do tej rodziny nie należała.

Usiłując pocieszyć się tą myślą, co prawie jej się udało, i przypominając sobie, że to naturalne, iż czuje się nieswojo, bo od ponad trzydziestu lat jest pierwszym członkiem rodziny, który opuścił ojczysty stan, siedziała i rozglądała się po niewielkim tymczasowym pawilonie Wina.

Jak na tymczasową kwaterę był to całkiem solidny budynek. Z artykułów w gazetach Belle zrozumiała, że dyrekcja Światowej Wystawy zbudowała te bajkowe targi na terenach, gdzie kiedyś były bagna. Bagna były dla Belle czymś znajomym i poczuła się troszkę lepiej, uświadomiwszy sobie, że jednak ma coś wspólnego z sąsiadami z Północy. Ale jeżeli to kiedyś były bagna, dyrekcja i jej podwładni wspaniale się spisali przy ich transformacji. Nikt by się nie domyślił, że tereny te mogły być kiedyś czymś innym niż dzielnicą Chicago.

Ściany pawilonu Wina obwieszane były jego dziełami. Belle nie chciała rozpraszać pana Ashera przy pracy, przede wszystkim z lęku, że wściekłby się na nią, gdyby tak zrobiła, więc siedziała dalej na ławie i z zainteresowaniem przyglądała się różnym fotografiom.

Musiała przyznać, że świadczą one, iż Win Asher to bardzo dobry fotograf. Przedstawił im się jako artysta i chociaż Belle z przyjemnością uznałaby, że się pomylił w swoim przeświadczeniu, nie mogła tego zrobić. Zaciekało ją zwłaszcza kilka ujęć „z natury”. Musiał wykorzystać jeden z tych nowych przenośnych aparatów, żeby uchwycić widniejącą na nich faunę i florę. A wodospad podejrzanie przypominał fotografię pewnego wodospadu gdzieś na Zachodzie, którą widziała w „Blissborough Gazette” zeszłej wiosny. Pamiętała to zdjęcie całkiem dobrze, ponieważ wycięła je z gazety i zachowała, starannie wkładając między dwie kartki tektury, dopóki nie zdecyduje się, jak je oprawić.

Przyszło jej na myśl, że może rzeczywiście była to ta konkretna fotografia,

przedrukowana przez „Gazette”. Z rozmów z Winem zrozumiała, że sprzedaje on swoje zdjęcia na prawo i lewo. Mimo woli poczuła ukłucie niechętnego podziwu, że ten Win Asher, który stał niecałe dziesięć jardów od niej, mógł stworzyć dzieło, które ukazało się w tak odległym miejscu, jak Blissborough w Georgii. Nic dziwnego, że uznawał swoją pracę za satysfakcjonującą i fascynującą.

Z westchnieniem odwróciła uwagę od fotografii na ścianach i przeniosła ją na Richmondów. Zastanawiając się, jak długo może potrwać ta sesja - pan Asher mówił o godzinie, ale Belle miała swoje wątpliwości - pożałowała, że nie zabrała ze sobą książki, żeby się nie nudzić. Była w połowie oszałamiającej powieści „Kopalnie króla Salomona” i z radością spędziłaby czas oczekiwania na lekturze. Nie pomyślała, żeby przynieść ze sobą książkę, a szkoda, więc z rezygnacją nastawiła się na kilka godzin nudy.

Ku jej wielkiemu zdziwieniu już po krótkim czasie zaciekawiło ją to, jak Win ustawia rodzinę Richmondów do fotografii. Pracował nad nimi z powodzeniem. Ten wczorajszy nieznośny smarkacz musiał stanowić wyjątek, bo Richmondom, którzy byli rozsądnymi ludźmi i, chociaż pochodzili z Nowego Jorku, umieli się zachować, okazywał cierpliwość i życzliwość.

Za każdym razem, kiedy już miał zdjąć któreś ustawienie rodziny, Amalie zaczynała się wiercić. Win wiedział dokładnie, co zrobić, żeby siedziała spokojnie - i wcale w tym celu nie napychał jej buzi żelkami jak tamta okropna kobieta, tylko wyprostował się, wziął się pod boki i żartobliwie spiorunował ją wzrokiem.

- Panno Amalie, będę musiał panience dać Ianie, jeżeli panienka nie będzie siedzieć spokojnie. Słyszałem o ruchomych filmach, a ta kamera - tu poklepał aparat, jakby był on jego ulubionym koniem - ich nie robi.

Amalie roześmiała się i po tej zjadliwej uwadze zachowywała się już grzecznie. Belle pomyślała, że Richmondowie to piękna rodzina. Żadne z nich z osobna nie było uderzająco przystojne czy urodziwe, ale razem promieniowali ukontentowaniem. Byli zadbani, szczęśliwi, zadowoleni z siebie i swojego życia i tworzyli idealną wspólnotę.

Zastanawiała się, czemu pan Asher nie chciał wykorzystać ich do swojego zakichanego studium. Zwłaszcza że Richmondom coś takiego zdawało się sprawiać przyjemność.

Z fascynacją zauważyła, że Win nie kazał Richmondom ustawiać się w typowych sztywnych pozach, tradycyjnie wykorzystywanych przez fotografów-portrecistów.

- Aparaty są już dzisiaj lepsze - powiedział im, kiedy pan Richmond pytał go o to odstępstwo od konwenansu. - I szybsze. A przecież nie chcecie państwo wyglądać jak rodzina wypchanych lalek, prawda?

- Nie myślałem o tym w taki sposób - przyznał pan Richmond.- Lubię pokazywać ludzi w realistycznych pozach. Może teraz pani Richmond usiądzie na fotelu, jakby czytała dzieciom książkę, a pan stanie za żoną i będzie się przypatrywał.

W pierwszej chwili Belle skłonna była sądzić, że Win nie może mieć racji. Naturalnie wyglądające krajobrazy są w porządku, ale zrelaksowana grupa rodzinna na fotografii nie pasowała do jej wyobrażeń o tym, czym fotografia być powinna. Jednak gdy pan Asher już Richmondów ustawił, kompozycja wyglądała tak realistycznie, a oni tworzyli tak ujmującą grupę rodzinną, że sama nie wiedziała, kiedy zmieniła zdanie o tym zuchwałym młodym fotografie.

A wcale nie lubiła zmieniać zdania. Trochę za często się to ostatnio zdarzało i ta tendencja zaczynała Belle niepokoić. Od czasu do czasu zastanawiała się, czy przypadkiem wszystko, w co kiedyś wierzyła, nie jest kłamstwem, i za każdym razem uznawała ten stan konsternacji i niezdecydowania za coś złego. Pewnie również w ten sposób przejawia się obcość sposobu życia na Północy w porównaniu z życiem na Południu. To oczywiste, że bardziej odpowiadało jej to ostatnie, chociaż czasami zastanawiała się, dlaczego.

Oj, Boziu, znowu zaczyna: kwestionuje wartości, które wpoili jej rodzice. To okropne. Musi chyba wracać do Georgii. Nie. Musi zarabiać, potrzebuje przecież tych pieniędzy. To właśnie musi robić.

Trele-morele. Belle sama nie wiedziała już, co naprawdę musi, poza tym, że chyba powinna sobie sprawić nowy mózg. W tym, który miała na stanie, nieodmiennie

ostatnio panował mętlik.

A do tego, kiedy zastanawiała się nad proponowaną jej serią zdjęć, nad tym tak zwanym studium artystycznym tak zwanej idealnej Amerykanki, czuła się jak ryba wyjęta z wody, i - to jeszcze bardziej niż zwykle. Coraz częściej, niemal już codziennie, odnosiła wrażenie, że jest jak płotka wśród stada wygłodniałych kotów, i wcale jej się to nie podobało, żeby nie powiedzieć więcej. Ale przynajmniej w tym przypadku może wyrazić swoje zdanie. Nie będzie sama pozowała panu Asherowi do zdjęć, nawet gdyby jego wizja miała być nie wiedzieć jak „artystyczna”.

Niemniej jednak siedziała spokojnie, sztywno wyprostowana, z rękami złożonymi na podolku. Nie przestawała przyglądać się działalności fotografa i wcale nie czuła się znudzona. Sporadycznie pan Asher rzucał na nią okiem, ale się nie odzywał. I za każdym razem miał taką minę, jakby mu się coś nie podobało, a Belle nie pojmowała, dlaczego. Ona z pewnością nie robiła niczego niestosownego.

W życiu nie pozwoliłaby sobie na żaden niestosowny postęp. Dotychczas jej najbardziej skandalicznym wyczynem była przeprowadzka do Nowego Jorku. Zgoda, decyzja ta niesłuchanie odbiegała od normy, ale o tym pan Asher nie mógł wiedzieć. Nie mógł również wiedzieć, że na wieść o przenosinach rodzina oraz przyjaciele osłupieli, a sama Belle przerażona była niemal śmiertelnie. Jeszcze jej to, nawiasem mówiąc, nie minęło, i nie sądziła, żeby w najbliższym czasie miała dopuścić się czegoś choć odrobinę nietypowego.

Poza pozowaniem do fotografii. W pewien sposób te niemądre fotografie zaliczały się jednak do jej obowiązków, a kiedy patrzyła na nie w tym świetle, przestawały wydawać się czymś niezwykłym i wyjątkowym.

Win pracował z Richmondami nieco ponad godzinę, tak jak przewidywał, i w sumie naświetlił sześć kliszy. Belle nie czuła wcale zmęczenia w mięśniach pleców, ponieważ dobrze podtrzymywały je fiszbiny gorsetu, ale od czasu do czasu wstawiała i chwilę spacerowała, chociaż bała się, że pan Asher się na nią za to rozzłości. Do jasnej ciasnej, już ją siedzenie bolało od tej twardej ławki. Jeżeli pan Asher nie chce, żeby mu

ludzie spacerowali po studio, kiedy każe im czekać, to powinien kupić miększą poduszkę na ławę.

Z ulgą, odetchnęła, kiedy Win w końcu powiedział:

- To wszystko na dziś, moi drodzy! Wywołam te kliszei będziecie państwo mogli zdecydować, które wam się najlepiej podobają.

- Cudownie! - Pan Richmond zatarł dłonie gestem, którego Belle nauczyła się po nim oczekiwać, kiedy był szczególnie z czegoś zadowolony.

Cieszyła się, że Richmondowie czują się szczęśliwi. Cieszyła się również, że sesja fotograficzna dobiegła końca, bo zaczynała się już odrobinę nudzić; w końcu mogła tylko siedzieć, przyglądać się i od czasu do czasu wstawać, by podziwiać krajobrazy pana Ashera. Były naprawdę śliczne, ale na fotografiach nic się nie zmieniało. Ptaki nie śpiewały, wiewiórki nie trajkotały, niedźwiedzie nie porykiwały, trawa nie rosła, a kwiaty nie kwitły. Koniec końców okazywały się nudne, jeżeli przez całą godzinę na nic innego nie mogła patrzeć. Chciała już pojeździć na diabelskim młynie i pooglądać widoki.

- Słuchajcie państwo - rzucił Win od niechcienia, kiedy rodzina kolekcjonowała swój dobytek i zbierała się do wyjścia, żeby obejrzeć resztę targów. - Nie sądzę, by zgodzili się państwo na parę godzin wypożyczyć mi swoją nianię.

Belle, która właśnie pomagała Amalie włożyć słomkowy kapelusik i nie mogła się już doczekać, kiedy wyjdzie na świeże letnie powietrze, okręciła się jak fryga.

- Słucham pana? - Nie chciała, żeby ją ktoś komuś wypożyczał! Chciała oglądać targi!

- No cóż... - pani Richmond popatrzyła z powątpiewaniem na męża.

George wzruszył ramionami.

- Jeżeli Belle nie ma nic przeciwko temu, to ja raczej oponował nie będę. Co pani powie, panno Monroe? - Uśmiechnął się do Belle w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości, że spodziewa się po niej, iż pójdzie na rękę temu miłemu fotografowi.

Trele-morele. Nie miała najmniejszej ochoty iść na rękę panu Asherowi, którego

wcale nie uważała za miłego. Ale równocześnie nie chciała tracić posady. Z drugiej strony była zdania, że do jej obowiązków należy opieka nad Amalie i Garrettem, a nie pozowanie jakiemś zatraconemu fotografowi. Postanowiła o tym ostatnim fakcie przypomnieć państwu Richmond.

- A co z dziećmi? Mam obowiązek zajmować się nimi. Win chyba się rozżłościł. Belle się tym nie przejęła.

- Ależ George - powiedziała Gladys. - Chcielibyśmy, by Belle również obejrzała targi.

Mało brakowało, a Belle rozplakałaby się z wdzięczności. Tak bardzo lubiła Gladys Richmond.

- Oczywiście, oczywiście - zahuczał zadowolony z siebie pan Richmond. - I dopilnujemy, żeby je zobaczyła. - Puścił oko do Belle, co nie sprawiło jej żadnej przyjemności, i dodał: - I na pewno zabierzemy ją na diabelski młyn. Ale w tym momencie jest potrzebna panu Asherowi. - Przeniósł uwagę z żony na Wina i rzekł:

- Jak pan sądzi, na jak długo będzie panu potrzebna, panie Asher?

Win wzruszył ramionami.

- Godzina do dwóch powinny wystarczyć. Chciałbym przekonać się, jak będę musiał wyregulować natężenie światła i temu podobne.

Belle w życiu o czymś takim nie słyszała. Gdyby nie to, że dyrekcja targów wybrała Wina na oficjalnego fotografa Wystawy, a stąd należało zakładać, że jest on osobnikiem godnym zaufania, mogłaby podać w wątpliwość motyw jego postępowania. Milczała jednak nadal, wiedząc, że w globalnej organizacji życia Richmondów odgrywa podobną rolę jak fragment umeblowania.

Gladys przynajmniej troszczyła się o jej uczucia.

- Czy nie będzie ci to przeszkadzało, Belle? Przyszlibyśmy po ciebie, zanim się wybierzemy na lunch.

- To bardzo przyjemne, kiedy ten pan robi zdjęcia, panno Monroe - zapewniła ją Amalie.

Jakby pięciolatka potrafiła coś takiego ocenić. Belle wiedziała, że najlepiej zrobić dobrą minę do złej gry, więc gdzieś z głębi swego jestestwa wydusiła uśmiech i obdarzyła nim Richmondów.

- Oczywiście, że mi to nie przeszkadza. Pod warunkiem, że nie będę państwu potrzebna.

- Ależ jesteś nam potrzebna - zapewniła ją z przekonaniem pani Richmond, zanim jej mąż zdążył wtrącić jeszcze jakąś uwagę do rozmowy. - Przynajmniej mnie.

- I mnie też - powiedziała Amalie.

Garrett słowem się nie odezwał; był chłopcem i wiedział, że dzięki temu, jako jednostka wybrana, nie potrzebuje niczego, a już zwłaszcza niańki. Belle nie zdziwiła się, chociaż miała ochotę nim potrząsnąć.

- Oczywiście, oczywiście - dodał kojąco pan Richmond. - Wszystkim nam potrzebna jest panna Monroe.

Belle doszła do wniosku, że nim również z chęcią by potrząsnęła.

- Bardzo dobrze - wycedziła sztywno. - Zostanę.

- Będziemy w południe jedli hamburgery, Belle, na pewno zechcesz wziąć w tym udział. Są czymś całkiem nowym, wiesz.

- Słyszałam o nich - powiedziała Belle do Gladys, która, odchodząc z rodziną, minę miała nadal nieco niepewną, jakby zastanawiała się, czy mądrze robi, nie zabierając ze sobą niani.

Belle rozumiała ją. Kochała serdecznie Gladys, ale ta biedna kobieta była beznadziejna, kiedy należało zdyscyplinować dzieci. Jednak decyzja nie należała już do niej. Tak więc zaciskając dłonie na poziomym talii, odwróciła się i zapytała kata, to jest fotografa:

- Bardzo dobrze, panie Asher. Co mam teraz robić?

Gladys szybciotko pocałowała ją w policzek, co zaskoczyło Belle i sprawiło jej wielką przyjemność, i wyprowadziła dzieci z pawilonu Wina. Pan Richmond uśmiechnął się w ramach podziękowań i oddalił się razem z resztą rodziny.

Win wykrzywił się do Belle, która natychmiast odpowiedziała mu niezadowoloną miną.

- Przede wszystkim może zechciałaby pani spróbować się odprężyć. Nie grożą pani żadne dokuczliwe, męczące przeżycia ani nic w tym rodzaju. A seria zdjęć, którą zamierzam zrobić pani samej...

- Na to nie wyrażałam zgody! - zawołała Belle urażona.

- Baniałuki. Pani chlebodawcy chcą, by pani do nich pozowała, więc będzie pani pozowała. Czy mam rację?

Tak, niech to licho porwie. Chociaż wiedziała, że Richmondowie pozwoliliby jej wypowiedzieć się w sprawie solowych zdjęć, pan Asher miał rację. Będzie pozowała do tych zatraconych fotografii, ponieważ chciała, żeby byli z niej zadowoleni Richmondowie; nie tylko ich szanowała, ale również zawdzięczała im swój obecny status osoby, która przynajmniej przestała już być biedna jak mysz. Wargi Belle zacisnęły się w wąską kreskę.

Win pokazał na jej usta, przez co Belle wzdrygnęła się i cofnęła o krok.

- Widzi pani? Dokładnie o to mi chodzi. Jeżeli mamy współpracować, to albo musi mnie pani przestać nienawidzić, albo przynajmniej udawać, że pani przestała.

- Wcale pana nie nienawidzę! - Belle poczuła się tak wstrząśnięta jego oskarżeniem, że rozplotła dłonie.

- Co też pani powie - mruknął Win. Zrzucił z siebie marynarkę, szarpnął krawat, pewnie po to, żeby mu było wygodniej. Belle, przyzwyczajona, że ludzie interesu ubierają się elegancko, przeraziła się na ten jego gest. - W gruncie rzeczy - mówił dalej - nie jestem złym człowiekiem, panno Monroe, i muszę dbać o swoją reputację dobrego fotografa. - Spojrzał na nią przymrużonymi oczami. - Ale odnoszę wrażenie, że pani nie pochodzi stąd. Może nasz sposób bycia różni się od tego, do czego jest pani przyzwyczajona.

- Niech pan skończy z tą nieszczerością - rozzłościła się znowu Belle. - Po moim sposobie mówienia zorientował się pan pewno, że pochodzę z Południa.

- No tak. Z którego stanu?

- Z Georgii.

- Hmm. - Belle przysięgłaby, że przez moment pan Asher szukał w pamięci czegoś miłego do powiedzenia na temat Georgii. Jeżeli wspomni o niesławnym Shermanie, będzie musiała udzielić mu lekcji historii. Najwyraźniej jednak jego wysiłki spełzły na niczym, ponieważ rzekł: - No cóż, to żadna różnica. Jest pani śliczną młodą kobietą, a seria fotografii, które chcę pani zrobić, rozsławi panią na cały świat.

- Wcale nie chcę, by mnie coś rozsławiało na cały świat - oznajmiła Belle stanowczo. - Sam ten pomysł uraża moje delikatne uczucia.

- Pani delikatne uczucia? - Win wpatrywał się w nią z taką miną, jakby była jakąś dziwną i niezwykłą formą życia. Ta mina pana Ashera i jego zachowanie rozwścieczyły Belle.

- Tak. Fakt, że wy, niegodziwcy z Północy, odnieśliście zwycięstwo podczas niedawnego przykrego zajścia, nie oznacza, że wasze ofiary muszą zmieniać swój tryb życia. W Georgii cenimy sobie dobre maniery i uprzejmość, i kurtuazję, w przeciwieństwie do niektórych mieszkańców Chicago. - Miała nadzieję, że położyła wystarczający nacisk na słowo „Chicago”. Tak naprawdę nawet jej się to miasto podobało, było całkiem sympatyczne, ale nie chciała, żeby dowiedział się o tym pan Asher.

Win patrzył na nią, mrugając powiekami. Ignorując cel, w jakim wygłosiła swoją krótką przemowę, zmarszczył brwi i zapytał:

- Niedawne przykre zajście? To znaczy co? - A doznawszy nagłego olśnienia, zawołał: - Och! Rozumiem. Ma pani na myśli wojnę domową, no, secesyjną.

Belle poczuła, że cała wewnątrz sztywnieje z gniewu.

- Wojna między stanami nie była wojną domową, panie Asher. Południe usiłowało bronić swego sposobu życia, gdyby pan nie wiedział. Była to agresja Północy. To Północ wywołała tę wojnę, podżegając tym samym do rozlewu krwi i do okrucieństwa. - Naprawdę, naprawdę znieść tego nie mogła, kiedy przewracał oczami.

A jego odpowiedź wzbudziła w niej jeszcze większą niechęć.- Chyba nie ma pani zamiaru skrzyknąć się z grupą południowych piękności i zacząć napadać na pociągi? Już widzę tytuły w gazetach: „Jessica James i jej dziewczęcy gang strzela w łeb szeryfowi i ulatnia się z forszą". - Roześmiał się ze swojego żartu.

Belle wcale się to nie wydało śmieszne.

- Jesse James - powiedziała przez mocno zaciśnięte zęby - pochodził z Missouri.

- Dobra, dobra, obojętne skąd pochodził, obwiniał za swoją przestępczą działalność nas, niegodziwców z Północy. Gdyby mnie pani pytała, żałosna to wymówka.

- Wcale pana nie pytałam - wycedziła Belle. Żywiła podobne uczucia w stosunku do osławionego gangu Jamesa, ale prędzej by umarła, niż przyznała się do tego Winowi.

- W porządku, w porządku, co tylko pani powie, panno Monroe. Naprawdę jest mi to obojętne. Wiem, że są tacy, którzy co rano, jak tylko oczy otworzą, wciąż ochoczo od nowa przeżywają tę wojnę, ale ja do nich nie należę. Wojna skończyła się niemal trzydzieści lat temu, kiedy mnie jeszcze na świecie nie było. - Tu zmierzył Belle spojrzeniem od góry do dołu, przez co zapragnęła zwinąć się z zażenowania w kłębuszek (nie trzeba chyba dodawać, że niczego takiego nie zrobiła), i dodał: - Tak czy owak moja strona wygrała; nie mam nic przeciw wam, ludziom z dołu mapy. Wystarczy mi, jeżeli będę mógł zrobić te fotografie.

Belle była już teraz tak rozgniewana, że chyba zaczęłyby tupać nogami, gdyby w młodości nie wpojono jej dobrych manier - gdyby na przykład wychowywano ją w Chicago albo w Nowym Jorku. Ale wpojono jej te dobre maniery i niczego takiego nie zrobiła. Jednak nie traciła nadziei, bo знаła dużo lepszą metodę, pozwalającą pokrzyżować plany panu „moja strona wygrała" Asherowi.

- Ta dyskusja jest zupełnie nie na temat, a mnie osobiście nie interesuje, jak zechce pan nazywać wojnę między stanami. Nie wydaje mi się, bym miała ochotę na to, żeby moją podobizną wytapetowano prasę na całym świecie, panie Asher. Obawiam

się, że muszę panu odmówić. - Uniosła brodę do góry i prychnęła, co było zachowaniem dopuszczalnym u dobrze wychowanych dam z Południa.

- Baniałuki. Richmondowie chcą, żeby pani do nich pozowała.

- Być może, ale są zbyt życzliwi, by zmuszać mnie do czegoś, co uważam za moralnie odrażające.

Oczy pana Ashera rozszerzyły się, żyły mu nabrzmiały na karku, a policzki zaczęły pulsować posepną czerwienią.

- Zmuszać panią, by zrobiła pani coś, co uważa pani za moralnie odrażające? Fotografia? Moralnie odrażająca?

Belle przypuszczała, że chyba bardziej już nie mógłby być oszołomiony, obrażony czy oburzony, ale nie miała okazji dalej go prowokować, by przekonać się, czy jej wątpliwości są uzasadnione, bo w tym momencie drzwi do pawilonu otworzyły się gwałtownie i do środka wpadła młoda kobieta. Belle podświadomie wybrała słowo „wpadła”, chociaż była zbyt uprzejma, by wypowiedzieć je na głos. Wiedziała jednak, że żadne inne nie nadaje się, by zachowanie młodej kobiety opisać.

Zupełnie inaczej przedstawiały się sprawy z jej ubraniem. W swoim słownictwie Belle nie potrafiła znaleźć żadnych określeń, które oddałyby mu sprawiedliwość. Nie znała tego rodzaju słów. Kobieta czy raczej dziewczyna - Belle nie była w stanie przesądzić, ile też ona może mieć lat, ani czym może być - prezentowała się zdecydowanie skandalicznie. Nosila obszerną, wielokolorową, pasiastą spódnicę i płomiennie czerwoną bluzkę ze stanowczo za głębokim dekoltem, przepasana była szeroką czerwoną szarfą, na szyi udrapowała sobie liczne sznurki malowanych, drewnianych koralików. Czegoś takiego Belle w życiu nie widziała. Nie dość tego, dziewczyna była bosa. Bosa! A paznokcie u stóp pomalowała sobie na wstrętny, szkarłatny kolor. Jeżeli dodać do tego jeszcze krzykliwy, żółty szal, którym podwiązała ciemne loki, żeby nie opadały na twarz, oraz makijaż, zdobiący oczy, policzki i wargi... no cóż, po prostusłów brakowało. Belle mogła tylko wytrzeszczać na nią oczy. Było to nieuprzejme, ale niekiedy nic na to nie można poradzić, nawet jeżeli jest się dobrze

wychowaną damą z Południa.

- Win! - wykrzyknęła ta osóbką. - Tak się cieszę, że cię zastałam, bo... - W tym momencie zauważyła Belle i się uśmiechnęła. Miała ujmujący uśmiech, ale Belle zbyt była oszołomiona jej wyglądem, by go w pełni docenić czy odpowiedzieć tym samym. - O, hej. Przepraszam. Nie zamierzałam przeszkadzać. - Skwitowała obecność Belle tymi słowy oraz uśmiechem i odwróciła się do Wina. - Czy możesz mi pożyczyć parę centów, Win? Muszę zawieźć matkę do lekarza. Madame Esmeralda zamknęła swój pawilon na klucz i nie mogę dostać się do torebki, a potrzebuję pieniędzy, żeby zapłacić za dorożkę.

Wcale to nie zdziwiło Belle, że pan Asher bez zastrzeżeń, chyba nawet najmniejszych, przyjął nagle wtargnięcie kobiety, do pawilonu i jej cudaczny strój.

- Pewnie, Kate. Mam tu gdzieś dwudziestopięciocentówkę. - Pogrzebał przez chwilę w kieszeni i wyjął monetę, którą podał kobiecie. Dziewczynie. Ojej. - Jak się czuje twoja matka?

Kate (Belle uznała, że to imię do niej pasuje, bo było równie zwarte i ostre jak dziewczyna) posmutniała.

- Nie za dobrze, obawiam się. Ale przynajmniej udało mi się ją zabrać od tego starego łajdaka.

Belle nie zdołała się opanować. Cicho krzyknęła.

Win nie krzyknął.

- Cieszę się z tego. Chyba ją nawet pochwalał.

- Mieszka teraz ze mną. Bez żadnych luksusów, ale lepiej tak, niż żeby musiała mieszkać w tamtej ruinie z tym piekielnikiem, moim ojcem.

Belle wiedziała, że nieuprzejmie jest wytrzeszczać oczy, ale nie potrafiła się od tego powstrzymać. Nigdy, przez całe dziewiętnaście lat życia nie słyszała, by kobieta użyła w stosunku do kogoś słów takich jak „piekielnik” czy „łajdak”. Poza kościołem. Mowę jej odjęło. Była w szoku. Zdumiona. Przerażona. Stan jej dałoby się określić jeszcze całym wianuszkiem innych przymiotników, których w tej chwili nie mogła

sobie przypomnieć.

- W każdym razie cieszę się, że jest już z tobą. Uważaj na siebie, Kate. Pamiętaj, że w niczym to twojej matce nie pomoże, jak się samą rozchorujesz.

Kate kokieteryjnie uśmiechnęła się do Wina i jeszcze bardziej kokieteryjnie puściła do niego oko.

- Nie martw się o mnie, Win. Teraz, jak tańczę dla Little Egypt i jeszcze wróżę na dodatek, zarabiam dość, żebyśmy obie z mamą mogły żyć dostatnio. - Beztrosko machnęła ręką

i wyszła z pawilonu równie energicznie, jak do niego weszła.

Dopiero kiedy Win się odwrócił, Belle uświadomiła sobie, że stoi z otwartą buzią. Natychmiast ją zamknęła.

Win dźgnął palcem za siebie.

- Kate Finney. Wieczorami występuje jako jedna z egipskich tancerek; na zastępstwie, w Little Egypt. W dzień wróży razem z Madame Esmeraldą. Miły dzieciak, ale niełatwe miała życie, a jej matka ciężko choruje. Kate pracuje jak szalona, żeby poprawić swoją sytuację finansową, pomóc matce pokryć rachunki od lekarzy i tak dalej. Zrobiłem jej kilka zdjęć reklamowych dla dyrekcji targów. Mogła pani widzieć niektóre z nich w gazetach.

- Wątpię. - Belle zaschło w ustach. Odchrząknęła. Win spojrzał na nią ostro.

- Cóż to, panno Monroe? Czyżby nie pochwałała pani kobiet, które imają się niecodziennych zajęć, żeby zarobić na życie?

- Czy nie pochwalam? Nie pochwalam? Ja... ja... - Nie. Prawdę mówiąc Belle tego nie pochwałała. Nie pochwałała takich tańców, jakie podobno prezentowano w Little Egypt, nie pochwałała ludzi, którzy oszukiwali, przepowiadając przyszłość. Przecież nikt nie potrafi wywróżyć, jaka przyszłość czy los czeka drugiego człowieka! To nie po chrześcijańsku! No i jeszcze ten strój... Belle nadal nie potrafiła znaleźć odpowiedniego określenia na ten strój.- Nie każdy może zostać nianią, wie pani. - Win machnięciem ręki przekazał jej, że nie musi na tę uwagę reagować. Pewnie dlatego, że

wie, iż Belle nie pochwała panny Kate Finney. Na pewno dlatego, ale nie musi z tego powodu mieć takiej nachmurzonej miny. Zacisnęła wargi.

Potrafiła dokładnie powiedzieć, kiedy na pana Wina Ashera spłynęło natchnienie, bo w tej samej sekundzie twarz mu się rozjaśniła i gwałtownie odwrócił się w jej stronę. Belle podskoczyła i bardzo sobie to miała za złe.

- Hej! Mam!

- Co pan ma? - Serce jej łomotało jak wielki, basowy bęben Archibalda Sturgesa w niedzielę na rynku miejskim Blissborough, kiedy grała orkiestra dęta.

- Mam pomysł. - Wyglądał na zadowolonego z siebie. Belle patrzyła na jego minę podejrzliwie.

- Jaki? - zapytała z powątpiewaniem.

- Podpisałem kontrakt z agentem w Niemczech. Czy zgodziłaby się pani pozować do tych zdjęć, gdybym zapłacił pani znaczną sumę i przystał, by sprzedawać je tylko przez mojego agenta w Niemczech?

- W Niemczech. - Belle zamrugnęła oczami nerwowo. - W Niemczech?

- Oczywiście! Nikt z pani znajomych na oczy ich nie zobaczy, jeżeli sprzedam je w Niemczech.

- Pewnie nie. - Belle przełknęła z trudem. - A ta znaczna suma?

- Sto dolarów - odrzekł Win z triumfującym uśmiechem. Belle nigdy nie marzyła o zarobieniu tak ogromnej ilości

pieniędzy. A już zupełnie niewiarygodne wydawało się to, że aby je dostać, będzie tylko pozować do kilku fotografii, nic więcej.

- Sto dolarów? - Przełknęła ponownie. - Wielkie nieba!

- No i? - Ciemne oczy Wina przybrały wyraz przymilny i błagalny jak u głodnego szczeniaka.

Nagle Belle przyszło coś na myśl.

- Te fotografie będą przyzwoite, prawda? To znaczy, nie będę musiała... - Nie była w stanie dokończyć.

Win wyrzucił ręce w górę.

- Broń Boże, za kogo mnie pani bierze? Będzie pani ubrana od stóp do głów. Obiecuję. Rany koguta, panno Monroe, to mają być zdjęcia idealnej Amerykanki. A jestem pewien, że taka kobieta nie pokazałaby się nago w miejscu publicznym.

- Chciałam się tylko upewnić - powiedziała półgłosem, defensywnie Belle, zażenowana i udęczona.

- Na Boga, panno Monroe, czy sądzi pani, że dyrekcja Światowej Wystawy w Chicago wybrałaby mnie na swego oficjalnego fotografa, gdybym był człowiekiem o niskim morale? - Patrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami, jakby podejrzewał, że co najmniej jest niedorozwinięta umysłowo, jeżeli nie całkiem obłąkana.

Belle poddała się. Richmondowie nie muszą wiedzieć, że fotografie oglądane będą wyłącznie w Niemczech. A ucieszą się, że zgodziła się do nich pozować. Wahała się jeszcze przez moment czy dwa - nie była całkiem pewna, czy tak do końca ufa temu człowiekowi - i wreszcie skapitulowała.

- Och, bardzo dobrze.

Wdzięku w tej jej kapitulacji było tyle, co kot napłakał, ale Winowi Asherowi zależało chyba tylko na tym, by się podporządkowała; jej nastrojami nie przejmował się wcale.

6

Belle miała całkowitą rację: Win nie dbał o jej ogładę ani kulturę. Mogłaby sobie być pomiotem szatana i skląć go od ostatnich, a on by się wcale nie przejął. Zależało mu tylko na jednym, żeby zgodziła się pozować. Sto dolców to nie takdużo, jeśli uwzględnić, jaką masę pieniędzy spodziewał się zarobić w tantiemach, kiedy ludzkość rzuci już raz okiem na zdjęcia, które jej zamierzał przedstawić.

Musiał trochę pomataczyć, ale tym również się nie przejmował. Bo chociaż naprawdę miał rezydującego w Niemczech agenta, Herr Schlichter zajmował się

rozprowadzaniem dzieł Wina do publikacji na terenie całej Europy, Wysp Brytyjskich oraz Bliskiego Wschodu. Win podejrzewał, że wystarczy trochę sprytnych manewrów, i Schlichter będzie mógł odgrywać rolę pośrednika wspólnie z agentem pana Ashera na Stany Zjednoczone, a tym samym formalnie zadośćuczyni przynajmniej niektórym przekonaniom Belle, a przy sposobności zdobędzie dla fotografa ogromną rzeszę zwolenników.

Jeśli tak na to spojrzeć, wyżej wymienione sto dolarów to jakieś nędzne grosze. Pewnie powinien zaproponować jej więcej, ale nie będzie się spieszył. Gdyby w chwili obecnej zdradził, ile spodziewa się zarobić na fotografiach, Belle pewnie uciekłaby z wrzaskiem.

Gryzło go odrobinę sumienie, że takimi środkami osiąga swój cel, ale koncepcja fotograficznego studium była dla niego tak ważna, a Belle tak doskonale nadawała się do roli modelki, że postanowił nie wdawać się w szczegóły. Kiedy zdjęcia pojawią się w gazetach i na plakatach na terenie całych Stanów Zjednoczonych i podległych im terytoriów, Belle będzie mogła już tylko pozwać go do sądu, a przekonany był, że dama tak wielka jak ona - pal diabli, co to właściwie znaczy - niczego tak nie- licującego z zachowaniem damy nie zrobi.

Szeroko uśmiechnął się w duchu, uświadomiwszy sobie, że wytworność Belle jest dla niego zarówno przekleństwem, jak i błogosławieństwem.

- Wspaniale! - Zapożyczając gest od George'a Richmonda, zatarł ręce.

Belle wciąż wydawała się mieć pewne wątpliwości. To Winowi nie przeszkadzało. Niech się sprzeciwiaj on i tak nakłoni ją do pozwania. Odchrząknęła znowu.

- Wspominał pan coś o regulowaniu natężenia światła? Miała ładny głos pomimo tej miodowej, typowej dla Południa rozwlekłości.

- Proszę z łaski swojej przejść na podest i usiąść na kłodzie, a ja pomajstruję przy lampach.

Belle skupiła uwagę na zainstalowanych w pawilonie przez Wina światłach,

zupełnie jakby ich wcześniej nie zauważyła. Wszystkie były przenośne, chociaż ciężkie, ale nie zamierzał dopuścić, żeby cokolwiek przeszkodziło mu w realizacji artystycznej wizji.

Panna Monroe zaskoczyła go, podporządkowując się prośbie bez słowa protestu. A już oczekiwał, że - ilekroć ośmieli się wystąpić z najdrobniejszą nawet sugestią - zaciekle będzie z nim walczyła.

Zanim usiadła, wygładziła spódnicę, a potem złożyła ręce na podolku. Win się czegoś takiego po niej spodziewał. Z pełną sympatii nostalgią wspominał serię zdjęć, które zrobił Kate Finney. U Kate nie znalazłoby się ani cienia tego, co sztywne i nadęte.

A u Belle Monroe wręcz przeciwnie. Sztywna była jakby kij połknęła, a nadęta jak balon. Win pojęcia nie miał, jak uda mu się wydłubać ją z tego cholernego gorsetu, chociaż pozwolił sobie na kilka miłych sercu fantazji. Tego jednak dnia postanowił skoncentrować się na światłach. Nie wszystko na raz. Już się trochę posunął do przodu; wystarczy mu teraz posłużyć się inteligencją, odrobiną uroku i swoją niewątpliwą pomysłowością, a nawet tak zdeklarowana świętoszka jak Belle Monroe nie będzie w stanie długo się opierać. A przynajmniej taką miał nadzieję.

Przyglądał jej się bacznie przez chwilę czy dwie, a potem zostawił ją na kłodzie i podszedł do stojących rzędem elektrycznych lamp. Zdecydował, że najpierw ustawi wysokie górne światła. Były ciężkie, ale nie brakowało mu sił. Kiedy dźwignął pierwszą z lamp na podest, Belle zadała mu pytanie.- Nie jestem całkiem pewna, co pan zamierza zrobić, panie Asher. Czy zechciałby mi pan wytłumaczyć, co to są te serie fotografii?

- Jeszcze raz? - Omal nie ugryzł się w język, bo te dwa słówka zabrzmiały tak, jakby gderał.

Ale ona tylko machnęła z wdziękiem ręką w powietrzu i nie zrobiła takiej miny, jakby zaraz zamierzała obrazić się i wyjść z pawilonu. Dzięki Bogu.

Odchrząknęła tylko i ciągnęła:

- Nie jestem całkiem pewna, czego się pan po mnie spodziewa, w jaki sposób

miałabym przedstawić ten ideał Amerykanki. - Rzuciła mu przelotny uśmiech. - To dla mnie, biednej, niełatwe zadanie.

Kiedy tak wyraziła swoje wątpliwości, cierpliwość Wina okopała się na pozycji.

- Pewnie. Uf. - Postawił lampę na skraju podestu i manipulował przy niej, dopóki nie stwierdził, że chyba jest już wyregulowana prawidłowo. Przekręcił przełącznik i żarówka rozbłysła ostrym światłem, a Belle uniosła dłoń, by osłonić sobie oczy. - Przykro mi, że panią razi, panno Monroe. Z czasem przyzwyczai się pani do tego.

- Hmm.

No tak. Sądząc po tonie, nie zamierzała się przyzwyczajać. Cierpliwość, nakazał sam sobie.

- Mam taką wizję: fotografie będą symbolizowały dzisiejszą Amerykę; tę Amerykę, która stała się przywódcą świata; Amerykę, która obecnie rywalizuje potęgą z Wielką Brytanią; Amerykę, która zrodziła ludzi wielkich, takich jak Theodore Roosevelt i Abraham Lincoln, i...

- Ha!

Oj. Zły przykład. Niech diabli wezmą jego długi jęzor. Musi pamiętać, że ta młoda kobieta jest przeżytkiem wymarłej społeczności, że zachowała jej postawy i moralność. Krótko mówiąc, że jest czymś w rodzaju chodzącej skamieliny.

- Przepraszam - warknął, zły zarówno na siebie, jak i nanią. Nie rozumiał ludzi, którzy obstają przy tym, by żyć przeszłością. - Ale musi pani przyznać, że Ameryka to miejsce narodzin wielu wielkich ludzi.

- Na przykład Roberta E. Lee* - powiedziała lakonicznie. Win postanowił, że tego haczyka nie połknie.

- Pewnie. Był wielkim generałem. A przynajmniej tak słyszałem. - Osobiście Win gardził człowiekiem, który walczył o utrzymanie czegoś tak niegodziwego jak niewolnictwo, ale nie miał zamiaru się o to kłócić, jeżeli tylko uda mu się sporu uniknąć.

- Poza tym mamy wynalazców - ciągnął, regulując nastawienie lampy tak, by

zgodnie z jego życzeniem oświetlała twarz Belle. - Roberta Fultona, Johna Deere.

Twórców tej Wystawy, jak już o tym mowa.

- Mmmm - zamruczała Belle.

Ale przynajmniej oderwała rękę od twarzy i Win widział ją teraz w pełnym oświetleniu. Postanowił nie igrać z losem i ograniczyć się do informowania jej, co w chwili obecnej robi. Niezależnie od nastawienia modeli, podczas minionych konfliktów fotografia nie stawała po żadnej ze stron.

- W porządku, panno Monroe. Te lampy silnie się nagrzewają, wyłączę więc tę i ustawię drugą.

Belle ciężko westchnęła.

- Bardzo dobrze.

- Nie musi pani tego mówić tak, jakby była pani Joanną d'Arc, którą właśnie przywiązują do słupa na stosie - zrzędził Win, nie wiedząc czemu aż tak rozdrażniony. A zamierzał trzymać tę swoją niewyparzoną gębę na kłódkę, żeby nie doprowadzać Belle do szału.

- Niech pan nie będzie śmieszny - fuknęła. - Niezależnie od tego, co pan sobie wyobraża, jest mi niewygodnie i nudno.

Win natychmiast się wycofał.

**R. E. Lee - generał Konfederacji Południa w wojnie secesyjnej (przyp. tłum.).*

- Przepraszam panią. Rozumiem, że proces ten potrafi być nużący, i doceniam fakt, że wyraziła pani chęć, by mi pozować. - Niemal zadławił się własnymi słowami, ale chyba przynajmniej odrobinę udobruchał Belle.

Uniosła brodę i prychnęła. Win uznał, że mimo wszystko powinien się cieszyć, iż dalej siedzi, nie zerwała się z kłody i nie wypadła z pawilonu. Następna myśl zaskoczyła go, ale nie zwrócił na nią większej uwagi.

Może powinien okazywać Belle nieco więcej wyrozumiałości, chociaż

reprezentowała kulturę, której nie potrafił pojąć. Może gdyby myślał o niej tak, jakby pochodziła z jakiegoś obcego kraju - jakby była Pigmejką z Konga Belgijskiego, na przykład - ich stosunki układałyby się lepiej.

W końcu siedzi tu i mu pozuje, zamiast cieszyć się Wystawą. Pewnie powinien być za to wdzięczny. I był. Naprawdę był. Tylko że zgadzali się z panną Monroe mniej więcej tak jak oliwa z wodą. Jak koty z psami. Jak ogień z podpałką. Jak ogień z wodą, jeśli już o tym mowa.

Ale pewnie nie zaszkodzi, jeżeli okaże się trochę bardziej ugodowy. Przydźwigał następną lampę, ustawił ją za plecami Belle, trochę na lewo od niej, i wymamrotał:

- Obiecuję, że pani to wynagrodzę, panno Monroe. Dopilnuję, by zobaczyła pani całą Wystawę.

- Obejrzę Wystawę bez pana pomocy, dziękuję uprzejmie.

Tak mogłaby zareagować jakaś cholerna zakonnica, potępiająca zakamieniałego grzesznika. Jeżeli zakonnice coś takiego robią. Dźwigając następny reflektor, opanował się i spróbował innego podejścia.

- Hmmm! - Postawił reflektor. - Widzi pani, seria fotografii, którą chcę zrobić pani i dzieciakom Richmondowi ma być przykładem i apoteozą amerykańskiej rodziny.

- Przekręcił głowicę reflektora do pozycji, która, jak mu się zdawało, powinna okazać się właściwa, i włączył go. - Do licha. Źle. - Wyłączył lampę, obrócił głowicę jeszcze mniej więcej o cal, i znowu ją włączył. - Jeżeli w fotografiach dzieci Richmondów zrealizuje się zamierzona przez pana gloryfikacja amerykańskiego sposobu życia, nie rozumiem, do czego jest panu potrzebna seria fotografii ze mną. - Znowu podniosła dłoń, by osłonić oczy. - To strasznie razi, panie Asher.

- Tak, wiem, przykro mi. - Wyłączył znowu lampę i tym razem przekręcił jej głowicę w dół. - To jest tak, panno Monroe...

Postanowił ustawić jeszcze jedno światło w rogu pawilonu, żeby na podeście otrzymać efekt światłocienia. Odwrócony plecami do Belle mówił dalej.

- Na fotografiach z Richmondami... i panią, oczywiście... ukazana zostanie

amerykańska rodzina w swojej dzisiejszej postaci, rodzina, będąca beneficjentem ponad stu lat innowacji, przemysłu i postępu, trochę tak jak ta Wystawa.

- Mmm.

- Te fotografie mają przekazać całemu światu poczucie sukcesu i szczęścia Amerykanów.

Belle rzuciła mu następne „mmm” i Win odniósł wrażenie, że nie przekonał jej do swojej wizji Ameryki jako kraju ludzi szczęśliwych i odnoszących sukcesy. Cholerni Południowcy. To ich własna wina, że nie podoba im się świat w obecnym stanie. Nigdy nie powinni byli rozwijać systemu, który od samego początku zbudowany był na niewolnictwie.

Postanowił nie angażować się w ten niezręczny problem.

- Ale fotografie pani samej mają ukazać światu prawdziwe piękno Ameryki i amerykańskiego ducha. Chodzi mi o to, że pani wizerunek ma przekazać całemu światu...

- To przesłanie, czymkolwiek ono jest, przekazane zostanie Niemcom - przerwała mu.

Diabli nadali, naprawdę musi uważać, co mówi przy tej grymaśnej) piękności.

- No tak. Niemcom. Tak czy owak przekaże ono Niemcom wizerunek amerykańskiej kobiecości w pełni rozkwitu. Dla Niemiec stanie się pani uosobieniem wszystkiego, co w Stanach Zjednoczonych Ameryki idealne i piękne. Kiedy ludzie zobaczą to studium, będą się tu chcieli przeprowadzić. Belle wydeła wargi. Włączając narożne światło, Win zebrał się w sobie.

- Nie wiem, czy to dobrze - powiedziała półgłosem. - Jeśli sędzić po obcokrajowcach, których widywałam w Nowym Jorku, wielu z nich jest biednych i w potrzebie. Czy nie sądzi pan, że może im pan ukazywać kłamstwo?

Win wyprostował się tak gwałtownie, że uderzył głową o lampę i niemal ją przewrócił. Zdążył ją złapać i zapobiec katastrofie. Te cholerne reflektory były drogie.

- Co? Dobry Boże, nie! To nie wina Ameryki, że są ludzie, którzy nie potrafią na

siebie zarobić. Ameryka daje szansę każdemu! W Chicago też mamy mnóstwo imigrantów, proszę o tym nie zapominać, i wiem, że niektórym z nich nie jest łatwo, ale założyłbym się, że większość z tych ludzi miałaby kłopoty wszędzie.

- Mmmm.

I znowu odniósł wrażenie, że Belle się z nim nie zgadza; zastanawiał się, czy jej nastawienie może wiązać się z tym, że pochodzi ona z Południa. Chociaż spodziewał się, że zaraz wpadnie w tarapaty po uszy, postanowił ją o coś zapytać.

- Przypuszczam, że po tej... po tym konflikcie często musiał trapić państwa tam na Południu niedostatek. - Zamierzał powiedzieć „po wojnie domowej”, ale się w porę powstrzymał.

- Tak pan przypuszcza?

Głos miała nadęty i nieprzyjemny, a jej ton natychmiast Wina rozdrażnił.

- W porządku, czytałem o tym. Już lepiej? - Przekręcił lekko głowicę reflektora na lewo i włączył go. Ach, tak było doskonale.

- Lepiej. - Znowu prychnęła. - To prawda, w wyniku konfliktu cierpieliśmy na Południu straszliwie. Tym z nas, którzy mieszkali w Georgii, szczególną szkodę wyrządził ten straszliwy Sherman i grasujące bandy jego zbójów, podpalaczy i złodziei. Win kiwnął głową, przyglądając się z namysłem pozostałym lampom. Postukał się w brodę, rozważając, czy robić coś z nimi, czy może zostawić je w spokoju. Nie potrafił się zdecydować, czy w ogóle będą mu potrzebne. Właściwie dobrze byłoby zrobić Belle kilka zdjęć na świeżym powietrzu. Teraz, kiedy miał już przenośną kamerę, zdjęcia plenerowe nie były takie trudne.

- No tak - powiedział z roztargnieniem. - Sherman. Musiało wam być ciężko.

Belle się poczuła dotknięta.

- Nie ma pan bladego pojęcia, jak bardzo, panie Asher!

Win ocknął się, bo Belle powiedziała to piskliwie i porywczo. Rzucił na nią okiem: wyraz twarzy miała dokładnie taki jak głos. Westchnął.

- Przepraszam, panno Monroe. Naprawdę słucham, co pani mówi. Tylko że w tej

chwili zastanawiam się nad oświetleniem.

- Oczywiście.

Aha! Wiedział już, co zrobić. Dzięki postępowi w technologii produkcji kamer fotografowanie we wnętrzach było prostsze niż kiedyś. Jeżeli umiejętnie ustawiło się lampy, można było oddać nastrój wieczoru, nie używając magnezji, przy której wszystko robiło się jasne jak w dzień. Win uważał, że piękna Belle będzie bardzo korzystnie wyglądała w wieczornym oświetleniu. Nawiasem mówiąc, ogromnie mu się ten pomysł spodobał.

I nic w tym dziwnego. Win był bardzo męskim młodym Amerykaninem. Cenił sobie kobiety. Cenił sobie nawet Belle, chociaż podobałaby mu się bardziej, gdyby trzymała język za zębami. Postukując się palcem po brodzie, zastanawiał się jeszcze przez chwilę czy dwie nad kwestią oświetlenia, a potem chwycił następną wysoką elektryczną lampę i zaczął ją taszczyć na drugą stronę pomieszczenia.

- Proszę o wybaczenie, panno Monroe. Niech mi pani opowie jeszcze coś o Georgii. Nigdy tam nie byłem.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Powiedziała to takim tonem, jakby człowiek, który nie odwiedzi Georgii, popełniał jakiś grzech. - Mój rodzinny stan został zrujnowany przez plugawego Shermana i jego opryszków, panie Asher. Plantacja mojej rodziny została spalona, chociaż te potwory okazały się na tyle uprzejme, że oszczędziły niemal cały dom. Oczywiście ograbili wnętrze ze wszystkiego co cenne.

Win potrząsnął głową, ustawiając lampę. Nienawidził słuchać takich opowieści, chociaż wiedział, że są prawdziwe.

- Podobne wydarzenia musiały być dość częste. Kiedy ludzi ogarnie szal bojowy, zdolni są pewnie do wszystkiego.

- Żołnierze z Południa nie popełniali tego rodzaju okropności - oświadczyła Belle.

Win zerknął na nią spod oka, ustawiając następną głowicę reflektora.

- Dochodziły mnie inne słuchy. Czy pani nie czytała nigdy o Bandytach

Quantrilla? O Łupieżcach Mosby'ego? O Ku-Klux-Klanie? Albo Andersonville?
Quantrill, Mosby i KKK, wszyscy pochodzą z Południa, a więzienie Andersonville
mieściło się na terenie pani ukochanego rodzinnego stanu Georgia.

Zauważył, że usta Belle wyraźnie się ściągnęły na to ostre przypomnienie, iż na całym świecie ludzie to tylko ludzie i że żadna ich grupa nie ma patentu czy to na świętość, czy na niemoralność. Byłby się uśmiechnął, gdyby nie obawa, że jeżeli panna Monroe zostanie sprowokowana, może zrobić coś, co pokrzyżuje mu plany.

- Oczywiście od każdej reguły istnieją wyjątki.

- No właśnie. - Win skończył regulować ostatnią lampę i podszedł do kamery, żeby stamtąd przyjrzeć się całemu ustawieniu. Różne pomysły na fotografie Belle szalały mu po głowie i nie mógł się doczekać, kiedy zacznie. - Wyjątki.

Belle przybrała minę męczennicy i podniosła wzrok na sufit, jakby żądano od niej, by poddała się bliżej niesprecyzowanym, ale na pewno upiornym torturom. Zastanawiając się, jakim cudem można stać się kimś takim jak ona, Win przestał się stukać po brodzie i powiedział:- Przypuszczam, że dorastając, nasłuchiwała się pani opowieści o cierpieniach Południa i niegodziwości Północy, co?

Sądził, że Belle nie może już bardziej zeszywnieć, ale okazało się, że jednak może. Zdumiewające.

- Powinien pan wiedzieć, że Południe naprawdę ucierpiało od straszliwych grabieży i nikczemności, a Północ wyrządziła nam wiele zła.

- Na pewno, na pewno. - Dał nura pod czarną płachtę na kamerze. - Niech się pani przez chwilę nie rusza, dobrze? Chcę ustawić ostrość na panią.

Zastosowała się do jego prośby, ale minę miała tak mroczną, że można by nią smołować deski.

- Najbledszego pojęcia pan nie ma, ile musieliśmy wycierpieć.

- I pewnie mi pani wszystko o tym opowie - wymamrotał Win spod czarnej płachty.

- Może się pan założyć o własne buty, że opowiem.

Po raz pierwszy w głosie Belle słyhać było taki ton, jakby jej na czymś zależało. Ubawiło go to. Nastawiając ostrość, krótko parsknął śmiechem.

- Nie rozumiem tylko jednego... ale jestem pewien, że mi pani i to również wyjaśni... dlaczego wy tam, na Południu, z determinacją ciągle na nowo przeżywacie tę wojnę. Skończyła się ponad trzydzieści lat temu. Czy nie sądzicie, że czas już, żebyście o niej zapomnieli i zajęli się własnym życiem?

Oczy Belle się rozszerzyły - Win domyślał się, że z gniewa

- Przysięgam na wszystko, panie Asher, że wy, zatracone Jankesy, zielonego pojęcia nie macie, co my po waszej napaści musieliśmy przecierpieć! Mówi pan o tym konflikcie tak, jakby to był jakiś wielki żart, a nie był!

- Pewnie nie - wymamrotał Win, nadal manipulując przy kamerze.

- Oczywiście, że nie. Tysiące dzielnych młodych ludzi zginęło, tysiące dzieci zostało osieroconych, tysiące ludzi straciło wszystko, co kiedykolwiek posiadali.

- Po obu stronach - przypomniał jej.- Ha! Może i na Północy zdarzały się takie przypadki, ale nawet pan musi przyznać, że najwięcej odrażających czynów popełniono na Południu.

- Hmmm - mruknął Win. A kiedy Belle zrobiła taką minę, jakby zamierzała rzucić w niego jedną z lamp, dodał pospiesznie: - Ale chętnie o tym wszystkim posłucham. Naprawdę, panno Monroe, będę zachwycony, jeżeli lekcji historii udzieli mi ktoś, kto na ten konflikt patrzy z punktu widzenia Południa.

W tym momencie drzwi do pawilonu otworzyły się. Win wychynął spod płachty, zastanawiając się, czy to nie Kate wraca, żeby pożyczyć jeszcze parę groszy. Z rozczarowaniem zobaczył w pawilonie osobę całkowicie mu nieznaną. Ale ponieważ wiedział, co należy do jego obowiązków, uśmiechnął się do nowo przybyłej.

- Dzień dobry pani. Czym mogę służyć?

Poczuł jeszcze większe rozczarowanie, kiedy okazało się, że ta kobieta jest klientką. Wzdychając w duchu, odwrócił się do Belle.

- Czy nie będzie mi pani miała za złe, jeżeli poproszę, by na kilka minut zeszła

pani z podestu, panno Monroe? Zaraz się panią zajmę.

Belle zeszła z podestu, ale miała bardzo za złe. Diabli nadali tego mężczyźnie! Był niesłuchanie irytujący.

Co gorsza, Belle często żywiła do swoich bliskich urazę za to, o co ich wszystkich oskarżył Win: że pławią się w przeszłych smutkach i nic nie robią ze swoim życiem. Teraz natomiast żywiła urazę do Wina Ashera, który ośmielił się zwrócić jej uwagę na wady rodziny.

Miała ochotę długo i głośno na niego krzyczeć, że ośmielił się ujawnić jeden z jej najtajniejszych, najbardziej osobistych sekretów. Nie przyzna się, że trafił w sedno, to oczywiste, ale z wielką radością udzieli mu tej tak zwanej lekcji historii. Poda mu tyle informacji o jego głupiej Północy, że pan Asher się nimi udławi. Niestety, nie było jej dane tego zrobić.

Reszta poranka zmieniła się w jedną niekończącą się, frustrującą serią pozowania i przerw. Za każdym razem, kiedy Win ustawił Belle na podeście, a ona już otwierała usta, by udzielić mu kilku barwnych lekcji historii, do pawilonu wchodził następny klient i chciał, żeby mu zrobić zdjęcie. Zanim w końcu pojawili się Richmondowie, żeby zabrać Belle na lunch, gotowa już była wrzeszczeć, a Win miał minę udręczoną i nieszczęśliwą. Amalie podbiegła do Belle.

- Och, panno Monroe! Musi pani przejechać się na diabelskim młynie! To takie przyjemne!

Belle rzuciła Winowi zjadliwe spojrzenie.

- Z wielką przyjemnością zrobiłabym to, kochanie. Cieszę się, że się dobrze bawiłaś. - Wzięła Amalie na ręce i pocałowała ją w policzek. Rzuciwszy spod oka spojrzenie na Gladys Richmond, doszła do wniosku, że jeszcze przez jakiś czas nie musi martwić się o swoją posadę. Biedna Gladys wyglądała tak, jakby ktoś przegonił ją przez głęboki strumień i nie dał się osuszyć.

Pani Richmond otarła spocone czoło wytworną, haftowaną chusteczką i potwierdziła podejrzenia Belle.

- Przysięgam, Belle, że pojęcia nie mam, jak sobie dawałam radę, zanim pojawiłaś się, by u nas pracować. Serdecznie kocham moje dzieci - tu słodkim uśmiechem obdzieliła oboje - ale są bardzo niesforne.

- Też coś - odezwał się George Richmond. - Są tylko pełne temperamentu.

Gladys spojrzała na niego ostro.

- Dużo ty o tym wiesz. To nie ty musisz je utrzymywać w ryzach czy mówić im, że nie wolno jeść tyle słodczy, na ile mają ochotę, że nie powinny brać na ręce małątki kataryniarza, że za nic nie wolno im wychylać się z gondoli na diabelskim młynie.

Cera George'a przybrała odcień Ceglasty; spojrzał gniewnie na żonę.

- Słuchaj no, Gladys...Ojej. Belle nie lubiła małżeńskich kłótni. A Richmondowie byli na ogół ogromnie zgodną parą. Uważając, że jeżeli w tym momencie się wtrąci, nie tyle okaże nieuprzejmość, co odda im przysługę, przerwała:

- Bardzo dziś ciepło - powiedziała łagodnie, wciąż trzymając Amalie na rękach.

- Jestem pewna, że nerwy mamy nieco stargane. A państwo musicie być już głodni po tak podniecającym poranku. - Zauważyła, że Win przygląda się im wszystkim, i lekko uniosła brodę do góry.

- No pewnie, że jesteśmy - zaczął gderać Garrett.

Belle dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że zwykle wymowny Garrett od chwili pojawienia się w pawilonie Wina słowem się nie odezwał. Teraz również trzymał się na uboczu, ręce wepchnął głęboko do kieszeni swoich niegdyś eleganckich, marynarskich spodenek i całym sobą informował, że jest w bardzo złym humorze. Był również paskudnie brudny.

- Na Boga, Garrett, co ci się stało? Garrett szurnał nogami.

- Nic.

- Nic, dobre sobie - skomentowała Gladys głosem bardziej piskliwym i zjadliwym niż dotychczas. - Wpadł do wielkiego basenu!

- O matko kochana! - Belle wiedziała, że musi pohamować ochotę do śmiechu, bo wyśmiewanie wybryków dziecka jest najlepszym sposobem, by zmienić je w

potwora. Tak więc ukryła uśmiech pod pełną zatroskania miną.

Garrett kopnął ławkę pod oknem.

- To nie była moja wina.

- A właśnie że była! - powiedziała jego kochająca siostra.

Garrett zamachnął się i uderzył ją. Amalie, nadal bezpiecznie tkwiąc w ramionach Belle, zaczęła płakać, chociaż wcale nie uderzył jej mocno. Sprawiała przy tym takie wrażenie, że płacze bez zapału i tylko na pokaz, by narobić bratu jeszcze więcej kłopotów.

Belle westchnęła. Nawiedziła ją dziwna myśl, że któregośdnia bardzo chciałyby mieć własne dzieci, które mogłyby godzić podczas kłótni zamiast dzieci Richmondów.

- Garrett, to nie było miłe. Powinieneś przeprosić siostrę. Zobaczyła, że Amalie znacząco się do brata uśmiecha,

i dodała:

- Amalie, kiedy twój brat próbuje coś wyjaśnić, nie wypada mu w tym przeszkadzać. Jeżeli przekonana jesteś, że musisz coś dodać, powinnaś zrobić tak później. Dama nie przerywa nikomu wyjaśnień sarkastycznymi uwagami.

Zauważyła, że Win dziwnie jej się przygląda, i odwróciła się, by nie widzieć jego twarzy. Czy ten zatracony człowiek znowu ma jej coś za złe? Prawdopodobnie nie pochwała postępowania Belle z dziećmi. Doszła do wniosku, że zapewne należy do osób przekonanych, iż dziecku, które pragnie uzewnętrznić swój charakter, należy dać pełną swobodę; podobno coś takiego nosiło nazwę współczesnej psychologii. Prychnęła. Swoboda, z jaką wczoraj ten wstrętny chłopak uzewnętrzniał się podczas pozowania, wcale a wcale się panu Asherowi nie podobała.

Amalie zaniechała szlochów i zaczęła się bocyć. Powiedziała jednak zduszonym tonem „przepraszam”.

Belle wbiła wzrok w Garretta z niemym poleceniem, by przeprosił siostrę. Garrett westchnął ciężko i, jakby robił to wyłącznie pod przymusem, powiedział „przepraszam”.

Żadne z nich nie wyglądało na szczególnie skruszone, ale Belle wiedziała, że pewnego dnia zrozumieją, jak ważne są dobre maniery. Zerknęła na rodziców dzieci i pożałowała, że im również nie może udzielić kilku wskazówek. Richmondowie mieli takie miny, jakby przez kilka następnych godzin każde z nich zamierzało podążać własną drogą.

Belle doszła do wniosku, że jest to rezultat nadmiaru zażyłych kontaktów w rodzinie. Dużo łatwiej utrzymywać dobre stosunki z krewnymi, jeżeli nie przebywa się bez przerwy w ich towarzystwie. Na przykład ona, mieszkając w Nowym Jorku, uwielbiała wręcz przebywającą w Georgii rodzinę. Dziwne to, ale tak się sprawy miały. W końcu Win Asher przerwał panujące w pawilonie napięcie.

- Słuchajcie państwo, czy pozwolicie, bym dziś przyłączył się do państwa znowu na lunch? Mam kilka sugestii dotyczących serii fotografii, które zamierzam zrobić państwa dzieciom i pannie Monroe.

George skwapliwie skorzystał z sugestii Wina, jakby wdzięczny był, że jakiś dorosły mężczyzna dotrzyma mu towarzystwa i zapewni męskie poparcie. Rozpromienił się i zanim Gladys, czy ktokolwiek inny, zdążył zastanowić się nad propozycją fotografa, wykrzyknął:

- Koniecznie!

Mężczyźni, pomyślała Belle z rzadkim u siebie cynizmem. Władcy kosmosu i królowie świata. Przynajmniej we własnym mniemaniu. Belle nie była żadną feministyczną buntowniczką, nie należała do maszerujących w pochodach sufrażystek, ale niekiedy naprawdę po dziurki w nosie miała tego, że mężczyźni zawsze chcieli podejmować za nią decyzje.

Nie trzeba, rzecz jasna, dodawać, że nie pokazała po sobie niezadowolenia. Uśmiechnęła się tylko, postawiła Amalie znowu na ziemi, otarła dziecku z policzków nieistniejące łezki, doprowadziła Garretta do porządku na tyle, na ile to było możliwe, włożyła kapelusz i czekała, aż ktoś powie jej, co powinna dalej zrobić.

7

- Sprawy mają się tak - powiedział Win, przełknąwszy kęs hamburgera. - W ciągu dnia ludzie stale przychodzą do pawilonu i przeszkadzają mi. Gdyby dało się to załatwić jakoś tak, żeby panna Monroe i dzieci pozowali wieczorami, może mielibyśmy więcej szczęścia. A na pewno cała sprawa pochłonięłaby mniej czasu i była mniej frustrująca dla wszystkich zainteresowanych.

Przewidywał, że Belle godzinami będzie się sprzeciwiała, więc odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Panna Monroe może potwierdzić, że za każdym razem, kiedy dzisiaj brałem się do ustawiania świateł, ktoś nam przerywał. - Rzuciła mu cierpkie spojrzenie, ale dobrze wiedział, że zaprzeczyć temu nie może.

- Tak - przyznała. - To prawda, chociaż nie wydaje mi się, by składanie panu wieczornych wizyt w pawilonie było rzeczą rozsądną, panie Asher.

- Ależ dlaczego? - zapytał nadal rzeczowym tonem. - Wieczorami zjawia się zdecydowanie mniej interesantów. Gdyby pani Richmond zechciała pani towarzyszyć, przyniosę z domu fotel, żeby jej było wygodnie, kiedy będziemy pracowali.

Odniosł wrażenie, że Belle ma ochotę uderzyć go czymś twardym i ciężkim, ale słowem się nie odezwała. Bo i co, u diabła, mogłaby powiedzieć? Zachowywał się przecież bardzo sensownie.

Pani Richmond wciąż wyglądała na udęconą. Win domyślał się, że zwykle nie musi zajmować się potomstwem bez pomocy Belle. Zadumał się na moment, bo poczuł ociupinę szacunku dla panny Monroe i jej umiejętnego postępowania z dziećmi. Ale zaraz doszedł do wniosku, że na szacunku dla niej daleko nie zajędzie, natomiast na planowanych przez niego fotografiach ten stosunek do dzieci znajdzie swoje odbicie, a tym samym będą jeszcze bardziej urocze, niż to sobie do tej pory wyobrażał. Ta myśl podniosła go na duchu, bo uznał ją za dowód, że wcale nie zaczyna Belle lubić.

Za bardzo była nieustępliwa, pruderyjna, niemądra i... no, za bardzo Południowa,

żeby Win mógł ją polubić. Wystarczyłby sam niemądry akcent tej panny, żeby doprowadzić człowieka do szaleństwa, a jej nieustanne głośzenie o wojnie domowej przekraczało już wszelkie granice.

- Ja myślę, że to świetny pomysł, panie Asher - powiedziała w końcu Gladys, uprzednio przez kilka sekund wpatrując się w męża, dzieci i Belle. - Chyba że tobie to jakoś okropnie nie odpowiada, Belle?

Win zerknął tylko na Belle spod oka i już wiedział, że okropnie. Ale panna Monroe powiedziała tylko:

- Ależ nie. Nie sędzę, dziękuję pani. - Mordercze spojrzenie, które skierowała na Wina, wyraźnie przeczyło jej słowom.

A niech tam. Win nie dbał o to, czy jego propozycja odpowiada Belle, czy nie, byle dziewczyna z nim współpracowała.

- Zaczniemy jutro wieczorem, jeżeli państwo pozwolicie. - Win żywił głębokie przekonanie, że należy kuć żelazo póki gorące. Nie chciał zostawiać ani Belle, ani Richmondom czasu do namysłu.

- Oczywiście.

George zaliczył już hamburgera, więc miał teraz dużo bardziej zadowoloną minę niż przed posiłkiem. Win postanowił pamiętać o tym ciekawym aspekcie ludzkiej psychologii. Może jego plany wzbudziłyby większy entuzjizm Belle, gdyby ją od czasu do czasu nakarmił.

Belle niechętnie dopuszczała do siebie tę myśl - a już Winowi Asherowi w życiu by się do niej nie przyznała - ale pozowanie z dziećmi następnego wieczora po kolacji wcale jej właściwie nie przeszkadzało. Kiedy prosił, żeby Belle, Amalie i Garret przybierali różne pozy, stosowali się do jego poleceń i nic nie urażało delikatnych uczuć Belle. Win pracował szybko, naświetlał jedną kliszę po drugiej jak prawdziwy zawodowiec. No cóż, pomyślała Belle, w końcu jest zawodowcem. Przyglądała się jego pracy zafascynowana. Niewątpliwie znał się na tej robocie.

Kazał Amalie i Garrettowi przysiąc na poręczach fotela, a Belle miała udawać,

że im czyta. Belle co prawda nie pochwałała tego, żeby dzieci pokładały się na poręczach fotela, ale musiała przyznać, że scenka będzie pewnie pełna uroku. Przydźwigał ciężki fotel na podium z większą łatwością niż wdziękiem i Belle była pod wrażeniem jego siły.

Zrobił zdjęcie Belle, pokazującej Amalie coś w oddali. Przy tym ustawieniu musiała stanąć w sławnej pozie pana Ashera, odwrócona w trzech czwartych, obejmując ręką ramiona Amalie i pokazując palcem. Belle uważała, że nie wypada pokazywać palcem, ale nie sprzeciwiała się, wyczuwając, że tylko naraziłaby się na śmieszność.

Sfotografował Belle, witającą Garretta, który wraca do domu po meczu baseballa. Zmierzył chłopcu włosy, kazał wyciągnąć koszulę ze spodni, pomógł ją, podał mu kij i piłkę, i nawet pomazał twarz sadzą. Garrettowi to nie przeszkadzało, co wcale nie zaskoczyło Belle, bo wiedziała, że mali chłopcy preferują wygląd brudny i niekulturalny, jeżeli tylko może im to ująć na sucho. Poczuli się jednak zaskoczeni tym, że Gladys nie protestuje. Ale ponieważ Win na wszelki wypadek wyposażył swój pawilon w umywalnię, z miednicą, dzbankiem, kawałkiem mydła, myjką i ręcznikiem, Belle doszła do wniosku, że również protestować nie będzie.

Poza tym Garrett wyglądał zachwycająco, kiedy cały rozchełstany zarzucił sobie kij baseballowy na ramię i z szerokim uśmiechem podawał piłkę swej domniemanej matce. Win pomyślał również o czapce baseballowej. Garrett założył ją sobie na bakier, tak że poza wyglądała na całkiem autentyczną.

- Czy dysponuje pan całym magazynem kostiumów? - zapytała Belle w pewnym momencie.

Win, wciąż zajęty swoją aparaturą, odpowiadając nawet na nią nie spojrzał.

- Muszę. To moja praca.

- Hmm. - Nie umknęło uwagi Belle, że pan Asher jest bardzo dobrze zbudowanym młodym człowiekiem. Niemal pożałowała, że to zauważyła. Jednak co prawda, to prawda; Win Asher w żadnym miejscu nie wydymał się korpulentnie jak,

powiedzmy, George Richmond. Ani odrobinę. Sylwetkę miał wysportowaną, szczupłą i muskularną i Belle patrzyła na niego z przyjemnością, chociaż wcale tego nie chciała.

Zrzucił z siebie marynarkę, rozluźnił krawat, pozbył się celuloidowego kołnierzyka, podwinął rękawy koszuli i odpiął dwa guziki pod szyją, bo było gorąco i wilgotno. Belle starała się potępić tę jego nonszalancję, ale nie potrafiła. Przyzwyczajona była do upałów i wilgoci, jako że pochodziła z Georgii, ale zdziwiła się, kiedy okazało się, że podobne warunki, chociaż może nieco łagodniejsze, panują w Chicago. Zawsze w lecie ubierała się w przewiewne sukienki i nie sądziła, by miała prawo krytykować Wina, że próbował choć trochę sobie ulżyć. Ale on przynajmniej nie musiał zmagać się z gorsetami.

Przy takiej dusznej pogodzie należały one do najbardziej kłopotliwych i niewygodnych parafernaliów damskiej garderoby, Belle jednak nigdy nawet przez myśl nie przeszło, żeby się pozbyć gorsetu. Wypadało je nosić. Były *de rigueur*. Jak kapelusze: nie można było wyjść z domu bez kapelusza. Nawet jeżeli dostawało się od nich wysypki w szczególnie parne dni.

Tak więc, kiedy - zrobiwszy kilka ujęć jej i dzieci - Win zwrócił się do niej z pewną prośbą, w pierwszej chwili go nie zrozumiała.

- Panno Monroe, następna poza pewnie się pani nie spodoba, ale ponieważ ma pani układać swoje cherubinki do snu, a do tego trzeba się pochylić, obawiam się, że będzie pani musiała rozluźnić sznurówkę albo całkiem ją zdjąć.

Skonsternowana Belle zamrugała powiekami i zapytała:

- Przepraszam pana?

Ten człowiek nie mógł chyba powiedzieć: sznurówka. Prawda? Serce w niej Zamarło, bo podejrzewała, że nie tylko mógł, ale i powiedział.

Gładys przyglądała im się zafascynowana z wyściełanej ławy pod oknem i pojadała popcorn z pasiastej papierowej torebki.

- A czy dysponuje pan miejscem, gdzie Belle mogłaby się przebrać, panie Asher?
- zapytała.

- Oczywiście. - Pokazał na oddzielną zasłoną część pawilonu. - To jest moja przebieralnia. - Uśmiechał się przytym szeroko, pewnie dlatego, że jemu ta sytuacja wydawała się zabawna.

Belle nie dostrzegła w niej nic śmiesznego. Zerknęła na Garretta i Amalie, którzy wspaniale się bawili, dla czystej przyjemności przybierając najdziwaczniejsze i najbardziej cudaczne pozy, i zaprotestowała niepewnie:

- Nie wyrażałam zgody na rozbieranie się do fotografii, panie Asher.

- Wcale pani nie proszę, żeby się pani rozbierała! - wykrzyknął, jakby powiedziała coś skandalicznego. - Proszę panią, żeby pani rozwiązała sznurówkę i przebrała się w szlafrok, który specjalnie na tę okazję kupiłem. - Wziął się porywczo pod boki i spiorunował ją wzrokiem. - Ustaliliśmy już, że nie zdoła się pani pochylić, jeżeli nie zastosuje się pani do mojej prośby. Nie ma pani chyba zamiaru robić problemów z powodu tak drobnego żądania, prawda?

Wyrwał z tylnej kieszeni chusteczkę i wytarł sobie czoło. Dopiero wtedy Belle uświadomiła sobie, że mocno się spocił, jakby był bardzo napięty albo bardzo ciężko pracował. Do tej chwili nie przyszło jej na myśl, że głębokie skupianie się na fotograficznych problemach można uznać za pracę.

Belle nie chciała wszczynać kłótni z panem Asherem, zwłaszcza w obecności pani Richmond i dzieci. Rzuciła błagalne spojrzenie Gladys, która wzruszyła ramionami.

- Jestem tutaj, Belle. Nie sądzę, byś miała się czym martwić.

- A dlaczego miałyby pani się czymś martwić, panno Monroe? - zapytała Amalie, która zwinęła się w kłębuszek.

Belle poczuła, że jej policzki zaczynają płonąć.

- Nie ma żadnych powodów, kochanie - powiedziała półgłosem.

- Pan Asher jest miły, panno Monroe - pospieszył z wyjaśnieniem Garrett. W tej akurat chwili stał na baczność i ze wszystkich sił starał się wyglądać szlachetnie. - Nie zrobi ci nic złego.

- Nie zrobi pani - poprawiła go automatycznie Belle, zanim doszło do niej znaczenie słów Garretta.- Garrett! - Tym razem zaczerwieniła się Gladys. Belle, bezgranicznie już teraz zażenowana, powiedziała:

- Dziękuję ci, Garretcie. Ani przez chwilę nie myślałam, że może być inaczej.

- Hmmm - mruknął Win, najwyraźniej wcale nie przekonany.

Belle, przytłoczona ilością i wagą ich argumentów, skapitulowała z całą gracją, na jaką w tej chwili było ją stać; prawdę mówiąc, nie było tej gracji wiele.

- Bardzo dobrze. - Westchnęła ciężko. - Szlafrok jest tam za zasłoną? - Oстрыm ruchem brody pokazała na oddzielną część pawilonu. Mogła pójść na ustępstwa i pokazywać palcem podczas pozowania, ale poza tym nie postąpi wbrew swemu wychowaniu.

Win kiwnął głową.

- Tak. Nawiasem mówiąc, kupując go, czułem się jak idiota. - Głos miał pełen urazy. - Jestem w końcu kawalerem. Nigdy wcześniej nie kupowałem damskiej garderoby. To było żenujące.

- Mniej żenujące niż to, co się teraz stanie - wymamrotała Belle, schodząc z podestu i maszerując za zasłonkę. Po raz pierwszy w życiu udało jej się w pewnym chociaż stopniu wczuć się w położenie tych nieszczęśników, których na dwukołowych wózkach wieziono na gilotynę.

Kółka, na których wisiała zasłonka, zazgrzytały, kiedy szarpnięciem odsuwała ją na bok. Rozejrzała się. Rzeczywiście, leżał tam szlafrok, rzucony na szezlong, na którym, jak przypuszczała Belle, ludzie pewnie od czasu do czasu pozowali. Ucieszyła się, kiedy podniosła szlafrok i przekonała się, że jest obszerny i uszyty z pokrytego gęstym wzorem materiału. Obawiała się, że Win mógł wybrać jakiś przejrzysty peniuar, a wtedy musiałaby dać mu odpowiedź odmowną. To chyba byłoby jeszcze bardziej żenujące niż przysłuchiwanie się, jak rozprawia o gorsetach i zmianie stroju.

Westchnęła ciężko, rozpięła bluzkę, zadowolona, że tego dnia, przebijając się do wyjścia, uwzględniła wieczorne plany. Nigdy nie udałoby się jej samej wyplatać z

tego, co miała na sobie na przykład w niedzielę.

Zmarszczyła brwi i popatrzyła na gorset. Hmm. Na ogół Belle nie potrzebowała pomocy przy ubieraniu. Wiedziała, że kiedy przeprowadzi się z Georgii do Nowego Jorku, nie będzie miała pod ręką żadnych krewnych, więc przerobiła swoje ubrania tak, żeby mogła je zakładać i zdejmować sama. Ale nie pomyślała o tym, żeby zabrać dziś ze sobą haczyk do guzików. Za jej plecami zazgrzytał pręt, na którym wisiała zasłonka, co wskazywało, że ktoś ją odchylił. Belle podskoczyła i wyrwał jej się okrzyk przerażenia. Chwyliła bluzkę, żeby osłonić dekolt, i odprężyła się, zobaczywszy, że zza zasłony wygląda twarz Gladys.

- To tylko ja, Belle. Pomyślałam, że możesz potrzebować jakiejś pomocy.

- Bardzo pani dziękuję. - Poczuli się lepiej, kiedy uświadomiła sobie, że ta pełna życzliwości kobieta rozumie, iż Belle może czuć się niepewnie i nieswojo i że chce ją uspokoić. Odetchnęła z jeszcze większą ulgą, kiedy Gladys rozsznurowała gorset jej na plecach. Belle zaczerpnęła głęboko powietrza i wyszeptała:

- Ach.

- Jak rozumiem, mocno zasznurowany gorset potrafi szkodzić zdrowiu, Belle - powiedziała Gladys tonem między - nami - kobietami, jakby rozmawiała z przyjaciółką. - Może nie powinnaś ściągać go aż tak mocno.

Belle wytrzeszczyła na nią oczy, a Gladys ponownie się zaczerwieniła.

- Nie krytykuję cię, moja droga. Interesuje mnie tylko twoje zdrowie. Czytałam o gorsetach w piśmie „McCall”. Wyczuleni na problemy zdrowotne ludzie zalecają, by nie ściągać ich tak mocno, jak to robiły nasze matki.

- Dziękuję pani. - Belle z zadowoleniem zauważyła, że chociaż w środku zrobiło jej się chłodno, ten chłód nie przeniknął do głosu. Gladys machnęła ręką w powietrzu.

- Ojej, teraz cię obraziłam. Przepraszam, Belle. To nie moja sprawa, jak się ubierasz. I zawsze wyglądasz schludnie, elegancko i doskonale. Tylko że łatwiej byłoby ci oddychać, gdybyś tak mocno nie sznurowała gorsetu. - Tu krótko, sztucznie się zaśmiała. - Jak rozumiem, damy, które mocno ściągają gorsety, bardziej są skłonne do

omdleń niż te, które tego nie robią. A wydaje mi się, że opieka nad dziećmi wymaga sporo sił. - Lekko zmarszczyła brwi i dodała: - Mało nie padłam wczoraj, kiedy musiałam przez całe rano utrzymać Amalie i Garretta w ryzach.

- Tak - zgodziła się z nią Belle, starając się nie mówić tonem sztywnym i karcącym - kiedy się człowiek zajmuje dziećmi, trzeba się sporo za nimi nabiegać.

- No właśnie. Prawda? - Gladys wycofała się w róg i skrzyżowała ręce w talii, zupełnie jakby uznała, że narobiła sobie dość wstydu i więcej nie będzie. - To bardzo ładny szlafrok, kochanie. Będzie ci w nim bardzo do twarzy, jestem tego pewna.

Belle wcale pewna nie była. Odwróciła się, by na niego popatrzeć, i uznała, że jest chyba niebrzydki. Win wybrał szlafrok z niebieskiego materiału ze wzorem z bladożółtych gwiazd. Chociaż na fotografii kolorów nie będzie widać. Ale nawet był ładny, zwłaszcza z tym białym, koronkowym kołnierzykiem. Prawdę mówiąc, Belle z przyjemnością sprawiłaby sobie taki strój, a chociaż nie stać jej, by go sobie kupić, może szlafroczek uszyje.

Myśl była frywolna, a Belle nie należała do dziewcząt frywolnych. Była kobietą pracującą, która przez cały czas musi pamiętać o ciężkiej sytuacji finansowej swojej rodziny. W końcu rodzina na nią liczy.

Zdumiała się na lekkie ukłucie urazy i ogarnęło ją poczucie winy. Dobrze nieba, a cóż z niej za wyrodna córka, jak może myśleć o kupowaniu sobie całkowicie zbędnego szlafrocza, kiedy rodzina jest w potrzebie?

Oczywiście, gdyby cała reszta rodziny zechciała się dźwignąć z foteli i wzięła się do pracy, tak jak to zrobiła Belle, może nie byłiby w potrzebie przez cały czas.

Belle gwałtownie przykryła usta dłonią, jakby chciała zdusić te słowa, zanim się wydostaną na zewnątrz. Skąd u niej takie myśli? To okropne.

Zanim jej umysł zdążył sformułować następną buntowniczą myśl, porwała leżący na oparciu szeszlonga szlafrok i zarzuciła go sobie na głowę. Och, jaki był miły! Mięciutki. Wygodny.

Może powinna zastosować się do rady Gladys i poluzować jutro sznurówkę.

Odrobinę. Nie zaszkodzi jej trochę więcej swobody przy pełnieniu codziennych obowiązków. Gladys miała rację, że opieka nad dziećmi wymaga wiele energii. Dobrze byłoby móc zajmować się nimi z mniejszym wysiłkiem. Właściwie może nawet pracowałyby lepiej, gdyby nie brakowało jej ciągle tchu. Doszedłszy do wniosku, że rozluźnienie gorsetu jest właściwie jej obowiązkiem, Belle się uspokoiła.

W tok jej myśli wdarł się głos Wina.

- Czy będzie pani niedługo gotowa, panno Monroe?

Belle uświadomiła sobie, że się grzebie, i pospiesznie Pozapinała guziki z przodu. Materiał był taki miły w dotyku. Miękka flanelka idealnie nadawała się do fotografii, którą Win planował jako następną.

- Zaraz wychodzę - zawołała, zapominając rozżłościć się na niego za rozdrażnienie w głosie. - Jeszcze tylko minutkę, proszę.

- Pan Asher kazał nam się ułożyć w łóżeczkach, panno Monroe - poinformowała ją Amalie, krzycząc na całe gardło, przypuszczalnie po to, by Belle usłyszała ją lepiej. - Powiedział, że kupił je specjalnie dla nas, do tych zdjęć.

- Boże drogi! - odrzekła Belle, przeglądając się w ustawionym w przebieralni lustrze. - Jakież to podniecające.

Nie pamiętała prawie, że Gladys wciąż jest z nią w przebieralni, dopóki jej chlebodawczyni nie powiedziała:

- Wyjdę już teraz, Belle. Wyglądasz cudownie. - I wyszła. Belle natychmiast zaczęła zastanawiać się, dlaczego pani

Richmond powiedziała to jakoś tak smutno. Przecież kto jakkto, ale ona z pewnością mogła sprawić sobie dowolną ilość szlafroczków, w których otulałaby dzieci w łóżeczkach. Pan Richmond, chociaż niekiedy nudny, był szczerze przywiązany do rodziny mężem i ojcem. Z miłą chęcią kupiłby Gladys wszystko, o co by poprosiła.

Wychodząc z przebieralni, pomyślała, że może Gladys jest smutna z jakiegoś innego powodu, chociaż nie potrafiła sobie wyobrazić, co by to mogło być.

- Jestem już gotowa - oznajmiła, poprawiając fałdy szlafroka. Podniosła wzrok i

z przerażeniem zobaczyła, że wszyscy obecni wpatrują się w nią.

- Och! - zawołała. - Co się stało? Czy mam może pająka we włosach? -

Gwałtownie machnęła rękami, przerażona, że może właśnie o coś takiego chodzić.

Belle nie kochała pajaków

Pierwszy poruszył się Win. Chwiejnym krokiem ruszył do kamery.

- Nie - powiedział. - Wspaniale pani wygląda. Wspaniale.

- Wygląda pani pięknie, panno Monroe.

Belle popatrzyła ostro na Amalie, ponieważ zaskoczył ją ton głosu dziewczynki.

Dobry Boże, powiedziała to tak, jakby była pod wielkim wrażeniem. I minę też taką miała.

Ostatecznie Belle uznała, że może po prostu nie umie rozeznaczyć się w emocjach Jankesów, roześmiała się więc pobłażliwie i szepnęła:

- Dziękuję ci, Amalie, kochanie.

Garrett ziewnął, w związku z czym Belle założyła, że nie wzrusza go jej rzekoma uroda. Uśmiechnęła się do chłopca, myśląc, że miło byłoby mieć własnego synka i córeczkę; córeczkę, której nie szczędziłaby swej kobiecej mądrości - jeżeli można to tak nazwać - i synka, który poskramiałby jej próżność. Zatrzymała się przed podestem, odwróciła i czekała na wskazówki Wina.

Troszkę się zaniepokoiła, bo stał przy kamerze, ręce skrzyżował na piersi i patrzył na nią chmurno. Przygładziła znowu włosy. - O co chodzi? Win wzdrygnął się, jakby jej pytanie wytrąciło go z zadumy.

- O nic - mruknął. - Świetnie pani wygląda. - Odchrząknął. - Może zechce pani wejść na podest, panno Monroe, i stanąć przy łóżeczku Amalie.

Rzuciwszy jeszcze raz na niego okiem - nie pojmowała, dlaczego tak dziwnie jej się przygląda - zastosowała się do prośby. Amalie nadal spoglądała na nią jakby oszołomiona mocnym ciosem, więc Belle się do niej uśmiechnęła.

- Chyba jest ci wygodnie, Amalie.

- Jest - zgodziła się dziewczynka. - Czy, kiedy dorosnę, będę taka ładna jak pani?

Belle pytanie zaskoczyło tak, że mało brakowało, a byłaby potknęła się o rąbek szlafroka i wywróciła.

- Dobrze nieba, kochanie, oczywiście, że będziesz ładna, kiedy dorośniesz! - Ale ponieważ w dzieciństwie nauczono ją, że uroda to cecha powierzchowna, dodała skrupulatnie: - Będziesz ładna i wewnątrz, i na zewnątrz. Ale to wewnętrzna uroda najbardziej się liczy.

Amalie wydawała się nieprzekonana. I takim też tonem zaczęła narzekać:

- Wcale nie wiem, na co mógłby mi się przydać ładny brzusek.

Zaskoczona komentarzem Belle parsknęła śmiechem. Amalie ściągnęła brwi i Belle pożałowała swego impulsywnego rozbawienia. Dzieci często nie zdawały sobie sprawy, jakie są śmieszne, a kiedy zwracano im na to uwagę, wcale nie były zadowolone. Nie zdążyła przeprosić dziewczynki, bo przerwał im Win.

- W porządku, proszę się teraz pochylić, jakby pani chciała pocałować Amalie na dobranoc, panno Monroe. - Wciąż jeszcze nie dał nura pod czarną płachtę.

Zakładając, że pan Asher chce po prostu przekonać się, jak poszczególne ustawienia będą wyglądały, Belle zastosowała się do jego prośby. Pochyliła się nad Amalie i wyciągnęła rękę, żeby odgarnąć dziewczynce włosy z czoła. Zastygła w tej pozycji na tak długo, że aż rozboleły ją plecy, a Win nadal się nie odzywał. W końcu zerknęła na niego.

- Czy tak będzie dobrze, panie Asher?

Win wzdrygnął się, jakby na chwilę zatracił się w kontemplacji żywego obrazu, utworzonego przez Belle i Amalie. Garrett siedział na swoim łóżeczku, robił miny i kręcił młynka palcami.

- Przepraszam - powiedział Win. - Tak. Tak będzie wspaniale. Paniczu Garrecie, czas, byś się znowu położył.

Garrett westchnął hałaśliwie i posłuchał.

- W porządku - ciągnął Win - podobało mi się to, panno Monroe, kiedy położyła pani dłoń na czole Amalie.

Belle odgarnęła dziewczynce włosy.

- Czy tak?

- Dokładnie. Proszę tak trzymać rękę.

Posłuchała. Win dał w końcu nura pod płachtę, co Belle przyjęła z wielką ulgą; jej plecy również.

- Niech się pani nie rusza! - zawołał. - Garrett, leż spokojnie.

Proszek magnezjowy wybuchnął, na jego błysk wszystko się w Belle wzdrygnęło, a Win zawołał:

- Wspaniale! To doskonałe.

Belle wyprostowała się i przycisnęła rękę do krzyża.

- Uuuch, bardzo niewygodnie jest się tak pochylać, panie Asher.

- Przykro mi - wymamrotał, gmerając przy kamerze. Belle odniosła wrażenie, że on chyba pojęcia nie ma, za co

właśnie przeprosił. Westchnęła, uświadamiając sobie, że powinna była się po nim spodziewać takiej reakcji. Zdecydowanie należał do ludzi, którzy potrafią mieć tylko jeden cel na oku.

- Zdaniem panny Isabelli Chalmers Primm - odezwała się Gladys ze swojej ławki - im dłużej kobieta nosi gorset, by zachować figurę, tym bardziej słabną mięśnie jej pleców.

- Czy tak? - zapytała uprzejmie Belle, zastanawiając się, od kiedy to wypada wspominać o kobiecej bieliźnie w obecności mężczyzn. Jankesi. Przeżyła tu już niejedną szok nerwowy, a za wszystkie winiła Jankesów.

Ale mimo wszystko pomysł, żeby wzmocnić mięśnie pleców, może być dobry. W końcu plecy są ważne dla ogólnego zdrowia. A przynajmniej tak przypuszczała.

Długo to trwało, ale w końcu jej krzywdziciel - czytaj: fotograf - przestał bawić się przyrządami i odwrócił się do niej.

- To było dobre - powiedział. - A teraz, gdyby zechciała się pani odsunąć, panno Monroe, to poustawiam te łóżeczka w innej pozycji.

Sesja ciągnęła się jeszcze przez godzinę, wreszcie Amalie i Garrett zaczęli się mazać. Belle nie miała o to do nich pretensji; sama z chęcią zaczęłaby się mazać, zwłaszcza kiedy musiała zdjąć mięciutki szlafroczek i znowu założyć gorset. To przesądziło sprawę. Nieodwołalnie rozluźni sznurówkę, jak tylko wróci do pokoju hotelowego.

Win pokrzyżował jej rozkoszne plany.

- Panno Monroe, czy zechciałaby pani tu jeszcze na trochę zostać? - I zupełnie jakby go nie obchodziło, czy propozycja jej odpowiada, odwrócił się od razu do Gladys. - Czy nie będzie pani przeszkadzać, jeżeli jeszcze na godzinkę wypożyczę sobie pani nianię, pani Richmond? Mam pomysł na pierwsze z serii zdjęć doskonałej Amerykanki.

- Ale... - Belle nie dane było dokończyć myśli.

- Sama nie wiem - powiedziała z powątpiewaniem Gladys. Belle przypuszczała, że przypomina sobie, jak trudno było jej poradzić sobie samej z dziećmi poprzedniego dnia.

- Ja nie... - zaczęła.

I znowu nie pozwolono jej dokończyć zdania.

- Przyrzekam, że nie zatrzymam panny Belle dłużej niż godzinę i że odprowadzę ją bezpiecznie do hotelu.

Gladys zmarszczyła brwi i przyglądała się dzieciom. Belle spróbowała jeszcze raz:

- Naprawdę uważam, że... Tym razem przerwała jej Amalie.

- Będziemy grzeczni, mamó. - Przyjrzała się bratu i dodała groźnym tonem: - Prawda, Garrettcie?

Garrett wzruszył ramionami.

- Pewno.

Te zapewnienia ze strony ukochanych dzieci uradowały ich matkę. Gladys uśmiechnęła się ciepło do potomstwa.

Belle zaczynała czuć się jak jakiś mebel, i to na dodatek mebel sfrustrowany i zły.

- Ale...

- Myślę, że sobie poradzę, panie Asher - powiedziała wreszcie Gladys. - Jeżeli tylko dzieci będą grzeczne. A pan Richmond już dopilnuje, żeby były. - Odwróciła się do Belle. - Czy zgadzasz się na to, Belle?

W końcu! Belle już otwierała usta, by oznajmić z wielkim naciskiem, że wcale się nie zgadza, ale nie zdążyła się odezwać.

- Cudownie! - Win wskoczył na podest i potrząsnął energicznie dłonią Garretta. - Wspaniale się dziś wieczorem spisałeś, paniczu Garrett. - Okręcił się, chwycił drobną rączkę Amalie, na co dziewczynka się rozchichotała, uniósł tę jej kończynę do ust i powiedział: - I pani też, panno Amalie. Jesteście oboje znakomitymi modelami i wysoko cenię sobie waszą współpracę. Zachowywaliście się wyjątkowo grzecznie i już się cieszę na wyniki naszego wspólnego przedsięwzięcia.

Gladys patrzyła na nich rozpromieniona. Natomiast Belle wręcz przeciwnie.

- Ale ja nie chcę tu siedzieć jeszcze przez godzinę! - wykrzyknęła w końcu.

Wszyscy odwrócili się i zagapili na nią, a ona poczuła się jak idiotka. Ale przynajmniej udało jej się zwrócić na siebie uwagę. Win rzucił Belle gniewne spojrzenie. Odpowiedziała mu tym samym.

- Jestem zmęczona - oznajmiła niezachwianie.

- Ale pani obiecała - powiedział. - Obiecałam, że będę panu pozowała, ale nie mówiłam, że zostanę tu na całą noc!

- Nie musi pani zostawać na całą noc! - Głos miał taki, jakby go doprowadzała do rozpacz. I minę też miał taką. - Na miłość boską, panno Monroe, sama pani widziała, jaki tu jest ruch w ciągu dnia. Wieczór to praktycznie jedyna pora, kiedy można robić zdjęcia!

Trele- morele.

Niestety miał rację. Belle zerknęła na Gladys i chyba na twarzy tej zacnej kobiety

dostrzegła ociupinę rozczarowania. Cudownie; Nie tylko wyszła na idiotkę, ale do tego na idiotkę, która nie liczy się z innymi.

Z uczuciem, że sam los sprzysięga się przeciw niej, i bardzo tym urażona, ustąpiła.

- Och, świetnie. Zostanę jeszcze na godzinę.

- Nie rozumiem, dlaczego robi to pani z taką niechęcią - mruknął Win zrzędlawie.

- Dzieci się dobrze bawią. Czemu pani nie potrafi się bawić?

- To świetna zabawa - zgodziła się Amalie.

- No - przytaknął Garrett. - Cała kupa zabawy. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć te zdjęcia.

Gladys milczała, a Belle wdzięczna jej była za okazane względy. Usiłowała przywołać na twarz sympatyczny wyraz, ze względu na Gladys.

- Nic mi nie będzie. - Jej uśmiech musiał chyba bardziej przypominać jakiś grymas. - I nie zostanę tu dłużej niż godzinę. - Posłała Winowi mordercze spojrzenie i zapytała przez zaciśnięte zęby: - Prawda?

- Och, na litość... - warknął Win, po czym wessał z galon albo i dwa powietrza w płuca. - Nie. Nie zatrzymam pani dłużej niż godzinę. I odprowadzę panią pod same drzwi pani pokoju hotelowego.

- Mamy apartament w Congress - poddała usłudze Gladys.

Win uśmiechał się do niej całkiem przyjaźnie. Belle niemożliwa tego pojąć. W końcu to ją tutaj zatrzymywano i prześladowano... czytaj: fotografowano.

Garrett, Amalie i Gladys pomachali im na do widzenia, wychodząc z pawilonu. Belle też pomachała w odpowiedzi; miała wrażenie, że opuścił ją ostatni na świecie przyjaciel.

Sądząc po spojrzeniu, jakie rzucił jej Win, kiedy drzwi do pawilonu się zamknęły, on czuł się tak samo.

Na miły Bóg, to nie było sprawiedliwe. Ktoś mógłby pomyśleć sobie, że to Belle robi trudności, a przecież nie robiła. A nawet oddawała mu przysługę. Za sto dolarów.

Do licha. Po raz pierwszy w życiu Belle zastanowiła się, czy ci, którzy twierdzą, że miłość do pieniędzy jest przyczyną wszelkiego zła, nie mają aby racji.

8

- Nie - mówiła Belle, idąc rankiem po Midway obok Gladys - to wcale nie było takie przykre. - Wczorajszy wieczór męczeństwa miała już za sobą i teraz pragnęła, by ktoś pochwalił ją za poświęcenie, chociaż po kilku pierwszych minutach pozowania przestała odnosić wrażenie, że się poświęca.

- Cieszę się, kochanie. Gryzło mnie sumienie, że tak cię zostawiłam.

- Mnie też - przyłączyła się do matki Amalie, chociaż wcale nie wyglądała na kogoś, kogo gryzie sumienie. Podskakiwała u ich boku, promienna i pełna zapału jak zawsze, a jej niebieskie oczy połyskiwały.

W rzeczywistości Belle miło spędziła czas sam na sam z Winem. I wstydziła się tego. Traktował ją jak kogoś wyjątkowego, co było nowością w życiu panny Monroe. Przez całe rano łamała sobie nad tym głowę, bo przecież zgodnie z wpojonymi w dzieciństwie zasadami, takie traktowanie nie powinno jej, na Boga, zaskakiwać. Uczono ją zawsze, że damy z Południa są kimś wyjątkowym i dlatego dżentelmeni z Południa traktują je z rewerencją. Ale to Win Asher, zatracony Janke, zwrócił Belle uwagę na ogólny brak rewerencji w stosunku do jej osoby. Trele-morele. Mimo wszystko była to jednak miła odmiana dla Belle.

A już naprawdę cudowne było to, że kiedy skończyła pozować, zabrał ją na diabelski młyn. Po prostu się zachwyciła. Oprócz nich w gondolach siedziało pięćdziesiąt osiem innych osób i fakt ten rozpraszał wszelkie obawy, że w rozrywce mogło być coś niestosownego, chociaż siedzieli dosyć blisko siebie. Belle aż coś łaskotało w środku za każdym razem, kiedy o tym pomyślała. Wiedziała, że to niedobrze, i starała się łaskotki opanować, ale nie mogła.

Spędziła z Gladys i dziećmi miły poranek, zapoznając się z widokami, odgłosami

i smakami, oferowanymi przez Wystawę Columbię. Belle zachwyciła się zwłaszcza afrykańską wioską z plemieniem zuluskich wojowników. A może to zresztą nie byli wojownicy. Ale wyglądali na egzotycznych i groźnych, obojętne czym byli.

- O rany, jakbym chciał być Afrykaninem - wyszeptał Garrett, który z wypiekami na policzkach wpatrywał się okrągłymi oczami w gigantyczne dzidy, trzymane przez Zulusów.

- Dobry Boże, Garrett! - wykrzyknęła Belle zdumiona. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby ktoś z własnej woli mógł zrezygnować z cywilizacji na rzecz barbarzyństwa.

Przyjrząwszy się uważniej wojownikom, doszła do wniosku, że potrafi zrozumieć, dlaczego ich życie mogło się małemu chłopcu wydawać pociągające. Biegałby sobie praktycznie nago, zachowywał się jak skończony dzikus, zabijał dzikie zwierzęta, snuł naciągane opowieści o swoich bohaterskich wyczynach, a ludzie chwaliliby go zamiast zmuszać, by zmieniał ubrania, kąpał się i grzecznie się zachowywał.

Kiedy mieszkała w Georgii, nigdy jej przez myśl nie przeszło, że ludzie, którzy żyją inaczej, mogą sobie swój sposób życia cenić równie wysoko, jak ona ceniła swój. Niemalże zaczęła mieć lepszą opinię o Jankesach. Nadal była jednak przekonana, że obojętnie gdzie zamieszka, będzie wolała żyć w otoczeniu ludzi o dobrych manierach, którzy będą się liczyli z innymi.

Od jeziora Michigan wiał lekki wiaterek, przynosząc słonawy zapach otwartego morza, a przynajmniej tak się bujającemu w obłokach umysłowi Belle wydawało. Widziała już parę razy ocean, ale jezioro robiło równie wielkie wrażenie jak Atlantyk, o ile nie większe. Mewy i inne morskie ptaki najwyraźniej też tak uważały, bo się nad Michigan gnieździły. Widywało się tam również kaczki i gęsi, i bardzo wiele innych ptaków, które zlatywały się na teren Wystawy w poszukiwaniu jedzenia. Resztek nie brakowało, bo na ziemi leżało mnóstwo okruchów chleba i ziaren prażonej kukurydzy, które przez cały dzień i praktycznie przez całą noc rzucali odwiedzający targi.

Zbuntowany umysł Belle postanowił skupić się na jednym temacie i wrócił do diabelskiego młyna. Panna Monroe westchnęła rozmarzona.

- Co się dzieje, Belle?

Belle odwróciła się do Gladys i z zażenowaniem przekonała się, że ta śliczna dama bacznie jej się przygląda.

- Och, nic takiego - powiedziała, siląc się na bez troskę. - Myślałam tylko o...

Gladys przez chwilę milczała. Amalie i Garrett tak byli zajęci podziwianiem widoków i odgłosów, że nie zwracali najmniejszej uwagi na dorosłych. Pan Richmond udał się do jakiegoś biura gdzieś na terenie Chicago, żeby tam robić interesy, tak więc panie zostały tego dnia same z Garrettem. Belle bardziej odpowiadał taki stan rzeczy. Mężczyźni tylko przeszkadzali. Większość mężczyzn. Przez większość czasu.

Poprzedniego wieczora Win Asher wcale nie przeszkadzał. Właściwie nawet zdecydowanie uprzyjemniał Belle wieczorną zabawę.

- Pan Asher to przystojny mężczyzna, Belle. Od uwagi Gladys pannie Monroe w uszach aż zagrzmiało. Wzdrygnęła się, gwałtownie odwróciła głowę i zagapiła się na swoją chlebodawczynię.

- Słucham?

Gladys słodko się uśmiechnęła.

- Przecież mnie słyszałaś, Belle. Powiedziałam, że uważam pana Ashera za bardzo przystojnego mężczyznę. Poza tym wygląda mi na to, że jego interes prosperuje i że ma bardzo obiecujące widoki na przyszłość, zwłaszcza że pracuje w niezwyklej branży. Dziewczyna nie wyszłaby na tym źle.

Jaka dziewczyna? Belle wpatrywała się w swoją chlebodawczynię, mrugając powiekami, niepewna, czy dobrze rozumie, o co Gladys chodzi. A chociaż nie zwykła była się powtarzać, umysł miała bystry i w normalnych warunkach obrotny język, przez chwilę nie umiała wymyślić nic innego niż jeszcze jedno: „Słucham?”.

Gladys czule ujęła Belle pod rękę.

- Belle, Belle, przez całe rano snułaś się po domu. Mam nadzieję, kochanie, że

będziesz się pilnować i za bardzo nie stracisz głowy dla tego fotografa. Przynajmniej dopóki się więcej o nim nie dowiemy. Wydaje się zycznym człowiekiem, ale w tych sprawach niczego nie można być pewnym. Z radością sprawdzę jego pochodzenie, jeżeli naprawdę jesteś nim zainteresowana.

Belle, bardziej przerażona niż zaskoczona, przez kilka sekund zdolna była wyłącznie do wpatrywania się w Gladys. Na szczęście dzieci chyba nie interesowały się tą rozmową, bo pochłonęła je obserwacja dwóch pawi, które właśnie rozkładały ogony przed przechadzającą się w pobliżu pawicą.

Trwało to prawie pełne trzydzieści sekund, zanim Belle pozbierała rozpierzchłe zmysły i wybuchnęła:

- Na litość wszystkiego co święte, pani Richmond! Co pani przyszło na myśl?

Gladys westchnęła.

- Przepraszam, kochanie. Nie zamierzałam cię denerwować. Ale wydawało mi się, że zauważam u was pewne obustronne zainteresowanie.

Pogoda była typowa dla letniego chicagowskiego poranka, już wilgotna i całkiem ciepła. Belle poczuła, że musi sobie powachlować twarz, która zaczęła palić ją żywym ogniem. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby z czubka nosa albo brody buchnęła jej para. Pogrzebała przez chwilę w torebce, znalazła wachlarz, a potem energicznie się nim posłużyła.

- Na litość, pani Richmond...

- Czy zechciałabyś zwracać się do mnie po imieniu, Belle? Pani Richmond to moja teściowa, a choćby była ona wzorem cnót wszelkich, ja tą damą nie jestem. - Tu Gladys ewidentnie się wzdrygnęła. - Poza tym - dodała takim tonem, jakby czuła się niemal boleśnie urażona - uważam, że jesteśmy czymś dużo więcej niż chlebobawczynią i jej pracownicą, Belle. Chciałabym, żebyś uważała mnie za swoją przyjaciółkę.

Belle może roześmiałyby się - zapewne zgodnie z intencją Gladys - gdyby nie to, że nadal czuła się wstrząśnięta.

- Ale, pani... to jest Gladys, zapewniam panią, że wcale nie interesuję się panem Asherem. Podobnie jak on - uzupełniła, dokładając starań, by w jej głosie nie było słychać rozgoryczenia - nie interesuje się mną.

- Co tylko powiesz, kochanie. - Gladys poklepała ją po ręce. - Ale ja mam oczy. A gdyby okazało się, że jego zamiary nie są honorowe, chcę, byś mi o tym powiedziała, Belle. Proszę, obiecaj mi to.

- Co? - Belle, nienawykła do wydawania głośnych okrzyków w miejscach publicznych, poczuła się skonsternowana tym, co właśnie zrobiła. A jej konsternacja jeszcze wzrosła, kiedy ludzie zaczęli się oglądać.

- O rany, panno Monroe, czy uządliła panią osa? - Ta perspektywa bardziej wydawała się Garretta fascynować niż martwić. - Czy mogę zobaczyć?

Amalie dała bratu klapsa w ramię.

- To nie było miłe, Garrett! - I zanim Belle zdążyła przywołać ją do porządku i skarcić, że w jej obronie uciekła się do przemocy, Amalie podniosła na nią oczy ze szczerym zatroskaniem. - Co się stało, panno Monroe? Czy uządliła panią osa?

Belle z przyjemnością powiedziałaaby jej, co się stało, ale nie wiedziała, jak to wyrazić. Słowa kłębiły jej się w głowie i nie chciały ułożyć się w żadne spójne zdanie.

- Ja... to jest... hmmm...

- Nic się nie stało, dzieci - powiedziała Gladys, litując się nad Belle.

- Diabelnie dużo hałasu o takie nic - zrzędził Garrett obrażonym tonem.

Amalie uderzyła go znowu.

- Nie mów „diabelnie”, Garrett! To jest przekleństwo! Garrett uniósł rękę, by siostrze oddać, i Belle ocknęła się

z otępienia. Jej dłoń wystrzeliła do przodu jak błyskawica. Chwyliła Garretta za przegub, zanim zdążył uderzyć Amalie na środku Midway.

- Dość tego, Garrett.

- Ale to ona zaczęła!

- Tak, kochanie, wiem. - Belle odwróciła się i ściągając brwi, spojrzała na

Amalie, której buzia przybrała wyraz oślego uporu. - Amalie, to niegodne damy, żeby bić kogoś, zwłaszcza jeżeli nic ci nie zrobił.

- Ale on powiedział...

- Dość tego. - Belle puściła przegub Garretta, uważając, że już go poskromiła. - Nigdy nikogo nie bij, Amalie. To niegodziwe i niegrzeczne, rozczarowałam mnie.

- Podobnie jak i mnie - dodała matka Amalie. Zawsze służyła Belle mocnym poparciem w sprawach dyscypliny, chociaż sama nie potrafiłaby zapanować nad dziećmi, nawet gdyby miała elektryczny oścień do poganiania bydła, jaki widziały na ekspozycji rolniczej.

Wyraz oślego uporu na buzi Amalie niewiele się zmienił. Przekonawszy się, że Amalie została poskromiona, chociaż nie jest z tego zadowolona, Belle skupiła się na Garrecie. - A co do ciebie, młody człowieku, powinieneś się wstydzić. Dżentelmen, niezależnie od tego, jak bardzo się go wyprowadzi z równowagi, nigdy nie uderzy damy.

- Właśnie pani sama powiedziała, że ona nie jest damą - zwrócił jej uwagę Garrett, naburmuszony. - Jest tylko nieznośną smarkułą.

- Wcale nie!

- Właśnie że tak!

- Wcale nie!

Usiłując zapobiec dalszej bezcelowej kłótni, Belle chwyciła Amalie na rękę.

- Cisza, jedno i drugie!

- Popieram! - Gladys nachmurzyła się z całą surowością, na jaką pozwalała jej łagodna natura, i chwyciła Garretta za rękę. Usiłował się wyrwać, ale trzymała go mocno. - Nie, młody człowieku. Jeżeli nie potrafisz zachowywać się tak, by nie przynosić wstydu swoim rodzicom, będę cię prowadziła za rękę, dopóki się tego nie nauczysz.

Garrett wydał odgłos przypominający skrzyżowanie łkania z warczeniem i zrezygnował z oporu. Belle starała się nie uśmiechać, ale rozpoznała w jego wyrazie

twarzy najwyższego lotu frustrację. Była również niesłychanie wdzięczna dzieciom, że przerwały rozmowę, która zaczynała ją w najwyższym stopniu niepokoić.

Przeraziła się, że jej osobiste uczucia dla Wina Ashera mogą aż tak rzucać się w oczy, przynajmniej w przypadku Gladys. Chociaż oczywiście żadnych osobistych uczuć do tego człowieka nie żywiła. To prawda, że świetnie się w jego towarzystwie wczoraj wieczorem bawiła, ale wcześniej zdarzało jej się już świetnie bawić z wieloma innymi młodymi ludźmi. W końcu, jako panna z rodziny Monroe z Blissborough, cieszyła się popularnością wśród kawalerów z Blissborough i okolicznych miasteczek oraz wsi.

Niestety prawdą było również to, że jej rodzina nie miała pieniędzy, a tylko stare i szacowne nazwisko. O Belle starało się bardzo wielu panów. Fakt, że żaden z tych panów jej nie zainteresował - a nawet uznawała ich za nieciekawych i płytkich - nie znaczył nic poza tym, że Belle ma wysokie wymagania.

A każda młoda dama z Południa popadłaby w głębokie omdlenie na samą myśl o tym, że mogłaby stracić głowę dla Jankesa.

Niemniej jednak Belle popełniła tego ranka czyn tak ekstrawagancki, że przyprawił ją o palpitacje serca: nie założyła gorsetu. Uśmiechała się teraz w duchu, myśląc, że tego akurat dnia żadnych omdleń nie będzie.

Zamierzała tylko odrobinę poluzować sznurówki. Ale zapowiadał się okropnie upalny i wilgotny dzień i Belle, rozważywszy sprawę, postanowiła zdobyć się na skandaliczny krok i pożegnać się z tym fragmentem garderoby. Przeważona była niemal śmiertelnie przez pierwszą godzinę czy dwie, dopóki nie Uświadomiła sobie, że chyba nikt nie zwrócił uwagi, jak szokująco wygląda.

Bez gorsetu żyło się zdecydowanie wygodniej. Oczywiście pomogło to, że Belle miała szczupłą figurę i żadnych szpecących wałków tłuszczu, które, wystawione na widok publiczny, mogłyby jej przynieść wstyd.

Pani Richmond z dziećmi i Belle przechadzali się razem po Midway Plaisance i kierowali się w stronę pawilonu Wina. Kontynuowali przez kilka jeszcze minut spacer

w nowej konfiguracji: Belle trzymała Amalie w ramionach, a matka Garretta prowadziła go za rękę. Kiedy w końcu Gladys się znowu odezwała, Belle nie była zachwycona, słysząc, co ma do powiedzenia.

- Przepraszam, jeżeli wyprowadziłam cię z równowagi, Belle. Gdybyś chciała ze mną o czymkolwiek porozmawiać, nie wyłączając pana Ashera, nie krępuj się, proszę. - Popatrzyła na Belle tak wymownie, że ta poczuła, iż znowu się czerwieni.

- Naprawdę, Gladys, nie ma o czym mówić - wymamrotała pod nosem, żałując, że sama nie może w to uwierzyć. Bo prawda była taka, że przez ostatnie kilka dni myślała o Wi- nie Asherze bez przerwy. Wierzyła głęboko, że te najskrytsze myśli znane są tylko jej; nie miała pojęcia, że Gladys przypadkiem odkryła jej tajemnicę.

Gladys ciągle patrzyła na Belle, która widziała, że chlebodawczyni jej nie wierzy, i mało się ze wstydu nie spaliła. Uśmiechnęło się do niej szczęście, bo wypatrzyła pawilonik, na którego widok myśli jej pobiegły całkiem nowym torem.

- Och, spójrzcie tylko! - Ponieważ trzymała Amalie na rękach i przebywała na Północy, gdzie nie mogli zobaczyć jej rodzice, pokazała palcem. - To pawilon wróżki, Madame Esmeraldy!

- Rzeczywiście - potwierdziła Gladys takim tonem, jakby nie bardzo rozumiała, czemu akurat pawilon wróżki tak fascynuje Belle.

- Poznałam w pawilonie pana Ashera młodą kobietę, która tam pracuje. Wieczorami tańczy w Little Egypt, a w dzień wróży. - Przerwała, zastanawiając się, czy nie powinna podzielić się przynajmniej częściowo wrażeniem, jakie początkowo zrobiła na niej ta młoda kobieta.

- Naprawdę? - zapytała Gladys z zainteresowaniem, więc Belle kontynuowała opowieść i opisała swoim towarzyszom bardzo żywo strój, jaki panna Finney miała na sobie podczas ich spotkania. Pomięła fakt, że pannie Finney zdarza się przeklinać, bo aż cierpła za każdym razem, kiedy przeżywała ten incydent na nowo.

- A co robi taka wróżka? - zapytała Amalie.

- No cóż - powiedziała Belle zadowolona z obrotu sprawy. Naprawdę nie miała

ochoty rozmawiać z Gladys o Winie Asherze. - Są ludzie, którzy twierdzą, że potrafią odczytać przyszłość z czyjejs dłoni albo z kryształowej kuli. Wydaje mi się też, że rozkładają karty różnego rodzaju i twierdzą, że potrafią z ich układu odczytać przyszłość.

- Z kart? - zakpił Garrett. - To jak mi wyjdą dwa króle, mam rozumieć, że będę rządził Ameryką?

- To są inne karty - wyjaśniła mu matka. - Wydaje mi się, że na kartach, jakich używają wróżbiarze, są odmienne obrazki- Och. - Garrett popatrzył gniewnie na swoją rękę; matka nadal mocno trzymała ją w uścisku, z którego nie potrafił się oswobodzić. Belle domyślała się, że nie jest zachwycony, iż tak zręcznie rozprawiła się z jego sarkastyczną uwagą.

- A czy wróżki naprawdę potrafią przepowiadać przyszłość? - Amalie najwyraźniej była zafascynowana taką perspektywą.

- To wszystko brednie - oznajmił Garrett stanowczo. - Tak powiedział papa.

- Hmm - mruknęła Gladys, jakby nie była gotowa z równą wiarą przyjmować słowa swego męża za święte.

- Jestem pewna, że papa ma rację, Garretcie - powiedziała Belle. - Ale bardzo wielu ludzi wierzy w te przepowiednie, bo uważają, że dzięki nim jakoś uda im się sterować własnym życiem. Albo chcą przygotować się na coś, co, jak sądzą, ich czeka.

- Zaczynało jej się wszystko plątać. - Czy coś w tym rodzaju.

- To chyba bardzo przyjemne - uznała Amalie, przemyślawszy sobie głęboko temat przez chwilę czy dwie.

Jej matka się roześmiała.

- Chyba tak, prawda?

Nawet Garrett poparł je niechętnym:

- Pewnie tak.

- Ojej. - Belle również się roześmiała. - Nie zamierzałam niczego zaczynać.

- Nie - powiedziała Gladys, przebiegle się uśmiechając - miałaś nadzieję coś

skończyć, prawda?

Zanim Belle zdążyła odpowiedzieć, Amalie zawołała:

- Chodźmy i niech nam powróżą, mamó! Nawet jeżeli to nieprawda, będzie świetna zabawa. - Belle gotowa była ucałować to kochane dziecko, które znowu wybawiło ją z delikatnej sytuacji. Zerknęła na Gladys. Ta odpowiedziała jej takim samym zerknięciem, a potem wzruszyła ramionami.

- Czemu nie? Jak powiada Amalie, to może być świetna zabawa. -

Niewykluczone.

- I kosztuje tylko pięć centów - zwrócił im uwagę Garrett, odczytawszy z wiszącego przy pawilonie szyldu, ile kosztuje wróżenie z ręki.

To musi być bardzo miłe uczucie, kiedy człowiek może wyrzucić bez zastanowienia pięć centów w błoto, pomyślała Belle. Chociaż teraz, kiedy miała pracę, stać ją chyba na to, by zapłacić pięć centów za jakąś bzdurę i nie odczuwać z tego powodu wyrzutów sumienia. Ucieszyła się na tę myśl.

- No to chodźmy do środka. - Postawiła Amalie na ziemi. Dziewczynka nie była duża, ale nawet niewielki tobołek po jakimś czasie robi się ciężki. - Ciekawa jestem, co panienkę czeka w przyszłości, panno Amalie.

- Czy myśli pani, że ona powie, że wyjdę za męża i będę miała dzieci tak jak mamą? - Amalie w podskokach kierowała się do pawilonu.

Belle już miała odpowiedzieć dziewczynce, kiedy tak nagle ogarnęło ją złe przecucie. Bez zastanowienia dobiegła do Amalie i chwyciła ją znowu na rękę.

- Jedną chwileczkę, kochanie. Pozwól, żebym tam najpierw do środka zajrzała.

Błyskawicznie przekazała Amalie w ręce matki. Potem z mocno bijącym sercem położyła dłoń na klamce. Obejrzała się przez ramię i spróbowała się uśmiechnąć.

- Pójdę przodem i upewnię się, czy panna Finney jest wolna. Dobrze?

Jak tylko otworzyła drzwi, zrozumiała, że przecucie jej nie myliło. Uderzył ją przerażający widok. Jakiś olbrzymi mężczyzna przyciskał Kate Finney do ściany pawilonu, obiema dłońmi trzymając biedną dziewczynę za gardło.

- Gadaj! - warczał mężczyzna. Pokój przesycony był obrzydliwym zapachem whiskey i potu.

Kate coś zabalgotała. Nie zastanawiając się, a już na pewno nic nie mówiąc, Belle rzuciła się ku tym dwojgu z uniesioną w górę parasolką. Nieszczęsna dziewczyna pewnie słowo nie była w stanie wykrztusić, kiedy ten kolos uciskał jej tchawicę.

- Niech pan przestanie! - wrzasnęła Belle. I z całej siły opuściła parasolkę na głowę mężczyzny.

Mężczyzna Stęknął, chwiejnie się cofnął i puścił Kate, która osunęła się na podłogę. Belle nie wahała się ani chwili. Ponownie uniosła parasolkę i uderzyła go, tym razem w bok głowy, ponieważ w ten sposób mogła zadać silniejszy cios. Mężczyzna zachwiał się i znowu Stęknął.

Zabierał się właśnie do potrząsania głową, chcąc zapewne pozbyć się szumu, wywołanego nadmiarem whiskey oraz kontaktów z parasolką, kiedy Kate powoli podniosła się z podłogi. Usiłowała coś powiedzieć, ale wydobyła z siebie tylko jakieś zduszone skrzeknięcie. Belle zamachnęła się znowu parasolką i przekonała się, że przy tym drugim uderzeniu ją złamała. Parasolka zatrzepotała komicznie.

- Tam do licha! - krzyknęła Belle.

- Ty suko! - ryknął, odzyskując częściowo zmysły, mężczyzna. Zamierzył się na Belle.

A niech to gęś kopnie! Ledwo zdążyła zastanowić się, jak może się bronić. Złamana parasolka zafurkotała, kiedy Belle zrobiła tę jedną jedyną rzecz, jaką w danej chwili udało jej się wymyślić. Użyła parasolki jak lancy. Złamana rączka właściwie mężczyzny nie zatrzymała, ale kiedy wbiła mu się w brzuch, musiało to porządnie zabołeć.

Nadziawszy się z impetem na parasolkę, ryknął z bólu i pchnął pannę Monroe na przeciwległą ścianę pawilonu. A potem Belle straciła rozeznanie w sytuacji. Przez kilka sekund olbrzym groźnie wznosił się nad nią jak jakiś potwór, a potem znowu ryknął. Belle wydało się, że jego oblicze na jedną sekundę ohydnie się wykrzywiło, a zaraz

potem zniknęło. Przylepiona plecami do ściany wpatrywała się w śmiertelnie pobielającą twarz Kate Finney, która w obu dłoniach trzymała zakrwawioną kryształową kulę.

Dwie kobiety stały i patrzyły na siebie szeroko otwartymi oczami jak skamieniałe; Belle pojęcia nie miała, jak długo to trwało. Wreszcie do jej oszołomionego umysłu przedarły się ze świata zewnętrznego jakieś głosy.

- Belle! Dobrze nieba! Belle!

Belle musiała swoim zmysłom wydać kilka stanowczych i coraz bardziej kategorycznych poleceń, zanim pozwoliły jej odwrócić głowę. W drzwiach pawilonu stała Gladys i wpatrywała się w zdewastowane wnętrze, a na jej twarzy wyraźnie malowała się groza. Garrett i Amalie tkwili obok matki tak zaszokowani, że znieruchomieli.

Kate Finney i Belle przeniosły spojrzenia na mężczyznę, który bez przytomności leżał na podłodze. Belle żałowała, że nie może go zastrzelić, by ten jego stan nie uległ zmianie. Ale, co za pech, nie miała żadnej broni. Co gorsza, taki dobroczynny uczynek mógłby zostać przez władze uznany za niezgodny z prawem.

Odchrząknęła.

- Hmm, Garretcie, czy zechciałbyś pobiec i sprowadzić strażnika? - Usłyszawszy swój głos, zdziwiła się, bo jakoś nie brzmiał właściwie. Był piskliwy i bezosobowy, jakby wcale nie należał do kobiety, która przed chwilą dwa razy zdzieliła jakiegoś mężczyznę parasolką po głowie, a potem dźgnęła go tym samym przyrządem w brzuch. Usłyszała głuchoe stuknięcie, a kiedy popatrzyła w dół, zobaczyła, że to parasolka wypadła jej z rąk i odbiła się od stóp rozciągniętego na podłodze człowieka.

- Eee... co? - Garrett robił takie wrażenie, jakby nie był w stanie oderwać wzroku od nieprzytomnego mężczyzny. - Co się stało?

Pierwsza odzyskała rozum Gladys. I ostro natarła na syna.

- Wyjaśnienia mogą zaczekać, Garretcie Erneście Richmond. Przynajmniej raz bez dyskusji zrób to, o co się ciebie prosi. Idź po strażnika. Natychmiast! W tej chwili!
- Pogoniła Garretta energicznym klappsem w tylną część ciała.

Amalie przeskoczyła przez mężczyznę i popędziła prosto do Belle. Belle ledwo zdążyła powstrzymać dziewczynkę, która już miała uderzyć w jej nie chronioną gorsetem talię. Chwyając Amalie w ramiona, nie przestawała wpatrywać się w Kate.

W końcu Kate się odezwała. Uniosła dłoń do gardła, gdzie jaskrawo czerwone ślady dawały świadectwo krzywdzie, jaką wyrządził jej ten mężczyzna, i wychrypiała:

- Dziękuję pani.

Potem usiłowała odchrząknąć i się skrzywiła. Belle ze współczucia również się skrzywiła.

- Ależ nie ma za co. - A ponieważ się o tę biedną dziewczynę martwiła, dodała: - Niech pani nie próbuje nic mówić. My... my... - Nie miała pojęcia, co „my”, więc przerwała, szukając jakiegoś sensownego słowa. Herbata. Jaka szkoda, że nie ma gorącej, słodkiej herbaty, by poczęstować nią Kate.

Gladys ominęła ostrożnie powalone ciało, podeszła do Belle i łagodnie położyła jej dłonie na ramionach.

- Na miłość boską, co tu się stało? Czy potrzebujesz pomocy, Belle?

Belle potrząsnęła głową.

- Nie. To panna Finney doznała obrażeń. - Przytuliła Amalie mocno, wdzięczna, że może się czegoś przytrzymać. - Ten człowiek próbował ją... próbował ją udusić.

- Dobrze nieba! - Czułe serce kazało Gladys znowu obejść ciało, tym razem w odwrotnym kierunku. Wyciągnęła ręce i zdążyła chwycić Kate, zanim ta osunęła się na podłogę. - On próbował panią udusić? Kto to jest? Dlaczego miałby coś tak straszego pani zrobić?

Belle, zobaczywszy po raz pierwszy Kate Finney, uznała, że dziewczyna jest twarda i bystra, i cwana. Poczula się wstrząśnięta, widząc, że wtula się w ramiona Gladys i wybucha płaczem. Jeszcze bardziej poczula się wstrząśnięta, kiedy usłyszała jej odpowiedź na pytanie Gladys.

- To jest mój oj... ojciec - wyjąkała Kate przez łzy. Gladys tuliła ją mocno i przerażonym wzrokiem spoglądała na Belle.

Belle Zrobiło się głupio, bo jej własne oczy również zaczęły przeciekać. - Matko kochana. - Zasłyszana wcześniej rozmowa Kate z Winem Asherem nabrała teraz nowego i straszliwego znaczenia. - Próbował znaleźć pani matkę?

Kate, nadal łkając tak, jakby jej serce miało pęknąć - Belle pomyślała sobie, że pewnie naprawdę pęka - kiwnęła głową. Wykrztusiła żałośnie:

- Tak. Nie chciałam mu powiedzieć.

- Dobry Boże. - Komentarz Gladys ledwie dało się słyszeć. Win Asher i strażnik, w nieskazitelnym mundurze o kroju

wojskowym, z ogromnymi jak u morsa wąsami, przybyli do pawilonu w odstępnie kilku sekund. Pierwszy pokazał się strażnik.

- No dobrze, co tu się właściwie dzieje? - zapytał energicznie i po wojskowemu przez krzaczaste wąsy.

- Kate!

Win z kolei nie przejmował się żadnymi formami. Prze- skoczył przez leżącego mężczyznę, który zaczynał cicho pojękiwać, i wyrwał Kate z objęć Gladys. Chwytał ją we własne, silne ramiona i mocno przytulił.

- Dobry Boże, Kate, co ten sukinsyn próbował ci zrobić?

Belle poczuła się zazdrosna o Kate Finney, chociaż równocześnie urągała sobie od ostatnich. Na Boga, jakże musi być niegodziwa, by odczuwać zazdrość w stosunku do kobiety, którą niemalże zamordował własny ojciec? Usiłowała o tym nie myśleć.

- To mój ojciec - łkała Kate. - Nie chciałam mu powie- dzieć, gdzie jest mama.

- I dobrze zrobiłaś, Kate. Ale jak się ten łajdak, *do chole-* ry, tutaj dostał?

Wydawało mi się, że portierzy zostali uprze- dzeni i mieli go nie wpuszczać.

Belle zobaczyła, jak oparta o ramię Wina Kate kiwa głową.

- Ale oni mają tak wiele pracy, Win. Nie mogą pilnować każdego, kto przychodzi na Wystawę. - Głos jej boleśnie się rwał, jakby nie mógł przecisnąć się przez opuchnięte gardło

To Kate odsunęła się od Wina, zanim on ją puścił. I zno- wu serce Belle boleśnie

się ścisnęło. I znowu poczuła niesmak do siebie. Dziewczyna potarła szyję. Belle skrzywiła się ze współczuciem. Ostrożnie postawiła Amalie na ziemi.

- Czy nie potrzebuje pani lekarza, panno Finney? Może powinna pani pójść do lekarza.

Win gwałtownie się odwrócił.

- Dobry Boże, nie zauważyłem, że pani tutaj jest!

I wcale nie wyglądał na zadowolonego, że ją widzi. Belle zesznurowała usta, zanim zdołała się powstrzymać. Kate chwyciła Wina za rękę.

- Ona uratowała mi życie, Win. - Popatrzyła na Belle, która zobaczyła, jak te wielkie zielone oczy znowu napełniają się łzami. - Dziękuję pani tak bardzo, panno... panno...

- Niech pani mi mówi Belle, proszę - powiedziała Belle. - I chociaż w jej wnętrzu kłębiło się tyle sprzecznych emocji, uśmiechnęła się do dziewczyny.

- Belle. Uratowała mi pani życie, Belle. Tak bardzo pani dziękuję.

Win wytrzeszczył oczy na Belle, która wyprostowała się i gniewnie na niego spojrzała.

- Co takiego zrobiła? - zapytał.

9

Jak tylko strażnik upewnił się, że popełnione zostało przestępstwo, zawiadomiono Wydział Policji w Chicago. Dwaj policjanci stanęli przed pawilonem Madame Esmeraldy, robiąc notatki. Lekarz, którego dyrekcja targów zaangażowała, by interweniował w nagłych wypadkach, zajrzał Kate do gardła, posługując się szpatułką i małym, elektrycznym światełkiem. Światełko to zafascynowało Garretta. Jego matce i Belle z trudem udało się powstrzymać chłopca, żeby lekarzowi nie przeszkadzał.

141 Win wciąż własnym uszom nie wierzył. Nigdy, w najśmielszych nawet marzeniach - a ostatnio miewał ich niemało - nie wyobrażał sobie Belle Monroe w roli

bohaterki. Ten aspekt jej charakteru wypaczał mu wszystkie poglądy, jakie sobie na jej temat wyrobił. Nie był już pewien, co ma o niej myśleć.

Siedzieli oboje z Belle na fotelach, na których zwykle zasiadali klienci Kate albo Madame Esmereldy podczas wróżenia. Win zerknął na Belle: zaciskała kurczowo leżące na podolku dłonie. Policzki jej spopielwały, kapelusz przekrzywił się lekko na gładkich, ciemnych włosach; zagryzała nerwowo dolną wargę.

Potrząsając ze zdumieniem głową, zamruczał:

- Wciąż jeszcze uwierzyć nie mogę, że zdiełała pani tego skurczybyka po głowie swoją parasolką. - Z rozmysłem wyraził się w taki właśnie sposób, bo chciał zobaczyć, jak Belle zareaguje.

Nie zareagowała jednak tak, jak się spodziewał, co jeszcze bardziej zachwiało jego przekonaniem, że ma do czynienia z afektowaną ślicznotką z Południa, obraną z rozumu i charakteru. Zamiast zaatakować go z płomiennym, wściekłym oburzeniem, odwróciła głowę i zamrugła oczami, jakby już zapomniała o obecności pana Ashera. Win, który od poprzedniego wieczoru, kiedy odprowadził Belle do hotelu, myślał niemal wyłącznie o niej, poczuł ukłucie słusznego oburzenia. A niech to, może i nie jest najwspanialszym okazem mężczyzny na świecie, ale chyba aż tak łatwo nie powinna o nim zapominać, prawda?

- Słucham? - zapytała uprzejmie. Win podniósł wzrok ku niebu.

- Powiedziałem - powtórzył - że wciąż nie mogę uwierzyć, że uderzyła pani tego skurczybyka po głowie swoją parasolką.

Tym razem Belle zareagowała. Ale znowu nie tak, jak się spodziewał.

Zmarszczyła brwi.

- Dlaczego? - zapytała. W odpowiedzi wzruszył ramionami.

- Sam nie wiem. Pewnie dlatego, że wydaje się pani taką potulną młodą niewiastą. Nie spodziewałem się, by miała pani choć odrobinę ikry.

Belle się wyprostowała.

- Och?

Sam nie wiedział, co się z nim dzisiaj dzieje. Zamiast ją przeprosić i inaczej sformułować wypowiedź, co powinien był zrobić - mało tego, chciał - zadrwił:

- Cóż to, panno Monroe? Czy ma pani kłopoty ze słuchem? Belle mierzyła Wina przez chwilę czy dwie gniewnym

spojrzeniem, jakby miała go ochotę rozdeptać niczym jakiegoś robaka albo zbić nową, niezeepsuta parasolką.

- Nie, panie Asher - powiedziała. - Nie mam kłopotów ze słuchem. Natomiast pan najwyraźniej ma kłopoty z dobrymi manierami.

No tak, dała mu po nosie. Zasłużył sobie na to. Westchnął.

- Przepraszam, panno Monroe. Nie zamierzałem być aż tak niegrzeczny. Ale kiedy zobaczyłem Kate z czerwonymi śladami na szyi i tego skurczy... - Ugryzł się w język w samą porę i głęboko odetchnął. - To było wstrząsające.

- Tak - zgodziła się Belle lodowatym tonem, - Ja również odniosłam takie wrażenie, kiedy weszłam tutaj i zobaczyłam, jak on ją morduje.

Wina przeszedł dreszcz.

- Boże, to musiało być okropne.

Belle głośno zaczerpnęła powietrza. Win żałował, że się tak podle w stosunku do niej zachował. Szczerze mówiąc, wpadając do pawilonu Kate, nie posiadał się ze szczęścia. Ale jak tylko zobaczył panujący wewnątrz chaos, jego dobry nastrój prysnął i się ulotnił, i od tego czasu aż kipiało w nim od poczucia krzywdy z pewną domieszką dąsów.

- Niech pani posłucha - zwrócił się do Belle. - Naprawdę bardzo jest mi przykro. Dokonała pani szlachetnego czynu i należy się pani ode mnie medal, a nie pyskowanie.

- Nieoczekiwałam, by miała mu przebaczyć, nie leżało to chyba w jej charakterze, chociaż co w nim leżało, nie potrafiłby już powiedzieć. Spodziewał się raczej, że wygłosi mu kazanie, jak wypada zachowywać się w towarzystwie.

Belle milczała przez chwilę. Win przyglądał jej się ukradkiem: nie lubiła chyba, kiedy się otwarcie na nią gapił. Nadal zaciskała dłonie, jakby usiłowała je skłonić do

tego, żeby się nawzajem podusiły. Kilka razy głęboko zaczerpnęła powietrza, potem zwróciła swoją przepiękną, bladą twarz w jego stronę.

- To musiało być dla pana straszne, kiedy zastał pan swoją... swoją przyjaciółkę w takim stanie, i to z tak okropnego powodu. - Przeszedł ją dreszcz. - Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak to jest, jeżeli ma się takiego człowieka za ojca.

- Ja również nie. - Win porównał swojego ojca, zamożnego, wesołego, dobrotliwego, ogólnie szanowanego lekarza, z osobnikiem, którego policja zabrała karetką więzienną; pozostawało mu tylko Bogu dziękować za swój dobry los. - Mój ojciec prędzej na księżyc by pofrunął, niż podniósł rękę na moją siostrę.

- W rzeczy samej.

Win przyjął, że znaczy to, iż Belle ma podobne zdanie o swoich rodzicach.

- Niełatwo jest dorastać, mając za ojca pijanego, nieokrzesanego drania.

- Tak. - Belle przełknęła. Rozplotła dłonie i natychmiast przesunęła jedną z nich po policzku.

Czyżby płakała? Win przyjrzał jej się bardziej uważnie.

- Panno Monroe, niech no pani posłucha. Wszystko będzie w porządku. Kate jest mocna. Przeżyła do tej chwili i ma głowę na karku.

- Tak. Podziwiam ją.

- No. Ja też. Pewnie pani nie wie, jak to z nią było, ale ten jej ojczulek porzucił swoją rodzinę. Częściej go nie było, niż był, a Kate powiada, że w domu pojawiał się przede wszystkim po to, żeby kraść pieniądze na alkohol, robić kłopoty i bić jej matkę.

Belle znowu się wzdrygnęła. Win doszedł do wniosku, że musi jej zrobić takie zdjęcie. Nazwie je „Piękność w opresji” albo jakoś podobnie.

Nie popatrzyła na niego.

- To miło z pana strony, że zagląda pan do niej w czasie dnia. Musi pan być do niej bardzo przywiązany.

A to co znowu? Ciekawe, czy za uwagą Belle kryje się jakieś ezoteryczne znaczenie. On i Kate byli w pewnym sensie kumplami, lubił tę dziewczynę, ale na tym

koniec. Dużo ze sobą rozmawiali. Win nie należał do krytykantów, a Kate ceniła go za to, że jej nie prawi morałów ani nie wygłasza kazań, jak mogłaby poprawić swoją sytuację materialną, z którą to działalnością radziła sobie całkiem dobrze sama.

Wdzięczna mu była również za jego szczere przekonanie, że nie można jej winić za dziwactwa i złe uczynki ojca.

- Tak - powiedział niepewnie. - Kate i ja jesteśmy przyjaciółmi.

- Rozumiem.

W tym momencie odezwał się lekarz i oboje, Win i Belle, skupili uwagę na nim.

- Będzie panią przez kilka dni bolało gardło, panno Finney, ale wydobrzeje pani.

Tutaj ma pani pastylki do ssania; powinny uśmierzyć ból. Zawierają szantę zwyczajną, na niektórych ludzi działa ona kojąco.

- Dziękuję panu.

Win poczuł się zaskoczony, kiedy Belle się wzdrygnęła, słysząc cichy i ochryply głos Kate. On też mało się nie wzdrygnął, ale nie spodziewał się aż takiej empatii po Belle.

- Wszystko będzie z tobą w porządku, Kate - odezwał się w nadziei, że doda biednej, cierpiącej dziewczynie otuchy. Okropnie mu było żal Kate.

Kate pomachała do niego i się uśmiechnęła. - Dzięki, Win. - Nic więcej nie zdążyła powiedzieć, bo zaczęła gwałtownie kaszleć i skrzywiła się z bólu.

Win skrzywił się ze współczucia. Podobnie jak Belle. I znowu Win poczuł się zdziwiony, chociaż zaczynało mu świtać, że chyba nie docenił panny Belle Monroe.

- Dziękuję pani za zeznanie, panno Finney - powiedział policjant. - Jeżeli przypomni pani sobie coś jeszcze, co mogłoby nam pomóc w prowadzeniu sprawy, proszę nas powiadomić.

- Dobrze - zgodziła się Kate swoim nowym głosem. Wsunęła do ust jedną z pastylek od lekarza i zaczęła ją ssać. Musiały być niesmaczne, bo skrzywiła się znowu.

Win aż podskoczył, kiedy Belle podniosła się z krzesła.

- Pobiegnę i przyniosę pani trochę wody, panno Finney.

- Dzięki. - Kate obdarzyła Belle naprawdę cudownym uśmiechem. - I proszę mówić do mnie Kate.

Policjant podszedł do Belle.

- Jedną chwileczkę, jeśli pani tak łaskawa. Chciałbym spisać pani zeznanie. Może po wodę dla tej młodej damy mógłby pójść ktoś inny.

Belle znowu przełknęła.

- Ale ja...

Przerwała jej Gladys, co spotkało się z wielką aprobatą Wina. Wiedział, że to on powinien był zaproponować, iż przyniesie wodę dla Kate, ale chciał zostać tu i posłuchać, co Belle będzie miała do powiedzenia na temat tego wydarzenia.

- Czy jesteśmy panu potrzebni? Dzieci robią się niespokojne. Może mogłabym przynieść pannie Finney trochę wody, a potem pójść pojeździć z nimi na diabelskim młynie albo coś, kiedy będzie pan przesłuchiwał pannę Monroe.

- Dziękuję pani, Gladys. - Belle obdarzyła Gladys uśmiechem, jaki się marzył Winowi.

- Czy pani coś widziała, madam? - Policjant patrzył na Gladys, marszcząc brwi. Win żałował, że nie zabrał ze sobą przenośnego aparatu, by zrobić mu zdjęcie. Wyglądał dokładnie tak, jak Win wyobrażał sobie policjanta z „Piratów z Penzance”. - Nie. Weszliśmy, kiedy to wszystko... kiedy było już po wszystkim. - Gladys głośno przełknęła. Amalie stała blisko matki, przylepiona do jej spódnicy, natomiast Garrett wpatrywał się w narzędzia lekarza z taką miną, jakby chciał je dostać w swoje ręce.

- No to myślę, że może pani Zabrać dzieciaki, madam - oznajmił policjant i obdarzył ją swoją wersją życzliwego uśmiechu, z którym przypominał dobrotliwego morsa.

Win cichutko pod nosem zaczął pogwizdywać „Los policjanta niełatwy jest”, żeby czymś się zająć, dopóki nie będzie mógł porozmawiać z Kate. Albo z Belle. Z którąś z nich.

Szedł do pawilonu Kate, żeby pokazać jej jedną z fotografii Belle, którą zrobił

poprzedniego wieczora. Taki był podniecony naświetlonymi kliszami, że siedział nad nimi do późna, by je wywołać. Jego przecucie co do Belle się sprawdziło. Bez dwóch zdań była idealną Amerykanką. Zdążył już wpaść do „Globe” i pokazać zdjęcie H. L. Mayowi, temu zaprzyjaźnionemu reporterowi, a H. L. zgodził się napisać artykuł, który będzie towarzyszył fotografii. Powiedział Winowi, żeby nie troszczył się o treść artykułu, bo jakoś powiąże fotografię z targami. Win miał zaufanie do H. L.'a, który znał się na takiej robocie.

Tam do czorta, Win Asher jako fotograf stanął na progu światowej sławy. Nie mógł doczekać się, żeby zademonstrować wszystkim swój objawiający się w fotografiach geniusz.

Wąsaty policjant polizał koniuszek ołówka.

- W porządku, panno Monroe, czy może pani własnymi słowami opowiedzieć mi, co się stało?

- Nie wyobrażam sobie, czyich słów poza własnymi miałabym użyć - zareagowała Belle.

Jej ostry ton wyrwał Wina z rozkosznej kontemplacji coraz bliższej sławy i fortuny. Zerknął na pannę Monroe.

- Oczywiście, proszę pani - mruknął policjant tonem nieco poirytowanym.

- Otworzyłam drzwi...- Przyszła tu pani z wizytą do panny Finney? Czy może chciała pani skorzystać z jej usług?

Dobry Boże, pomyślał Win, brzmi to tak, jakby Belle przychodziła tu na masaże albo coś w tym rodzaju.

Belle najwyraźniej również nie była zadowolona z jego doboru słów.

- My... pani Richmond, dzieci i ja... chcieliśmy dać powróżyć sobie z ręki. - Rzuciła okiem na Kate. - Dla zabawy. Tak naprawdę nie wierzymy... to znaczy, pomyśleliśmy sobie, że to może być dobra zabawa.

- W porządku, Belle. - Kate wyjrzała zza ramienia lekarza. - Ja w to również nie wierzę. - I uśmiechnęła się dzielnie, jak to ona.

Belle w odpowiedzi też się uśmiechnęła. Win zauważył, jak jej ogromne, czekoladowe oczy rozjarzają się w obecności kogoś, kogo lubi. Nigdy tak nie wyglądały, kiedy patrzyła na niego. Z czymś w rodzaju szoku uświadomił sobie, że polubiła Kate, która, zdaniem Wina, całkowicie była do niej niepodobna, a chyba nie lubiła jego, który w pewnym sensie dorównywał jej klasą i wychowaniem. Jeżeli nie brać pod uwagę różnic Północ- Południe, ale to już wyłącznie problem panny Monroe. Win nie dbał o to nic a nic. Mimo woli głęboko westchnął i znowu zaczął pogwizdywać.

Belle odchrząknęła i podjęła wyjaśnianie okoliczności wydarzeń.

- Tak czy owak chciałyśmy dać sobie powróżyć z ręki. Zostawiłam resztę towarzystwa przed drzwiami i otworzyłam je pierwsza, ponieważ... - Przerwała nagle ze skonsternowaną miną.

- Tak, madam? - powiedział zachęcająco policjant.

- Sama nie wiem. Miałam uczucie... no, miałam... przeczucie, że dzieje się tu coś złego. - Uniosła ręce w geście zakłopotania. - Nie potrafię tego wyjaśnić.

- Ja potrafię - doszedł do nich znowu głos Kate.

Belle uniosła głowę, którą wcześniej pochyliła, by wbić wzrok w zaciśnięte dłonie, a przynajmniej tak się Winowi wydawało, i ze zdumieniem spojrzała na Kate.

- Potrafi pani?

- Mój ojciec emanuje złą karmą. - Kate znowu dziarsko się do nich uśmiechnęła. Siniaki na szyi zaczynały się robić fioletowe i Win żałował, że nie może jej w żaden sposób pomóc. Zresztą i tak nigdy by mu na to nie pozwoliła; była cholernie dumna, za bardzo dumna. - Tak to właśnie nazywa Madame Esmeralda: karma. Jeżeli ma człowiek choć trochę wrażliwości, to potrafi wyczuć niegodziwość, zanim się na nią natknie. Ja wyczułam ją, zanim tu wszedł i zaczął mnie dusić.

Belle delikatnie się wstrząsnęła.

- Zapewne o coś takiego chodzi. Karma. - Wypowiedziała to słowo tak, jakby go nigdy wcześniej nie słyszała. Win też go wcześniej nie słyszał.

Policjant popatrzył najpierw na Kate, potem na Belle, potem na Kate, a potem jeszcze raz na Belle. Odchrząknął.

- Rozumiem.

Polizał znowu czubek ołówka i przez dłuższy czas, a przynajmniej tak im się zdawało, gryzmolił coś w notesiku, pomrukując:

- Złe przeczucia.

- Tak - potwierdziła Belle stanowczo. - Zdecydowanie miałam wrażenie, że coś jest nie w porządku. - Zerknęła na Kate. - Zła... No nie, nie mogę zapamiętać tego słowa. Jak pani to nazwała?

- Karma.

- Karma. Tak. To na pewno było to.

- Co to jest karma? - zapytał Win.

- Nie wiem. - Belle wzruszyła ramionami. - Ale obojętne, czym jest, na pewno była zła. Niegodziwa. Wyczułam, że w pawilonie dzieje się coś złego.

- I miała pani rację - wymamrotała Kate. - Dzięki Bogu, że przyszła pani wtedy, kiedy pani przyszła. Uzbrojona w parasol. - Parasolkę - poprawiła ją Belle z roztargnieniem.

Kate skwitowała to machnięciem ręki i nie odpowiedziała.

Policjant wkrótce potem skończył przesłuchiwać Belle, a lekarz skończył zajmować się Kate. Dał jej małą buteleczkę laudanum na bóle, ale Kate odepchnęła ją od siebie, jakby się jej bała. Win znał powody tej niechęci. Tam, gdzie Kate dorastała, ludzie nadużywali wszystkiego, co inni zażywali jako lekarstwa.

Jak tylko policjanci i lekarz odeszli, do pawilonu przyniosło Madame Esmeraldę. To była prawdziwa trąba powietrzna w ludzkiej postaci; Win nie mógł się zdecydować, czy naprawdę jest Cyganką, czy tylko tak doskonale ją odgrywa.

Kiedy wróżka stanęła w drzwiach, Belle podniosła się i rzekła:

- Mam nadzieję, że za dzień czy dwa poczuje się pani lepiej, Kate. Może teraz powinnam już poszukać Richmondów.

Kate podbiegła do niej i objęła ją ramionami. Win widział, że Belle się tego uścisku nie spodziewała, ale jest nim odrobinę zażenowana.

- Nie potrafię pani odpowiednio podziękować, Belle. Gdyby nie pani, pewnie bym już nie żyła, a Bóg jeden wie, co by się wtedy stało z moją matką.

- Z radością pani pomogłam - powiedziała Belle nieco zduszonym tonem.

Najwyraźniej nie była przyzwyczajona do spontanicznych przejawów wdzięczności.

- Gdyby pani albo pani przyjaciele chcieli, żeby wam powróżyć z ręki, po prostu do mnie wpadnijcie. - Kate puściła Belle ku wielkiej uldze tej ostatniej.

- Ale nie dzisiaj - zaintonowała Madame Esmeralda. Albo wierzyła w autoreklamę, albo miała taki tajemniczy głos z urodzenia. A może i nie z urodzenia. - Dzisiaj Kate będzie odpoczywała.

- Dobry pomysł - poparł ją Win. Czuł się już zmęczony tym, że nikt nie zwraca na niego uwagi.

- Ale... - Kate wydawała się niezbyt entuzjastycznie nastawiona do odpoczywania, lecz w końcu ją przekonali. Belle zwróciła dziewczynie uwagę, że matka na pewno ucieszy się, mając ją przez resztę dnia w domu, i Kate podporządkowała się życzeniom Madame.

Kate, Belle i Win wyszli z pawilonu razem i skierowali się w stronę głównego wejścia na Wystawę. Kate niosła w kretonowej torbie swoją kryształową kulę.

- Muszę ją zabrać do domu i porządnie umyć - powiedziała, jakby czyszczenie kryształowej kuli z krwi własnego ojca było dla niej wydarzeniem codziennym.

Belle się wzdrygnęła.

Kiedy doszli do bramy, Win pogrzebał w kieszeniach spodni, znalazł dwadzieścia pięć centów i podał je Kate.

- Trzymaj - mruknął. - Weź dorożkę. Dość już dziś przeszłaś, nie musisz jeszcze maszerować całej mili do domu.

Kate usiłowała zrobić dzielną i niefrasobliwą minę, jak zwykle, ale nie całkiem jej się to udało.

- Już jestem ci winna dwadzieścia pięć centów, Win. Jeszcze trochę, a będziesz miał na własność moją duszę.

- Akurat. Uważaj to za prezent. Do cholery, Kate, pozwólże chociaż raz, żeby ci ktoś pomógł, dobrze?

Kate westchnęła głęboko, potem dotknęła szyi, jakby ją zabolęła od tego westchnienia.

- Dzięki, Win. - Odwróciła się do Belle. - I pani też dziękuję, Belle. Ja... ja... sama nie wiem, jak mam pani dziękować.

Uśmiech Belle był delikatny i słodki, Winowi wszystko w środku wywracało się do góry nogami na jego widok.

- Nonsens. Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo. Ten człowiek... - Tu znowu dreszcz wstrząsnął jej szczupłym ciałem. - Ten człowiek... on był... On był...

- Był moim ukochanym ojczulkiem - dokończyła za nią Kate z gorzką ironią.

I w tym momencie Belle, jakby nie była w stanie już ani sekundy dłużej panować nad swymi uczuciami, wybuchnęła:

- Och, Kate! Tak mi przykro. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak to jest, jeżeli ma się takiego ojca! - Po omacku zaczęła grzebać w torebeczce i wyciągnęła chusteczkę, którą otarła sobie oczy.

Kate zeszywniała. Win wiedział, że nie będzie wdzięczna za okazane współczucie, chociaż zasługiwała na nie jak mało kto.

- Taa, jakoś sobie radzę.

- Dziś nie najlepiej ci szło - zwrócił jej uwagę Win, rozdrażniony, że tak broni się przed troskliwością Belle.

- To prawda - powiedziała Belle, ignorując Wina, który powinien był się tego spodziewać. - Bardzo dobrze sobie pani radzi. Mam poważne wątpliwości, czy na pani miejscu poradziłabym sobie w tych trudnych okolicznościach równie świetnie jak pani.

Po towarzyszach Belle widać było, jak bardzo się zdumieli na jej słowa. Win wytrzeszczył oczy. A Kate zrobiła coś jeszcze bardziej zaskakującego. Zarumieniła się.

Do tej chwili Win nie wiedział, że panna Finney ma na składzie coś takiego jak rumieniec.

- Proszę, niech pani dobrze na siebie uważa, Kate - dodała Belle i wyciągnęła do niej prawą dłoń, na którą Kate spojrzała z zakłopotaniem. - Mam nadzieję, że będziemy z panią Richmond i dziećmi mogli panią wkrótce odwiedzić. Kiedy poczuje się pani lepiej.

Kate z wahaniem ujęła dłoń Belle i potrząsnęła nią.

- No pewno - powiedziała. - Dzięki. - Potem odwróciła się do Wina. - I dzięki za te drobne, Win. Przepraszam, jeżeli odnieśliście wrażenie, że nie jestem wam wdzięczna. Sam wiesz, że jestem.

- Wiem. - Była tak zmieszana, że Win przebaczył jej tę cholerną drażliwość. - Odpocznij trochę, Kate.

- Dobra. - Zawadiacko im zaszalowała, zauważyła dorożkę i przeraźliwie gwizdnęła przez zęby. Win był do tego przyzwyczajony, Belle najwyraźniej nie, bo cofnęła się o krok i wydała jakiś nieartykułowany okrzyk, wyrażający, jeżeli Win dobrze go zrozumiał, zaskoczenie i ból. Od gwizdu Kate człowiekowi bębunki w uszach mogły popękać. Kate jeszcze raz pomachała swoim towarzyszom i ruszyła kłusem, żeby dogonić dorożkarza.

Belle i Win patrzyli w ślad za nią. Win czuł się sfrustrowany. Nie miał pojęcia, co Belle sądzi o sytuacji Kate Finney, postanowił zatem o to zapytać.

- Tak więc dokonała pani bohaterskiego czynu i prawdopodobnie ocaliła życie Kate, panno Monroe. Gratuluje.

Belle odwróciła się i popatrzyła na niego tak, jakby podejrzewała go o ironię. Win poczuł się urażony.

- Mówię serio - oznajmił szorstkim tonem. - Jak pragnę zdrowia, jest pani równie nieznośna jak ona. - Tu machnął ręką w kierunku dorożki z Kate. - Żadna z was od nikogo nie potrafi przyjąć dobrego słowa, jeżeli mu się przedtem bacznie nie przyjrzy.

Belle się zachnęła. Co za zaskoczenie. Win wcisnął ręce do kieszeni i zawrócił na pięcie.

- Chodźmy już, chodźmy. Może mnie pani później zmieszać z błotem. Teraz muszę coś pani pokazać. To dlatego biegłem do pawilonu Kate dziś rano. Chciałem pokazać jej, bo nie miałem pojęcia, kiedy się pani pokaże.

- Nie musi pan tego mówić tak, jakbym się spóźniła na umówione spotkanie - zaprotestowała z oburzeniem Belle. - Proszę pamiętać, że nie ustalaliśmy, o której się dziś spotkamy.

Win kopnął zmiętą papierową torebkę, w której kiedyś był popcorn, i powiedział zrzędlwym tonem:

- Pamiętam.

Belle rzuciła mu zjadliwe spojrzenie, pochyliła się i podniosła papier.

Wyprostowała się, pomaszerowała prosto do kosza na śmieci i wyrzuciła torebkę.

Kiedy się znowu odwróciła, stanęła jak *wryta*, widząc, że Win się na nią gapi.

- O co chodzi? - zapytała z niepewną miną. - Na co pan tak patrzy?

Win zmobilizował się i otrząsnął z osłupienia. - Na panią. Dobry Boże, pani się zgina w pasie! - Zobaczył, że Belle sztywnieje, i pożałował swojej spontaniczności. Szlag by trafił ten jego nazbyt obrotny język.

- Niech pan nie będzie śmieszny - fuknęła, znowu ruszając w jego kierunku. - A teraz, za pana pozwoleniem, muszę pójść poszukać Richmondów.

- Ale ja chcę pokazać pani tę fotografię! - zawołał Win. Fakt, że Belle zrezygnowała z gorsetu, wyleciał mu kompletnie z głowy. - Jest cudowna! Musi ją pani zobaczyć!

Głos Belle zrobił się znowu afektowany i sztywny. Win wcale nie zdziwiłby się, gdyby rzuciła jakąś kąśliwą uwagę na temat wojny secesyjnej. A raczej na temat „niedawnego przykrego zajścia”. Albo wojny między stanami. Albo najazdu Północy. Ufff. Nie ma nadziei, by coś takiego potrafił wytrzymać zwykły, zrodzony z kobiety, mężczyzna.

A do tego miała w nosie tę fotografię. I chociaż za nic nie chciał się z tym faktem pogodzić, to go najbardziej zabolalo. Stworzył arcydzieło, na którym Belle była postacią centralną, a jej to w ogóle nie obchodziło.

- Wspaniale - powiedział równie afektownie i sztywno jak ona. - Proszę wpaść w porze dla pani dogodnej, panno Monroe. Tymczasem ja zajmę się tą fotografią.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

Ucieszył się, widząc, że wyraz twarzy Belle zmienia się z poirytowanego na zaniepokojony. Dobrze. Niech się niepokoi. Już on jej pokaże.

- To moja sprawa - odparł, bardzo zadowolony z siebie. Nie musi wiedzieć, że już załatwił opublikowanie tej fotografii przez „Globe”. Niech sobie pocierpi.

- Ale mówił pan, że zamierza pan sprzedawać te fotografie w Niemczech.

Diabli nadali. Musiała o tym sobie przypomnieć akurat w tej chwili, prawda?

- Niech się tym pani nie martwi - zalecił z nonszalancją. - Skoro nie jest pani zainteresowana, załatwię to sam.- Ale...

- Proszę się nie martwić. Będę się trzymał naszej umowy - skłamał.

Tylko że już, cholera, tę umowę złamał, ponieważ taki był rozradowany wynikami wczorajszej sesji zdjęciowej, że jak tylko zobaczył odbitki, popędził prosto do domu H. L. Maya. Nie miał pojęcia, jak uda mu się wybronić przed panną Sztywniaczką, ale musi coś wymyślić. I to szybko. H. L. zachwyił się fotografią niemal tak samo jak Win i obiecał, że artykuł pojawi się w gazecie albo w tę niedzielę, jeżeli się zmieści, albo w przyszłą.

- No cóż... - Belle jeszcze przez chwilę stała z niepewną miną, a potem westchnęła. - Bardzo dobrze. Jak tylko znajdę Gladys i dzieci, przyjdziemy do pana pawilonu. Mówił pan, że chciałby dzisiaj zrobić jeszcze kilka ujęć dzieciom. - Powiedziała to tak, jakby nie bardzo wierzyła, że Win zamierza dotrzymać słowa.

Win uniósł wzrok w niebo, chcąc w ten sposób dać pannie Monroe do zrozumienia, jak idiotyczne są jego zdaniem te wątpliwości.

- Oczywiście. Muszę zrobić jeszcze co najmniej pięć ujęć. Dokładnie

przemyślałem sobie tę serię, więc nie potrwa to już długo. - A potem zamierzał skupić się na następnych zdjęciach Belle. W duchu zacierał już ręce. Ale na zewnątrz przedstawiał sobą istne wcielenie rzeczowego człowieka interesu... a przynajmniej taką miał nadzieję.

- Bardzo dobrze - powtórzyła. Potem odwróciła się i odeszła, a Wina ogarnęło nagle poczucie osamotnienia, jakby stracił coś bardzo cennego.

Stwierdzając, że musiał chyba po prostu zwariować, ruszył w przeciwną stronę i, pogwizdując po drodze „Los policjanta niełatwy jest”, wrócił do swego pawilonu.

Belle nie mogła się zdecydować, czy bardziej zazdrosna jest o swobodne kontakty Kate Finney z Winem Asherem, czy przerażona śmiertelnościami kontaktami Kate z jej własnym ojcem. Pewna była tylko jednego, że cieszy się, iż w jej domu nigdy nikomu nie groziło nic tak strasznego, jak u Kate.

Znalazła Gladys, Amalie i Garretta. Stali, popatrując tęsknie na diabelski młyn, i chrupali popcorn. Amalie zauważyła ją pierwsza i rzuciła się w jej kierunku.

- Czy tej pani nic nie jest, panno Monroe? Czy ten pan naprawdę jest jej ojcem? Belle ciężko westchnęła.

- Wszystko z nią będzie w porządku, Amalie. I tak, obawiam się, że ten okropny człowiek jest jej ojcem.

- Dobry Boże - wyszeptała Gladys.

Belle dokładnie rozumiała, o co pani Richmond chodzi.

- Tak. Przypuszczam, że wszyscy powinniśmy Bogu dziękować, iż w naszych domach nikt się nad nikim w taki sposób nie znęca. - Wielkie nieba, zabrzmiało to jakoś tak obłudnie, po purytańsku, a przecież powiedziała prawdę.

- No pewnie - zgodził się Garrett. - Papa nigdy by czegoś podobnego nie zrobił.

- Nie, nie zrobiłby - przytaknęła Belle. - Wasz ojciec serdecznie kocha waszą matkę i was dwoje. I właśnie tak - dodała - powinno być.

- Zgadza się - poparła ją Gladys.

Kiedy szli po Midway, Belle nie spuszczała oczu ze swoich podopiecznych, ale

doczekać się już nie mogła, żeby porozmawiać z Gladys o tym upiornym zdarzeniu, które widziały na własne oczy. Parasolkę wyrzuciła, bo i tak nie dałoby jej się naprawić. Żadna z kobiet nie potrafiła zrozumieć, jak człowiek może zachować się w tak bestialski i koszmarny sposób w stosunku do własnej córki.

- Wie pani, Gladys - przyznała na koniec Belle - kiedy po raz pierwszy zobaczyłam pannę Finney, pomyślałam, że jest taka trochę... no... oburzająca. Rozumie pani, ten krzykliwy strój i biżuteria, i tak dalej. Ale myślę, że teraz ją rozumiem. Ona tylko próbuje poprawić swą sytuacją materialną. Powinno się ją za to chwalić, a nie krytykować.- Przypuszczam, że masz rację - powiedziała Gladys. Była kobietą o bardzo miękkim sercu, ale miała swoje słabe strony, o czym Belle dobrze wiedziała. Jedna z nich się właśnie ujawniła. - Chociaż nie potrafię sobie wyobrazić, by naprawdę przyzwoita kobieta zgodziła się wróżyć albo publicznie popisywać tańcem. - Tu Gladys prychnęła.

Belle przyglądała się swojej chlebodawczyni spod rzęs i starała się nie myśleć o niej źle. Lubiła Gladys. Bardzo ją lubiła. Ale Gladys była w czepku urodzona. Nigdy nie musiała przezwyciężyć takich trudności, jakie napotykała Kate Finney od dnia swoich narodzin. Ani takich, jakie napotkała Belle, jak już o tym mowa.

Belle z kolei urodziła się co prawda w biednej rodzinie, ale przynajmniej nie było tam przemocy. Niekiedy krewni ją irytowali, bo mogli bardziej przykładać się do tego, by poprawić swą sytuację materialną. Ale kochali Belle. Biedna Kate. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, że mogłaby mieć ojca takiego jak Kate.

Z drugiej strony, rodzina Belle, która do pokonania miała tylko pewną apatię i biedę, mogłaby przecież ruszyć się z foteli i nie marnieć w niedostatku, skoro wystarczyła odrobina zapалу i energii, by polepszyć swój los. Na Boga, niechby popatrzyli na Kate! Albo na samą Belle. A niech to licho, oni wciąż jeszcze mieli jej za złe, że poszukała sobie płatnej pracy.

Belle nie wiedziała, jak ma to wszystko rozumieć. Obawiała się, że jest dla nich niesprawiedliwa. Ale przecież... jeżeli Kate Finney mogła zatroszczyć się o matkę i

siebie, i to wychodząc z warunków tak koszmarnych, że do dziś dzień nie mieściły się one nawet na skali zrozumienia Belle, to czemu, u czorta, jej ojciec nie mógł pójść do jakiejś pracy, żeby utrzymać rodzinę? Czy honor rodziny - obojętne, co te słowa właściwie znaczą - jest ważniejszy od jedzenia? Czy lepiej nie robić nic, czy pójść za uczciwe pieniądze do uczciwej pracy, nawet gdyby zajęcie to nie dorastało do wspaniałych planów, jakie mieli dla swego potomka przodkowie? Przycisnęła dłoń do czoła. Głowa ją bolała. I nic dziwnego.

- Czy nie sądzi pani, że mogłybyśmy coś przekąsić, Gladys? Rozbolała mnie głowa i chyba muszę gdzieś na trochę przysiąść.

Natychmiast ujawniła się współczująca strona Gladys. Chwyliła Belle za rękę ze skruszoną miną.

- Och, Belle! Tak mi przykro! Oczywiście, że musisz usiąść i coś zjeść. Masz za sobą straszne przejścia. Przepraszam cię, że o tym od razu nie pomyślałam.

Zanim Belle zdążyła zaprotestować - nie chciała przecież robić zamieszania - Gladys zawołała do dzieci:

- Garrett! Amalie! Idziemy na lunch. Możecie obejrzeć przedstawienie kukielkowe później. - Dzieci zafascynowane wpatrywały się w wymyślny pawilonik, zbudowany tak, by przypominał scenę, na której kilka kukiełek biło się po głowach patykami.

Wspominając to, co się wcześniej tego dnia wydarzyło, Belle doszła do wniosku, że nie powinno się pozwalać dzieciom oglądać takich pełnych przemocy skeczów, ale zachowała swoją opinię dla siebie.

- Naprawdę, Gladys, nic mi nie będzie. To tylko reakcja na to okropne wydarzenie w pawilonie Kate.

Gladys poklepała ją po ręce.

- Jestem pewna, kochanie, że masz rację, ale musimy zabrać cię ze słońca w jakieś zacienione miejsce i czymś nakarmić. Może szklanka zimnej herbaty pomoże ci na ból głowy.

- Dziękuję pani. Brzmi to wspaniale.

Zimna herbata pomogła. Podobnie jak jedzenie. Zanim skończyły jedno i drugie, obie z Gladys dosyć wyczerpująco omówiły problemy Kate Finney i Belle uznała, że może znowu stawić czoło Winowi Asherowi.

Nie była jednak całkiem pewna, czy mu ufa. Wspominał coś o jakiejś fotografii i załatwianiu czegoś. Jeżeli to zdjęcie, o którym była mowa, ukaże się gdziekolwiek poza Niemcami, niewykluczone, że Belle będzie musiała przyłożyć parasolkę Winowi.

10

Moja kochana, bardzo kochana Belle,

Twój papa i ja ogromnie cieszymy się z Twoich jakże zajmujących listów, chociaż dużo milej by nam było mieć Cię tutaj z nami. Ja co prawda usilnie staram się powściągać dręczący mnie niepokój o Twoje szczęście, lękam się jednak, że moje nerwy znoszą go z trudem.

Belle przygryzła dolną wargę i brnęła dalej przez list matki.

Zdaję sobie sprawę, jak bardzo musisz się starać, by ukryć swą niedolę i o każdej porze w jak najlepszym świetle przedstawiać tę ciężką próbę, na jaką wystawił Cię los, ale znieść nie mogę myśli, iż moja najukochańsza, jedyna córeczka przebywa tak daleko, na mroźnej Północy.

Belle otarła pot z karku i twarzy chusteczką i zaczęła zastanawiać się, co też mogła mieć na myśli jej matka, kiedy kreśliła słowa w czytany właśnie liście. Mroźna Północ? W tym akurat momencie Belle serdecznie żałowała, że nie jest ona mroźna. Jeszcze trochę, a rozplynie się w kałużę potu, w pawilonie Wina Ashera. A przecież siedziała tylko na wyściełanej ławie pod oknem. Jeden Bóg raczy wiedzieć, co by się z nią stało, gdyby się podniosła i zaczęła ruszać. Prawdopodobnie umarłaby na udar cieplny.

Muszę wyznać, moja droga, że to Twoje nowe przedsięwzięcie, związane z

fotografią, wzbudziło w nas z ojcem pewien niepokój. Moja kochana, kochana Belle, wiesz, że Twoja matka nigdy by Cię nie krytykowała...

- Ha - mruknęła Belle. Dobrze pamiętała trwające całe tygodnie zawrodożenia i łkania, będące konsekwencją jej oświadczenia, iż zamierza przeprowadzić się do Nowego Jorku i podjąć tam pracę, za którą będzie dostawała autentyczne pieniądze. Tradycja rodzinna nakazywała raczej opłakiwać przeszłość i szlochać nad obecnym zubożeniem, niż starać się o stworzenie bardziej korzystnej dla siebie przyszłości.

- Słucham? - Było tak parno i upalnie, że Win rozebrał się ze wszystkiego, co pozwalała mu z siebie zdjąć przyzwoitość. Porządkował jakieś fotografie, kiedy Belle czytała list. Powiedział jej, że siedział wczoraj do późnej nocy, wywołując klisze.

Byli w pawilonie sami, bo Gladys i George zabrali dzieci i pojechali do domu przyjaciela na wieczorek towarzyski. Belle Z radością się z nimi rozstała, nie dlatego żeby nie uwielbiała Richmondów, ale dlatego, że jakaś buntownicza część jej charakteru miała ochotę pobyć sam na sam z Winem Asherem. Nie trzeba dodawać, że cała reszta charakteru panny Monroe poczuła się wstrząśnięta i przerażona zachciankami tej zbuntowanej części, ale niczego to nie zmieniło.

Podniosła wzrok - no i masz babo placek - uśmiechnęła się do Wina. Nie zdołała tego uśmiechu powstrzymać.

- Nic. Czytam ten list od matki.

- Hmm - mruknął Win i wziął się znowu do roboty. Belle westchnęła, zastanawiając się, czy kiedyś jej osoba

wyda mu się równie interesująca jak praca. Pewnie nie. Przypomniała sobie fotografię, którą tak się podniecał i którą pokazał jej poprzedniego popołudnia, kiedy głowa przestała ją boleć; doszła do wniosku, że potrafi to zaangażowanie zrozumieć. Nawet ona, która cienia zarozumiałości w sobie nie miała, musiała uznać tę fotografię za oszałamiające dzieło sztuki. Pewnie dlatego, że nie przypominała na niej siebie. Fotografia była piękna. Belle zawsze starała się wyglądać jaknajkorzystniej, ale tak nigdy w życiu nie wyglądała. Skoro Win potrafił robić takie cuda, nic dziwnego, że

praca interesowała go dużo bardziej niż ona.

I w tym przygnębiającym nastroju powróciła do listu.

Wiesz dobrze, najdroższa Belle, że rodzina Monroe przesiąknięta jest wspaniałymi tradycjami Szlachetnego Południa, i że przeciwni jesteście tej nowoczesnej obsesji na punkcie sławy i rozgłosu, które z takim zapalem wydają się lansować agresorzy z Północy.

Tak, tak, pomyślała Belle z pewną surowością. Wiem wszystko o rodzinie Monroe i jej wspaniałych tradycjach. Powstrzymała swój buntowniczy umysł, który już chciał poruszyć sprawę biedy i fałszywej dumy i w myśli zasypać rodziców zarzutami.

Mam niepełną nadzieję, czytała dalej w liście, że ten pan Asher jest godnym zaufania dżentelmenem, chociaż w głębi mego kochającego, matczynego serca budzi się szczery lęk.

Belle zdusiła następne „ha”, acz z trudem. Już w wieku sześciu lat zaczęło jej się niedobrze robić od wzmianek o kochającym, matczynym sercu, chociaż nigdy wcześniej nie przyznawała się do tak niegodnych córki uczuć. Pozwoliła sobie na jeszcze jedno małe westchnienie.

Nie zapominaj ani na chwilę, najdroższa Belle, że on jest z Północy.

Belle bardzo dobrze wiedziała, że w tym jednym zdaniu zostało powiedziane wszystko.

Matka pisze o nim tak, jakby był dzikusem z afrykańskich równin, pomyślała. Skończyła już czytać „Kopalnie króla Salomona” pana Haggarda i ostatnio przeszła do pasjonującej powieści „Ona”, w związku z czym często przychodziły jej na myśl afrykańskie równiny.

- Co się dzieje, Belle? Nie wygląda pani na uszczęśliwioną listem z domu. Czyżby jakieś niepomyślne nowiny z Georgii?

Belle w pierwszej chwili nie uświadomiła sobie, że Win zwrócił się do niej po imieniu. Gwałtownym ruchem poderwała głowę i spojrzała na niego, a chociaż przepełniało ją poczucie winy, związane z własną reakcją na list matki, na uśmiech

Wina mało się nie rozplynęła. Z pewnym wysiłkiem udało jej się zapanować nad rozszalałym pożądaniem. Panie Boże na niebiesiech, nie potrafiła pojąć, dlaczego tak reaguje na tego mężczyznę.

- Och, nie. Nic się nie stało. Moja matka ma skłonność do pewnego... - Zaczęła w pamięci szukać odpowiedniego słowa i ostatecznie zdecydowała się na „dramatyzowanie”.

- A. - Uśmiech Wina zrobił się nieco szerszy. Belle musiała przełknąć. - Na przykład?

Serce Belle waliło jak młotem, przemknęło jej przez myśl, że może ten stan wiąże się jakoś z upałem. Ale szybko doszła do wniosku, że sprawy mają się dużo gorzej. Jej stan nie wiązał się z upałem. Wiazał się natomiast z Winem.

- No, na przykład mama myśli, że mieszkam na mroźnej Północy - odpowiedziała na jego pytanie.

- Mroźnej? - Win roześmiał się, również wyciągnął chusteczkę i otarł ociekającą potem twarz. - Jeżeli zrobi się choćby odrobinę cieplej, to roztopią mi się klisze.

Belle uśmiechnęła się do niego. Ogarnął ją jakiś niewytłumaczalny smutek, jak miło byłoby mieć z tym mężczyzną takie swobodne, sympatyczne stosunki jak Kate Finney. Może Winowi podobają się tylko bezwstydnice. To stawiało Belle poza konkurencją.

- Jest ciepło - zgodziła się. - Dokładnie tak samo ciepło i wilgotno jak w Georgii. Może tam jest nawet gorzej. - Ściągnęła brwi, zastanawiając się nad stopniem nasilenia ogólnej aktywności w jej georgiańskim domu. Ograniczała się ona przeważnie do przesiadywania na frontowym ganku i poruszania wachlarzem. Przemilczała ten fakt. - Ale to nie znaczy, że latem w Chicago jest zimno. - A przypomniawszy sobie, jaka była pogoda w Nowym Jorku, kiedy razem z Richmondami wyjeżdżała do Chicago, dodała: - W Nowym Jorku też nie.

Win schował już chusteczkę do tylnej kieszeni, więc otarł czoło pospiesznie rękawem koszuli, a potem wrócił do porządkowania zdjęć.

- Czy ona zwykle tak się zachowuje? Chodzi mi o to dramatyzowanie.

Histryzuje albo szlocha i mdleje, i robi takie różne rzeczy? Moja ciotka Theodora jest w naszej rodzinie królową dramatu. Bez przerwy mdleje i histeryzuje.

Belle zastanowiła się nad tym.

- Nie histeryzuje, ale skłonna jest do wszystkiego podchodzić uczuciowo. Na przykład do mojej przeprowadzki do Nowego Jorku. Nadal jest nią przerażona. Kiedy pierwszy raz powiedziałam mamie o swoich planach, zrobiło jej się słabo.

- Kiedy pani i ja spotkaliśmy się pierwszy raz, odniosłem wrażenie, że pani również jest tym przerażona - powiedział Win, znowu szeroko się do niej uśmiechając.

- Trele-morele. - Teraz Belle się zirytowała. Dlaczego nie może sobie pobyć w towarzystwie Wina bez tego, żeby natychmiast nie pojawił się jakiś kontrowersyjny problem? - Wcale nie byłam przerażona. Usiłowałam uporać się z rozbieżnościami między życiem na Południu a życiem na Północy. To coś zupełnie innego.

- Czy tak? - Win wciąż się śmiał.

- Właśnie tak. - A niech go gęś kopnie.

- A ja myślałem, że to dalszy ciąg wojny domowej.

- To nie była żadna wojna domowa... - Do licha. - Czy pan mnie próbuje rozzłościć, panie Asher?

Win wyszczerzył zęby w szelmowskim uśmiechu, tym samym udzielając odpowiedzi na pytanie Belle. Mimo to wyjaśnił: - Nie, chociaż złośczenie pani to świetna zabawa.

- Jeżeli chce pan wiedzieć, to życie tutaj naprawdę jest inne! Podobnie jak nastawienie ludzi. - Belle zaczerpnęła wielką porcję parnego powietrza i postanowiła odstąpić od tej kwestii. Na to, by dyskusja mogła się pięknie rozwinąć, temat był zbyt nieprzewidywalny, pogoda zrobiła się zbyt gorąca, a ona zbyt szybko mogłaby wyjść z siebie.

Wracając do pierwszego z poruszonych tematów, powiedziała:

- Ale nie o to chodziło mi, kiedy mówiłam o mamie. Ona... ona... - Do licha.

Belle zastanawiała się przez kilka sekund. - Ona po prostu bardzo lubi każdą sprawę rozdmuchać. Wie pan, coś prostego zmienić w coś rozdętego i dramatycznego. W każdej sprawie znajduje najgorsze konotacje z możliwych, nawet jeżeli musi bardzo się starać, żeby je znaleźć.

- Rzeczywiście przypomina moją ciotkę Theo.

- Moja matka niekiedy posuwa się w tych swoich tendencjach do skrajności - ciągnęła Belle ponuro. - I ma bardzo silnie rozwinięte romantyczne skłonności.

- Taa? To znaczy? - Win podniósł jakąś fotografię i wpatrywał się w nią z namysłem.

Belle nie była pewna, czy powinna mówić panu Ashero- wi o tym, co uważała za najbardziej krańcowy przejaw romantycznych skłonności matki, ale doszła do wniosku, że to nie zaszkodzi.

- Na przykład nadała mi imię po Rowenie, tej idiotycznej bohaterce powieści Sir Waltera Scotta.

Win się zainteresował. Trzymając zdjęcie tuż przy piersi, podniósł na nią oczy.

- Rowena? Ale mnie się wydawało, że ma pani na imię Belle.

- Używam drugiego imienia.

- Hmmm. Czytałem „Ivanhoe”. Nie uważam, żeby Rowena była taka zła.

- Wcale mnie to nie dziwi - fuknęła Belle nieco opryskliwie. - Większość panów preferuje mizdrzące się panny, które nie przysparzają im kłopotów.

- Mizdrzące się?

- Tak. To ta druga dziewczyna, Rebeka, miała głowę na karku. - Nie rozumiała, dlaczego czuje się tak defensywnie. W końcu dostatecznie chyba zademonstrowała, ile ma energii i inicjatywy, przenosząc się do Nowego Jorku i podejmując pracę. To nie do zniesienia, żeby mężczyzna, który pod tak wieloma względami ją pociągał, kompletnie nie zdawał sobie chyba sprawy z odwagi i charakteru Belle.

- Wcale mi się nie podobają mizdrzące się kobiety - wykrzyknął z irytacją Win. - Chyba ma pani źle w głowie. Kate Finney się nie mizdrzy, a ją lubię.

- To prawda - powiedziała Belle, żałując, że nie może czymś w niego rzucić. - Nie mizdrzy się. - Ale wczoraj to przecież ona, Rowena Belle Monroe, uratowała życie dzielnej Kate. Win Asher zdawał się o tym nie pamiętać. Belle byłaby poruszyła tę sprawę, tylko że nauczono ją, iż popisywanie się własnymi osiągnięciami jest nie na miejscu i świadczy o pysze. Wcale nie miałyby jednak za złe, gdyby w tej akurat chwili Kate wpadła do pawilonu, by Belle podziękować.

- Mam nadzieję, że z Kate wszystko jest w porządku - mamrotał Win, wybierając kilka odbitek; odłożył je na bok i przeniósł na ustawiony przy aparacie stolik. - Kocham pana Kodaka.

- Kto to jest pan Kodak? - I jaki ma związek z tą rozmową? Belle nie lubiła, kiedy ogarniało ją poczucie dezorientacji, chociaż pewnie powinna była już się do tego stanu przyzwyczaić.

- Taki jeden od aparatów - wyjaśnił Win. - Jest pierwszym człowiekiem na świecie, który skonstruował przenośny aparat i zaczął masowo produkować klisze fotograficzne.

- O. - Pan Kodak ma związek z rozmową, ale nie przestaje przez to być irytujący. Z przyjemnością wyczerpująco omówiłaby kwestię mizdrząco- dziewczęcą, ale była boleśnieświadoma, że dla Wina Ashera pan Kodak jest bardziej interesujący niż wszystko, o czym miałyby ochotę rozmawiać Belle. Wróciła do listu.

Kochana Belle, proszę, nie pozwól, by ten jankeski diabeł Ciebie wykorzystał.

- Marne szanse - zamruczała z goryczą Belle. Nie udaje mu się skupić na jej osobie nawet przez dziesięć kolejnych sekund.

- Co tam? - Win dał już nura pod czarną płachtę, ale wytknął spod niej głowę i popatrzył na Belle.

- Nic. Czytała dalej.

Wiesz, że każdy z tych jankeskich panów jest podłym uwodzicielem, kochanie, i że nadal próbują panować nad nami tylko dlatego, że w Konflikcie odnieśli jedno skromne zwycięstwo. Musisz się strzec, by nie stała Ci się krzywda, i pamiętać, że Twoja mama

zawsze Cię kocha. Wszyscy się modlimy tutaj, byś odzyskała niedługo zdrowe zmysły i wróciła na łono kochających krewnych.

Ani słóweczka, zauważyła Belle, o pieniądzach, które wysyłała do domu. Ani jednego dziękuję, ani cienia wdzięczności. Nie rozumiała tego. Bardzo dobrze wiedziała, że rodzina odnosi korzyści z jej pracy na tej tak zwanej mroźnej, żeby już nie wspominać, że niekulturalnej Północy. Ale czy matka dopuściłaby do siebie tę myśl? Nie. To wszystko było bardzo... bardzo...

- Dlaczego pani potrząsa głową?

Belle podniosła wzrok i zobaczyła, że Win wcale nie dał nura pod płachtę, tylko stoi obok kamery i bacznie się jej przypatruje, jakby była jakimś krajobrazem, który chce uchwycić na jednej z tych swoich zakichanych, masowo produkowanych klisz. Uniosła w górę brodę i zrobiła coś, o conigdy by się nie posadziła. Podzieliła się z drugim człowiekiem głęboko ukrywanym poczuciem winy.

- Moja rodzina doprowadza mnie niekiedy do białej gorączki, panie Asher.

- Taa?

Uśmiechnął się szeroko, co nie spodobało się Belle. Spojrzała na niego gniewnie i powiedziała:

- To wcale nie jest śmieszne.

- Oczywiście że nie. - Roześmiał się w głos.

- Niech się pan ze mnie przestanie śmiać, panie Winie Asher.

- Wcale się nie śmieję z pani - oznajmił Win, ale Belle miała wrażenie, że najchętniej tarzałby się po podłodze z rozbawienia i tylko z trudem się od tego powstrzymuje. - Tylko że osoba tak sztywna i dobrze ułożona jak pani nie kojarzy się z kimś, kogo rodzina może doprowadzać do białej gorączki.

Belle się wyprostowała.

- Uważam, że publiczne okazywanie emocji jest rzeczą niewłaściwą, panie Asher.

- Proszę mi mówić Win. Chciałbym się z panią zaprzyjaźnić, jeżeli piękność z

Południa zdoła nakłonić *swe* serduszko, by zaprzyjaźniło się z tak godnym pogardy okazem ludzkości jak Jankes z Chicago.

Belle przyglądała mu się z powątpiewaniem i nie od razu odpowiedziała.

- Bardzo proszę - powtórzył Win. - Obiecuję, że nie powiem pani mamie. - Tu znowu się roześmiał.

- To wcale nie jest śmieszne - wycodziła Belle przez zaciśnięte zęby. Latami już chyba ukrywała rozmaite uczucia, a one wybrały sobie akurat dzień dzisiejszy, by z determinacją prześlizgiwać się przez jej fortyfikacje obronne. I nagle zakipiła w niej uraza do Wina i do własnej rodziny.

- A niech to licho porwie, wysyłam niemal wszystkie pieniądze do domu, do rodziny, i co oni na to? Czy chociaż raz napisali: dziękuję? Czy wyrażają wdzięczność? Nie! Piszą, żemartwią się, czy moja moralność nie doznaje uszczerbku, i błagają, bym wracała do domu. Z powrotem „na łono kochającej rodziny”, jak to ujmuje moja matka.

- Podniosła list matki, opuściła go z powrotem na podolek i mocno w sam środek uderzyła pięścią. - To... to... to jest bardzo denerwujące. - Poczula się rozpaczliwie zażenowana, bo musiała w tym momencie otrzeć łzę z policzka.

Win zostawił kamerę, podszedł i usiadł obok niej na ławie.

- Nic o tym nie wiedziałem. - Głos miał łagodny.

- Nie - powiedziała Belle jadownicie. - Przekonany pan był, że ma do czynienia z płochą dzierlatką, prawda? W życiu by się pan nie domyślił, że ze wszystkich sił staram się pomóc rodzinie. Jankes zakichany. - Czuła się głupia, znękana i bezgranicznie upokorzona. Niemal wyskoczyła ze swojej spoconej skóry, kiedy Win objął ją za ramiona.

- Belle, niech pani nie płacze. Nie miałem pojęcia, że tak ciężko pani pracuje, by pomagać rodzinie.

Belle przygarbiła się, skuliła i złościła się dalej, chociaż bardzo chciała przestać.

- Oczywiście, że pan nie wiedział. Przekonany pan był, że tylko tacy ludzie jak Kate starają się o poprawę sytuacji materialnej, prawda? Przez to, że jestem dobrze

wychowana i cenię sobie zasady przyzwoitości, nigdy panu przez myśl nie przeszło, że mogę wykorzystywać swoje życie w wartościowy sposób. O, nie! Nie ja! Żeby zasłużyć sobie na pana szacunek, trzeba nosić skandaliczne stroje i wyginać się w tańcu przed całą kupą obcych ludzi. - Własnym uszom nie wierzyła, że powiedziała coś takiego.

- Belle, proszę...

- Och, niech mi pan da spokój! - I całkowicie na przekór własnym słowom odwróciła się i objęła ramionami Wina, który natychmiast wykorzystał sytuację i przycisnął ją mocno do piersi.

- Wszystko będzie w porządku, kochanie.

Dopiero kiedy słowo „kochanie” dotarło do głowy Belle poprzez włosy, o które Win delikatnie się ocierał, zdała sobie sprawę, co zrobiła. Usiłowała się odsunąć, ale mocno ją trzymał.

- Niech się pani uspokoi, Belle - błagał łagodnie. - Tak mi przykro, że rodzina pani nie docenia.

- Nikt mnie nie docenia! - pojękiwała Belle. Przerażona była własnym żalonym i skamlącym tonem. Ale to, co mówiła, brzmiało prawdziwie, a samo wypowiedzenie tych słów przyniosło jej ulgę.

- Ja panią doceniam.

- Ha! Pan mnie nienawidzi.

- Wcale pani nie nienawidzę. - Poczowała, że Win głęboko zaczerpnął powietrza. - Wcale.

- Pan u... uważa mnie za mizdrzącą się Rowenę, bo nie ubieram się jak ulicznica!

- Co? - Zabrzmiało to tak, jakby Win był szczerze zdumiony.

Belle uprzytomniła sobie, że właśnie wyraziła się paskudnie o Kate, i uznała, że godna jest pogardy. A ponieważ już wcześniej bardzo skutecznie traciła resztki sympatii do siebie, ta dodatkowa porcja pogardy przechyliła szalę. Znienawidziła się za

to, że jest takim podłym, ograniczonym zadufkiem i że tak wielką przyjemność (choć przegrzaną i zapoconą) sprawia jej uścisk ramion Wina Ashera.

Wtuliła twarz w wygodne zagłębienie pod ramieniem Wina, zadowolona, że zdjął marynarkę, ponieważ w ten sposób lepiej czuła jego zapach. Podkreślała ten zapach dodatkowo nutką aromatycznego płynu do włosów i Belle żałowała, że nie może upajać się nim przez resztę wieczoru i jutro, i jeszcze przez kilka miesięcy, chociaż nie była pewna, czy nawet wtedy miałyby dosyć.

- Miał pan przez cały czas rację co do mnie - powiedziała, starając się podjąć decyzję, czy bardziej chce umrzeć, czy trwać tak przez całą wieczność. - Jestem okropna. Jestem krytyczna i paskudna. I złośliwa. - Usiłowała wymyślić jeszcze jakieś negatywne określenia, ale umysł odmówił jej posłuszeństwa.

- Nigdy nic takiego nie mówiłem. - Ale myślał pan.

- Wcale nie.

- Uważa mnie pan za głupiutką ślicznotkę z Georgii, która wszystko ma wszystkim za złe...

- No...

Belle uczepiła się tego wahania i niemiłosiernie zaczęła się obwiniać.

- Widzi pan? Mam rację. Nienawidzi mnie pan.

- Wcale pani nie nienawidzę!

Win głęboko zaczerpnął tchu i Belle znowu poczuła, jak rozszerza się jego pierś. Miała ochotę wdrapać mu się na kolana i zwinąć się tam w kłębuszek jak jakiś tłusty domowy kot. Ależ się z niej zrobiła skandaliczna bezwstydnica! Północ siała spustoszenie we wpojonych jej zasadach przyzwoitości. Matka miała całkowitą rację.

- Och! - wykrzyknęła, kiedy uderzyła ją boleśnie ta upokarzająca prawda. - Ona ma rację!

- Co się, u diabła!, dzieje w tej pani ślicznej główce, Belle? - zapytał Win umiarkowanie sfrustrowanym tonem. - Kto ma rację? I wcale pani nie nienawidzę!

Belle jakoś w końcu znalazła moralne i fizyczne siły, by wyrwać się z jego

uścisku. Ależ zrobiła z siebie skończoną idiotkę. Jak oparzona przeniosła się na drugi koniec ławy, rozpaczliwie ściskając chusteczkę i równie rozpaczliwie starając się odzyskać poczucie moralnej wartości.

- Przepraszam pana, panie Asher - powiedziała.

- Win - poprawił ją Win.

- Win - powtórzyła Belle i się zarumieniła.

Win posuwistym ruchem przysunął się do niej. Belle zerwała się z ławy.

Wystarczająco się już wygłupiała jak na jeden dzień. Niestety, list od matki został na ławie. Win wziął go do ręki. Belle usiłowała mu wyrwać kartkę, ale podniósł ją tak wysoko, że nie mogła dosięgnąć.

- Pani matka musi być gorsza od mojej ciotki Theo, jeżeli wywołała w pani taką reakcję.- Żeby się pan nie ośmielił czytać tego listu! - Belle ponownie sięgnęła po papier, ale Win znowu się przed nią uchylił, również zerwał się z ławy i tanecznym krokiem odsunął się, po drodze czytając list.

- O rany, ona rzeczywiście się na nas, Jankesów, uwzięła, prawda? Można by pomyśleć, że każdy z nas osobiście podpalał tę stodołę.

- Niech pan przestanie! - Belle uświadomiła sobie ze zgrozą, że zaczyna wrzeszczeć. - To moja prywatna korespondencja!

- Akurat - powiedział Win, uśmiechając się jak kot z Cheshire w „Alicji w krainie czarów”. - To pani zaczęła mi o nim opowiadać. Ja tylko posunąłem się o krok dalej.

- Ooooooch! - Rozumiejąc, że nic jej już nie uratuje i że Win Asher przeczyta list niezależnie od tego, czy będzie mu bronila, czy nie, Belle opadła na kłodę na podium i wtuliła brodę w dłonie. Pewnie na nic innego nie zasługuje po tym, jak pozwoliła mu się tak ze sobą spoufalić.

Czuła się przygnębiona, że dopuściła do tego, by wyprana z kultury Północ podkopała jej południową moralność i standardy. A dokładnie coś takiego jej się przydarzyło. Dopóki mieszkała w Georgii, nigdy w życiu nie dopuściłaby, żeby jakiś

mężczyzna ją objął. Poza ojcem i krewniakami, ale to całkowicie inna sprawa.

- O Boże - pojękiwała, wpatrując się w noski swoich małych, białych trzewiczków, które wyglądały spod spódnicy. Na dodatek to ona go pierwsza objęła, czyż nie? A wszystko zaczęło się od gorsetu. Bez namysłu się go pozbyła. To prawda, że w pierwszej chwili czuła się nieswojo, ale zaraz jej to minęło.

Potem staczała się już szybko. Może powinna zrezygnować z pracy i wrócić do domu.

Całe jej wnętrze gwałtownie zaprotestowało.

- A niech mnie diabli, jeżeli coś takiego zrobię - wymamrotała do trzewiczków i natychmiast aż się skuliła: wypowiedziała na głos przekleństwo. Zerknęła z trwogą na Wina. I z konsternacją zobaczyła, że jej się przygląda. List leżał najego kolanach. Wyprostowała się. Chociaż upadła tak nisko, że pod względem moralnym była chyba nie do uratowania, pan Asher nie musi o tym wiedzieć. - O co chodzi? - zapytała ostro.

- Nie rozumiem, dlaczego ona powypisywała te wszystkie bzdury. - Win podniósł list.

Belle ciężko westchnęła.

- Ja również nie.

- Przecież to kompletny bezsens. Można by raczej spodziewać się, że pani matka szalenie się ucieszy, iż stara się pani poprawić sytuację rodziny.

Sytuację rodziny.

- Hmmm.

Belle zastanowiła się nad tym. Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że gdyby udało się pomnożyć majątek rodziny, matka nie miałaby już o czym mówić. Ojciec również nie. Ani babcia, dziadzio, wuj Stephen i ciotka Mae Scudder. Czy reszta rodzeństwa, kuzynów, ciotek i wujków. Musieliby przestać jęczeć i wziąć się za siebie.

- No - zamruczała z zadumie - musieć to by nie musieli.

- Czego by nie musieli? - Nigdy się jeszcze tak do niej nie uśmiechał.

Belle wydało się, że dostrzega w tym uśmiechu współczucie, i poczuła się

urazona.

- Nie musieliby przestać gadać o różnych rzeczach - stwierdziła buntowniczo.

Zakłopotanie Wina widoczne było jak na dłoni.

- Co pani powiedziała?

Belle wyrzuciła w górę ręce. Być może po raz pierwszy w życiu pozwoliła sobie na spontaniczny gest, nie w czyjejs obronie, ale po prostu dlatego, że miała na to ochotę.

- Gdyby nie mogli rozmawiać o swoim ubóstwie i starych rodzinnych tradycjach, nakazujących nienawidzić Północy, i tak znaleźliby jakiś inny temat, żeby sobie pogadać. Gdyby naprawdę im na tym zależało. - Uświadomiła sobie, że jej głos jest równie pełen goryczy jak serce, i że nawet tego nie żałuje. A przynajmniej nie bardzo.

Na twarzy Wina pojawił się pełen wyższości, znaczący uśmiezek. Belle się wcale to nie podobało.

- A żeby pana lichy porwało! Pana sposobu życia nie zmiotła z powierzchni ziemi inwazja bandy potworów, a nasz tak!

Win podniósł w górę ręce w geście poddania.

- Wiem. Rozumiem. Przykro mi, Belle.

- Nie wygląda pan, jakby było panu przykro.

- No cóż... - Wzruszył ramionami. - Rzecz pewnie w tym, że nie potrafię tego zrozumieć. Moja rodzina nigdy... powiedzmy... czegoś takiego nie robiła. Wie pani: nie jęczała i nie szlochała za przeszłością.

- A czemu mieliby coś takiego robić? Nie musieli. Win przemyślał to sobie.

- Pewnie ma pani rację, chociaż mój ojciec był na wojnie.

- Po stronie zwycięzców - powiedziała cierpko Belle.

- No tak, niech pani nie zapomina jednak, że wielu unionistów zginęło.

- Ale nie został zniszczony cały wasz sposób życia. Win milczał przez chwilę.

Belle już myślała, że nie ma zamiaru zareagować na tę ostrą uwagę, ale w końcu zareagował.

- Wie pani, Belle, pewnie znienawidzi mnie pani za to, co powiem, ale muszę wyznać, że sama koncepcja niewolnictwa bulwersuje mnie i przejmuję grozą. Jeżeli po to, by utrzymać jakiś sposób życia, konieczne jest niewolnictwo, zasługuje on na to, by go zniszczyć, moim zdaniem.

Belle wpatrywała się w Wina, żałując, że to powiedział. Potajemnie, w głębi serca, tak żeby nikt się nie domyślił, stała na tym samym stanowisku, ale zawsze się tego wstydziła. Spuściła oczy i znowu wpatrywała się w noski swoich białych trzewiczków.

Co z niej za nielojalna córka Południa, że żywi takie uczucia? Znała odpowiedź: najgorsza z możliwych. A prze- cież nie potrafiła pogodzić się z niewolnictwem. Dotychczas zawsze pocieszała się ogólnikową myślą, że prędzej czy później Południe samo by z pewnością z tym systemem skończyło. Pewnie raczej prędzej niż później. Tak czy owak chętnie w to wierzyła.

Była jednak osobą z gruntu uczciwą i chociaż miała wrażenie, że życie poddaje ją ostatnio okrutnie ciężkim próbom, przyznała niechętnie:

- Ja też tak uważam.

Wcale nie zachwycił jej ekstatyczny okrzyk Wina:

- Naprawdę? Wielki Boże!

Chciała właśnie zareagować uszczypliwą i sarkastyczną uwagą, ale do uszu jej doszedł jakiś grzmiący odgłos i podniosła wzrok. Zdażyła się jeszcze zorientować, że grzmiący odgłos wydawały buty Wina, który pędził w jej kierunku. Zawołała: „Win!”, a on porwał ją z kłody i przycisnął do siebie w aż bolesnym uścisku.

- Na Boga, nie sądziłem, że kiedykolwiek przyzna pani, iż bohaterowie Południa mogli zrobić coś niewłaściwego, Belle Monroe! Należy to uczcić! A ja mam wspaniały pomysł, jak to uczcić. Podsuniemy pani rodzicom naprawdę interesujący temat, żeby mogli sobie pogadać o czymś poza tą zatraconą, zakończoną trzydzieści lat temu wojną domową!

Nie zdażyła nawet zaprotestować, że w swej jankeskiej ignorancji, mówiąc o tym

konflikcie, używa niestosownego i, co naturalne, północnego określenia „wojna domowa”, bo okazało się nagle, że Win całuje ją mocno i z przekonaniem, a kompletnie wytrącone z równowagi zmysły Belle przedstawiają się z krańcowej paniki na bezgraniczną rozkosz.

Zarzuciła Winowi ręce na szyję i przywarła do niego z całej mocy, a on uczył jej tyłu rzeczy, których chyba musiało jej przez całe życie, aż do tej chwili, brakować. Belle rozpływała się, pulsowała, serce jej wzbiło się aż pod niebo, a dusza się rozśpiewała; oddała mu pocałunek z całą namiętnością. I Bóg jeden wie, co by się z nią stało, gdyby nagle nieotworzyły się drzwi do pawilonu. Belle i Win odskoczyli od siebie, jakby ktoś ich siekierą rozrąbał na dwoje.

- Och! - szepnęła Belle, zakrywając płonące wargi dłonią. Mrugając powiekami, wpatrywała się w rozmazaną sylwetkę osoby stojącej w blasku słońca, wlewającym się szeroką strugą przez otwarte drzwi.

- Cholera. - Win także wydawał się zamroczony. A może wręcz przeciwnie - olśniony. Nie potrafiła powiedzieć.

- Oj! - W drzwiach stała Kate Finney, uśmiechała się filuternie, pięści oparła na biodrach, szyję miała fioletową od siniaków przypominających odciski palców. - Przepraszam - powiedziała, a w jej ochryplym wciąż głosie słychać było nie tyle nutkę, co całą symfonię rozbawienia. - Nie zamierzałam przeszkadzać.

W sumie Belle była chyba jednak zadowolona, że Kate im przeszkodziła.

11

Następnego ranka Belle ugruntowała się w przekonaniu, że wdzięczna jest Kate za przerwanie tego spontanicznego i całkowicie nieprzyzwoitego pocałunku. Kate uratowała jej wczoraj życie, podobnie jak to Belle zrobiła w stosunku do niej kilka dni wcześniej. Bóg jeden wie, jak bardzo mogłaby Belle się zapomnieć, gdyby im z Winem nikt nie przerwał.

Och, ale ten pocałunek był niebiański. Przepiękny. Gdyby Belle odwiedziła lekarza o niskim morale i poprosiła go o lek na wzmocnienie, właśnie coś takiego mógłby jej zaordynować. Westchnęła ciężko.

Z pewnością musi niedomagać, najlepszym dowodem jest pustka, którą czuje w sercu, i ten jakiś niedosyt oraz świadomość, że w całym jej życiu chyba czegoś brakuje. Niestosowne i bez wątpienia niemoralne uczucia, symptomy, że budzi się niegodziwa Belle Monroe. Przed przyjazdem do Nowego Jorku Belle nie zdawała sobie nawet sprawy z istnienia tej mrocznej strony swojej osobowości, która ostatnio otrzymała aż nadto swobody.

Grzebała w szufladzie komody, dopóki nie znalazła gorsetu, założyła go i zesznurowała jak najciaśniej, a potem zeszła na dół do ślicznej i bardzo drogiej, dobudowanej do hotelu restauracji na śniadanie z Richmondami. Gryzło ją tego ranka sumienie i bardzo wdzięczna była Gladys i George'owi, że traktują niańkę swoich dzieci jak członka rodziny, a nie osobę obcą, tylko przez nich zatrudnioną. Równocześnie dręczyła ją jednak wątpliwość, czy tak dobre stosunki z pomocą domową nie są jeszcze jedną jankeską tradycją, podkopującą całe wpajane w dzieciństwie wychowanie.

Bolała ją głowa - nie spała w ogóle tej nocy - postanowiła więc, że wywrotowymi jankeskimi wpływami będzie martwiła się później. W tej chwili bardzo wysoko ceniła sobie Richmondów.

- Dzień dobry! - Starowała się zachowywać radośnie, żeby jakoś zneutralizować złe samopoczucie swego ściśniętego gorsetem tak, że niemal oddychać nie mogła, ciała. Miała nadzieję, że śniadanie zmieści się między fiszbinami gorsetu i żebrami, bo jedzenie z pewnością dobrze jej zrobi na ból głowy.

- Dzień dobry - odpowiedziała Gladys, uśmiechając się słodko.

Gladys zawsze słodko się uśmiecha, pomyślała Belle z nutką pogardy oraz buntowniczym podejrzeniem, że pani Richmond może nigdy nie musiała myśleć samodzielnie. A przecież wiedziała, że słodczy charakteru Gladys jest nieudawana, bo

ma ona naprawdę dobre serce. I znowu się zawstydziała.

- Ale mieliśmy wczoraj zabawę, panno Monroe! - wykrzyknęła Amalie, podskakując na krześle. - Szkoda, że pani nie mogła z nami pojechać. Kuzynka Fidelia ma prawdziwego kucyka!- Co ty powiesz. - Belle uśmiechnęła się do pana Richmonda, który tego nie zauważył, bo zasłonięty był porannym wydaniem gazety.

- Chcę kucyka - powiedziała dziewczynka żałośnie.

- Ja chcę konia - odezwał się jej brat. Ton miał pogardliwy, jak zwykle kiedy mówił do siostry lub o niej.

Belle się do nich obojga uśmiechnęła. Lubiła te dzieci. Nawet Garretta, chociaż podejrzewała, że osobiście wolałyby mieć córki niż synów. Jednak mężczyźni zawsze chcieli synów, więc pewnie zgodziłyby dać kilku synów mężowi. Jeżeli kiedykolwiek znajdzie męża.

Na myśl o poślubieniu któregoś z młodych ludzi w Bliss- borough coś boleśnie zakłuło ją w talii, prawie tak jak w skroniach. A może po prostu cierpi z głodu. Trudno powiedzieć, skoro przekłety gorset ścisza ją jak przenośna cela więzienna.

Do stolika podszedł kelner, wyglądał bardzo elegancko i stosownie. Belle przekonała się już, że w północnych stanach najbardziej przyzwoicie wyglądającymi osobnikami są właśnie kelnerzy. Zaczekała, aż Richmondowie zamówią, i dopiero potem sama złożyła zamówienie. Znała swoje miejsce w tej rodzinie, chociaż zdarzało jej się zachowywać tak, jakby o nim nie pamiętała. Podobnie zresztą postępowali Richmondowie, co jeszcze pogarszało sprawę.

- Moglibyśmy sprawić sobie konia, prawda, papo? - zapytał Garrett ojca, zanim ten, złożony zamówienie, zdążył znowu ukryć się za gazetą.

Gazeta zaszeleściła, kiedy George potrząsnął nią i podniósł do góry, by zasłonić twarz.

..- Gdybyśmy mieli mieć konia, potrzebna by nam była stajnia - odezwał się, jednym okiem spoglądając na syna zza dziennika.

- Ojciec Roberta kupił mu konia, a Arbuthnotowie nie mają stajni.

Belle zauważyła, że Gladys zerka na gazetę, która pochylała się w jej kierunku, założyła więc, że Richmondowie wymienili spojrzenia. Szeroko się w duszy uśmiechnęła. Wychowywanie dzieci *to* delikatna sprawa. Wiedziała, że ojciec Roberta Arbuth- nota jest jednym z konkurentów pana Richmonda w interesach, chociaż pozornie panowie przyjaźnili się ze sobą. Takie sytuacje to ryzyko związane z posiadaniem dzieci, jak sądziła. Garrettowi odpowiedziała Gladys.

- Wcale nie musimy kupować ci konia, Garretcie, tylko dlatego, że rodzice Roberta kupili konia swojemu synowi. Koń Roberta trzymany jest na wsi w ich letniej posiadłości. A taki układ nie na wiele by ci się przydał, gdybyś chciał przejechać się po Washington Square, prawda? Poza tym nie mamy letniego domu.

- A dlaczego nie możemy mieć domu na wsi? Wszyscy mają! Gdyby tak mogła to być prawda. Belle nie miałyby nic

przeciwko domkowi na wsi. Chętnie nawet mieszkałyby tam przez cały rok.

- Nie lubię wsi. - Pani Richmond powiedziała to stanowczo. - Twój ojciec z miłą chęcią kupiłby taki domek, gdybyśmy tylko chcieli, ale ja na wsi zawsze kicham.

- No to czemu nie możemy trzymać konia w mieście? - Głos Garretta zrobił się płaczący jak u dziecka, któremu pokrzyżowano plany. - Moglibyśmy wykorzystać powozownię. Lepiej byłoby tak, niż jeździć na tych niemrawych starych koniach pana Betteredge'a. Poza tym ojciec Roberta mówi, że chłopcu to dobrze robi, jak ma konia.

Belle wiedziała, że mający już chyba co najmniej z dziewięćdziesiąt lat pan Betteredge jest jedyną mieszkającą na stałe przy Washington Square osobą, która trzyma konie. Washington Square położony był w wytwornej dzielnicy i w dawnych czasach wszyscy mieli tam własne stajnie i powozy. Obecnie jednak Nowy Jork rozrósł się tak bardzo, że utrzymywanie własnej stajni w mieście było niepraktyczne i szalenie kosztowne.

Poza tym miasto obfitowało w dorożki i powozy do wy- najęcia, tak że jeżeli ktoś nawet miał konia, to trzymał go na wsi. Po zastanowieniu Belle doszła do wniosku, że to rozsądne rozwiązanie. Wniosek był czysto teoretyczny, bo przecież nie

mogła pozwolić sobie na utrzymanie konia nawet w Blissborough, nie mówiąc już o wielkim mieście.

George złożył gazetę i z niezadowolonym westchnieniem włączył się do dyskusji. Z marszem na czole - Belle podejrzewała, że żałuje, iż musiał odłożyć gazetę - pochylił się w kierunku syna i powiedział:

- Gdyby ojciec Roberta uznał, że jego synowi dobrze to zrobi, jeżeli zrzuci się go z mostu, czy chciałbyś, żebym ja ciebie też zrzucił? Miej własne zdanie, synu. Jeżeli chcesz w życiu odnieść sukces, musisz wyłamać się z ogółu i postępować po swojemu.

I patrzcie tylko, kto to mówi, pomyślała Belle z lekką irytacją, chociaż wiedziała, że jest niesprawiedliwa. George mógł być nadęty i pompatyczny, ale w zasadzie był człowiekiem życzliwym - w chwilach, kiedy pamiętał, że na świecie istnieją inni ludzie oprócz niego.

- Ale...

George nie pozwolił Garrettowi wdać się w dalsze wyjaśnienia, dlaczego tak pragnie mieć konia.

- Słuchaj, synu, wiem, że wydaje ci się, że byłaby to świetna zabawa mieć konia albo i dwa, ale gdybym ci kiedykolwiek kupił jakieś zwierzę, musiałyby ono zostać na wsi, gdzie miałyby przyzwoite warunki do życia; a ponieważ twoja matka nie znosi wsi, jest to bardzo mało prawdopodobne. Nie zapominaj również, że jeżeli rzeczywiście dostałbyś kiedyś konia, to sam musiałbyś o niego dbać. Nie zdziwiłbym się, gdyby pan Arbuthnot wynajął stajennych, by zajmowali się koniem Roberta, a nie tego chcę dla moich dzieci. Chcę, żeby rozwinęło się w nich poczucie odpowiedzialności.

Gładys przytaknęła. Nawet Belle pochwałała wypowiedź George'a. Garrett, co było do przewidzenia, jej nie pochwalał.- Chciałem tylko dostać konia - mamrotał pod nosem. - A wy robicie z tego powodu tyle zamieszania.

- Mając konia ma się mnóstwo zamieszania - zwróciła mu uwagę matka.

Podano im śniadanie i Garrett zrezygnował z kłótni na rzecz jedzenia.

Belle siedziała obok Amalie, która była jej ulubienicą prawdopodobnie dlatego,

że z dwojga dzieci wydawała się bardziej rozsądna, a na pewno była bardziej uległa.

- Cieszę się, że dobrze się bawiłaś u przyjaciół, Amalie.

- Świetnie. - Amalie połała sobie syropem naleśniki i zabrała się do jedzenia.

Belle właśnie miała zrobić to samo, kiedy w oko wpadło jej zdjęcie, zamieszczone w gazecie, którą pan Richmond położył obok swego talerza. Utkwiła w nim wzrok i widelec z hałasem wypadł z jej odrętwiałych palców.

- O mój Boże. - Wypowiedziała te słowa ledwie dosłyszalnym szeptem.

- Belle! - wykrzyknęła Gladys. - Och, co ci jest? - Gwałtownie odsunęła krzesło od stołu i wstała, twarz jej wykrzywiła się z przerażenia.

- Co się stało, panno Monroe? - Amalie również miała zmartwiony głos.

- Dobry Boże, czy ona źle się czuje? - zapytał George przez kęs przeżuwanej właśnie pieczonej szynki. Miał taką minę, jakby uważał tę możliwość za bardziej uciążliwą niż tragiczną.

- Panno Monroe! - zawołał Garrett z trwogą, która normalnie przyniosłaby Belle wielką satysfakcję, tyle że w tej chwili żadnej satysfakcji nie była w stanie odczuwać. Satysfakcji nie. Ale oszołomienie tak, I oszołomienie. I szok.

Rzuciła się tak gwałtownie na gazetę pana Richmonda, że jej współbiednicy wystraszyli się, a pan Richmond się zdumiał. Przyjrzała się dokładnie, czy aby na pewno widzi to, co podejrzewała, i uświadomiła sobie ze zgrozą, że miała rację.

- O mój Boże. Naprawdę jej się nie zdawało. Widziała to, podobnie jak całe Chicago.

Ogarnęła ją furia.

Win patrzył na gazetę i się uśmiechał. Chyba od kilku już godzin tak się przyglądał i uśmiechał. H. L. Mayowi doskonale udał się obiecany artykuł. A co do fotografii Belle - no cóż, to za mało powiedziane, że Win był zadowolony. Był wniebowzięty. Uszczęśliwiony. Usatysfakcjonowany. Nie miał wątpliwości, że stan, w jakim się znalazł, dałoby się określić jeszcze na wiele sposobów, ale po prostu brakowało mu słów.

Jasny gwint, będzie bogaty. I dzięki niemu wzbogaci się również Belle, daj jej Boże.

Nie mógł doczekać się, żeby pokazać jej tę fotografię na pierwszej stronie „Globe”. Eteryczna. Olśniewająca. Nie z tego świata. A jednak w zasadzie amerykańska na sto dziesięć procent. Poza była doskonała. Belle była doskonała. Zatyłował tę fotografię „Panna Liberty”; zdaniem Wina przedstawiała ona sobą wszystko, co w tym kraju wartościowe: urodę, wolność, wdzięk, niezależność, chwałę, patriotyzm i miłość. Na dodatek H. L., niech go piorun strzeli, wplótł wszystkie te słowa w swój artykuł.

- Boże, ależ ja jestem dobry - wymamrotał na głos Win. Ośmielił się odezwać, bo nikogo z nim w pawilonie nie było. Nie można powiedzieć, żeby pan Asher cierpiał na nadmiar fałszywej skromności, ale unikał jawnych przechwałek, bo ludzie nie lubili pyszałków.

Wpatrywał się w fotografię Belle i mimo woli przypominał sobie wczorajsze przerwane pieśczęty. Nie wiedział sam, czy powinien podziękować Kate Finney, czy przetrzepać jej skórę, że akurat w tym momencie wpadła do pawilonu. Miał wrażenie, że kiedy wziął Belle w ramiona, znalazła się na swoim miejscu.

Nadawał się dla niej jak nikt inny, powtarzał sobie w zaciszu swego pawilonu. To oczywiste. Wystarczy rzucić okiem na tę fotografię, a nie znajdzie się człowieka, który podałby jego słowa w wątpliwość. Tam do diabła, skłonił ją, by się otworzyła. Cały wszechświat mógł dzięki niemu zobaczyć na tej fotografii jej prawdziwe walory, wewnętrzną (żeby już nie wspominać o zewnętrznej) urodę i charakter.

Kiedy spotkali się po raz pierwszy, była rozgrymaszoną panienką z Południa, nie więcej mającą pojęcia o otaczającym ją świecie niż jakiś komar. Ale on, Win Asher, dostrzegł w głębi tę prawdziwą Belle już wtedy, kiedy po raz pierwszy zauważył ją na Midway. Nie mógł się doczekać, żeby opowiedzieć Richmondom, jaką umowę zawarł ze swoim agentem na rozprowadzanie fotografii Belle oraz ich dzieci. Jak oni się ucieszą. Richmondowie, w przeciwieństwie do Belle, potrafili poznać się na tym, co

dobrze.

Westchnął głęboko i poszedł otworzyć drzwi. Przepełniony poczuciem triumfu siedział w pawilonie od wczesnego rana, kiedy to w pobliżu domu kupił egzemplarz „Globe” od gazeciara. Rzuciwszy przelotnie okiem na fotografię, wykupił cały zapas od chłopca ku jego ogromnej radości. I ku swojej ogromnej radości również.

Poczucie satysfakcji jeszcze się wzmogło, kiedy ustawił odbitkę gazetowej fotografii Belle formatu gabinetowego na stojaku we frontowym oknie pawilonu. Przypatrywał się przechodzącym obok pawilonu ludziom, którzy przyszli oglądać Wystawę Columbii, i z zadowoleniem patrzył, jak wielu z nich zwraca na fotografię uwagę, przystaje i podchodzi bliżej, by lepiej się przyjrzeć. Wielu z nich następnie zmieniało poranne plany i wstępowało do środka. Jeżeli to potrwa dłużej, Win będzie miał tyle pracy, że starczy mu jej do końca życia. Świat miał do tej pory zaszczyt zapoznać się tylko z jedną z jego artystycznych wizji. A on miał ich dziesiątki.

Aż go skręcało, żeby zobaczyć się z Belle. Do diabła z jej południową bellowatością. Porwie ją w ramiona i będzie całował tak, by ten wczorajszy pocałunek wydał się załedwiebraterskim cmoknięciem w policzek. A cały świat niech się przygląda, nic go to nie obchodzi. Był na fali i zamierzał porwać ze sobą Belle!

- Proszę tak siedzieć - powiedział Win, dając nura pod czarną płachtę. - I nie ruszać się ani o milimetr.

Młoda kobieta na podeście zachichotała.

- Nie mam pojęcia, co to jest ten milimetr, więc nie wiem, czy potrafię się przesunąć o tyle, czy nie.

Bardzo śmieszne. Win nie wypowiedział na głos słów, które przemknęły mu przez głowę, bo gdyby to zrobił, rozzłościłby pozującą mu w tej chwili próżną młodą damę. Właściwie pozowała nie tyle jemu, co sobie samej. Win nigdy by modelki nie ustawił tak sztucznie, jeżeli miałby ze zdjęcia być zadowolony.

Ale fotografia Belle w gazecie dała spodziewane rezultaty i ta młoda kobieta zaangażowała go, by robił jej zdjęcia.

- Dla mojego narzeczonego - wdzięczyła się. A potem tak długo narzucała mu „romantyczne” pozy, aż Winowi robiło się niedobrze. Chociaż nie dosłownie.

Naprawdę czegoś takiego nie znosił. Ta młoda kobieta miała w sobie mniej więcej tyle delikatności co maszyna parowa. Nie przypominała Belle. U Belle wszystko, co pociągające, odznaczało się równocześnie delikatnością. Pewnie, że była ładna, ale jej urok sięgał głębiej. Przez zewnętrzną otoczkę przeświecał wewnętrzny charakter Belle. Ta zewnętrzna otoczka była też śliczna, ale Belle miała w sobie więcej, dużo więcej niż urodę, swoją rodzinę, to „niedawne przykre zajście” i wszystkie południowe dyrdymały.

Uświadomił sobie, że od starań, by ubrać w słowa wdzięk Belle, robi mu się tylko mętlik w głowie, i szarpnął za łańcuszek przy kamerze; magnezja się zajęła, nastąpił wybuch, dziewczyna zaczęła chichotać. Może właśnie znalazł odpowiedź. Przy tej młodej kobiecie potrafił przewidzieć ciąg wydarzeń, zachowań i reakcji. A przy Belle nie. Przy Belle czło- wiek nigdy nie wiedział, czego się spodziewać. No, poza jednym czy dwoma eufemizmami na wojnę domową. Uśmiechał się, mówiąc do młodej kobiety:

- Sądzę, że to wystarczy, panno Pierce.

- Och, dziękuję panu, panie Asher. - Panna Pierce, mizdrząc się, zeszła z podestu i przyłączyła się do matki. Pani Pierce (Win zauważył to z niesmakiem) również należała do wdzięczących się kobiet.

- Ależ proszę. - Doszedł do wniosku, że ma coś lepszego do roboty niż się przyglądać, jak dwie niewiasty się wdzięczą. Kiedy więc zbierały swoje parasolki i torebki, opróżnił pojemnik na magnezję i napełnił go ponownie. Gdzie, u diabła, podziewa się Belle?

- Jak pan mówił, kiedy powinnyśmy się zgłosić?

Młodsza z pań Pierce powiedziała to tak, jakby miała nadzieję, że Win poprosi, by nie odchodziła i przyglądała mu się przez resztę dnia. Co się właściwie z nią działo? Przecież sama mówiła, że ma narzeczonego. Win z pewnością nie musi się też do niej

zalecać. Diabli nadali, miał ochotę uciec z pawilonu na teren Wystawy, zabierając ze sobą Belle i rolkę filmu Kodaka. Pies to drapał, wzięłby nawet ze sobą resztę rodziny Richmondów, gdyby się upierali.

- Um - powiedział, przypominając sobie, że młoda kobieta zadała mu pytanie. - W piątek, jak sędzę. Przygotuję na ten dzień arkusz odbitek, będzie pani mogła wybrać te, które zechce pani mieć powiększone. - Uświadomił sobie, że powinien się odwrócić i zachowywać uprzejmie wobec klientek, więc zrobił tak. Młoda dama wpatrywała się w niego, jakby był daniem obiadowym, a ona umierała z głodu. Jej mama była niemal równie okropna. Win wycofał się za kamerę, chociaż tak naprawdę nie miał tam nic do roboty, i dodał: - Dziękuję paniom, że zechciałyście mnie panie odwiedzić. Mam nadzieję, że fotografie będą się paniom podobały.

- Och - pisnęła panna Pierce, tuląc zaciśnięte dłonie do łona. - Jestem pewna, że będą.- Na pewno - zgodziła się z nią matka. - A Henry tak się ucieszy, że będzie mógł zabierać ze sobą twoją podobiznę do pociągu, jadąc na służbowe spotkania.

- Och - powtórzyła panna Pierce bardzo niepewnym głosem. - Henry.

W nadziei, że uda mu się przyspieszyć ich wyjście, Win rzekł:

- Dziękuję pani bardzo, pani Pierce. Panno Pierce. Zobaczymy się za dzień czy dwa.

Chyba nie udało im się już wymyślić niczego, co pozwoliłoby na dłużej zatrzymać się w pawilonie i dalej dręczyć Wina, bo wypowiedziawszy jeszcze z tysiąc czy coś koło tego niepotrzebnych słów, w końcu zostawiły go w spokoju. Gdzie, u wszystkich aniołów niebieskich, podziewa się Belle? Niech to szlag najjaśniejszy, była mu potrzebna! Musi pokazać jej „Globe” i razem z nią napawać się bajecznym sukcesem, jaki odniosło jego pierwsze opublikowane jej zdjęcie.

Nie musiał już długo czekać. Zdażył jedynie odetchnąć z ulgą, kiedy drzwi zamknęły się za matką i córką, a już gwałtownie otworzyły się znowu, i to z ostentacją, jakiej się nie spodziewał. Nie spodziewał się również widoku Belle, stojącej w smudze słońca z dłonią na framudze i wyglądającej jak walkiria, która ma zaraz ściąć głowę

nieprzyjacielowi. Radosny, powitalny uśmiech zniknął mu z twarzy, jeszcze zanim zaczęła na niego wrzeszczeć.

Belle chyba nigdy w życiu nie miała autentycznego ataku wściekłości. Takie ataki były czymś niegodnym lady, a stąd czymś bez precedensu w jej rodzinie. Jednak od chwili, kiedy zobaczyła w gazecie swoją fotografię, złościła się tak, że mogłaby pluć nie słowami, a drutem kolczastym. Win Asher okłamał ją. Obiecywał, że zdjęcia ukażą się tylko w Niemczech, a zaledwie w pięć dni po tym, jak zawarli umowę, jej podobizną wytapetowano w cała pierwsza stronica „Globe”. Doprowadziło ją to do furii. Prawdę jednak mówiąc, nawet perfidia Wina nie doprowadziłaby jej do nieopanowanego ataku wściekłości. Jednak kiedy zobaczyła, jak dwie kobiety, z których jedna była młoda i ładna, wychodzą z pawilonu Wina i z ożywieniem rozmawiają, narzucone złości więzy zaczęły słabnąć. Ta młodsza nie przestawała się na dodatek oglądać na pawilon. Wprost rzucało się w oczy, że świetnie się tam bawiła, i w duszy Belle coś zakipiało, jakby ktoś wstrzyknął do środka roztwór żrącego kwasu.

A kiedy, gwałtownie otworzywszy drzwi do pawilonu, zobaczyła Wina Ashera, który stał w środku z diabelskim uśmiechem i wyrazem bezgranicznego zadowolenia na twarzy, całkowicie straciła panowanie nad sobą.

- Okłamał mnie pan! - krzyknęła na cały głos. Matka zemdłałaby, gdyby mogła ją usłyszeć. Niewiele brakowało, a sama Belle również by zemdlała, bo gorset nie pozwalał jej odetchnąć na tyle głęboko, by skutecznie podnosić głos.

Ale tego dnia nawet gorset nie mógł jej powstrzymać. Kiedy zobaczyła dwie wychodzące kobiety, zostawiła Gladys i Amalie o kilka jardów od pawilonu Wina, gdzie obydwie się czemuś przyglądały. W tej chwili było jej całkowicie obojętne, czy pójść za nią. Właściwie nie pamiętała o ich istnieniu.

Win szeroko otworzył oczy.

- Hej, niech no pani zaczeka minutkę, Belle...

Belle nie czekała ani sekundy, nie mówiąc już o minutce. Zatrzasnęła drzwi z taką mocą, że pawilon się zatrzęsł. Potem wyciągnęła rękę i w najlepszym jankeskim

stylu pokazując na Wina rozdygotanym palcem, ruszyła w jego kierunku. Następnie dźgnęła go tym palcem w pierś. Mocno.

- Okłamał mnie pan, Winie Asher. Powiedział mi pan, że te zdjęcia ukaza się tylko na terenie Niemiec.

Win uniósł ręce dłońmi do zewnątrz, jakby chciał odeprzeć atak diabła. Belle pożałowała, że nie jest diabolicą i nie może rozdrzeć go na krwawe strzępy.

- Niech no pani zaczeka minutkę, Belle. Ja nie...

- A właśnie że tak! - Chyba jeszcze nigdy w życiu tak nie wrzeszczała. Usiłowała zaczerpnąć wystarczającą ilość powietrza, żeby ten wyczyn powtórzyć, ale jej się nie udało. Zatrzacone gorsety!

- Niech pani przestanie na mnie wrzeszczeć...

- Wcale nie wrzeszczę!

- W porządku. No to...

Belle okręciła się na pięcie i tupiąc przeszła się po pawilonie. Nie był to duży pawilon. Miał zdecydowanie zbyt małą pojemność, by pomieścić się w nim gniew Belle, chociaż na pewno wystarczającą na cały zapas powietrza, jaki pozwalała jej wciągać sznurówka.

- Powiedział mi pan, że te fotografie nie będą sprzedawane na terenie Stanów Zjednoczonych, Winie Asher. Powiedział pan...

- Nic takiego nie mówiłem! Do stu tysięcy fur beczek, Belle, czy uspokoi się pani wreszcie i posłucha?

- Nie! - Okręciła się znowu jak fryga i niemal ją to zgubiło. W głowie jej zawirowało od braku tlenu, więc opadła, i to ciężko, na wyściełaną ławę pod frontowym oknem. Pospiesznie wyrwała chusteczkę z kieszeni i otarła czoło, żałując, że nie odłożyła wymierzania sobie kary za pomocą fiszbin na następny dzień.

Drzwi do pawilonu zaskrzypiały, uchylając się ostrożnie. Belle gwałtownie odwróciła głowę, gotowa spiorunować wzrokiem tego kogoś, kto ośmiela się wtargnąć do pawilonu, zanim ona zdążyła wyładować na Winie swoją złość.

- Czy wszystko w porządku, Belle? - W drzwiach ukazała się głowa Gladys; właścicielka głowy wydawała się zdenerwowana.

I miała ku temu powody. Belle nigdy nie zachowywała się tak źle w obecności Richmondów, dopóki Win Asher nie zatrzał jej życia. Warknęła w myśli z urazą, potem się odrobinę uspokoiła, bo nie mogła skutecznie pomstować na Wina w obecności Gladys i dzieci. Usiłowała głęboko odetchnąć, nie udało jej się, zakłęła pod nosem i powiedziała:

- Tak - Zbyt lakonicznie. Rozszerzyła wypowiedź: - . Dziękuję. Amalie, wyglądając zza spódnic matki, zapytała:

- Czy na pewno, panno Monroe? Wygląda pani, jakby była pani okropnie zła.

Belle przymknęła oczy i usiłowała policzyć do dziesięciu. Ze spokojem. Nie udało jej się, więc policzyła do dziesięciu z wściekłością i ośmieliła się znowu otworzyć oczy.

- Wszystko jest w porządku, kochanie, dziękuję ci. Muszę jednak porozmawiać o czymś z panem Asherem. - Rzuciła okiem na Wina, który wydawał się zadowolony, że im przerwano, i dodała przez zaciśnięte zęby: - Na osobności, kochanie.

- Czy jesteś pewna, że dobrze się czujesz, Belle? - Gladys miała taką minę, jakby jej nie dowierzała.

Belle w głębi serca nie mogła pani Richmond za to winić, bo przecież kłamała jak z nut. Niemniej jednak powiedziała:

- Oczywiście. Czuję się świetnie. Dziękuję pani bardzo za troskę. - Usiłowała się uśmiechnąć, ale świadoma była, że udało jej się osiągnąć wyłącznie coś w rodzaju zębatego grymasu.

- No cóż... - Gladys przeniosła wzrok z Belle na Wina i z powrotem.

Belle ze wszystkich sił modliła się w duchu, by Gladys zrozumiała tę tak niedwuznaczną aluzję i zabrała Amalie. Nie potrzeba jej wiele czasu. Chciała tylko jeszcze trochę dłużej po- wrzeszczeć na Wina Ashera. I może raz czy dwa mu przyłożyć.

W końcu Win zakończył ten impas. Belle próbowała poczuwać się do wdzięczności, ale była tak na niego wściekła, że nie potrafiła się do tego zmusić.

- Słuchajcie, panie - powiedział, uśmiechając się najpierw do Amalie, by dziewczynka wiedziała, że to określenie również i ją obejmuje. - Mam pomysł. Może dam paniom swoją przepustkę i będziecie mogły na własne oczy zobaczyć start balonu, który nastąpi w pobliżu Court of Honor za... - tu wyrwał z kieszeni złoty zegarek i przyjrzał mu się, mrużąc oczy. - Pójdzie w górę za trzydzieści minut. Założę się, że byłabyś zachwycona, mogąc to zobaczyć, co, panno Amalie?

Oczy dziewczynki rozbłysły. Belle patrzyła na to z obu- rzeniem. Do licha, wcale nie chciała, żeby Win był dla kogokolwiek miły! Wręcz przeciwnie, chciała, by swym zachowaniem dowiódł, że jest skończonym draniem. Może zachowuje drańskie pociągnięcia wyłącznie dla niej. Nie wątpiła, że jest do tego zdolny.

- Och, mam, czy możemy? Gladys się zawahała.

- Myślę, że... - Odwróciła się do Belle. - Czy nie masz nic naprzeciw, Belle? Nie chciałabym cię zostawiać, jeżeli potrzebna ci moja pomoc.

Serce Belle odrobinę zmiękło - przynajmniej w stosunku do Gladys. Tam, gdzie w grę wchodził Win, pozostało twarde jak gładz. Z uśmiechem odrobinę bardziej naturalnym niż ten, który wyprodukowała wcześniej, powiedziała:

- Och, Gladys, proszę się nie wahać ze względu na mnie. Czuję się po prostu świetnie, dziękuję.

Zobaczyła, że Win przewraca oczami, i chciała cisnąć w niego ławą. Zatracony gorset.

- No... jeżeli jesteś pewna, Belle.

- Całkiem pewna. - Niech Gladys i Amalie jak najszybciej wyjdą z pawilonu, bo inaczej uśmiech Belle zmieni się w jedną wielką ruinę, pociągając za sobą jej rysy. Dobijał ją wysiłek, z jakim utrzymywała pogodny wyraz twarzy.

- No więc dobrze.

- Jej! - Amalie podskakiwała i klaskała w dłonie. - A Garrett tego nie zobaczy!

Gladys popatrzyła na córkę cierpko, ale wzięła od Wina przepustkę z wdzięcznym „dziękuję”.

W tym momencie dowolny osobnik płci męskiej miałby, wielkie trudności, by zadowolić Belle, nie dopatrzyła się więc ona niczego niestosownego w sposobie rozumowania Amalie.

Zauważyła natomiast z rozgoryczeniem, że Win szeroko się do dziewczynki uśmiechnął i zuchwale puścił do niej oko. Miała mu ochotę je podbić, żeby nie mógł już mrugać do żadnych kobiet. Na przykład do tej, która niedawno, miz- drząc się, wychodziła z jego pawilonu. Och, jakże chętnie Belle powyrywałaby tej bezwstydnicy wszystkie włosy!

- Dziękuję panu bardzo, panie Asher - trzymając w ręku przepustkę na start balonu, Gladys obejrzała się na Belle. Panna Monroe, z rękami złożonymi na podołku, siedziała sztywno na ławie, a mimo to twarz Gladys pełna była zwątpienia.

Belle wiedziała, że jeszcze chwila, a nie zdoła opanować gniewu, zmusiła się więc do pełnego słodczy uśmiechu.

- Bawcie się, panie, cudownie. Jestem pewna, że to będzie bardzo podniecające.

Gladys wahała się jeszcze przez kilka sekund - Belle wydawało się, że to kilka godzin; wreszcie lekko wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do córeczki.

- Chodźmy, kochanie.

Amalie ruszyła w podskokach, trzymając matkę za rękę. Jak tylko drzwi się za nimi zamknęły, Belle zerwała się z ławy, w myślach posyłając swój gorset do wszystkich diabłów. Znowu pokazała palcem na Wina.

- Podły łgarz! Jak śmie pan mówić, że pan mi nie skłamał?

- Psiakrew, czy posłucha pani głosu rozsądku, Belle? Powiedziałem, że mam agenta w Niemczech. Nie mówiłem, że pani zdjęcia ukazywać się będą tylko w Niemczech.

Belle potrząsnęła głową bardziej z konsternacją niż z niedowierzaniem. Chociaż nie miała odpowiedniego nastroju, by się nad czymkolwiek zastanawiać, starała się

usilnie przypomnieć sobie tę rozmowę o Niemczech. A niech to, nie pamiętała jej dokładnie. Pamiętała tylko, że podniosło ją na duchu przekonanie, iż jej fotografie ukażą się tylko na terenie Niemiec. Z ponurą miną powiedziała:

- No, moje przekonanie nie wzięło się z powietrza, Winie Asher. Jeżeli pan mnie nie okłamał, to z rozmysłem wprowadził mnie pan w błąd, a to równie niegodziwe.

- Belle, czy zechce pani zapanować nad sobą, żebyśmy mogli omówić tę sprawę spokojnie? Nie zamierzałem pani wprowadzać w błąd. Belle uniosła głowę, rzuciła mu jedno ze swoich najbardziej wypróbowanych oskarżycielskich spojrzeń i oznajmiła:

- W życiu w to nie uwierzę!

Sądząc po wyrazie twarzy pana Ashera, miała rację. A ponieważ nie mogła pofolgować swoim chęciom - to znaczy chodzić tam i z powrotem po pawilonie, wrzeszczeć na Wina i rzucać w niego różnymi przedmiotami - skrzyżowała ręce na piersiach i tupnęła nogą. Dało jej to dużo mniejszą satysfakcję, ale dopóki tkwiła w tej klatce z fiszbin, na nic lepszego nie było jej stać.

Wina najwyraźniej niepokoił jej gniew. Belle parsknęła pogardliwie w duchu.

- Nawet jeżeli nie zapewniał mnie pan, że zdjęcia ukażą się tylko w Niemczech, wiedział pan, że sądziłam, iż to właśnie ma pan na myśli.

- Ale... tam do diabła, Belle.

- I niech się pan nie ośmieli przeklinać w mojej obecności!

Wrócili do gniewnego spoglądania na siebie i podtrzymywali tę działalność przez kilka sekund. Belle nie była skłonna ustąpić nawet na cal. Win po prostu wyglądał na wzburzonego.

I w końcu to on położył kres napięciu. Z głębokim westchnieniem podszedł do stojącego w rogu pawilonu biurka. Belle przyglądała mu się podejrzliwie. Nie sądziła, by miał wyjąć broń i ją zastrzelić, chociaż po dniu, kiedy tyle spraw wyszło na jaw, nie wątpiła, że zdolny jest niemal do wszystkiego.

Jednak nie chodziło o broń. Win wysunął szufladę, otworzył zamkniętą na klucz szkatułkę, podniósł wieczko i wyjął pęk dolarów. Belle, która do tej pory miewała tylko

krótkie i przelotne kontakty z pieniędzmi, przyglądała im się z zainteresowaniem, zmaconym nieco przez niepokój.

- A niech to, jeżeli nie chce pani spojrzeć na całą sprawę rozsądnie na gruncie artystycznym, to może pieniądze ukoją pani skołataną duszę. - Kiedy się odwrócił, trzymał w ręce strasznie gruby plik papierów. Takiej ilości zielonych Belle z pewnością jeszcze w życiu nie widziała. Nie drgnęła nawet, ale nie potrafiła oderwać oczu od banknotów.

- Co pan ma na myśli?

- Powiedziałem, że zapłacę pani za pozowanie. No i płacę. - Wyciągnął pieniądze do Belle. - Proszę. Sto dolców. Dokładnie tak, jak obiecałem.

Belle przyglądała się pieniądzom jeszcze przez chwilę, narastało w niej jakieś mdlące uczucie. To prawda. Niemal zapomniała o finansowej stronie umowy.

- Um, to naprawdę jest sto dolarów? Win sapnął, chyba z niesmakiem.

- Na litość... niech je pani przeliczy, jak mi pani nie ufa, na litość boską!

Belle przełknęła, wyjęła mu pieniądze z wyciągniętej ręki. Przez kilka sekund stała, spoglądając na gotówkę, potem przełknęła raz jeszcze i doszła do wniosku, że jeżeli już sprzedała duszę za pieniądze, jak ten, jak mu tam, Faust, to może równie dobrze sprawdzić, czy dostała sumę, na którą się umówili.

Zaszeleściwszy halkami, usadowiła się znowu na wyściełanej ławie i zaczęła przeliczać banknoty. Czuła na sobie wzrok Wina, który jej się przy tym przyglądał, i nie przypominała sobie, by kiedykolwiek w życiu było jej tak nieswojo.

12

Win wepchnął ręce do kieszeni i stał, z uczuciem bezradności spoglądając na Belle. Co gorsza, czuł się dotknięty do żywego, a to już sensu nie miało za grosz. Skąd to fatalne samopoczucie? Przecież to on ją oszukał.

Nieee. „Oszukał” było za mocnym słowem. Leciutko i zręcznie nią pokierował,

to wszystko. I co z tego? Nie bezpowodu tak postąpił. I dał jej te sto dolarów, może nie? Jeszcze zanim sam je na zdjęciach zarobił. Więc naprawdę nie powinna być na niego aż tak wściekła.

Wszystko na nic. Nadal czuł się jak bezwartościowy, kłamliwy, podstępny drań. Z westchnieniem wyjął ręce z kieszeni i usiadł na ławie obok Belle. Wzdrygnęła się i gwałtownie od niego odsunęła, tuląc pieniądze do piersi, jakby obawiała się, że je wyrwie. I znowu Winowi w środku wszystko się boleśnie ścisnęło.

Zwariowana historia.

- Niech pani posłucha, Belle, przykro mi, że źle zrozumiała pani naszą umowę. - Sumienie szturchnęło go porządnie od środka i Win natychmiast się poprawił. - To jest, przykro mi, że... że... - A niech to diabli, że też jego sumienie w tej akurat chwili musiało zacząć rozrabiać. - Przykro mi, że panią wprowadziłem w błąd.

No. Przeprosił ją, chociaż w głębi serca nie był pewien, czy jest mu przykro. Zdecydowanie było mu jednak przykro, że Belle się na niego wściekła, więc za bardzo nie skłamał.

Belle prychnęła. Win, skwaszony, zacisnął wargi; wiedział, że powinien był się tego spodziewać.

- Ale zapłaciłem pani kwotę, jaką uzgodniliśmy, więc nie powinna się pani za bardzo złościć.

Belle oderwała wzrok od kurczowo ściskanego stosiku banknotów i uniosła go na twarz Wina.

- Bardzo się z tych pieniędzy cieszę. - Głos miała niski i napięty. - Ale nie zgodziłabym się ich przyjąć, gdybym wiedziała, że moja podobizna pojawi się na frontowej stronie wielkemiejskiej gazety. Albo... - Nagle przerwała, a jej czekoladowe oczy się rozszerzyły. Wydała stłumiony okrzyk przerażenia.

Win, obawiając się, że Belle może dostać ataku dziewiczych waporów czy czegoś równie południowego, co będzie przekraczało jego zrozumienie, położył jej rękę na ramieniu.

- Belle, o co chodzi?

Rzuciła mu tak inkwizytorskie spojrzenie, że Wina ogar-nęła obawa, iż musiała uznać go za Kubę Rozpruwacza albo kogoś w tym rodzaju.

- Co się dzieje? - zapytał znowu, tym razem bardziej szorstko.

- Ojej, ojej, a jeżeli moi rodzice dowiedzą się o tym?

- O czym? Wydawało mi się, że już wiedzą? Belle pomachała ręką w powietrzu.

- Och, wiedzą, że pozuję do fotografii, ale nie wiedzą o tym. - Gestem pokazała na swoją podobiznę, wystawioną w oknie pawilonu.

- Aha. - Cholerny świat. - Jak pani mówiła, skąd pani pochodzi?

Belle ukryła twarz w dłoniach, uprzednio pieczołowicie schowawszy pieniądze do małej kieszonki.

- Z Blissborough - jęknęła. - To jest w pobliżu Atlanty. - A. - Win zielonego pojęcia nie miał, co powiedzieć.

Prawda była taka, że artykuły H. L. Maya, razem z towarzyszącymi im fotografiami, mogły zostać opublikowane dosłownie wszędzie. Uznał, że Belle nie musi się jeszcze w tej chwili o tym dowiadywać,

- Jeżeli zobaczą moje zdjęcie w georgiańskiej gazecie, będą przekonani, że już niżej upaść nie mogłam.

Zapominając, że chodziło mu o to, by udobruchać tę dziewczynę, Win wykrzyknął:

- To po prostu głupie, Belle! W im większej liczbie gazet to zdjęcie się ukaże, tym więcej mi zapłacą.

Belle spojrzała na niego z czymś, co wyglądało na sporą dozę obrzydzenia.

- Ale ma pan szczęście.

Win natychmiast zaczął się wycofywać.

- I pani też! Pani... pani powinna dostać procent od każdej publikacji.

Śliczne, ciemne oczy Belle spoglądały na niego z jawnym niedowierzaniem tak długo, że zaczął się denerwować i wiercić.

- O niczym takim nie słyszałam - powiedziała wreszcie.- Pewnie tego aspektu nie omawialiśmy - wymamrotał. - Ale ten interes tak właśnie działa. Widzi pani, za każdym razem, kiedy zrobiona przeze mnie fotografia gdzieś się ukazuje... za wiedzą moją albo mojego agenta... - Tu zachmurzył się na myśl o zdradliwości życia: - Jest bardzo wielu pozbawionych skrupułów ludzi, którzy starają się ukraść czyjeś dzieło i nie zapłacić... - Zauważył wyraz twarzy Belle i doszedł do wniosku, że może lepiej będzie nie poruszać sprawy skrupułów lub ich braku. - Chcę powiedzieć, że powinni mi płacić za każdym razem, kiedy jakaś gazeta czy inny periodyk wybierze którąś z moich fotografii do publikacji. To trochę tak jak z książkami.

Po kilku pełnych napięcia sekundach Belle powiedziała:

- A.

Co to, u diabła, miało znaczyć? A. A? Szlag by to trafił, Win zaczynał mieć tej rozmowy po dziurki w nosie. A skoro tak się sprawy miały, wstał, chwycił Belle za rękę i dźwignął ją z ławy.

- Idziemy. Zamierzam wlać pani trochę oleju do głowy. - I zamierzał zrobić to w takim miejscu, gdzie nikt im nie przeszkodzi.

- Co pan robi? - zawołała Belle.

- Słyszała pani. - Nie puszczając jej ręki, po drodze do drzwi chwycił kapelusz.

Belle uznała, że dreszczyk rozkoszy, jaki poczuła, kiedy Win potraktował ją tak władczo, jest jeszcze jednym dowodem na to, jak zepsuł jej się charakter. Czysty pech, że ten zepsuty charakter zmusił całą resztę charakteru do uległości, Na samą myśl o tkwiących w torebce stu dolarach moralność Belle w oczywisty sposób ulegała rozmiękczeniu.

Niemniej jednak na znak sprzeciwu zaryła się piętami w ziemię. A ponieważ Wina to właściwie nie powstrzymało, zyskała tyle, że porysowała sobie buciki.

- Dokąd idziemy? Co pan robi? Zobaczyła, jak jakiś dżentelmen w tweedowym ubraniu, któremu towarzyszyła tęga dama w kraciastym stroju, unosi dłoń i osłania sobie oczy, by im się przyjrzeć. Mężczyzna w tweedach popatrzył z dezaprobatą na

Wina, który odpowiedział mu gniewnym spojrzeniem. Ten w tweedach chyba poczuł się zaskoczony, bo natychmiast się odwrócił i pogonił swoją tęgą towarzyszkę. I ktoś taki nazywa siebie dżentelmenem, pomyślała z goryczą Belle. Jankeś zatracony.

- Robi pani z siebie widowisko - warknął Win. - Wydawało mi się, że nie lubi pani rzucać się ludziom w oczy.

- To nie ja robię z siebie widowisko! - odszepnęła Belle z oburzeniem. Ale przestała się opierać. Nie tylko szkodziło jej to na buty, ale tchu już nie mogła złapać.

W pobliżu jednego z pięknych posągów, które poustawiano na terenie Wystawy, stała beczynnie grupka młodych mężczyzn. Ubrani byli zgodnie z najnowszą modą. Belle wyglądało na to, że uprawiają rozleniwienie jako formę sztuki. Jeden z młodych ludzi podniósł coś do oczu (Dobre nieba, czyżby monokl? Jakież to pretensjonalne!) i zagapił się na Belle. Dał kuksańca najbliższemu sąsiadowi i kiwnął głową w stronę Belle i Wina. Jego towarzysz szeroko się uśmiechnął i puścił oko do Belle. Reszta młodych ludzi również się odwróciła, by na nich popatrzeć.

Belle zadarła nos, myśląc przy tym, że żaden z tych źle wychowanych, chociaż najwyraźniej dobrze sytuowanych młodzieńców nie ośmieliłby się zrobić czegoś takiego w stosunku do damy, której fotografia nie widniałaby na frontowej stronie „Chicago Globe”.

- Do licha z panem, Winie Asher! Czy pan to widział?

- Tak. - Win odwrócił się do grupy młodych ludzi i ryknął: - Na co się gapicie, wy chamy obrzydliwe? Ta dama nie życzy sobie waszych wstrętnych atencji. Zajmijcie się swoimi sprawami albo was pokotem położe!

Młodzi ludzie najwyraźniej nigdy wcześniej nie musieli zapłacić za swoją niegrzeczność. Pierwszy z nich upuścił monokl i cofnął się o krok. Drugi wyjąkał: - Prz... przepraszamy pana. Niegrzeczność była niezamierzona.

- Humf - warknął Win. - Mało prawdopodobne. Młodzi ludzie odwrócili się wszyscy jak na komendę i zaczęli oddalać się od Belle i Wina.

- Tchórze - szydził Win.

- To pana wina - powiedziała z wściekłością Belle. - Oni pewnie sądzą, że ja jestem... jestem... - Nie potrafiła zmusić się do wypowiedzenia tego słowa. Pomyślała sobie, że może jej to pomoże, a już na pewno nie zaszkodzi, jeżeli wyszarpi nie rękę z uścisku pana Ashera. Tak jak podejrzewała, nie

udało się, bo trzymał ją mocno. Tak mocno, że jutro pewnie będzie miała siniaki. Zastanawiała się, jak dobrze wyszłyby na fotografii.

- Akurat. Oni tylko pokazywali, co potrafią, i próbowali udawać światowców.

- To dalej pana wina - wymruczała Belle.

- Niech pani przez chwilę pomilczy, to będziemy mogli całą sprawę omówić.

- Nie ma o czym mówić. Wprowadził mnie pan w błąd, za który teraz ja będę musiała ponieść konsekwencje. - Na zakończenie prychnęła. Nie było to bardzo potężne prychnięcie (zawiniła tu sytuacja gorsetowa), niemniej jednak okazała nim swoje niezadowolenie.

- Jest pani nierozsądna, do cholery.

- Niech pan przy mnie nie przeklina, do licha!

Win nie zareagował, tylko gwałtownie zatrzymał się przed przystanią dla łódek, przez co Belle, która nie była w stanie dotrzymać mu kroku, kiedy przestał ją za sobą ciągnąć, wpadła mu na plecy. Win odwrócił się i paskudnie spiorunował ją wzrokiem, a to już było niesprawiedliwe.

- To pana wina, bo mnie pan tak ciągnął - wydyszała, martwiąc się, że może zemdleć. Jej matka ciągle mdlała. Belle do tej pory przypisywała ten aspekt matczynego charakteru tendencjom do dramatyzowania, ale teraz zaczęła zastanawiać się, czy nie robiło jej się bez przerwy słabo dlatego, że zbyt mocno się sznurowała.

Win nie pomyślał nawet, by odeprzeć jej zarzuty. W ogóle się do niej nie odezwał, zwrócił się natomiast do chłopaka, który szelmowsko się do nich uśmiechał. Belle poczuła, że czerwieni się z zażenowania.

- Bierze pan damę na przejażdżkę, panie Asher? - zapytał chłopak, puszczając do

Wina oko.

- Właśnie. - Win podał mu pieniądze. - Nie wiem, jak długo będziemy na kanale.

Serce Belle gwałtownie tłukło się w piersi. Przycisnęła dłoń do serca w nadziei, że je tym gestem uspokoi, i rozejrzała się dookoła. Nie zwracała uwagi, dokąd się kierują, i dopiero teraz, kiedy doszli na miejsce, uświadomiła sobie, że Win wynajmuje łódkę.

Światowa Wystawa w Chicago została zbudowana na terenie, który w zasadzie był bagnem. Ponieważ wody nie brakowało, budowniczy wykorzystali to i skonstruowali system dróg wodnych, które wiły się po całym terenie Wystawy, przeplatane licznymi, malowniczymi jeziorkami. Uroda otaczających rzeczki i jeziora krajobrazów zapierała dech w piersi, nawet jeżeli nie zesnuowało się jej zbyt mocno gorsetem. Belle uświadomiła sobie, że Win oczekuje, iż wybierze się z nim na przejażdżkę łódką, którą można było wynająć, by popływać po kanałach, i znowu usiłowała wyrwać mu rękę.

- Nie mogę tam z panem pojechać! - syknęła z myślą o swej nieco już skalanej cnocie.

- Cśśś. Trzymaj, Buster. Ja siądę przy wiosłach.

- Pewno, panie Asher. - Ze śmiechem stanowczo zbyt lubieżnym jak na chłopca w jego wieku, Buster podał Winowi parę wiosel.

Win, zanim je wziął, podniósł Belle i wsadził ją do łódki. Była zbyt wstrząśnięta, by się z nim szamotać, zresztą może nie szamotałaby się nawet wtedy, gdyby wstrząśnięta nie była. Już zrobiła z siebie widowisko. Wcale jej nie zależało, by stać się widowiskiem nasiąkniętym wodą. Łódka szaleńczo się zakołysała, jak tylko Win opuścił Belle na ławkę. Belle wrzasnęła i chwyciła za burty.

- Dzięki, Buster. - Win odebrał wiosła od swego współnika w zbrodni, zręcznie wsiadł do łódki i zaczął gderać:

- Nie ma potrzeby wrzeszczeć, Belle. Umiem wiosłować.

- A niech pana, Winie Asher!

- Taa, taa. - Zacisnął wargi z taką mocą, że bielą odbijały od opalonej twarzy.

Belle uświadomiła sobie, że Win jest wściekły. Równie wściekły jak ona. I to bez powodu. Ona przynajmniej miała powód, by się wściekać. Gdyby nie bała się puścić burt, skrzyżowałaby ręce na piersi i wbiła wzrok w dal, bo chyba w żaden inny sposób nie mogła wyrazić złości i dezaprobaty. Takiej możliwości jednak nie miała - nigdy wcześniej nie siedziała w łódce, nie umiała pływać i nie lubiła się kąpać - postanowiła więc odwrócić głowę i wpatrywać w brzeg, starając się nie zwracać uwagi na Wina.

Wydawało jej się, że Win milczy już od kilku godzin, ale pewnie upłynęło tylko kilka minut. Wiosłował szybko. Łódeczka mknęła po jeziorze. Mimo woli Belle zachwyciła się widokami.

Cała Światowa Wystawa była piękna. Budynki, z których większość skonstruowano w stylu Beaux Arts (Belle czytała coś niecoś o tej szkole sztuki), zachwyciły swoją urodą. Ukształtowanie terenu, lepiej widoczne z wody niż ze ścieżek, było bogate i piękne. Kiedy zauważyła wspaniały ogród różany, uświadomiła sobie, że Win wiezie ich na Wooded Island. Westchnęła ze szczęścia, zanim się zdołała powstrzymać.

Przyrzekła sobie, że któregoś dnia będzie miała własny ogród różany. Nawet gdyby nadal była uboga, musiała przeprowadzić się z powrotem do Blissborough i zamieszkać w rozpadającym się domu rodziców, nie widziała powodów, by odmawiać sobie radości, jaką dają róże. Dręczyła ją tylko nielojalna myśl, że matka z rozmysłem sobie niektórych niekosztownych przyjemności w życiu odmawia, wyłącznie dlatego, że chce, by ludziom było jej żal.

- Iii tam - zamruczała pod nosem, zła, że akurat teraz przyszło jej do głowy coś takiego. Rzuciła okiem na Wina. No pewnie, gapił się wprost na nią. Poirytowana zapytała:

- Czy nie musi pan patrzeć, gdzie pan płynie?

- Nie.

Ponieważ nie wykazywał najmniejszych chęci, by swą odpowiedź rozbudować,

Belle domyśliła się, że pewnie rzeczywiście nie musi patrzeć. Tylko tego jej jeszcze brakowało. Czowała się nieswojo, kiedy tak się przyglądał, zwłaszcza że miał przy tym dziwny wyraz twarzy. Jeszcze trochę i w ogóle przestała na niego patrzeć, tylko odwróciła głowę, by podziwiać śliczne widoki. Płynęli po kanale, który wykazywał pewne podobieństwo do widzianych kiedyś przez Belle' obrazów przedstawiających rzeki w Kongo Belgijskim, o brzegach porośniętych gęstwą roślinności. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby nagle pokazał się hipopotam.

Łódka gwałtownie się zatrzymała. Belle chwyciła za burty i cicho krzyknęła ze strachu. Rozejrzała się w popłochu i uświadomiła sobie, że Win wpłynął do maleńkiej zatoczki przy jednej z wysepek.

- Co pan wyprawia? Czy zgruntowaliśmy? - Wydawało jej się, że to właściwy termin.

- Zgodnie z planem - odpowiedział lakonicznie. Dobry Boże, chyba nie miał zamiaru jej utopić?

Win zdawał się wyczuwać przestroch Belle.

- Niech się pani nie martwi. Nie zrobię pani krzywdy, do licha. Muszę tylko z panią porozmawiać. Trzeba tę całą sprawę wyjaśnić.

Belle fuknęła na niego.

- Żądam, by mnie pan zabrał z powrotem do... do... - A niech to gęś kopnie, nie mogła przypomnieć sobie, gdzie poszła Gladys z Amalie. A, tak. - Na ten start balonu.- Nie może pani tam wejść bez przepustki, a ja więcej przepustek nie mam.

Zrobił z wiosłami to, co robią z nimi wioślarze, kiedy ich nie używają. Belle niejasno przypominała sobie, że ma to jakąś nazwę, ale nie wiedziała jaką. Przyglądając mu się podejrzliwie, zapytała:

- Co pan teraz robi?

- Belle Monroe, doprowadza mnie pani do szaleństwa! Belle wytrzeszczyła na niego oczy, chociaż wiedziała, że wytrzeszczanie oczu jest niegodne damy.

- Ja! Doprowadzam pana do szaleństwa? - Tak.

Win wpatrywał się w nią dzikim wzrokiem, doszła więc do wniosku, że mówi serio. Ale nadal go nie rozumiała, a jej własna złość rozwinęła się jak pączek różany w upalny dzień.

- Jak pan śmie? To mnie pan okłamał i wprowadził w błąd, i...

- Do cholery, dostała pani zapłatę!

Ryknął tak głośno, że Belle zasłoniła sobie uszy rękami. Zgromiła go najostrzejszym spojrzeniem, na jakie mogła się zdobyć, i warknęła:

- Pieniądze nie wynagrodzą mi upokorzenia, wiążącego się z faktem, że moją podobizną wytapetowano całe Stany Zjednoczone!

- Upokorzenia! Upokorzenia?

- Tak! Przekonana jestem, że obiecał mi pan, iż ukaże się ona tylko w Niemczech! Niech pana licha porwie, Winie Asher, ja wiem, że tak było!

- Upokorzenie, też coś! Wykazuje pani kompletny brak rozsądku. Do najjaśniejszej cholery, jest pani piękną kobietą! Powinna pani być dumna z siebie, a nie krzyczeć na mnie za to, że odkryłem panią jak... jak... jak łabędzia w kierdlu kaczek!

- W stadzie - wymamrotała Belle. Miała wrażenie, że tą uwagą na temat rzekomej urody swojej modelki Win stłumił całą jej złość jak ogień kocem. Zawsze starała się wyglądać jaknajkorzystniej, ale nigdy nie uważała siebie za szczególnie urodziwą. To jej omdlewającą matkę uważano w rodzinie za piękność. Belle była zbyt niezależna, zbyt uparta, zbyt niepodobna do reszty swoich krewnych, by mieli uznać ją za...

- Czy naprawdę pan uważa, że jestem piękna? - Zapytała o to cichutkim głosikiem i zawstydzila się, gdy słowa wyszły z jej ust.

Win gapił się na nią z takim wyrazem twarzy, jakby nigdy w życiu nie słyszał równie idiotycznego pytania. Wargi Belle zacisnęły się, a jej dłonie zwinęły się w pięści. Do jasnej ciasnej, dlaczego przy tym irytującym osobniku płci męskiej musi zawsze powiedzieć coś niewłaściwego?

Rzucił się nagle ku niej tak raptownie, że nie zdążyłaby uskoczyć, nawet gdyby się uskakiwać ośmieliła. Ludzie znający się na rzeczy nie zalecają wykonywania gwałtownych ruchów w łódce i mają rację, bo kiedy Win porwał Belle w ramiona, łódka bardzo się rozkołysała. Jego porywczosć i kołysanie tak zaszokowały Belle, że puściła burty i zarzuciła Winowi ręce na szyję.

O Boże, jak dobrze jej było, kiedy ją tak przytulał. Belle przelotnie przypomniało się, że to nie wypada, ale zaraz emocje wzięły górę i rozsądek pierzchnął.

- A niech to, Belle, jak pani w ogóle może zadawać takie pytanie? - Wraz z oddechem Wina jego słowa rozplywały się po jej rozgrzanej skórze; od środka coś rozkosznie zaczęło ją mrowić.

- Jakie pytanie? - Czy zadawała jakieś pytanie? Mmmmm. Nie mogła sobie przypomnieć.

- Czy pani jest piękna - gderał Win, dotykając wargami jej szyi. Belle grzecznie odchyliła głowę w tył, by miał większe pole manewru. - Oczywiście, że jest pani piękna.

- Mmmm. - Ależ to było słodkie. Gdyby mogła dysponować własnym głosem, powiedziałałaby mu to.

- Co więcej, ma pani charakter. - I powiedziawszy to, zademonstrował swój własny charakter, wyszarpując szpilki z jej kapelusika, ściągając sam kapelusik z głowy, wyciągając spinki ze starannie uczesanych włosów i zanurzając w nich palce. Dotykał Belle delikatnie i czule.

- Mmmm? - Charakter, czy tak? Patrzcie państwo.

- Kiedy się poznaliśmy, myślałem, że jest pani idiotką. No, to nie było bardzo miłe. Gdyby mogła, byłaby zmarszczyła brwi. A że nie mogła, wyszeptwała tylko:

- Mnie się pan też nie podobał.

- A potem zobaczyłem panią z dziećmi i uświadomiłem sobie, że musi być w pani coś więcej niż te kulawe południowe banały i eufemizmy na wojnę domową.

To niemalże zwróciło jej uwagę. Chociaż bez przekonania, wymamrotała:

- To nie była domowa...

- Dobra, dobra. Wiem. To nie była wojna domowa. To była wojna północnej głupoty.

Ach. Belle postanowiła wybaczyć mu sarkastyczny ton, ponieważ nazwał ten okropny konflikt we właściwy sposób.

- Kocha pani te dzieci, prawda, Belle?

- Mmmm. - Miała nadzieję, że mu to starczy za odpowiedź, ponieważ na nic więcej nie mogła się zdobyć, kiedy dłonie Wina poznawały jej ciało.

- A potem ocaliła pani życie Kate Finney.

Zrobiła to, czyż nie? Bała się, że Win zapomniał już o jej heroicznym wyczynie, i ucieszyła się, że jednak nie.

- Tą pani cholerną parasolką.

Parsknął niskim, gardłowym śmiechem, a w niej zaczęły rozkwitać przeróżne niestosowne emocje. Poczula jego dłoń na łydce i wessała powietrze. Zanim zdążyła zrobić cokolwiek więcej, Win nakrył jej usta swoimi i Belle zapomniała, że powinna zaprotestować na te niestosowne awanse. Może i dobrze, bo wcale nie miała ochoty protestować, a skoro nie mogła mówić - nie musiała. Win wysunął język, by pieścić wewnątrz jej ust, i Belle niemalże zemdląła, idąc w ślady matki,

- Po co, u diabła, założyła pani gorset? Odsunął się od niej tak gwałtownie, że mało brakowało, a Belle wypadłaby za burtę. Zacisnął mocno dłonie na ramionach dziewczyny i spoglądał na nią tak gniewnie jak nigdy dotąd. Nie rozumiała jego pytania. W tym akurat momencie nie była w stanie zrozumieć żadnego pytania, ponieważ przed chwilą zmysły jej rozpierzchły się jak piórka na wietrze. Powiedziała:

- Um...

- Myślałem, że zrezygnowała pani z noszenia tego narzędzia tortur.

Belle, przymrużywszy powieki, skierowała spojrzenie na Wina. Nie była w stanie pogodzić słodkich sensacji, które wciąż rykoszetem odbijały się po jej wnętrzu, z tą

przerazająco gniewną miną.

- Um...

- Gorsety szkodzą na zdrowie, do cholery! Naprawdę bardzo chciała, żeby przestał przeklinać za

każdym razem, kiedy coś do niej mówi. Zamrugła jeszcze kilka razy.

- Całkiem prawdopodobne, że pani zemdleje, jeżeli będzie pani nosiła to cholerstwo.

- Ja... - Ona co? Do licha.

- Och, do diabła z tym wszystkim - warknął Win i znowu przyciągnął ją do siebie.

Belle była mu ogromnie wdzięczna, ponieważ nie potrafiła wymyślić nic na obronę gorsetów, a czuła się nieszczęśliwa, że przerwał tę niebiańską chwilę. Westchnęła, wtulając się w niego, miała wrażenie, że jest lekka jak piórko i całkiem pozbawiona kości, czuła się po prostu rozkosznie.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa - szeptał Win z wargami tuż przy jej uchu.

- Mmm - powiedziała Belle; pamiętała, że miała się rozzłościć, że tak mówi, tylko nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego.

- Ta chwila świetnie to ilustruje.

Co ilustruje? Belle nie miała pojęcia, więc zamruczała tylko znowu:- Mmm.

- I tak bardzo od wielu dni cię pragnę, że już mnie wszystko od tego boli.

- To dobrze.

Ups. Chyba nie powinna była tego mówić. No cóż.

- Dobrze, czy tak? - Dłoń Wina znalazła guziczki przy dekolcie bluzki, jego palce zaczęły przy nich manipulować. - Do diabła, może masz rację.

A może nie ma. W głębi serca Belle niejasno zdawała sobie sprawę, że nie powinna pozwolić mu na kontynuowanie tego ataku - jeżeli to był atak - ale czuła się tak cudownie. Win odchylił materiał bluzki.

- A, tu mamy tego łajdackiego winowajcę.

- Hmm? - Belle uświadomiła sobie, że Win wpatruje się w jej dekolt, i spuściła wzrok. - Och, chodzi ci o mój gorset.

- Tak, chodzi mi o twój cholerny gorset.

- Jest odrobinę niewygodny - przyznała.

- Odrobinę?

Belle wzruszyła ramionami.

- To nie jest pełnowymiarowy gorset. Przypuszczam, że mogłabym go zdjąć. - Nie wiedziała, czemu Win wpatruje się w nią z takim niedowierzaniem. - Wydawało mi się, że tego właśnie chciałeś.

- Tego chciałem? - powiedział słabym głosem. - Ale... Nie dokończył myśli.

Belle zaczęła rozsznurowywać gor-

set, mamrocząc:

- Od rana co chwila mi groziło, że przez to świństwo zemdleję. Specjalnie mocno go dziś rano ściągnęłam, bo wstydziłam się, że wczoraj wieczorem uległam twoim pieszczotom.

- Uległaś moim...

Belle oderwała wzrok od sznurówek, bo Win puścił ją tak nagle, że łódka się zakołysała. Na jego twarzy malowała się szeroka gama uczuć, a żadne nie było przyjemne. **Przełknęła**, zaczęło jej się rozjaśniać w głowie. Palce przestały **pociągać** za wstążki, ale gorset nagle rozsunął się, ześlizgnął się z jej talii i opadł na biodra, przy czym fiszbiny podtrzymały go w pionie jak klatkę.

Win wpatrywał się w Belle z napięciem. Przełknął ślinę.

- Um...

Belle w odpowiedzi zapatrzyła się na niego.

- Um...

I w nagłym przeblýsku świadomości odzyskała zdrowe zmysły; ogarnęło ją przerażenie.

- Ojej! Co ja zrobiłam?

- Nie. Co ja zrobiłem? - Głos Wina był roztrzęsiony.

- Ojej. Ojej. - Belle chwyciła bluzkę, starając się ściągnąć ku sobie jej poły.

Przeszkadzał w tym gorset, więc wyszarpnęła go górą. Ręka jej się trzęsła jak w ataku epilepsji, kiedy spoglądała z niedowierzaniem na ten fragment własnej bielizny. Na miłość boską, co miała z nim teraz zrobić?

- Um, Belle?

Wzrok Belle przeskoczył z gorsetu na twarz Wina. Jeszcze u niego tak poważnej miny nie widziała.

- Co? - warknęła tylko; czuła się wykorzystana, niezrozumiana i oszukana.

- Proszę. Ja to wezmę.

Rzuciła w niego gorsetem i zabrała się do zapinania guzików. Przeszkadzały jej włosy, które Win kompletnie rozburzył. Wściekła i sfrustrowana chwyciła jedno pasmo i odrzuciła je na plecy. Usłyszała jęk Wina.

- Och, Boże, Belle, tak mi przykro. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

- Ja wiem - powiedziała z goryczą. Do licha, jeszcze trochę, a zwariuje z tymi guzikami. Pewnie dlatego, że tak jej się ręce trzęsą. - Jest pan cholernym Jankesem i mężczyzną. - Poczowała się urażona, kiedy z rezygnacją westchnął.

- To, że jestem Jankesem, nie ma ze sprawą nic wspólnego. Szkody narobiło to drugie, to, że jestem mężczyzną.

Belle ściągnęła surowo brwi i podniosła oczy znad guzików na jego twarz. Wyglądał na dosyć nieszczęśliwego. I powinien tak wyglądać, pomyślała ze złością.

- Ale każdy mężczyzna by pani pożądał, Belle. Nie tylko ja. Jest pani wyjątkowa. Jest pani... och, do diabła, sam nie wiem.

Poczowała się zaskoczona, kiedy ukrył twarz w dłoniach i wbił palce tym razem w swoje własne włosy. Udało jej się w końcu pozapinać guziki, więc chwyciła gęste, ciężkie sploty, zwinęła je w kok, przytrzymała go na karku i rozejrzała się po dnie łódki w poszukiwaniu spinek. Kapelusik wpadł im pod nogi i chyba musieli go podeptać. Podniosła swoje nakrycie głowy i wpatrzyła się w nie ze smutkiem.

- Jest zrujnowany.

Win wyrzał przez palce.

- Co jest zrujnowane?

- Mój kapelusik. - Widok kapelusika w tak opłakanym stanie spowodował, że z jakiegoś absurdalnego powodu Belle w oczach zapiekły łzy. Wiedziała, że wargi jej drżą, i czuła się głupio. - Jest zrujnowany.

- Niech sobie pani kupi nowy - poradził jej Win bezdusznie. - Do diabła, ja pani kupię nowy. To pewnie moja wina.

- Tak - powiedziała, starając się, by to słowo zabrzmiało stanowczo. Nie udało się. Zabrzmiało żałośnie. - To pana wina. - A potem, chociaż wolałaby się zastrzelić, niż zrobić coś takiego, wybuchnęła płaczem. Tym razem to ona ukryła twarz w dłoniach.

- Diabli nadali, Belle, niech pani tego nie robi. Proszę. - Głos Wina brzmiał żałośnie.

A Belle uznała, że cała jej osoba jest żalosna. Nienawidziła siebie za to, że uległa czemuś, co zawsze uważała za babskie podstępny najgorszego rodzaju. W tej chwili nie czuła się przebiegła. Czuła się okropna. Nędzna. Nieszczęśliwa. Paskudna.

- Niech mi pan da spokój - dobiegł stłumiony głos zza jej dłoni. - Niech mnie pan zostawi w spokoju.

- Cholera. - To słowo było równocześnie błaganiem i przekleństwem. **Belle** nic to nie obchodziło. Już się wystarczająco upokorzyła jak na jeden dzień. Nie miała zamiaru powiększać brzemienia wstydu, próbując coś jeszcze powiedzieć. Gwałtowny szloch wstrząsał jej ciałem. Czuła się taka głupia.

Tym razem, kiedy Win otoczył ją ramionami, próbowała się opierać.

- Niech pani przestanie - poprosił łagodnie. - Wywróci pani łódkę. Przykro mi, Belle. Nie chciałem pani zdenerwować.

Jego głos brzmiał tak czule, że resztki opanowania Belle prysnęły. Z rozedrganym łkaniem rzuciła się w ramiona Wina Ashera.

13

Gdyby okoliczności były inne albo towarzyszyła mu inna kobieta, Win dokładnie wiedziałby, co robić. A dzięki temu, że tak dobrze znał tereny targów i umiał wioskować, z pewnością nikt by im nie przeszkodził.

I chociaż nigdy w życiu nie był bardziej gotowy do spełnienia aktu prokreacji, nie potrafił się zmusić, by Belle wykorzystał. Nie Belle, która była taka... taka... no, taka południowa, to chyba właściwe określenie, chociaż nie obejmowało wszystkiego. Za bardzo przyzwoita? Takie słowo też w pewnym sensie pasowało.

Obawiał się, że to szacunek do niej każe mu trzymać poządliwość na wodzy, chociaż w tej chwili nie miał ochoty o tym myśleć. Szacunek do kobiety potrafił cholernie wchodzić człowiekowi w drogę.

- Niech pani posłucha, Belle, przykro mi, że mnie poniosło. Tylko że pani jest taka... - Nie mógł obarczyć winą za swoje postępowanie „południowości” Belle. To nie jej pochodzeniu, tylko samej Belle nie potrafił się oprzeć. Chociaż ze wszystkich sił próbował. - ... taka pociągająca dla mnie.

Usłyszał, jak Belle z całkowitym brakiem elegancji pociąga nosem.

- J... ja? - szepnęła. - Pociągająca? Niezaspokojone pożądanie połączone z poczuciem winy

na chwilę wzięło górę nad z lekka niedorozwiniętymi odruchami dżentelmeńskimi Wina. Kiedy zareagował, jego słowa zabrzmiały sucho jak przypalona grzanka.

- Niech pani nie udaje takiej zaskoczonej, Belle. Pewnie wszyscy, co do ostatniego, panowie w Blissborough gonili za panią z wywieszonym językiem, dla pani czarujących manier i tych olbrzymich, brązowych oczu. - Jak tylko jego słowa rozeszły się w parnym powietrzu, poczuł się jak najpodlejszy wąż.

Belle wyrwała się z jego objęć.

- Nędznik!

- Och, Boże, Belle, przepraszam panią. To nie pani. To ja. Jakoś nie mogę utrzymać rąk przy sobie, a na dodatek codziennie, przez cały cholerny czas myślę tylko o pani. To nie pani wina.

Belle wydała stłumiony okrzyk i zaczęła po omacku szukać na dnie łódki swojej małej torebki. W końcu znalazła ją, chwyciła w rozdygotane dłonie i wygrzebała chusteczkę, którą otarła sobie oczy.

- No pe... pewnie, że to nie moja wina. - Pociągająca? Och, wszystko jedno.

Win nie spodziewał się, że z taką energią będzie wycierała nos. Wolał nie wdawać się w wyjaśnienia, dlaczego wydaje mu się pociągająca. Z przykrością uświadomił sobie, że przynajmniej chwilowo pożądanego nie zaspokoi, więc ciężko westchnął.

- Lepiej doprowadźmy panią do porządku, Belle, a potem zabiorę panią z powrotem do Richmondów.

Belle gwałtownie uniosła twarz znad chusteczki, minę miała przerażoną.

- Ojej, absolutnie nie mogę się im pokazać w takim stanie. Win znowu westchnął. - Dlatego doprowadzimy panią najpierw do porządku.

- Jak? - Bardzo się starała groźnie na niego spojrzeć, ale dostępny jej zestaw mimiczny nie obejmował gróźb. - Wyglądam jak nieboskie stworzenie.

- I nawet jako nieboskie stworzenie jest pani piękniejsza od większości kobiet. - Win przyznał to nie tylko dlatego, że chciał ukoić jej emocjonalne roztrzęsienie. Po prostu była to prawda. - Czy nosi pani w tym coś lusterko? - Pokazał na torebkę.

Belle popatrzyła na torebkę, a potem znowu na Wina.

- Nie.

- A ja myślałem, że kobiety zawsze noszą ze sobą lusterka, żeby się mogły wyfiokować.

- Ja - lodowato zwróciła mu uwagę Belle - się nie fiokuję. Mam zatrudnienie, zarabiam pieniądze i nie mam czasu na fiokowanie.

- Tak, tak. Wiem. Wiem. - Znowu przeczesał sobie włosy palcami. Żałował, że nie trzyma już Belle w ramionach. Do- brze ją było obejmować. Jakby znalazła się na swoim miejscu. Gdyby tylko nie była taka cholernie trudna i tak diabelnie Południowa, przez największe z możliwych „P”, mogliby jakoś dojść do porozumienia i utworzyć intratną spółkę.

Na ten pomysł Winowi oczy stanęły kołem, jak to ujmowała jego angielska babka, a jego ręce same zaprzestały prze- czesywania włosów i opadły na kolana.

- Dobry Boże.

Nie zdawał sobie sprawy, że mówi głośno, dopóki Belle nie zapytała podejrzliwie:

- Słucham pana?

- Co? - Win otrząsnął się z nagłego oszołomienia i zobaczył, że równie podejrzliwe jak głos Belle jest spojrzenie jej brązowych oczu. Już otwierał usta, by poinformować ją o swoim genialnym pomysle, ale rozsądek kazał mu się ugryźć w język. Odchrząknął.

- Och. Nic. To ja może już wezmę się za wiosłowanie. Mogę przybić do brzegu w pobliżu pawilonu Kate. Pomoże nam się doprowadzić do porządku.

- Nie mam zamiaru w takim stanie pokazywać się publicznie, Winie Asher! - Belle wyprostowała się na ławeczce, jakby kij połknęła, i gniewnie na niego spojrzała. Dużo lepiej wychodziły jej spojrzenia gniewne niż groźne, zauważył ze smutkiem Win.

- A niech to, nie noszę przy sobie grzebienia, szczotki ani lusterka, Belle. Niechże pani choć raz okaże trochę rozsądku.

- Trochę rozsądku? Choć raz!

Na jej krzyk spłoszyły się buszujące w tataraku ptaki. Zrezygnowały z szukania wiktuałów i wyprysnęły w górę z takim odgłosem, jakby wybuchła bomba. I Belle, i Win podskoczyli i rozkołysali łódkę. Win chwycił za wiosła i z wielkim trudem ustabilizował ją.

- Na miłość boską - wymamrotał - niechże pani zaprzestanie tych krzyków,

dobrze?

Belle kurczowo trzymała Się burt.

- A niech pana, Winie Asher - powiedziała, kiedy łódka przestała się kołysać. - Jestem rozsądna i wcale nie krzyczę. To nie moja wina, że mi pan zrujnował życie.

- Zrujnowałem pani...? Dobry Boże.

Belle prychnęła i odwróciła od niego twarz. Win musiał przyznać, że ładnie wygląda, kiedy ubranie ma w nieładzie, włosy rozczochrane, a bluzkę pomiętą. Nie widział, by jej talia dostrzegalnie się zmieniła po tym, jak Belle pozbyła się gorsetu, ale wyobrażał sobie, że bez niego mogła czuć się trochę bezbronna. Do cholery zresztą z tymi wszystkimi pannicami z Południa. Zachowywały się tak, jakby nie śmiały stawić czoła światu bez zbroi.

Tak czy owak nie ma to nic do rzeczy. Wiedział, co muszą zrobić, niezależnie od tego, czego chciała Belle, a podejrzewał, że pragnęłyby, by za pomocą czarów przenieść ją do jej bezpiecznego, choć podupadłego domu w Georgii. Ich problemy rozwiąże Kate Finney. Kate natychmiast się zgo- dzi doprowadzić Belle do porządku. Dobra, pocziwa Kate. Szkoda, że do tej pory miała takie ciężkie życie, ale przynajmniej nie będzie traciła czasu na zadawanie pytań i robienie wyrzutów. Win potrafił tę zaletę docenić, a Belle nie. Odepchnął się od brzegu, przy którym tkwiła łódka, zdenerwował jeszcze kilka tuzinów ptaków i zaczął wiosłować. Dłonie Belle pofrunęły do rozburzonych włosów.

- Niech pan przestanie wiosłować! Nie może mnie pan zabierać na Wystawę, kiedy tak wyglądam! Nie mogę pokazać się publicznie w takim stanie!

Win usłyszał zgrzytanie własnych zębów i zmusił się do rozluźnienia szczęk. To bez sensu rujnować sobie uzębienie tylko dlatego, że popełnił błąd w stosunku do piękności z Południa.

- Nikt pani publicznie nie będzie w tym stanie oglądać. Zabieram panią do Kate. Ona panią doprowadzi do porządku.

- Nie! Nie mogę...

- Jasny gwint, czy pani przestanie wrzeszczeć? Jeżeli nie chce pani tak stanąć przed panią Richmond, zabieram panią do Kate.

- Pani Richmond. Ojej, ojej. - Belle skuliła się w łódce, bo Win dopływał do końca samotnego kanału i zbliżał się do jeziora. - Nie chcę, żeby mnie ktoś teraz zobaczył. - Jej głos zmienił się w pełne żałości kwilenie.

- Nikt pani nie zobaczy - wycodził Win przez zaciśnięte zęby. - Wylądujemy najwyżej o tuzin jardów od pawilonu Kate.

- I tak będę musiała przejść do tego pawilonu - zwróciła mu uwagę, osuwając się jeszcze niżej na dno łódki.

- Z pewnością, ale nie będzie musiała pani iść nigdzie dalej.

- Ojej.

Kiedy Win wypływał na jezioro, które łączyło się bezpośrednio z Grand Basin, Belle przycupnęła na dnie łódki, zwijając się w jak najciaśniejszą kulkę. Win byłby przewrócił oczami, gdyby nie to, że czuł się taki winny. Chociaż spacer od łódki do pawilonu Kate zajął im najwyżej pięć minut, minuty te rozciągały się dla Belle w nieskończoność. A przez cały ten czas czuła się jak absolutna idiotka. Win z niechęcią przystał na to, by pożyczyć jej marynarkę, którą narzuciła sobie na głowę.

- Idiotycznie pani w ten sposób wygląda. Jakby pani nie miała tej marynarki na głowie, nie chowała się pod nią i po prostu normalnie szła, to prawdopodobnie mniej ludzi gapiłoby się na panią.

- Nie obchodzi mnie to. - Szła z pochyloną głową, wtulając usta w materiał rękawa marynarki, i głos miała stłumiony. - Niech się gapią, ile chcą, bo i tak nie zdołają poznać, że to ja. - Prędzej utopiłaby się w Grand Basin niż przyznała, że całkiem sporą przyjemność sprawia jej wdychanie zapachu marynarki Wina. Założyła, że to po prostu następny dowód na fakt, jak nisko upadła, od kiedy przeprowadziła się na zdeprawowaną Północ.

- Dobry Boże. Przecież nawet gdyby zobaczyli pani twarz, nikt by nie wiedział, kim pani jest.

- Ha! - W głosie Belle zabrzmiała nutka satysfakcji. - Panu mam to do zawdzięczenia, że od dziś moją twarz zna całe Chicago. Wszyscy by mnie poznali!

Nie potrafił na to odpowiedzieć, zauważyła z urazą, ponieważ wiedział, że tak jest. Miała szczęście, bo kiedy po chyba dziesięciu albo może nawet jedenastu godzinach w końcu dotarli do pawilonu Kate, nie było u niej żadnych klientów.

- Hej, witajcie - zawołała wesoło Kate.

Jak tylko drzwi do pawilonu się za nimi zamknęły, Belle zrzuciła marynarkę, pod którą o mało się nie udusiła. Dzień był wystarczająco upalny. Wcale nie potrzebowała opatulać sobie twarzy grubym tweedem, nawet jeżeli pachniał on jak Win.

- Jasny gwint! - Kate wytrzeszczyła oczy na Belle, która odpowiedziała jej żalonym spojrzeniem. - Co się pani stało?

W bardziej wytwornym towarzystwie Belle nigdy nie pozwoliłaby sobie na to, by dźgnąć kciukiem w kierunku Wi- na, ale wiedziała, że Kate nie weźmie jej za złe tego niegrzecznego gestu.

- On mi się stał.

Z rozszerzonymi oczami Kate przenosiła wzrok z Belle na Wina i z powrotem. Belle zdumiała się, widząc, że policzki dziewczyny pociemniały. A jeszcze bardziej się zdumiała, kiedy Kate zawołała:

- Winie Asher, ty stary czorcie! A potem wybuchnęła śmiechem.

Udręczona i bezgranicznie zażenowana Belle wymamrotała:

- To nie to!

- Nic jej nie zrobiłem! - powiedział Win rozwścieczony. A potem wcisnął rękę głęboko do kieszeni i wymamrotał: - A przynajmniej prawie nic.

Belle nie chciała wdawać się w dyskusję, co robili lub czego nie robili na łódce z Winem. Gdyby miała opowiedzieć Kate, co się tam działo, umarłaby ze wstydu.

- Mielśmy drobny wypadek - skłamała. - A pan Asher powiedział, że może mi pani pomóc doprowadzić się do porządku, zanim wrócę do pracy.

- Pan Asher, czy tak? - zapytała Kate z nutką rozbawienia w głosie.

Belle z pewną goryczą zastanowiła się, jak Kate może być taka wesoła zaledwie w dzień czy dwa po tym, kiedy jej własny ojciec próbował ją zamordować, ale nie zapytała. Zamiast tego powiedziała karcącym tonem:

- Tak.

Kate wesoło wzruszyła ramionami.

- No dobrze. Z łatwością doprowadzi się pani do porządku za pomocą tego, co tu mam, Belle. A ja z radością pani pomogę. W końcu uratowała mi pani życie.

I z tymi słowy wzięła Belle za rękę i poprowadziła ją do zasłonki w rogu pawilonu. Belle aż zamrugała ze zdumienia, bo w głowie jej się nie mieściło, by ktoś z taką niefrasobliwością potrafił mówić o tak brutalnym ataku. Kate ściągnęła zasłonkę na bok; ukazała się niewielka toaletka, zastawiona puzderkami, buteleczkami, szczotkami, grzebieniami i puszkami do pudru. Przed toaletką stał fotelik, na ścianie wisiało lustro.

- Mam tu wszystko, czego trzeba, żeby doprowadzić do porządku pani fryzurę. - Przyjrzała się Belle z profesjonalnym obiektywizmem. - Nie zaszkodziłoby też trochę makijażu. Wygląda pani tak, jakby stoczyła pani jakąś bitwę. - Tu zerknęła z uśmiechem na Wina. Win skrzywił się w odpowiedzi. Belle najchętniej umarłaby, byle mieć to za sobą.

- Makijaż? - Przełknęła. - Ja się zwykle nie maluję.

- No cóż, byłoby lepiej, żeby dziś pani nałożyła trochę koloru, bo inaczej będzie pani wyglądała tak, jakby ktoś panią dopiero co próbował zniewolić. - Kate znowu spojrzała wesoło na Wina, który zamruczał coś niezrozumiałego. Belle najchętniej by się pod ziemię zapadła i zniknęła.

- Proszę tu usiąść - powiedziała Kate, ujmując ją za ramię.

Reagując na nacisk ręki Kate, Belle usiadła dosyć gwałtownie na foteliku przed toaletką. Ciekawość zaczynała usuwać zażenowanie na drugi plan.

- Czy to tu robi pani z siebie Cyganek?

- Właśnie tu.

Obie panie przyglądały się sobie w lustrze. Belle troszkę dziwnie się czuła,

patrząc na swą jasną, południową osobę, chwilowo dosyć rozchełstaną, i tuż obok widząc egzotyczną, ciemnoskórą Cyganczkę o wielkich, zielonych oczach, z kołami w uszach, w krzykliwym pasiastym szalu, którym przewiązane były jej włosy. Nie skomentowała tego zjawiska. Kate wydawała się zafrapowana perspektywą doprowadzenia Belle do porządku, a Belle wiedziała, że powinna być za to wdzięczna. Dopuszczała taką możliwość, że Win miał dobry pomysł, iż przyszli do Kate, chociaż wciąż jeszcze nie zamierzała mu dziękować. Za nic.

- No dobra - powiedziała Kate, biorąc szczotkę. - Przypuszczam, że powinniśmy zacząć od włosów.- Dziękuję - wymamrotała Belle. - Mam tutaj kilka spinek. - Pogrzebała w kieszonce bluzki i wyłowiła w końcu trzy spinki. Westchnęła.

- Proszę się tym nie martwić - roześmiała się Kate. - Mam całe mnóstwo spinek.

Dzięki Bogu za to.

- Dziękuję. - Belle ograniczyła się do tego jednego słowa, wypowiedzianego stłumionym głosem. Czowała się tak okropnie zażenowana, że nie była pewna, czy uda jej się przeżyć. Nie była pewna, czy chce przeżyć. Zatracony Win Asher.

Szczotkując włosy Belle, Kate cicho nuciała pod nosem.

- Ma pani bardzo ładne włosy - powiedziała po chwili.

- Dziękuję. - Belle czuła się głupio. Nie była przyzwyczajona, by ktoś się przy niej tak krzątał. Matka bolała nad faktem, że rodziny nie stać na służbę; ale jeśli chodzi o Belle, wołała ona raczej sama sobie radzić, niż przez cały czas mieć kogoś na głowie. Belle wysoko ceniła sobie prywatność.

Zresztą przecież matka tylko przez małe kilka lat żyła w luksusach, obsługiwana przez - och, bardzo dobrze, przez niewolników - powinna więc już była nauczyć się bez nich obchodzić. Ale pani Monroe, żeby tak powiedzieć, wołała zawsze przeklinać mrok niż zapalić świeczkę.

Belle westchnęła zniechęcona.

- Co się dzieje? - zapytała Kate przez usta pełne spinek.

- Nic. Dziękuję bardzo, że się pani tym zajęła.

- To głupstwo. Kocham zajmować się włosami i makijażem.

Belle uśmiechnęła się do niej w lustrze. Kate odpowiedziała uśmiechem. Ale w głębi serca Belle się nie uśmiechała, tylko surowo siebie ganiła za ponowne okazanie braku szacunku dla własnej rodziny. Naprawdę jednak w żaden sposób nie mogła zrozumieć, dlaczego to, że człowiek nie potrafi nic sam dla siebie zrobić, miałyby być czymś wspaniałym. Uważała samowystarczalność za godną podziwu cechę. Wystarczy, na miłość boską, popatrzeć na Kate. Zgodnie z tym, comówił Win, utrzymywała siebie i swoją matkę, a na dodatek musiała odpierać ataki brutalnego ojca.

Zdaniem Belle uzależnianie się od całej hordy służących czy niewolników, kiedy chodziło o rzecz tak prostą jak ubranie się czy wyszczotkowane włosów, było po prostu śmieszne. Ale nigdy, nawet za sto lat, nie powiedziałyby tego matce. Chyba że chciałyby biegiem lecieć po sole trzeźwiące, by przywrócić do przytomności zemdloną rodzicielkę. Mimo woli się rozchichotała.

- Co się stało? Czy połaskotałam panią?

Belle spojrzała do lustra i zobaczyła, że Kate przerwała szczotkowanie i spogląda na nią z zatroskaną, a właściwie nawet przestraszoną miną. Dziwne.

- Przepraszam panią, Kate. Nie, nie połaskotała mnie pani. Tylko przyszło mi coś... na myśl.

- Mogłaby się pani tym ze mną podzielić - mruknął z goryczą Win. - Chętnie bym się pośmiał.

Belle zerknęła w róg pawilonu i zobaczyła, że pan Asher siedzi na stołku z brodą w dłoniach i łokciami na kolanach. Wyglądał na przygnębionego. Zimny drań. Prychnęła.

- Ja też bym się chętnie pośmiała - poparła go Kate, wracając do szczotkowania. Zebrała gęste włosy Belle w jedną dłoń, odłożyła szczotkę i w skomplikowany sposób zwinęła lśniące, kasztanowe pasma.

- Och, przyszła mi na myśl matka - wymamrotała Belle, przypatrując się czynnościom Kate z zainteresowaniem, Nigdy nie wpadła na pomysł, by uczesać się

inaczej niż w zwykły kok, ale dzieło Kate wyglądało ładnie.

- Hmm - mruknęła Kate. - Ma pani szczęście, jeżeli myślenie o matce potrafi panią rozbawić. Jak ja pomyślę o matce, to przeważnie chce mi się płakać. - Ale zamiast się rozplakać, parsknęła śmiechem.

Belle zapatrzyła się w jej odbicie,

■- 'Dobre nieba - wyszeptła. - Przykro mi.

Kate wzruszyła ramionami. - Mama chorowała - powiedziała lakonicznie.

Belle odniosła wrażenie, że Kate nie chce o tym mówić.

- Okropnie mi przykro.

- W porządku. Co tam, wszyscy przecież musimy grać tymi kartami, które nam los rozda, a przynajmniej tak mi się zdaje. A dlaczego na myśl o matce zaczęła się pani śmiać?

Ojejku jej. Żałowała, że w ogóle zaczęła tę rozmowę. Ale spojrzały sobie w oczy z Kate w lustrze i Belle naszła niespodziewanie ochota, by zrzucić ciężar z serca. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie potrzebowała. Z uczuciem, że postępuje lekkomyślnie, rzekła:

- Wie pani, ja pochodzę z Południa.

- Co pani powie? - Lustró ukazało oczy Kate rozszerzone ze zdumienia.

Niemalże dała się nabrać, ale usłyszała, jak Win parsknął, a potem zrzędlwym głosem powiedział:

- O rany, Kate, jakim cudem się domyśliłaś?

Sznurując wargi, Belle postanowiła, że przyłoży Winowi później. A ponieważ lubiła Kate i było jej żal tej dziewczyny, uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Domyślałam się, że mówię ze swego rodzaju akcentem.

- Swego rodzaju - zgodziła się Kate. Właśnie upinała Belle na głowie skomplikowany francuski kok.

- Phi! - mruknął Win.

- Moja matka i ojciec dorastali w Blissborough przed wielkim konfliktem.

- Wielkim konfliktem? A o który to chodzi?

- Nie podpuszczaj jej - podsunął Win. - Jej chodzi o wojnę domową.

Belle natychmiast się zachnęła.

- To wcale nie była...

- Słusznie. Przepraszam. To nie była wojna domowa - przerwał jej Win, wyrzucając ręce w górę, jakby uważał, że Belle zachowuje się bardziej absurdalnie niż zwykle. - Natomiast była to cała kupa eufemizmów, zastępujących tę nazwę. - O - powiedziała Kate niepewnym głosem. Nic dziwnego, pomyślała Belle złośliwie.

- Może pan sobie myśleć, co się panu podoba, panie Winie Asher; ja wiem, że to nie była wojna domowa. To była katastrofa dla moich ziomków.

- O - powtórzyła Kate.

Belle zobaczyła w lustrze, jak Kate i Win wymieniają spojrzenia, i zacisnęła zęby.

- Wy, ludzie z Północy, nigdy tego nie zrozumiecie - oznajmiła z goryczą. - Straciliśmy wszystko. - Pociągnęła nosem i dodała: - Moja matka nigdy już nie doszła do siebie.

Przez minutę cisza rozprzestrzeniała się po pawilonie niczym mgła. Potem odezwała się Kate:

- O rany, to przykre, Belle. Chce pani powiedzieć, że zbzikowała?

- Zbzikowała? - Był to jankesizm, którego Belle wcześniej nie słyszała.

- No, wie pani, że jest pomyłona?

- Ojej, nie!

- O. No to chyba nie wiem, o co pani chodzi. Czy straciła członków swojej rodziny? To też jest straszne.

- Dwóch jej kuzynów zostało rannych, a jeden wujek zginął, ale nie to ją zdruzgotało. - Belle widziała w lustrze Wina i bardzo starała się nie rzucać mu gniewnych spojrzeń. On za to spoglądał na nią tak, jakby uważał, że jej krewnym z Południa niewiele brakuje, by byli - zgodnie z określeniem Kate - „zbzikowani”.

- Stracili farmę rodzinną - wyjaśnił w taki sposób, jakby rzecz była nie warta wzmianki.

- To nie była farma - wycodziła Belle przez zęby. - To była plantacja tytoniu i ponieśliśmy ogromną stratę.

- O. - Kate wpięła Belle we włosy ostatnią spinkę i cofnęła się, by przyjrzeć się swemu dziełu. - To pewnie musiało was bardzo dotknąć, jak straciliście tę plantację. - Uśmiechnęła się szeroko i dodała: - Coś mi się zdaje, że czasami **opła-** ca się być biednym. My nigdy nie mieliśmy niczego, co można by stracić. I dobrze, albo mój ojciec byłby to zastawił.

- Na miłość boską! - wymamrotała Belle. - Takie podejście rzuca dość nowe światło na straty mojej rodziny.

Kate parsknęła śmiechem.

- Oj, Belle, nie chciałam sprawić pani przykrości. To musi być straszne, kiedy traci się swój sposób życia, a zdaje mi się, że właśnie coś takiego przytrafiło się wam w Georgii.

Belle ogarnęło poczucie zwycięstwa. Kate ją zrozumiała! Win Asher mógł traktować wojnę Abrahama Lincolna jak jakąś drobnostkę, która przyszła i minęła, ale Kate rozumiała.

- Tak - potwierdziła. - Ma pani rację. I to było okropne.

Siedząc spokojniej przyglądała się, jak Kate zaczyna grzebać po stole, podnosić słóiczki oraz puzderka i krytycznie im się przyglądać.

- Muszę znaleźć właściwy odcień. Jestem pewna, że powinniśmy mieć coś jaśniejszego, czego mogłaby pani użyć. Zupełnie się pani nie nadaje na Cyganek - zachichotała.

Belle nie całkiem była jeszcze zdolna do śmiechu.

- Dobry Boże, może rzeczywiście było to okropne, ale chyba skończyło się trzydzieści lat temu?

Na ryknięcie Wina podskoczyła i Kate, i Belle. Kate upuściła puszek do pudru.

Pochyliła się, żeby go podnieść, i spojrzała na Wina gniewnie.

- Co cię ugryzło, Win? Nie ma powodu krzyczeć.

- Ja myślę, że nie - poparła ją Belle.

- Akurat. - Win zerwał się na równe nogi i zaczął spacerować po ciasnym pawiloniku Kate. Wpadł na stolik i kryształowa kula zsunęła się z podstawki. Win złapał ją, zanim stoczyła się ze stołu i spadła na podłogę. Belle przypomniała sobie, do czego Kate użyła tej kuli kilka dni temu, i przeszedł ją dreszcz.

- Żadne akurat - powiedziała sztywno.

- A właśnie że tak! - Win trzasnął kulą w podstawkę. - Pani rodzina tylko by się rozczuła nad sobą i przeszłością! Dlaczego nie podniosą tych swoich tyłków i nie wezmą się do roboty, chciałbym wiedzieć. Pani to zrobiła!

Przestał wydzierać się na Belle i zaczął krzyczeć na Kate.

- A ty wiesz, co jej matka do niej napisała? Twierdzi, że Belle źle zrobiła, że znalazła sobie robotę i przeniosła się do Nowego Jorku! Ani słowa wdzięczności. Żadnego: „bardzo dobra z ciebie córka, że nam przysyłasz te wszystkie pieniądze”. Nic takiego. Napisała, że my, cholerne Jankesy, rujnujemy jej morale!

- Nie mów. Naprawdę? - Kate wybrała puzderko z pudrem i słoiczek z różem i odwróciła się do Belle. - Proszę zamknąć oczy na minutkę, kochanie.

Belle wcale nie miała ochoty zamykać oczu. Chciała użyć ich i spojrzeniem przekazać Winowi Asherowi, za jakiego drania go uważa. Zastosowała się jednak do prośby Kate. Usiłując jak najmniej rozchyłać wargi, żeby jej się do ust nie nasypało pudru, wymamrotała z wściekłością:

- Nieokrzesany gbur z pana, Winie Asher! To była moja prywatna korespondencja!

- Ten list panią martwił, niech go piorun spali! Chciałem dowiedzieć się, co się stało i jak mogę pani pomóc. Pani matka to czyste utrapienie - odpalił. - Zasługuje pani na coś lepszego.

Na jego wybuch Belle zapomniała o oczach. Gwałtownie rozchyliła powieki, pod

które natychmiast dostało się kilka pyłków pudru ryżowego. Oczy zaczęły jej łzawić.

- Belle - powiedziała Kate głosem równocześnie zrezygnowanym i rozbawionym - nic z tego nie wyjdzie, jeżeli nie będzie pani ze mną współdziałać. - Wsunęła jej do ręki czystą chusteczkę, a Belle starannie otarła łzy, starając się to robić delikatnie, żeby nie psuć arcydzieła Kate.

Nie zdążyła przeprosić, że tak się zapomniała, a już podszedł do nich Win, głośno tupiąc nogami:

- Belle? Współpracować? Bądźże poważna, Kate. Ona nie wie, co to słowo znaczy.

- To nieprawda! I do tego niesprawiedliwość!- Niech się pani postara nie otwierać ust, Belle. Bo jeżeli nie, to zje pani puder, który powinien wylądować na pani twarzy. - Kate cicho się roześmiała.

Belle wcale nie uważała tego za śmieszne. Uznała, że jest w okropnie niekorzystnej sytuacji. Jak może skutecznie podjąć walkę, jeżeli ma siedzieć na fotelu i trzymać oczy i usta zamknięte?

- Też coś - mruknął Win obrażonym tonem.

Belle usłyszała, jak opadł znowu na ławę. Widziała go oczami wyobraźni, jak siedzi w niedbałej pozie, z ponurą miną, z szeroko rozstawionymi kolanami, a jego ślicznie, potargane wiatrem włosy opadają w łagodnych falach na skronie. Win Asher wyglądał tak, jak Belle wyobrażała sobie lorda Byrona, tyle że Win nie kulał. Ktoś mógłby na niego popatrzeć i uznać, że to jakiś romantyczny poeta. Gdyby nie wyglądał tak zdrowo, mógłby uchodzić nawet za romantycznego poetę- suchot- nika, przez co jego posepna uroda jeszcze by zyskała. A niech go gęś kopnie. Wcale nie powinien być taki przystojny.

- A ja myślę, że wy dwoje powinniście przestać się kłócić i pogodzić się ze sobą - oznajmiła Kate, kiedy w pawilonie od kilku już chwil panowała cisza.

Po raz pierwszy Belle zadowolona była, że nie może otworzyć ust. Pewnie znowu zaczęłyby krzyżeć, a takie zachowanie było zarówno niegodne damy, jak i

nietypowe dla niej.

Jak można się było spodziewać, Win znowu powiedział:

- Phi.

Słoneczny śmiech Kate opromienił powietrze.

- Spójrzcie prawdzie w oczy. Wy dwoje jesteście stworzeni dla siebie. —

Położyła Belle rękę na ramieniu, chcąc powstrzymać ją, by nie zerwała się i nie zaczęła rzucać ciężkimi przedmiotami. - To prawda, Belle.

- Dobry Boże. - Win wyraźnie był przerażony.

- Iii tam - zbagatelizowała go Kate. - Win, jesteś artystą w stroju fotografa, a Belle to najdoskonalsza modelka, na jaką w życiu trafiłeś. Win zabelkotał coś, co zagłuszyło stłumiony okrzyk Belle:

- Na litość boską!

- Cicho, jedno i drugie. Win, nigdy nie stworzyłeś czegoś tak cudownego jak to zdjęcie Belle. Bo nigdy nie miałeś takiej potrzeby. Belle, jeżeli wydaje ci się, że komukolwiek innemu udałoby się stworzyć ten wizerunek w porannym „Globe”, to masz źle w głowie. Ta fotografia jest czystym dziełem miłości, gdyby mnie ktoś pytał.

- Nikt cię nie pytał - zwrócił jej uwagę Win takim głosem, jakby temperatura podczas przemowy Kate spadła o ładne kilka stopni.

Belle widziała oczami wyobraźni, jak Win siedzi sztywno wyprostowany i paskudnie się krzywi. Kate wciąż jeszcze ją pudrowała, nie mogła więc zareagować słowami, ale udało jej się potrząsnąć głową raz, zanim panna Finney położyła potrząsaniu kres.

- Bzdura - rzekła. - Po prostu wy dwoje jeszcze się nie połapaliście, to wszystko. Uważam, że jest z was doskonała para. Sama chciałabym kiedyś poznać kogoś miłego - dodała tęsknie. - Kogoś takiego jak Win, ale nie Wina.

Belle nie mogła już dłużej wytrzymać własnego milczenia, zwłaszcza że na słowa Kate przepłynęła przez nią cała rzeka niepokoju.

- Dlaczego nie Wina?

- Cicho! Musisz siedzieć spokojnie, Belle.

- Zwariowałaś - warknął Win.

Belle zaczęła obawiać się, że już chyba nigdy nie wydostanie się z tego przekłętą fotela. Ale kiedy się wydostała, zobaczyła, że Kate rzeczywiście zajęła się nią po mistrzowsku. Była tak zaskoczona, że zapomniała o Kate wychodzącej za Wina, a przecież przed chwilą na tę myśl coś ją boleśnie zakłuło w środku.

- Ojej! Obawiałam się, że zamierza pani wymalować mnie jak jakąś nierządnicę.

Uśmiech Kate zrobił się trochę krzywy.- Och, nie, Belle. To ja jestem jedyną nierządnicą w tym pomieszczeniu.

Belle, przejęta zgrozą, okręciła się jak fryga i objęła Kate.

- Wcale nie to miałam na myśli! Chciałam tylko powiedzieć, że nigdy nie stosowałam makijażu, bo myślałam, że przyzwoite kobiety tego nie robią. Moja matka mnie tego nauczyła. Sama nie wiem, jak ci dziękować! Na miłość boską, Kate, uratowałaś mi życie.

- No to jesteście kwita - powiedziała Kate.

Belle miała wyrzuty sumienia. Jeszcze raz impulsywnie przytuliła Kate.

- Tak bardzo ci dziękuję. Wyglądam idealnie przyzwoicie i mogę teraz udać się na spotkanie z Richmondami.

Win, garbiąc się w ramionach, podszedł do nich.

- Taa, Kate. Dzięki.

- Szkoda, że nie przyniosłaś ze sobą kapelusika - odezwała się Kate. - Większość przyzwoitych dam nie pokazuje się na zewnątrz z gołą głową.

Kapelusik. Belle rzuciła Winowi miażdżące spojrzenie, a on odpowiedział jej spojrzeniem gniewnym.

- Mój kapelusik uległ zniszczeniu w czasie wypadku. Kate postukała się palcem po brodzie.

- Szkoda. Zobaczmy, co mi się uda stworzyć.

Ku krańcowemu zdumieniu Belle Kate rzeczywiście stworzyła dla niej coś w

rodzaju kapelusza. Kiedy wychodzili z Winem z pawilonu, żeby spotkać się z Amalie i Gladys, Belle uświadomiła sobie, że do swoich południowych przekonań i zachowań będzie musiała wpasować cały szereg nowych doświadczeń i pojęć, a i bez tego robiło się tam już ciasno.

14

Win był umiarkowanie pewien, że Kate Finney musiała zwariować, przez co jego własne popadanie w obłęd stawało się jeszcze bardziej przykre, bo zabraknie mu przyjaciółki, z którą mógłby tę sprawę omówić. Dlaczego, a zadawał sobie to pytanie co najmniej sześć tysięcy razy po drodze do Congress Hotel, pomyślała Kate, by połączyć jego i Belle w parę, wydawał mu się taki pociągający? Belle doprowadzała go do szału; mówiąc poważnie, nawet wyobrazić sobie nie potrafił, by mógł związać się z nią na stałe. A może jednak?

Richmondowie czekali na niego w eleganckim holu hotelowym. Amalie, podskakując z podniecenia (Win gorąco zapragnął, by to Belle tak cieszyła się na jego widok), pomachała do niego i już chciała coś zawołać, ale matka zapobiegła tak naganemu postępkowi. Paradujący z podbitym okiem Garrett wykrzywił się psotnie. Richmondowie powitali Wina uśmiechem. Pan Richmond, jak zauważył Win, miał tego wieczoru minę człowieka wyjątkowo z siebie zadowolonego. Przypominał Winowi wypchanego halibuta, którego jego wuj kazał oprawić i zawiesić na ścianie w pokoju myśliwskim w Filadelfii.

Ale promienny nastrój Wina prysnął i nawet chyba jego wyczyszczone do połysku buty straciły swój blask, kiedy zauważył, że nie ma z Richmondami Belle. Już otwierał usta, by zapytać gdzie ona jest, kiedy uświadomił sobie, że nie w ten sposób należy zaczynać konwersację z rodziną, na której życzliwości mu zależy. Tak więc zamiast palnąć: „Gdzie jest Belle?“, zmusił się do uśmiechu i zapytał: „Dobry wieczór, panie i panowie. A gdzie Belle?“.- Przyszedł do niej telegram - oznajmiła Amalie. Win

odniósł wrażenie, że dziewczynka usiłuje powiedzieć to z powagą. - Mama mówi, że telegramy często oznaczają kłopoty.

Mimo woli Win uśmiechnął się do małej.

- Twoja mama ma rację w tej kwestii, panno Amalie. Telegramy często przynoszą złe wieści. Ale czy dobrze słyszę, że panna Monroe dostała telegram? Mam nadzieję, że nie było tam żadnych złych wiadomości o jej rodzinie czy czymkolwiek innym.

- Wszyscy mamy taką nadzieję - powiedziała Gladys. - Belle zabrała kopertę do swego pokoju, żeby przeczytać telegram na osobności. Sama zaproponowałam jej to rozwiązanie, bo taka jest czuła na punkcie swojej godności. Gdyby rzeczywiście dostała złe wiadomości, nie chciałam, by krępowała ją nasza obecność.

- To miłe z pani strony.

- Proponowałam, że z nią pójde, ale podziękowała. - Najwyraźniej strapiona Gladys rzuciła okiem na schody. Niepokoili się o Belle i martwiła telegraficznie przysłaną wiadomością.

Win wiedział, jak ten problem rozwiązać. Nie pytając nikogo o pozwolenie, oznajmił:

- Skoczę na górę i zobaczę, jak ona się czuje.

- Och, ale ja nie...

Win nie czekał ni chwili, nie chcąc dać życzliwej Gladys Richmond szansy, by mogła go zatrzymać. Popędził na górę, nie oglądając się za siebie, zadowolony, że odprowadził Belle pod same drzwi jej pokoju w ten pierwszy wieczór, kiedy pracowali razem. Ruszył korytarzem, a serce mało nie wyskoczyło mu z piersi. Nie wiedział, czy taka reakcja oznacza, że martwi się o Belle, czy że nie posiada się z radości, iż ją znowu zobaczy, ale obawiał się najgorszego.

I miał rację. Jak tylko zastukał do drzwi i Belle mu otworzyła, całe jego jestestwo rozpromieniło się jak White City nocą.

- Belle! - zawołał, zrywając z głowy kapelusz. Jego promienny uśmiech nieco

przygasł, kiedy Belle chwyciła za klamkę próbowała mu drzwi przed nosem zatrzasnąć. Win pokrzyżował jej plany położoną na płask dłonią i wdarł się do środka.

- Hej, co się dzieje? Pani Richmond powiedziała, że dostała pani telegram. Mam nadzieję, że nic się złego nie stało. - Ale tak naprawdę to miał nadzieję, że jej piekielna matka dostała ataku apopleksji i przeniosła się na lepszy ze światów, najlepiej z klimatem malarycznym i mdlącym. Uznał jednak, że nietaktem byłoby mówić coś takiego.

Belle odskoczyła do tyłu i, skoro udaremnił jej próbę zatrzaśnięcia mu drzwi przed nosem, usiłowała trzasnąć go w twarz. Win chwycił ją za nadgarstek.

- Co się, u diabła, dzieje, Belle? W czym problem?

- W panu, do najjaśniejszej cholery!

Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby Belle ryknęła pełnym głosem i do tego zaklęła. Bardzo się zaniepokoił, usłyszawszy i jedno, i drugie w tym ciasnym pokoju hotelowym. Na dodatek nie rozumiał, dlaczego to zrobiła.

- W czym znowu zawiniłem? - Zaczynał już z rezygnacją godzić się z przekonaniem Belle, iż to on jest przyczyną zła wszelkiego na tym świecie.

- To pana dzieło! - Pomachała mu przed nosem żółtą kartką. Win usiłował ją złapać, ale Belle gwałtownie cofnęła rękę. - Ale...

- O nie, nie. Tego fragmentu mojej prywatnej korespondencji pan nie przeczyta, Winie Asher.

- Ale co tam jest? Przysięgam na Boga, Belle, że nie sprzedałem już żadnego więcej pani zdjęcia. - A przynajmniej nie w dokładnym sensie tego słowa. O umowach, jakie zawarł ze swoim agentem, Belle może dowiedzieć się później. Trzeba będzie najpierw wylać trochę oliwy na wzburzone wody, zanim ta smakowita wiadomość spadnie na dziewczynę.

- O, nie. To oczywiste, niczego pan nie sprzedał. Mam do czynienia z chodzącym ideałem, z wcieleniem honoru, prawda?

- No cóż, aż tak daleko bym się nie posunął...- Niech pana diabli wezmą! Proszę

tylko posłuchać. - Belle podniosła telegram i przeczytała:

Zdjęcie „Blissborough Gazette”. Jak mogłaś coś takiego zrobić rodzinie?

Zawstydzona. Zboląła. Zdruzgotana. Kocham, matka.

Win uznał, że nie musi już wyrywać jej telegramu z ręki.

- Um, to od pani matki?

- A jak pan myśli, od kogo? Kto inny podpisywałby telegram do mnie „matka”? -

Belle okręciła się jak fryga i skoczyła pod przeciwległą ścianę. Przez chwilę waliła w nią swą drobną zaciśniętą piąstką, a potem znowu okręciła się i skoczyła w jego kierunku. Win zaparł się w sobie przekonany, że teraz będzie waliła w niego. - To wszystko pana wina! Jak pan mógł mnie tak okłamać?

- Niech no pani minutkę zaczeka, Belle. Ja wcale...

- A właśnie, że mnie pan okłamał!

- To nie było kłamstwo, a przynajmniej nie... dokładnie.

W tej chwili stała już z nim nos w nos. Jej bliskość budziła w Winie różne śmieszne pragnienia. A może wcale nie śmieszne. Pewnie bardziej skandaliczne niż śmieszne. A przynajmniej za takie uznałyby je Belle i jej rodzina.

- Jest pan mistrzem niejednoznacznych wypowiedzi, prawda, Winie Asher?

Powinien był pan zostać jezuitą, taki jest pan w tym dobry!

- Niech pani posłucha, Belle, to wspaniałe sformułowanie. Czy pozwoli pani, że podzielę się nim z moim przyjacielem z gazety?

- Co? Ty... ty... Wyglądało na to, że Belle chwilowo zabrakło słów, do tego stała tuż przed nim, a Win naprawdę bardzo tego pragnął; zrobił więc coś, co jego zdaniem przynajmniej jednemu z nich mogło dać zadowolenie. Wyciągnął ręce i przygarnął Belle do siebie, a obejmując ją, usłyszał szelest miętego telegramu. - Zamknij się - wymamrotał i zaraz potem ją pocałował.

Belle szamotała się z nim jak tygrysyca przez około siedmiu sekund. Potem przegrała bitwę z Winem i ze sobą, i wtopiła się w jego uścisk. Pod Winem aż kolana się ugięły; zaczął przesuwać się w kierunku łóżka. Powtarzał sobie, że nie posunie się

za daleko, chociaż sama myśl o zdzieraniu ubrań z Belle i niewoleniu jej była szalenie pociągająca. Usiadł przy akompaniamencie cichego westchnienia materaca i jeszcze cichszego westchnienia Belle.

Pełne, przyciśnięte do jego torsu piersi wydawały się z nim droczyć. Szlag by trafił te ubrania. Pragnął dotykać jej piersi, a nie jakichś cholernych ubrań. Pragnął ich pokosztować. Pragnął wylizać ją od palców u nóg poczynając do samych włosów. Pragnął zanurzyć swą nabrzmiałą męskość w jej ciele, a potem wznieść Belle na wyżyny, których istnienia nawet nie podejrzewała. Pragnął...

Ostre pukanie do drzwi z przykrą gwałtownością wyrwało ich z transu. Belle głośno zaczerpnęła powietrza, oderwała się od Wina, oczy miała ogromne i nieobecne. Win, którego niezaspokojenie przekroczyło już wszelkie granice, usiłował ją z powrotem chwycić w ramiona.

- Do diabła z tymi drzwiami - mamrotał, kiedy Belle zaczęła się wrywać.
- Nie! - Belle uderzyła go w rękę. - Richmondowie na mnie czekają.

Klaps był leciutki, chyba nie włożyła w niego zbyt wiele energii, niemniej jednak rozum Wina znienacka zaczął znowu funkcjonować, a właściciel rozumu się opamiętał. Przymknął oczy i czując, że jego męka przeszła już wszelkie granice tego, co uważał za sprawiedliwe, puścił dziewczynę, szepcząc przy tym urywanym głosem:

- Cholerny świat.

Belle zerwała się z łóżka, jakby miała sprężyny w nogach, i popędziła do drzwi.

Jeszcze i to, pomyślał Win smętnie. Chciał... nie, musi zobaczyć te cudowne nogi. Chciał ich dotykać, całować je. Wystarczyło, że pomyślał o delikatnym, ciepłym ciele po wewnętrznej stronie jej ud, by wyrwał mu się żalospny jęk.

- Wstawaj!

Ostro wyszczany rozkaz Belle spowodował, że Win zamrugał i podniósł wzrok. Belle podskoczyła, kiedy znowu zastukano do drzwi.

- Słucham?

Zobaczył, że Belle zaciska zęby.

- Powiedziała, żebyś wstał z tego łóżka, do diabła! Nie otworzę, dopóki nie wstaniesz.

- Telegram - odezwał się czyjś głos zza drzwi.

Belle uniosła dłoń i przycisnęła ją do pasowego policzka.

- Jeszcze jeden? Ojej.

- Dobry Boże. - Win zachwiał się lekko, podnosząc się z łóżka. Jeżeli ta zwariowana matka Belle powiesiła się ze wstydu, że jej córka wybrała karierę modelki fotografa, to przepadł. W takim przypadku Belle nigdy już się do niego nie odezwie.

Belle nie czekała, żeby zobaczyć, czy Win utrzyma się na nogach. Jak tylko wstał, gwałtownie otworzyła drzwi. Za nimi stał chłopiec hotelowy, trzymając tacę, na której leżała żółta koperta. Belle wpatrywała się w kopertę chyba przez półtorej godziny, jakby nie chciała jej dotknąć.

W końcu chłopiec odchrząknął i powiedział:

- Telegram do panny Monroe.

Wyglądało na to, że Belle nieodwracalnie oniemiała i znieruchomiała, więc Win, w duchu porządnie sobą potrząsnawszy, podszedł do drzwi, po drodze grzebiąc w kieszeni. Wyciągnął monetę, położył ją na tacy i wziął kopertę.

- Dziękuję.

Chłopiec hotelowy uchylił czapki. Chyba mu ulżyło.

- Dziękuję panu, sir - powiedział i odszedł dziarskim krokiem. Winowi przyszło na myśl, że może trzeba było popatrzeć na

monetę, zanim ją położył na tacce. Najwyraźniej przeplącił. Panna Monroe nadal stała jak wrośnięta w ziemię. Nie mogła oderwać wzroku od koperty. Win delikatnie obrócił Belle, odsunął od drzwi i je zamknął. Potem podprowadził ją do fotela i znowu obrócił. Belle opadła na fotel jak pogrążona w transie.

- Czy pani... - Właśnie miał zapytać, czy chce, żeby otworzył telegram, ale Belle robiła wrażenie ogłuszonej, więc sam podjął decyzję.

Pisnęła cicho, kiedy rozerwał kopertę i wyjął telegram. Zerknął na nią znad

kartki.

- Niech się pani nie martwi, Belle. Jeśli takie będzie pani życzenie, ani jedno słowo z tekstu depeszy nie wyjdzie za próg tego pokoju. - Przeczytał telegram, zanim go jej podał. Żałował, że nie może za pomocą czarów przenieść się do Georgii, by wybatożyć krewnych Belle i nauczyć ich, jak powinni się zachowywać.

- Och - jęczała Belle, czytając. - Ojej, ojej. Nie była to długa wiadomość.

Wystawiać się na pokaz całemu światu. Bezwstyd. Matka cierpiąca. Ojciec urażony. Jak mogłaś zrobić tak rodzinie? Kocham Ojciec

Dłonie Belle opadły na podolek, gniotąc pod sobą telegram. Wyglądała tak, jakby ktoś wziął psychiczną pałkę i ją pobił. Winowi aż się serce ścisnęło, gdy na nią patrzył. Co za niesprawiedliwość. Żeby piorun spalił tę jej rodzinę.

- Muszę jechać do domu - powiedziała głuchym głosem. Win przewidział tę jej decyzję i był na nią przygotowany,

a mimo to z wielkim trudem opanowywał gniewny ton. Chciał, żeby nie reagowała na niego, tylko udzieliła mu kilku prostych odpowiedzi.

- Dlaczego?

Kiedy podniosła te swoje przepiękne brązowe oczy, serce Wina wykonało zwariowane salto w piersi. Rozeźlił się na krewnych Belle jeszcze bardziej. - Krzywdzę swoją rodzinę.

- Akurat. Belle zamrugwała.

- Um... słucham?

Win przegrał walkę z gniewem i zaczął spacerować tam i z powrotem po pokoju.

- Do cholery, Belle, nikomu nie robisz krzywdy! Poza może sobą samą. I mną. Na dzwony piekiel, przesyłasz przecież do domu wszystko, co zarobisz, niemal co do centa, by pomóc tym leniwym nicponiom w Blissborough. Jak oni mają czelność przysyłać ci telegramy i jęczeć, że robisz krzywdę rodzinie?

- Proszę przy mnie nie przeklinać. - W jej głosie nie było słyhać przekonania.

- Nie o panią chodzi, tylko o pani rodzinę, do jasnej cholery! To ich przeklinam.

Są kupą skamlących idiotów, Belle! Czy nie potrafisz tego zrozumieć?

- Nie.

- Cholera jasna, zastanówże się choć przez chwilę, dobrze? Sądząc po tym, co mi mówiłaś, twoja rodzina tylko by opłakiwała wojnę, w której walczyło poprzednie pokolenie. Która się skończyła. Wiem, że nie obyło się bez strat w twojej rodzinie. Wiele rodzin poniosło uszczerbek, po obu stronach. Ale, do najjaśniejszej cholery, z tego, co mi mówiłaś, wynika, że jedynie ty skłonna byłaś przestać wciąż na nowo wskrzeszać przeszłość, ruszyć się i coś dla siebie zrobić.

- To niesprawiedliwe, Win.

- A niech mnie piorun strzeli, jak nie mam racji! To ty wykazałaś dość odwagi, by poszukać sobie pracy. Ty przeprowadziłaś się nawet do Nowego Jorku, żeby pomóc swojej zatraconej rodzinie, a wiem, że tego nie chciałaś, bo znam cię, i od stóp do głów jesteś córką Południa. - Chwycił leżący na jej podołku telegram i pomachał jej nim przed nosem. - A oni tak ci się odpłacają. Są gorzej niż zwariowani, Belle. To skończeni okrutnicy!

Belle potrząsnęła głową. - Och, nie, to nie tak, Win. Oni mnie kochają. Jedna brew Wina podjechała do góry.

- Taaa? Tak bardzo cię kochają, że ci nawet nie podziękują, że przez ciebie łatwiej im się żyje? Tak bardzo cię kochają, że wysyłają ci listy, w których piszą, że źle robisz, zarabiając na życie i dzieląc się z nimi swoim zarobkiem?

Belle uniosła ręce i pozwoliła im znowu opaść.

- Oni... oni po prostu nie rozumieją.

- Bzdury! Są złośliwi i nikczemni, i tyle. Belle tylko powoli kręciła głowę.

- Nie rozumiesz.

- Naprawdę rozumiem. To ty nie rozumiesz. - Wpadło mu coś do głowy i jego gniew zapłonął jeszcze żywiej. Popatrzył znowu na telegram.

- To drugi telegram jednego dnia. Za wysyłanie telegramów trzeba płacić, Belle. Czy twoja rodzina ma dość pieniędzy na to? A jeżeli ma, to skąd wzięły się te

pieniądze?

Belle znowu zamruwała oczami. - Um...

Oszczędził jej konieczności zastanawiania się nad odpowiedzią. Pokazał wprost na nią i ryknął:

- Od ciebie! Biorą od ciebie pieniądze i opłacają nimi te telegramy, żebyś się czuła winna. Biorą pieniądze, które ty zarabiasz, i mają chęć obwiniać cię, że je zarabiasz! To nie tylko nikczemne, to wprost głupie!

Belle odrobinę się wyprostowała, jakby trafił jej do serca. Idąc za ciosem, Win ciągnął:

- Wygląda mi na to, że z przyjemnością przez jakiś czas będą cię wykorzystywali, ale nie chcą, byś przyzwyczaiła się do niezależności. Albo jeszcze gorzej, byś zmieniła sytuację w domu tak, że nie będą już mogli dłużej jęczeć i narzekać. W rzeczywistości zależy im na tym, żebyś zrezygnowała z pracy i wróciła do domu, a tam wszyscy zajmiecie się na nowo opłakiwaniem tego, co cholerni Jankesi zrobili **wam** trzydzieści lat temu. - Ja nie... - I znowu nie dokończyła myśli.

Win, bezgranicznie zde gustowany Monroe'ami z Blissborough w Georgii, zaczął znowu spacerować.

- Poczuli się tak, jakbyś wyjeżdżając z tego zabitego dechami miasteczka i dochodząc do czegoś, pozbawiła ich usprawiedliwienia.

- Do czego niby doszłam? Zostałam niańką? - Parsknęła po tych słowach krótkim, gorzkim śmiechem. - Nie wydaje mi się, że bym zaszła wysoko.

- A kogo to obchodzi, jaką pracą się zajmujesz? - Win tak podniósł głos, że aż zagrzechotał w ramce wiszący nad łóżkiem obrazek, przedstawiający polankę w lesie. - Liczy się sam fakt, że coś robisz! A twojej rodzinie nie chce się nic robić! Woleliby tylko lamentować nad tym, co inni im zrobili! Nie rozumiesz tego?

- Um... nie.

- Na litość... - Win był już tak wściekły, że aż się palił, by dźwignąć Belle z fotela i potrząsać nią, by nabrała trochę rozumu. Ale obrócił się tylko na pięcie i ruszył

w przeciwnym kierunku. W połowie drogi przez pokój wpadł mu do głowy genialny plan. Okręcił się z powrotem twarzą do Belle. - Mam pomysł.

Belle patrzyła na niego tępo.

- Żałuję, że ja żadnego nie mam.

Jej głos, podobnie jak twarz, kompletnie były wyprane z emocji. Na ten widok Win równocześnie miał ochotę pocieszać ją i przetrzepać jej śliczną skórę. W obawie, że jeżeli przysiądzie na poręczy fotela, nie zdoła się powstrzymać i jedną z tych możliwości wprowadzi w czyn, podszedł do łóżka i opadł na materac.

- Powiem ci coś, Belle. Nie wracaj jeszcze do Blissborough.

Belle już otwierała usta, przypuszczalnie po to, by zapytać, dlaczego nie powinna tego robić. Win udzielił jej odpowiedzi, zanim zdążyła zapytać. Uniósł w górę dłoń, by nie pozwolić jej wymówić ani słowa, i rzekł:

- Uważam, że rodzina zachowuje się wobec ciebie paskudnie. Nie, nie. Pozwól mi skończyć. Wiem, że ich kochasz, i to należy ci zapisać na plus, ale moim zdaniem postępują niesprawiedliwie, robiąc ci przykrości, kiedy ty próbujesz zarobić na życie i im pomóc.

Uświadomił sobie, że trochę za bardzo podniósł głos, i postarał się opanować.

- Mam takiego przyjaciela, reportera, H. L. Maya. To on napisał ten wspaniały artykuł, który towarzyszył twojej fotografii.

- Tego nicponia, tego wścibskiego...

- Przestań! - Powiedział to tak gwałtownie, że Belle przestała. Win był pod wrażeniem. Nie nawykł do tego, by Belle stosowała się do jego próśb. - Zamierzam poprosić H. L. Maya, żeby trochę powęszył. Żeby się dowiedział, co naprawdę przeżywa twoja rodzina.

- Żebyś mi się nie ośmielił robić nic takiego!

- A czemu nie?

- Bo to niemoralne i wścibskie!

- Akurat. Zaslługujesz na to, żeby wiedzieć, co się tam naprawdę dzieje.

- Nigdy by mi nie kłamali o... I znowu Win jej przerwał.

- Nie twierdzę, że oni kłamią. Jestem pewien, że poczuli się urażeni. W końcu nie co dzień zdarza się, by córka przerosła rodziców.

- To nie...

- niesprawiedliwe? - Win parsknął. - Dyrzymały.

- Nie chcę, żeby ktoś... nie! Do diabła, przestań mi przerywać!

Win przewrócił oczami, ale pozwolił jej mówić dalej.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek jechał do Georgii i niepokoił moją rodzinę, Winie Asher! To byłoby jeszcze gorsze od tego! - Machnęła ręką w kierunku dwóch pomiętych kawałków żółtego papieru, które nie wiedzieć jak wylądowały na podłodze. - Wiem, że ci się to nie podoba. Ale pozwól mi skończyć, dobrze?

Belle popatrzyła na niego gniewnie.

- Proszę bardzo, niech pan kończy.

- Cholerny świat, próbuję! - Zobaczył, jak na jej twarzy pojawia się dobrze mu znany wyraz, i zrozumiał, że jeszcze chwila, a Belle znowu eksploduje. Spróbował uprzedzić ten wybuch. - Zanim mnie pani zaatakuje, proszę posłuchać, mam jeszcze jedną propozycję.

To wsunęło kij w jej werbalne szprychy. Wessała taką ilość gorącego powietrza, która starczyłaby, żeby wynieść balon na orbitę. A uświadomiwszy sobie, co Win powiedział, wypuściła je ze świstem. Potem ogarnęły ją podejrzenia. Gdyby Win był w lepszym humorze, uznałby, że te zmiany nastroju są zachwycające. Ale w tej akurat chwili miał tylko ochotę wymordować jej rodzinę.

- Jakiego rodzaju propozycję?

- Do licha, Belle, zadaje pani to pytanie tak, jakby pani sądziła, że chcę zrobić z niej swoją kochankę albo coś!

Prawdę mówiąc, poczuł się dotknięty do żywego jej nieufnością.

Prawdę mówiąc, Belle było wszystko jedno.

- Nie ufam panu.

- Och, na litość boską... no dobrze, proszę tylko przez minutę mnie posłuchać.

Nie ma sposobu, żeby anulować tę fotografię, prawda?

Belle znowu zaczęła pęcznieć, ale udało jej się powiedzieć „słusznie” i nie wybuchnąć.

- Sądzę więc, że powinna pani zdystansować się od tych idiotycznych telegramów od pani rodziny...

- To wcale nie są...

- Słusznie. Nie są idiotyczne. Podobnie jak wojna domowa nie była wojną domową.

- To nie była...

- Niech pani będzie cicho przez chwilę, Belle, albo nigdy niezejdzie pani na dół, by podjąć swoje obowiązki u Richmondów. To uciszyło Belle. Win poczuł się dumny, że przypomniał sobie o jej nadmiernie rozwiniętym poczuciu obowiązku.

- Chcę pani zaproponować, co następuje: róbmy ten interes razem. Pani będzie modelką, a ja fotografem.

- Już to robimy - fuknęła.

- Ale nie w sposób, o jakim myślę. Uważam, że powinniśmy mieć coś w rodzaju spółki, pół na pół. Pani dostaje połowę tantiem za każdą sprzedaną fotografię, jaką pani zrobię. Te sto dolców to marne grosze w porównaniu z tym, ile mogę zarobić na pani fotografiach. Przecież pani jest idealną modelką. Mabel Clyde nie umywa się do pani, jeśli popatrzeć, jak pani wychodzi na zdjęciach.

Chociaż wcześniej bardzo chciała mu przerwać, teraz się nie odezwała. A niech to. Wciąż miała sceptyczny wyraz twarzy.

- Niech pani posłucha, Belle. Przykro mi, że ta fotografia przedostała się do niektórych amerykańskich gazet.'- Obawiał się, że któregoś dnia będzie musiał powiedzieć jej ó swoim malutkim podstępem, ale nie miał zamiaru robić tego teraz.

Belle pewnie znalazłaby gdzieś nóż do papieru i wbiła mu go w serce. Sięgnął po

jeszcze silniejszy argument. - Proszę pomyśleć o tych wszystkich pieniądzach, jakie

wyśle pani do domu. Do diabła, pani rodzina nie będzie mogła protestować, że dostaje tyle pieniędzy. A gdyby zaprotestowała, zawsze można odciąć ją od źródła. -

Uważał, że już powinna tak postąpić.

- Um...

Nie chciał, żeby odrzuciła propozycję, podsunął więc:

- Może zeszlibyśmy teraz na dół? Przemyśli pani sobie całą sprawę i powie mi później, co pani zdecydowała.

Belle powoli podniosła się z fotela. Ściągnęła w zamyśleniu brwi, co szpeciło jej idealnie fotogeniczne rysy. Kiedy brała kapelusz i przypinała go do ślicznego, francuskiego warkocza, powiedziała:

- O jakich pieniądzach pan mówi?

Aha. Cyniczna strona Wina zachichotała bezgłośnie. Druga strona, która chciała zatrzymać Belle przy sobie, odrzekła:

- O dużych.

Belle skrzywiła się, przeszła ostatnią szpilą kapelusz i wzięła malutką, naszywaną koralikami torebkę.

- Samo stwierdzenie, że „dużych”, nie pomoże mi w podjęciu rozsądnej decyzji, Winie. Jeżeli to ma być propozycja handlowa, niech mi pan lepiej poda konkretne liczby. Jeżeli nie, jadę do domu.

Tego mu jeszcze brakowało. Win podszedł do drzwi i otworzył je. Belle minęła go lekkim krokiem, a on starał się nie trzasnąć drzwiami, chociaż nie całkiem mu się to udało. Pertraktowanie z Belle Monroe było bezgranicznie frustrujące. Na przemian reagowała to jak zwariowana, omdlewająca panienska z Południa, to jak sprytna kobieta interesu.

Jak dodać do tej dychotomii fakt, że niewiele brakowało, by seksualne niespełnienie doprowadziło Wina do samobójstwa, nie należy dziwić się, że sam nie wiedział już, na czym stoi. Ale jedno nie ulegało kwestii: musi ją tutaj jakoś zatrzymać przynajmniej na pewien czas. Nie tylko przewidywał, że Belle jest jego przepustką do

sławy, ale naprawdę bardzo chciał pójść z nią do łóżka.

- Dobrze już, dobrze. Porozmawiam z moim agentem i powiadomię panią, o jakich pieniądzach mówimy.

- Dziękuję panu. - Zadarła tę swoją upartą bródkę i zeszła po schodach niczym królowa, pozdrawiająca zgromadzone w dole motłoch.

Richmondowie zmęczeni się już czekaniem. Oznaki były wyraźnie widoczne dla Wina. Garrett siedział z rękami skrzyżowanymi na piersiach i wściekłym wzrokiem wpatrywał się przed siebie, jakby ktoś właśnie zwrócił mu uwagę, żeby przestał się wiercić. Amalie podskakiwała i wzdychała na swoim krześle. Pan Richmond założył ręce za plecy i ze zmarszczonym czołem spacerował po dywanie w bardzo podobny sposób, jak to przed chwilą robił na górze Win.

Pierwsza zauważyła ich Gladys. Zerwała się z sofy i podbiegła do schodów, wyciągając obie ręce do Belle. Win pomyślał, że to miłe, iż obie damy są w takich dobrych stosunkach, i że pani Richmond szczerze przejmuje się samopoczuciem Belle.

- Och, Belle, mam nadzieję, że nie dostałaś żadnych złych wiadomości. - Ogarnęła wzrokiem zaczerwienione policzki Belle i jej lekko opuchnięte powieki. - Och, kochanie, czy coś nie w porządku w domu?

Belle ujęła dłonie Gladys i uścisnęła je z wdzięcznością.

- Dziękuję pani, Gladys. W domu wszystko w porządku.

- Oni próbują nakłonić ją, żeby wróciła do Georgii - wtrącił stanowczo Win. - Powiedziałem jej, że chyba powariowali.

Ani trochę się nie zdziwił, że Belle się rozzłościła.

- Wcale nie powariowali! Oni... oni za mną tęsknią.

- Tak jest.

- Och, Belle. - Najwyraźniej zmartwiona Gladys objęła ręką ramiona Belle. Win też miał ochotę to zrobić, ale po namyśle doszedł do wniosku, że lepiej nie. - Tak mi przykro. Proszę, nie wracaj do Georgii, Belle. Bardzo nam jesteś potrzebna.

Belle ciężko, beznadziejnie westchnęła.

- Dziękuję pani, Gladys. Bardzo nie mam ochoty wyjeżdżać. Ale pewnie rodzinie też jestem potrzebna.

- A jeszcze bardziej potrzebne są im pani pieniądze - parsknął Win.

Gladys zamrugała, jakby go nie zrozumiała. Belle tylko znowu westchnęła.

15

- Czy jesteś całkiem pewna, Belle, że nie chcesz, bym ci towarzyszyła?

Kolacja została zjedzona, dzieci otulone w łóżeczkach. Richmondowie odpoczywali w swoim hotelowym apartamencie. Wcześniej tego samego dnia Belle zgodziła się umówić na spotkanie z Winem w jego pawilonie, by omówić tę najnowszą propozycję biznesową.

- Dziękuję pani bardzo, Gladys. Poradzę sobie. Pan Asher nie pozwoli, by mi się coś złego stało. - Tu uśmiechnęła się z nadzieją, że nie widać po niej wątpliwości, czy aby sam Win jej czegoś nie zrobi.

Gladys nieco się odprężyła.

- Na pewno masz rację. Martwię się tylko trochę, żebyś bezpiecznie dojechała na Wystawę.

Belle roześmiała się, zadowolona, że ma do tego okazję. Przez cały dzień właściwie nic jej nie cieszyło. Nie podniosła jej na duchu nawet przejażdżka na diabelskim młynie ani zwiedzanie kopii klasztoru Santa Maria de La Rabida z pamiątkami z podróży Kolumba do Nowego Świata, chociaż to pierwsze było rozkoszne i podniecające, a to drugie fascynujące.

- Dobrze nieba, żadna niańka nie miała chyba lepszego środka transportu niż ten, który państwo mi zapewniłście. Z pewnością dotrę na miejsce bezpiecznie, skoro państwa stangret zawiezie mnie aż pod bramę.

Gladys odpowiedziała jej uśmiechem.

- Przypuszczam, że masz rację. Tylko że poczuwam się do odpowiedzialności za

ciebie, Belle. Stałaś się ważną częścią naszej rodziny. Mam niemalże takie wrażenie, jakbym wysyłała Amalie w wielki świat całkiem samą.

- Humf - odezwał się zza swojej gazety George.

I Gladys, i Belle spojrzały na niego, obie z sympatią, chociaż niejednaką. Belle wiedziała, że George się o nią troszczy. Tyle że był bardziej praktyczny niż Gladys.

- Będę idealnie bezpieczna - powiedziała. I z impulsyw- nością, którą ją samą zaskoczyła bardziej niż jej chlebodawczynię, cmoknęła Gladys w policzek. Szczerze wzruszała ją troska Gladys.

Gladys odprowadziła Belle na dół i dopilnowała, by wsia- dła do powozu, który Richmondowie wynajęli na czas pobytu w Chicago.

- Pozdrów od nas pana Ashera, Belle.

- Nie omieszkam. - Kiedy powóz ruszył i pomachały sobie z Gladys na do widzenia, Belle czuła się tak, jakby u kresu tej podróży czekała na nią jakaś katastrofa, chociaż wiedziała, nie ma ku temu podstaw.

Letnie wieczory były długie i jasne. Belle z zainteresowaniem przyglądała się miastu, kiedy powóz toczył się w kierunku Wystawy. W zasadzie podobało jej się Chicago. Bardziej przypadło jej do gustu niż Nowy Jork, który dla dziewczyny z małego, południowego miasteczka był za wielki, za bardzo zatłoczony, zbyt hałaśliwy i za bardzo ruchliwy. Ale to prawda, że w obydwu tych wielkich miastach żyło się wygodniej niż w Blissborough.

Belle zastanawiała się z przygnębieniem, czy również o prowincjonalność Blissborough matka i ojciec obwinialiby tych Jankesów. Prawdopodobnie tak.

Och, gorzkie to było przeżycie, kiedy przysłuchiwała się, jak Win wypowiada na głos jej najbardziej sekretne myśli. Niemal tak samo miała za złe jemu tę wypowiedź, jak swojej rodzinie fakt, że tylko by rozczulali się nad przeszłością, o co oskarżał ich Win.

- Jesteś nierozsądna, Belle Monroe.

Siedząc w przepaścistym powozie, usłyszała dźwięk własnego głosu i się

wzdrygnęła. Do licha. Doszło do tego, że sama do siebie mówi. Kontakty z Winem Asherem zaczynają odbijać się na jej zdrowiu psychicznym; to jedno przynajmniej, choć przykre, było oczywiste.

Z drugiej strony (w zależności od tego, ile zarobi jako modelka fotografa) może okazać się, że kontakty te mają swoją pozytywną stronę. Przypomniała sobie wczorajszego pocałunek i poczuła natychmiastową reakcję. Zrobiło jej się jakoś gorąco i tkliwie. Przymknęła oczy i starała się pozbyć tego wspomnienia. Bezskutecznie. Do licha. Czyżby to znaczyło, że w głębi serca, mimo całego surowego, georgiańskiego wychowania, jest latawicą? A może taka reakcja na pocałunek przystojnego mężczyzny jest naturalna? Usiłowała wyobrazić sobie, jak całuje George'a Richmonda, który byłby całkiem przystojny, gdyby stracił trochę na wadze, ale poczuła tylko niesmak. Potem usiłowała wyobrazić sobie siebie w ramionach jednego z młodzieńców z Blissborough, z którymi dorastała; niektórzy byli przecież całkiem atrakcyjni.

Nic z tego. Gdy szło o uściski i pieszczoty, nie budził w niej odrazy tylko jeden jedyny mężczyzna, a był nim Win Asher. Zatracony Janke z Chicago. Belle wysiadła z powozu straszliwie zniechęcona, zapłaciła pięćdziesiąt centów za wstęp i ruszyła w stronę pawilonu Wina.

Po zapadnięciu zmroku w White City włączono elektryczne światła. Belle zwolniła kroku, przypatrując się po drodze wszystkiemu. Doszła do wniosku, że o amerykańskiej pomysłowości da się powiedzieć dużo dobrego, i zastanowiła się, czemu właściwie jej rodzina nie zadała sobie trudu, by z tej pomysłowości skorzystać. W domu Belle w Blissborough nie było żadnych elektrycznych świateł, chociaż niektóre inne rezydencje zdecydowały się na to ryzyko. U Belle niepodzielnie rządziły świece i naftowe lampy. Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że można by w domu zainstalować elektryczność. Dlaczego nie?

Odpowiedź na to oczywiście brzmiała następująco: jej rodzina poczułaby się wstrząśnięta, gdyby Belle zasugerowała, że mogliby odmienić swój sposób życia o choćby jedną elektryczną żarówkę. Westchnęła ciężko.

- Czy coś się stało, panienko?

Belle wzdrygnęła się, uświadomiwszy sobie, że to pytanie skierowane zostało do niej. Otrząsnęła się z zamyślenia i zobaczyła, że uśmiecha się do niej jakiś młody mężczyzna. Zdjął kapelusz, co było stosowne, i wydawał się zatroskany.

Odpowiedziała uśmiechem.

- Nic się nie stało, ale dziękuję, że pan pyta. - Ruszyła przed siebie i poczuła się zaniepokojona, bo młody człowiek dostosował swój krok do jej tempa.

- Nieczęsto się zdarza, by tak śliczna młoda dama spacerowała sama po Wystawie, madam.

- Już wkrótce nie będę sama, sir. - Chciała się go pozbyć, ale niegrzecznością byłoby mu to mówić, skoro jej nie sprowokował.

- Z przykrością to słyszę, pani. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy się razem czegoś napić.

To już wystarczyło za prowokację.

- Proszę mnie zostawić w spokoju, sir. Nie zależy mi na pańskim towarzystwie.

- No, panienko, niech no panna nie będzie taka surowa. - Jego głos zrobił się niższy i znaczący. - Chciałbym się tylko z panią zapoznać.

- Ale ja nie pragnę zapoznawać się z panem, sir. - Nie zabrała tego wieczoru ze sobą parasolki, bo nie sądziła, żeby mogła jej się ona po zachodzie słońca przydać. Zastanowiła się, czy nie trzepnąć go torebką, ale odrzuciła tę myśl. W tych okolicznościach torebka nie wystarczy. Kiedy położył dłoń na jej ręce, podskoczyła w górę na stopę.

- Proszę przestać!

- No, ślicznotko, przejdźmy się troszkę razem. Dobrze?

- Nie! - Zaparła się nogami, kiedy zaczął ją ciągnąć za sobą. - Dość tego! -

Rozejrzała się dookoła w popłochu i zobaczyła, że stoją w jedynej prawdopodobnie części White City, która się nie roiała od ludzi. Gdzie oni wszyscy się, do diabła, podziali? Odpowiedź na to pytanie przyniosły początkowe nuty koncertu. A niech to!

Musieli zebrać się po to, by posłuchać występu orkiestry.

- Niech mnie pan puści! - krzyknęła.

- Cicho, proszę pani. Niech pani będzie grzeczną dziewczynką i... auuuu!

Niespodziewanie napastnik odfrunął od niej, jakby szarpnęła go jakaś gigantyczna ręka. Belle zachwiała się i niemal wy- wróciła, a dopiero potem uświadomiła sobie, że tą gigantyczną ręką musiał być Win Asher, który chwycił niegodziwca za kołnierz i rzucił go na ziemię. Stał teraz nad nim niczym rycerz nad pokonanym wrogiem. Dłoń Belle sama skoczyła do gardła i wyrwał jej się cichy krzyk, bo zobaczyła, że Win pochyla się, chwyta mężczyznę za muszkę i dźwiga go na nogi.

- Win! - krzyknęła, kiedy się zamachnął. Bała się o niego. Potem zamknęła oczy. Nie chciała oglądać, jak stosuje wobec napastnika prawo pięści. Ale usłyszała, jak je stosuje. Do uszu jej dotarł mdlący chrzęst uderzenia.

- Fúj!

Ośmieliła się otworzyć oczy. Win trzymał napastnika za gardło i potrząsał nim. Głowa mężczyzny miotła się gwałtownie. Belle obawiała się, iż zaraz kark sobie skręci.

- A ty co sobie wyobrażasz, szlag by cię najjaśniejszy trafił? - pytał Win brutalnym, opanowanym tonem.

- Blurk - odrzekł mężczyzna. - Win?

Win zdawał się jej nie słyszeć. Nie przestając potrząsać mężczyzną, warczał:

- Zabiję cię, ty sukinsynu.

- Nie! - krzyknął mężczyzna. - Nie! Ja nie chciałem...

- A niech cię diabli! - Win zamachnął się znowu pięścią.

I znowu Belle skrzywiła się i zamknęła oczy, żeby nie widzieć, jak cios trafia w cel. Dość głośne chrupnięcie powiedziało jej wszystko, co powinna na ten temat wiedzieć. Kiedy otworzyła oczy w sekundę później, zobaczyła, że napastnik krwawi obficie z nosa i ust. Wcale nie czuła do niego sympatii, bo przeraził ją straszliwie, ale chyba nie miała ochoty patrzeć, jak pan Asher zadaje mu śmierć. Rzuciła się Winowi

na plecy i przytrzymała go za rękę. Nawet przez warstwy materiału koszuli i marynarki wyczuwała pod palcami stal.

- Nie rób tego, Win!

- Próbował cię napaść - warczał Win przez zaciśnięte zęby. Wymierzony właśnie cios byłby rozłożył napastnika plackiemna ziemi, gdyby Win go puścił. Ale trzymał go nadal za gardło i niegodziwiec zwisał teraz bezwładnie w jego rękach. - Każdy, kto chciałby ci wyrządzić krzywdę, zapłaci za to.

- Myślę, że on już dość zapłacił. - Uczepiła się Wina ze wszystkich sił z nadzieją, że przestanie młodego człowieka bić. Obawiała się, że on i tak może już nie żyć.

- Żadna kara nie jest dla niego zbyt surowa.

- Proszę, Win! - błagała Belle. - Narobi pan sobie tylko kłopotów.

- Co mnie to obchodzi.

W poszukiwaniu jakiejś pomocy Belle rozejrzała się spłoszona i zobaczyła, że zamieszanie zwróciło już na siebie uwagę ludzi, którzy zaczęli zbierać się wokół nich. Jak stado sępów albo rój szarańczy. Ojej.

- Mnie to obchodzi, do czorta! Robi pan z nas widowisko! Win upuścił mężczyznę, który padł na ziemię jak worek

mąki, potem okręcił się i wytrzeszczył oczy na Belle.

- Ja robię widowisko? Diabli nadali, Belle! Ten mężczyzna chciał panią uprowadzić! Czy ma pani choć blade pojęcie, co mógł pani zrobić?

- Tak. - Wycodziła to słowo przez zaciśnięte zęby. Wśród widzów poniosły się ciche krzyki. Roztrzęsiona Belle przycisnęła dłoń do oczu. Wydawało jej się, że zamiast tłumu otacza ich rój rozwścieczonych pszczół. - Proszę, chodźmy już stąd - błagała.

- A niech to, Belle, właśnie uratowałem panią przed napaścią!

- Czy może pan przestać krzyczeć? Nie musi pan informować o tym całego świata! - Czowała się bardzo zażenowana. Ten „cały świat” wiedział również, że mówiąc

„napaść”, Win miał na myśli „gwałt”. Oczami wyobraźni Belle już widziała telegramy, lecące z Georgii do Chicago, a każdy z reprimendą. Do tego sama za nie wszystkie zapłaci.

- Przeszanę krzyczeć, ale przynajmniej mogłaby mi pani podziękować!

- Dziękuję - powiedziała Belle dość rozpaczliwie.- No, no - odezwał się jakiś gruby głos. Belle z konsternacją zobaczyła, że w ich stronę kieruje się mężczyzna olbrzymiego wzrostu. Jego wspaniały mundur oznajmiał wszem i wobec, że należy on do oddziałów policji zaangażowanych specjalnie na Wystawę. - Co się tu dzieje?

- Och, tylko tego jeszcze brakowało - wymamrotała pod nosem. Wyobraźnia podsunęła jej widok następnych telegramów, tym razem nie tylko od rodziców, ale jeszcze od wszystkich ciotek i wujów, a może nawet od burmistrza Blissborough - za które znowu sama zapłaci.

- Do czorta, Belle, musi pani zgłosić ten incydent. Ten człowiek - tu kopnął powalonego wroga, tak na wszelki wypadek, gdyby Belle nie wiedziała, o kim mówi - próbował...

- Wiem, co próbował, do wszystkich diabłów!

O Boże, zaczęła przeklinać w publicznym miejscu. Tego już za wiele. Postanowiła wziąć sprawy we własne ręce, więc pomaszerowała do strażnika, starając się nie zwracać uwagi na szept i chichoty zebranej gawiedzi. Typowym dla Północy gestem pokazała palcem na leżącego na ziemi łajdaka i oznajmiła:

- Ten człowiek próbował mnie zaczepiać. Pan Asher mnie uratował. - No.

Wszystko, co musiało zostać powiedziane, zostało powiedziane.

- Rany koguta!

Chociaż Belle byłaby to pewnie sformułowała bardziej elegancko, z zadowoleniem przyjęła fakt, że strażnik docenił przynajmniej powagę sytuacji.

- Nie tolerujemy tego rodzaju zachowań na Wystawie, młoda damo - ciągnął. - Zajmę się tym od razu.

- Dziękuję panu. Win podszedł do nich.

- Jemu to pani podziękowała. Nie musiał prosić - zawarczał.

Belle spojrziała gniewnie na fotografa.

- Och, niechże pan przez chwilkę będzie cicho, dobrze? Chcę, by ktoś się tą sprawą zajął, żebym mogła sobie już stąd pójść. Niech pan popatrzy na tych wszystkich ludzi. - Żałowała, że nie włożyła kapelusza z woalką. Nie cierpiała wystawiać się na widok publiczny, zwłaszcza z takiego powodu. To było takie... takie... niegodne damy. Nieceleganckie. Niepołudniowe.

Win wziął ją pod rękę. Belle postanowiła nie wyrywać się, przewidując, że i tak jej się to nie uda, a tylko powiększy już ogromne zażenowanie. Podeszli oboje za strażnikiem do leżącego na ziemi mężczyzny. Zaczynał się poruszać i jęknął żałośnie raz czy dwa. Belle z zadowoleniem przyjęła fakt, że łajdak nie zginął z ręki Wina, ale pozostała niewzruszona. Nie żywiła najmniejszej sympatii do takich donżuanów.

Przyszło jej na myśl, że przynajmniej czegoś ją to wydarzenie nauczyło. Potrafi teraz odróżnić napastującego kobiety donżuana od mężczyzny, który z determinacją dąży do zrealizowania swojej artystycznej wizji. Tyle że pojęcia nie miała, na co taka lekcja mogłaby jej się przydać.

- Pan pójdzie ze mną - oznajmił strażnik. Był wielkim mężczyzną i bez trudu podniósł tamtego z ziemi.

Belle zmarszczyła nosek. Mężczyzna wyglądał jak nieboskie stworzenie. Krew z nosa zaplamiła całą jego koszulę, marynarkę i krawat, usta zaczęły mu puchnąć, podpuchły też oczy, które, zdaniem Belle, do rana jeszcze posinieją. I dobrze. Miała nadzieję, że zapamięta cenną lekcję, jaką tego wieczoru dostał, łajdak jeden.

Strażnik, mocno trzymając szubrawca, odwrócił się do Belle i Wina.

- Nie potrafię pani powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro z tego powodu, madam. Jeżeli zechce mi pani towarzyszyć, będziemy mogli złożyć doniesienie, a pani będzie mogła wnieść zażalenie.

Zwisający z olbrzymiej pięści strażnika mężczyzna jęknął.

Belle nadal nie czuła do niego ani krzty sympatii. Ale nie chciała też wnosić

zażalenia. Pewne to było jak słońce na niebie, że jeżeli je złoży, doniesienie o incydencie pojawi się w jakiejś gazecie, rodzice się o nim dowiedzą i telegramy posypią się na jej głowę jak grad.

- Um, nie sądzę, żebym miała wносить zażalenie, proszę pana.

- A czemu nie, na litość boską? - podniósł głos Win. Belle odpowiedziała mu gniewnym spojrzeniem i syknęła:

- Nie zależy mi na rozgłosie.

- Jest pani pewna, panienko? Należy mu się kara, że narobił pani kłopotów.

„Kłopoty” były stanowczo zbyt łagodnym słowem, chociaż Belle naprawdę nie chciała się w tej chwili w to wdawać, zwłaszcza wśród tłumu zafascynowanych incydem ludzi, którzy tylko czekali na sprośne szczegóły.

- Uważam, że pan Asher wystarczająco go ukarał, proszę pana. Bardzo panu dziękuję. Czy istnieje możliwość, by pan go... po prostu... usunął z terenu wystawy? Żeby już nie mógł... aaa... sprawiać kłopotów żadnej młodej kobiecie?

- Oczywiście, jeżeli sobie pani tego życzy.

- Do czorta, Belle, powinna pani złożyć zażalenie! Tacy jak on nie poprzestaną na jednej kobiecie.

- A pan skąd o tym wie, Winie Asher? - Jej lodowate spojrzenie przeniosło się z Wina na łajdaka i z powrotem. - Czy często miewa pan kontakty z ludźmi tego pokroju?

- Oczywiście, że nie! Na tyle mnie pani chyba zna. Ale mam przyjaciół w prasie, a oni wszystko o takich sprawach wiedzą.

- Hmm.

- Do pani należy wybór, madam - powiedział strażnik. Donżuan stał już o własnych siłach.

- Przepraszam panią - wyskamlął.

A przynajmniej tak zinterpretowała Belle jego słowa, które były bełkotliwe, bo wargi miał uszkodzone. Zaciekawiała się, czy Win nie wybił mu kilku zębów. Miała

nadzieję, że tak. Ale powiedziała tylko „fu!” i odwróciła się do swego wybawiciela.

- Oczywiście, że chcę, by nikogo więcej nie zaczepiał, ale urządził pan już taką scenę, że chcę też uniknąć dalszego rozgłosu. Win patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Ja! Pani sądzi, że to ja zrobiłem scenę? - Odwrócił się gwałtownie, zerwał kapelusz z głosu, trzepnął się nim w udo i zaczął chodzić tam i z powrotem, głośno tupiąc. - Uszom własnym nie wierzę. Atakuje panią obrzydliwy przestępca. Ja panią ratuję, a pani ma mi za złe, że robię scenę. - Odrzucił głowę w tył i gniewnie spojrział na niebiosy. - Wszystko tu pasuje. Powinienem być już zmyślony i nie oczekiwać po pani wdzięczności.

Belle doszła do wniosku, że najlepiej będzie chwilowo nie zwracać uwagi na Wina. Odwróciła się do strażnika.

- Proszę go stąd zabrać, jeśli pan tak łaskaw. Bardzo jestem panu wdzięczna za pomoc w tej sprawie.

- Ha! - rozległ się za jej plecami pełen gorzkości głos pana Ashera. Belle zdecydowała się jeszcze trochę poniezwierać na niego uwagi.

- To po to tu jesteśmy, proszę pani - zapewnił ją strażnik. - Chociaż mieliśmy bardzo niewiele incydentów tego rodzaju. - Kiedy odwrócił się i powlókł trofeum Wina za sobą, zauważył tłum zaciekawionych widzów. - Proszę się rozejść, proszę państwa. Nie trzeba czegoś takiego robić.

Czegoś jakiego? Napadać na kobiety czy gapić się na scenę niedoszłej zbrodni? Belle nie pytała. Tak jak wcześniej ignorowała Wina, tak teraz zignorowała tłum i podeszła do swego wybawiciela, który stał, nadal piorunując niebo wzrokiem i uderzając się kapeluszem po udzie.

- Win?

Nie popatrzył na nią.

- Co?

Ojej, musi chyba być okropnie niezadowolony. Belle westchnęła i wzięła go pod rękę.

- Przykro mi, jeżeli pana obraziłam.

- Ha.

- Jest pan prawdziwym bohaterem, Winie. - Zabrzmiało to jakoś głupio; Belle zastanowiła się, ile kobiet miało **praw-** dziwne powody, by coś takiego powiedzieć, i to na serio. - I naprawdę jestem szczerze wdzięczna.

Win przestał w końcu wpatrywać się w niebo i spojrzął na nią.

- Nie zachowywała się pani tak, jakby pani była.

Belle trzymała nerwy na wodzy. Wiedziała, że Win czuje się wstrząśnięty, chociaż jako mężczyzna nigdy w życiu by się do tego nie przyznał.

- Przepraszam. Staralam się nie dopuścić do tego, by go pan zabił. Narobiłby sobie pan kłopotów, gdyby pan to zrobił. Poza tym jestem pewna, że gryłoby pana sumienie.

- Ha.

Zależało jej na tym, by oddalić się od miejsca, gdzie dopiero co doznała upokorzenia, więc delikatnie pociągnęła Wina za rękę i w końcu zdołała ruszyć go z posad.

- Świadomość, że się kogoś zabiło, jest chyba okropna. Musi pan to przyznać, Winie.

- Nie, nie muszę.

Belle domyślała się, że tej rundy nie wygra, i postanowiła zmienić temat.

- Czy miał pan okazję porozmawiać dzisiaj ze swoim agentem?

Win głośno sapnął, a dopiero potem skomentował jej wypowiedź.

- Zależy pani tylko i wyłącznie na jednym, prawda? Na pieniądzach.

Belle ciężko westchnęła. Może powinna była złożyć to zażalenie, narażając się nawet na ryzyko telegramów. Może przyczyniłaby się w ten sposób choć trochę do wygładzenia zmiętoszonego „ja” Wina. Może poczułby się bardziej bohaterski i miałby przekonanie, że postąpił słusznie, gdyby chwaliła go bez umiaru, zamiast powstrzymać przed zabiciem tamtego mężczyzny, ale bała się o niego. Nigdy by się

do czegoś takiego nie przyznała, bo rozumiała, że wtedy męska duma Wina doznałaby dużo poważniejszego uszczerbku. Pewnie nie potraktowałby jej troskę jak dowód, że nie wierzy, by miał dość sił, by pobić wroga. Mężczyźni. Stanowczo byli za bardzo przewrażliwieni.

Poza tym to przecież jej o mało co nie uprowadzono. Dlaczego więc on się złości?

Tam do licha. Belle poddała się, zaniechała starań, by zrozumieć, jak działa męski umysł, i fuknęła:

- Nie, nie tylko na tym mi zależy. Zależy mi również na mojej rodzinie. - I na tobie. Ale tego za skarby świata nie wolno jej mówić.

- Pani rodzinie - wymamrotał Win z goryczą.

- Tak I zależy mi na pracy u Richmondów. - Słusznie.

To był męczący dzień dla Belle. Najpierw dostała dwa telegramy od rodziców i niewiele brakowało, a zmasakrowałyby ją one psychicznie. Potem Win całował ją tak, że mało brakowało, a od zmysłów by odeszła. Następnie napastował ją ten nikczemny donzuan, a potem patrzyła, jak Win niemal wyprawia go na tamten świat. Za dużo tego było i powściągliwość Belle prysnęła.

- A niech pana gęś kopnie, Winie Asher, to pan zaproponował mi tę spółkę! To pan poruszył sprawę pieniędzy! To pan na samym początku mnie okłamał!

- Wcale nie kłamałem! Nie tak całkiem.

- Trele-morele!

Win gwałtownym ruchem nasadził sobie kapelusz na głowę i wepchnął ręce do kieszeni.

- Och, bardzo dobrze. Rzeczywiście mogłem panią odrobinę wprowadzić w błąd.

- Odrobinę - powtórzyła Belle, kładąc na tym słowie akcent, na jaki według niej zasługiwało.

Win głęboko wciągnął powietrze.

- Hmmm.

Dużo dobrego da mu takie „hmmm”.

- Jest tylko jeden powód, dla którego przyszedłam dziś wieczorem na Wystawę: powiedział mi pan, że postara się o szacunkowe określenie kwoty, jakiej mogę się spodziewać, jeżeli przystąpimy oboje do spółki. A całej tej sprawy by nie było, gdyby nie zachciało się panu fotografować dzieci i mnie. To pan mnie nagabywał. Ja nie przychodziłam do pana i nie prosiłam, by mnie pan unieszczęśliwił. Niech się pan nie ośmieli insynuować, że jestem wyrachowana.

- Wcale pani nie nagabywałem.

Zamiast odpowiedzi Belle poczęstowała go jednym z jego własnych „ha”.

Byli już blisko pawilonu i Win wyjął klucz z kieszeni. W świetle elektrycznych lamp robił wrażenie naburmuszonego dziecka. Robił również wrażenie najbardziej pociągającego mężczyzny, jakiego Belle w życiu widziała. Bardzo to było denerwujące. Belle uznała, że tak czy owak jest zgubiona.

A skoro tak i skoro w jej głowie oskarżycielskie telegramy stają w parze z dolarami i tańczą razem menuety i polki, Belle postanowiła się uodpornić i znieczulić swoje serce. Win słusznie ocenił jej rodziców. Nie mają prawa wykorzystywać zarobionych przez nią pieniędzy przeciw niej. W najlepszym razie okazali brak wrażliwości i zakłamanie, a w najgorszym - po prostu nie mieli racji. Skoro trafia jej się okazja, by zarobić dużo pieniędzy... prawdopodobnie się trafia; i będzie jeszcze musiała przekonać się, co to znaczy „dużo”... należy z niej skwapliwie skorzystać. Uroda kobieca nie trwa wiecznie. Jeżeli Win chce ją fotografować i jeżeli może zarobić dużo pieniędzy jako modelka, niech tak będzie. A jej rodzina może się wypchać. Nie brak w okolicy Blissborough bawełny czy siana, które pozwolą jej tego czynu dokonać.

Kiedy Win otworzył drzwi i Belle wmaszerowała do pawilonu, miała wrażenie, że stała się kimś zupełnie innym. Rowena Belle Monroe, urocza, słodka i nieśmiała panienka z Georgii, zniknęła. Belle zrozumiała, że nie wie, jak i kiedy, zmieniła się w kobietę światową. Bardziej twardą. Nieczułą.

A może lepszym określeniem byłoby „zahartowaną” albo „uodpornioną”.

Sytuacja życiowa może zmusić ją, by uodporniła się na wiele spraw, ale za nic nie chciałaby stać się nieczułą. Chociaż z drugiej strony pragnęła wykorzystać życie do maksimum, nawet gdyby miało oznaczać to przeciwstawianie się tradycjom rodzinnym. Zresztą co to za tradycja, która każe delektować się statusem ofiary? Belle nie chciała być żadną zatraconą ofiarą.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi i odwróciła się, zdejmując rękawiczki.

- No i?

Win przystanął na moment przy drzwiach, przyglądając jej się dziwnie.

- Jakoś inaczej pani wygląda - powiedział w końcu. Podeszedł do swego biurka.

- Czuję się inaczej. - Belle również podeszła do biurka. Dawna Belle byłaby usiadła na ławie i czekała. Nowa Belle nie miała ochoty na nic czekać; to było jej życie i zamierzała uczestniczyć w podejmowaniu każdej decyzji, która na nie wpływała. Złapie to życie za gardło i pokona je. Będzie brała to, co chce, i wtedy, kiedy chce. A przynajmniej tak sobie mówiła.

Win odchrząknął, otworzył szufladę i wyjął kartkę papieru, po której od góry do dołu defilowały kolumny liczb.

- Ja... hmm... rozmawiałem dziś z moim agentem. Jest tu w Chicago.

- Rozumiem. Popatrzył na nią gniewnie.

- Nie musi pani mówić tego tak zimno. Odpowiedziała mu gniewnym spojrzeniem.

- Nie wiem, o co panu chodzi. Czy mogę zobaczyć te liczby?

- Zrelacjonuję je pani.

- Wolałabym sama zobaczyć. W końcu to moje środki na życie. - Popatrzyła na niego twardo.

Win sapnął potężnie.

- Do jasnej ciasnej, Belle, od kiedy zrobiła się pani taka nieustępliwa? Belle wyrwała mu papier z ręki. Jej rozdrażnienie przekroczyło już wszelkie granice rozsądku.

- Od kiedy przeprowadziłam się na Północ i zaczęłam zadawać się z panem.

- Bzdura. - Win usiadł gwałtownie na krześle i patrzył, jak Belle zapoznaje się z dokumentem.

Zamrugła oczami. Dobrze nieba! Nie mogła w to uwierzyć.

- I co? - zapytał niecierpliwie Win. - Umowa stoi?

Belle przeniosła wzrok z niewiarygodnych liczb na papierze na Wina, potem odwróciła się, podeszła do ławy, usiadła i znowu spojrzała na papier.

- I co? - zapytał Win ponownie. - Niech pani może coś powie?

Belle odchrząknęła i starannie ułożyła papier na kolanach.

- Czy to jest prawda?

Oczy Wina zwęziły się i przechylił lekko głowę na bok.

- Co pani chce powiedzieć przez to „czy to prawda”? Dzisiaj te liczby podał mi mój agent. To dochody za fotografie pani. Niech mnie diabli, jeżeli odstąpię pani pięćdziesiąt procent od wszystkiego. Ale przypuszczam, że należy się pani połowa tego, co zarobię na pani zdjęciach.

- Jakże wspaniałomyślnie z pana strony. - Belle Zacisnęła wargi w wąską kreskę.

Win zerwał się z krzesła i zaczął spacerować. Nie ma co, spacerować to on lubi, pomyślała niezycliwie Belle.

- Diabli nadali, Belle, nie to miałem na myśli.

- Nie? - Nie.

- Cokolwiek pan powie. - W tej akurat chwili myśl o kłótni w najmniejszym stopniu jej nie pociągała. Zerknęła znowu na papier. Ilość pieniędzy, którą reprezentowały sobą te liczby, przekraczała najśmielsze marzenia Belle. Kiedy postanowiła szukać zatrudnienia, sądziła, że będzie dostawać skromną pensję, która pozwoli jej utrzymać siebie i pomóc rodzinie. Nigdy w życiu przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby zostać bogatą kobietą. A właśnie to będzie dla niej oznaczała kariera modelki, chyba że ma do czynienia z następnym kłamstewkiem Wina.

Zrobi majątek.

Win przestał spacerować tam i z powrotem i spojrzął na nią gniewnie.

- Do licha, Belle, niechże pani coś powie! - Pokazał na papier. - Te liczby co tylko oszacowania, ale Harvey... Harvey Alexander, mój agent, twierdzi, że szacował nisko, żebym nie miał żadnych niemiłych niespodzianek. Prawdziwe liczby mogą być wyższe.

- Jeszcze wyższe niż te? - Belle podniosła papier do góry, nie mieściło jej się to w głowie.

Win przytaknął.

- Ojej. - Belle przełknęła i zadała sobie nagle pytanie, na co właściwie czeka. Tego rodzaju okazja bez wątpienia więcej jej się nie trafi. Uniosła brodę do góry i popatrzyła na Wina z wyrazem zimnego wyrachowania, a przynajmniej taką miała nadzieję. Prawdę mówiąc, serce tłukło jej się w piersi jak kostka w kubku do gry i czuła się słabo.

- Bardzo dobrze, Winie. Przystąpię z panem do spółki. Uśmiech Wina wychynał nie wiadomo skąd i gdyby nie to, że Belle już siedziała, byłby ją zbił z nóg.

- Wspaniale! Belle, wspaniale!

I z tymi słowy skoczył, podniósł ją z ławy i chwycił w ramiona. Belle pisnęła zaskoczona, a potem razem z nim zaczęła triumfalnie się śmiać.

16

Dała się namówić! Win nie pamiętał już, kiedy ostatni raz odczuwał taką ulgę i radość. Była jego! Nigdzie nie wyjedzie! Dzięki Bogu, dzięki Bogu!- Wspaniale się nam będzie razem układać, Belle. Niczego lepszego niż ta spółka nie wymyślono od czasów wynalezienia kamery.

Belle tchu zabrakło ze śmiechu. Win tańczył po pawilonie jak szaleniec, trzymając ją w powietrzu, okręcając w kółeczko i o włos rozmijając się ze stojącymi

lampami i krzesłami. Serce miał lekkie jak piórko. Obawiał się, że gdyby postawił Belle na podłodze, to uniósłby się w powietrze i wyfrunął przez drzwi na niebo, żeby tam baraszkować z gwiazdami i księżycem.

- Win! Zwariował pan! Niech mnie pan postawi na ziemi. - Dalej się śmiała.

- Trele-morele. Proszę tylko trochę zaczekać, Belle, a doprowadzę do tego, że pani twarz lepiej będzie znana niż twarz Aunt Jemimy*!

Absurdalność tego pomysłu znowu ją rozśmieszyła. Win wyczerpał w końcu swoje siły. Raz jeszcze zatoczył krąg wokół pokoju, zatrzymał się zadyszany na środku i postawił Belle na podłodze. Nie wypuścił jej z objęć, tylko stał i patrzył na jej uniesioną w górę twarz.

Olbrzymie, brązowe oczy Belle połyskiwały jak miedziane pensy; z cudownych włosów powypadały spinki; kapelusz przekrzywił się na głowie; pełne usta rozchylały się w uśmiechu. Dla Wina była najpiękniejszą kobietą na świecie. I do tego była jego. Bał się liczyć na to, że przyjmie propozycję, a jednak ją przyjęła.

Stali i patrzyli na siebie, aż Win stracił poczucie czasu. Nigdy nie należał do szczególnie romantycznych mężczyzn, chociaż miał oko artysty. Ale gdyby w tej chwili ktoś zapytał go, jak się czuje, musiałaby przyznać, że czuje się jak zaczarowany. Przez niewysoką, zdecydowanie irytującą i bezgranicznie urzekającą piękność z Południa.

**Aunt Jemima - jej twarz widnieje na etykietach np. bardzo popularnego syropu klonowego - (przyp. tłum.).*

- Belle - wyszeptał.

- Win - wyszeptała w odpowiedzi.

To mu wystarczyło. Niezmiernie ostrożnie, żeby przypadkiem Belle nie spłoszyć i żeby czar nie prysnął, pochylił się nad jej ustami.

Zamiast się spłoszyć, Belle uniosła głowę i spotkała go w pół drogi. Wina trapiła

jeszcze obawa, że może kazać mu przestać, ale opasał ją ramionami i przyciągał powoli do siebie, aż jej ciało do niego przylgnęło. Ach, to jej ciało! Cóż to było za ciało.

- Dobry Boże, Belle, tak bardzo cię pragnę. - Głos miał rozedrgany, sam go z trudem poznał.

Nie zareagowała słowami, ale wargi jej rozchyliły się, a on delikatnie obwiodł je językiem. Smakowała miodem i winem, i letnim deszczem i wszystkim, co na tym świecie najśodsze. Delikatne krzywizny jej ciała zdawały się wabić Wina, jakby chciały odsłonić się przed jego łakomym wzrokiem. I rękami. Bardzo ich pragnął dotykać.

Jeszcze trochę, a powściągliwość go zabije. Jego męskość nabrzmiewała aż do bólu. Dygotał. Pragnął. Pożądał. Niech go Bóg ma w opiece - kochał ją.

Jedna z drobnych rąk Belle uniosła się i odgarnęła mu włosy z czoła. Win aż się odrobinę odsunął, wstrząśnięty tym śmiałym gestem - bo ze strony jego przytłumionej Belle była to śmiałość.

- Ja też cię pragnę, Win - szepnęła. A potem pochyliła głowę i przycisnęła mu ją do torsu, który nagle rozrósł się o kilka chyba jardów we wszystkie strony.

Dobry Boże, czy ona naprawdę to powiedziała? Już chciał się upewnić, ale wybił to sobie z głowy. Gdyby się miało okazać, że nie powiedziała, nie chciał o tym wiedzieć. Zamiast pytać, porwał ją w ramiona i ostrożnie, jakby była tak kru- cha i delikatna jak szkło (bo przecież była), niósł do oddzielonego zasłonką kącika pawilonu. Belle splotła mu ramiona na szyi i nie szamotała się, więc Win, nie tracąc nadziei, kierował się prosto w stronę szezlongu. Nie ośmielił się jej puścić. Kładąc Belle na szezlongu, nadal kurczowo ją trzymał. I zaraz, zanim zdążyła pomyśleć o proteście, pocałował ją znowu. A kiedy w odpowiedzi tylko mocniej chwyciła go za ramiona, dusza Wina poszybowała w górę jak piórko na wietrze.

Uświadomił sobie, że nie założyła tego wieczora gorsetu, i ucieszył się jeszcze bardziej. Czy domyślała się, że może do tego dojść? Nie miało to znaczenia.

- Jesteś piękna, Belle. - Jego rozedrgany szept przez moment unosił się w

powietrzu.

- To ty mnie uczyniłeś piękną, Win. To twoje dzieło. Chyba wcale się tym nie martwiła, chociaż osobiście nie

podpisałby się pod jej twierdzeniem. Była doskonała. Dostrzegł tę jej doskonałość już pierwszego dnia, kiedy szła po Midway. Teraz jednak nie czas na dyskusje. Wyczuwał, że nie zamierza go opuścić i uciec, więc pozwolił swoim dłoniom rozpocząć rozkoszną wędrówkę i błędzić po kształtach Belle.

- Zdejm marynarkę, Win.

Dobry Boże. Prawie uwierzyć nie mógł, że coś takiego kazała mu zrobić, chociaż posłuchał od razu. I dobrze, że posłuchał, bo w kilka sekund później dłonie Belle uniosły się powoli do jego torsu. Poczul się wstrząśnięty, kiedy uświadomił sobie, że powoli rozpina mu koszulę i przez moment cieszył się, że założył jedną z tych nowomodnych, z przypinanym kołnierzykiem i mankietami. Nie miał najmniejszej ochoty męczyć się teraz z guzikami od kołnierzyka i zbyt wieloma częściami garderoby. Nie tego wieczoru. Nie teraz. Nie wtedy, kiedy miało się ziszczyć jego najgorętsze pragnienie.

- Całymi nocami nie mogłem spać, myśląc o tym, Belle.

- Mmmm? - Belle wsunęła mu drobną dłoń pod koszulę i rozpostarła palce na piersi. Mało brakowało, a Win trupem by padł.

- Myślami byłem przy tobie dniem i nocą. Nocą i dniem.

- Chcesz powiedzieć, że utrzymywałam cię w stałym napięciu? Wiedział, że Belle nie rozumie, jak dwuznaczne są jej słowa, więc tylko wyszeptał:

- Tak.

Miała głos jak światło księżycy, kwiaty magnolii, koktajl miętowy i parne, letnie noce, połączone w jedną, delikatnie akcentowaną całość. Kochał jej głos. Uznał, że nie powinien zatrzymywać tak ważnego fragmentu informacji wyłącznie dla siebie, i wykrztusił:

- Kocham twój głos.

- A ja myślałam, że go nienawidzisz. - Roześmiała się cicho, a on jęknął. Jej śmiech przypominał gęsty sok i czekoladę, i słodkie, bardzo słodkie wino.

Coś te jego metafory wymykają się spod kontroli. Ale nie potrafił ich opanować.

- Już nie, teraz go kocham.

- Dziękuję ci.

Dłonie Belle przesunęły się na tył głowy Wina, poczuł, jak zanurza mu palce we włosy. Doszedł do wniosku, że wpadła na dobry pomysł, więc obmacał jej kapelusz, powyciągał szpilki, które go przypinały, delikatnie je powijmował, rzucił na podłogę i zostawił je tam, by radziły sobie same. Słyszał, jak z brzękiem spadają i się toczą, i nic go to nie obchodziło.

- Kocham twoje włosy, Belle.

- Ja twoje też.

Chyba majaczy. Musi majaczyć, chociaż pojęcia nie miał, dlaczego. Może zapadł na jakąś straszliwą chorobę i ma halucynacje. Pal diabli Nawet jeśli to halucynacja, będzie się nią cieszył, dopóki trwa. Ze zrećnością, której nabył, pomagając ludziom pozować do fotografii, powijmował spinki z francuskiego warkocza Belle i rzucił je na podłogę, żeby się tam mogły kochać ze szpilkami z kapelusza, jeżeli im przyjdzie na to ochota. Wsuwając palce w jej wspaniałą kasztanową grzywę, zamruczał:

- Masz włosy jak jedwab.

- Słodki jesteś, Win. - Belle dała spokój włosom Wina i przesuwała dłonie w dół po jego ciele. Słodki, czy tak? Wcale się nie czuł słodki. Czuł się opętany. Boże, co ona robi?

Anieli niebiescy. Pieści sterczącą w jego spodniach wypukłość. Win miał wrażenie, że zaraz zejdzie. Rękami, które dygotały jak u starca, sięgnął do guzików przy jej bluzce i spódnicy, modląc się, by go nie powstrzymywała.

Nie powstrzymała go. A nawet mu pomogła. Kiedy ubranie wreszcie z niej opadło i ukazał się prosty, batystowy staniczek, Win złożył dziękczynienie wszystkim we wszechświecie przychylnym mu wróżkom i bogom, i działającym na rzecz dobra

mocom.

- Jesteś cudowna.

Wiedział, że Belle nie ma w tych sprawach żadnego doświadczenia, a tymczasem pozowała na szezlongu jak jakiś wamp, przyglądając mu się swoimi fantastycznymi, pogodnymi, cynamonowo- czekoladowymi oczami, a jej śliczne wargi wyginały się w łagodnym uśmiechu. Może gdzieś pod osłoną gorsetu w każdej kobiecie kryje się uwodzicielska natura. Win powątpiewał w to. Belle była wyjątkowa. Wpatrywał się w nią chyba przez całą wieczność, bojąc się poruszyć, by nie ocknąć się ze swego delirium.

Nie wiedział, jak wiele czasu minęło, aż wreszcie Belle ujęła go za rękę. Zachęcony w ten sposób Win przyciągnął ją znowu do piersi. Musiał oblizać wargi, zanim udało mu się wydobyć z nich słowa:

- Pozwól mi odwiązać te takie, Belle. - Chodziło mu o kokardki przy staniczku.

Zrobiła to za niego. Pożerając ją wzrokiem, przyglądał się, jak powoli rozplątuje wiązadła. Jej pełne piersi z twardymi jak kamyki sutkami droczyły się z nim, napierając na cieniutki batyst i niemal rozsuwając rozluźnione kokardki, aż wreszcie objawiły mu się w całej swojej wspaniałości.

- Jesteś wspaniała - powiedział, uważając, że powinna się o tym dowiedzieć.

- Dziękuję ci. - Delikatnym ruchem zrzuciła z siebie staniczek. Ramiączka ześlizgnęły jej się z ramion. Win oblizał wargi. Nie był tak do końca przekonany, czy uda mu się przeżyć to doświadczenie. Już tylko jego ubranie pozostało na miejscu. No i jeszcze jej reformy. Przełknął z trudem i zaczął rozpinać sprzączkę paska. Dziękował Bogu, że wciąż jeszcze jest młody i nie zapasł się tak, jak George Richmond, bo z paskiem dużo łatwiej uporać się niż z szelkami. Chociaż palce mu się trzęsły, rozpiął wreszcie pasek. Potem wyrwał go ze szlufek i odrzucił na bok.

- Pozwól mi, Win - powiedziała cicho Belle, sięgając do guzików przy spodniach.

- Z radością - wychrypiał i zamknął oczy, kiedy jej delikatne palce zaczęły

manipulować przy guzikach.

- Jesteś bardzo pociągającym mężczyzną, Winie Asher - zamruczała jak kotka tym swoim słodkim, powolnym, georgiańskim głosem.

Win pod tą rozkoszną torturą wyrzeźbił tylko „aaaaaa”.

Kiedy ostatni guzik wysunął się z ostatniej dziurki, Win zerwał się, dochodząc do wniosku, że długo już nie wytrzyma. Jednym ruchem zdarł z siebie spodnie razem z kalesonami. Jego uwolniona z zamknięcia męskość natychmiast wyprężyła się i oddała honory Belle, która kilka razy zamrugła.

- Um...

Zanim zdążyła stracić odwagę, Win wyszedł ze spodni, zrzucił z nóg buty i padł na szeszlony, obejmując przy tym powabną pierś Belle.

- Masz niebiańską skórę, Belle - mamrotał, przyciskając usta do jej łona.

- Um...

W obawie że Belle może przestraszyć się i kazać mu przestać, Win niechętnie oderwał wargi od piersi dziewczyny i pocałował ją znowu w usta. To chyba pomogło. Belle wahała się tylko chwilę, potem chyba zapomniała, jakim wstrząsem był dla niej widok w pełni podnieconego mężczyzny, i poddała się zmysłowości chwili. Kiedy się całowali, dłonie Wina przesuwwały się w dół po jej plecach. Skórę miała naprawdę wspinała, gładką i delikatną jak kwiat magnolii. I pewnie równie łatwo byłoby ją posiniaczyć. Przynajmniej takie robiła wrażenie, chociaż Win zaczynał powątpiewać w tę kruchość Belle. Wyglądała na bardziej delikatną, niż była.

- Wyglądasz na bardziej delikatną, niż jesteś - szepnął jej do ucha, modląc się w duchu gorąco, by się w tej ocenie nie mylił.

- Czy tak?

Na Boga, miał nadzieję, że tak.

- Tak - zapewnił ją z wielkim przekonaniem, którego wcale nie czuł.

- Mmmm.

Głos miała bardzo niepewny i Win wiedział, że musi podjąć pewne kroki albo

skończy jako nieboszczyk, jeżeli niezaspokojone pożądanie może człowieka zabić.

- Nic zadam ci bólu, Belle.

- Nie? - Zajmowała się nim nadal z nieumniejszoną koncentracją, za co był wdzięczny, chociaż dodała: - Słyszałam, że pierwszy raz to boli - a jemu aż się serce ścisnęło.

Pospiesznie ją uspokoił.

- Będę bardzo uważał. Boże, Belle, nigdy bym ci nie zadał bólu, gdybym coś na to mógł poradzić. Musisz to wiedzieć.

- Mmmm - powiedziała znowu i Winowi przyszło na myśl, że ona chyba nie całkiem mu ufa.

Cholera. Żałował teraz, że oszukał ją przy tych zdjęciach.

- Przysięgam ci, Belle... daję ci najświętsze słowo honoru... będę tak delikatny, jak tylko mężczyzna może być. Ja przecież, Belle, ja... - Dobry Boże, właśnie miał się przyznać, że się w niej zakochał. Bez sensu. Nigdy by mu nie uwierzyła po tych wszystkich kręactwach, jakich się dopuścił. Mogłaby nawet parsknąć mu śmiechem prosto w twarz. - Ja... ja będę bardzo delikatny. Sprawię, że tobie też będzie dobrze.

- Ufam ci - powiedziała cicho, dodając po krótkiej przerwie: - W tej sprawie. Gdyby nie to, że Win zajęty był czymś innym, padłby pewnie na kolana i odmówił dziękczynną modlitwę. Domyślał się, że najłatwiej osiągnie swój cel, jeżeli da wcześniej Belle rozkosz, więc wsunął dłoń pod pasek jej reform. Diabli nadali, ciasne były.

- Czy to jest gdzieś związane? - Z miejsca postanowił, że trzeba tę część kobiecego ubioru zmodyfikować. Widział nawet odpowiednią nowostkę na Wystawie. Gumka. Tego tu właśnie trzeba. Niestety, reformy Belle nie były w nią wyposażone.

- Tak. Rozwiązę je.

I rozwiązała, a Win znowu podziękował dobremu losowi. Kiedy zsuwała reformy w dół po ślicznych nogach, nie mógł się powstrzymać i aż jęknął z zadowolenia.

- Jesteś doskonała, Belle.

Podniosła na niego olbrzymie, ocienione długimi rzęsami oczy, naga jak ją Pan Bóg stworzył, onieśmielona i zatrwożona przed zbliżeniem. Win przyciągnął ją do siebie i znowu pocałował. Ręce same mu się wyciągały, by Belle głaskać, i postawiły na swoim.

- Oczarowałaś mnie - mrucał. Jego dłoń przesunęła się od kostki do kolana Belle, potem ośmieliła się zawędrować jeszcze trochę wyżej. - Musisz być chyba czarownicą.

- Nie najlepszą, obawiam się.

Usłyszał w jej głosie nutkę humoru i serce zabiło mu mocniej.

- Och, jesteś. Oczarowałaś mnie. Bez reszty. Ręce Belle zacisnęły się na jego karku.

- Cieszę się.

Win nabrał otuchy. Dłoń wędrowała dalej, aż wyczuł pod nią krzywiznę wspaniałego biodra. Delikatnie je ucisnął. Belle miała takie ciało, że każdy artysta dałby się posiekać, byle je móc namalować. A jemu los pozwolił go zakosztować. Z trudem pojmował, za co spotkała go taka nagroda. Wiedział, że na nią nie zasługuje.

- Przysięgam, Belle, że za nic nie zrobiłbym ci krzywdy - szeptał, przesuwając dłonią po tym delikatnym, słodkim ciele w poszukiwaniu ukrytego między udami skarbu. - Przysięgam.

- Wierzę ci, Win. Przynajmniej w tej sprawie. Podniecenie Wina nie zmniejszyło się na cień ostrożności

w głosie Belle, ale przysiągł sobie w duchu, że wszystko jej wynagrodzi. Kiedyś. Po tej nocy.

Kiedy dotknął W końcu loczków między jej udami i delikatnie rozchylił płatki ciała, Belle dziwnie, cicho miauknęła. Win znowu odetchnął z ulgą, bo pod palcami poczuł wilgoć. Dobrze, dobrze.

- Tak to powinno być, Belle - szeptał. - To jest dobre. To jest słuszne.

Nie było słuszne i mało brakowało, a byłby sobie przyłożył, usłyszawszy, jakie

słowa wyleciały z jego ust. Prawdziwa dama z Południa nigdy by czegoś takiego nie zrobiła, chyba że wcześniej poślubiłaby mężczyznę, z którym to robiła. Miał nadzieję, że Belle nie zwróci uwagi na tę lekką przesadę.

- Mmmm - powiedziała, tyle i nic więcej.

Żeby się przypadkiem na jego wypowiedzi nie skupiła, Win zanurzył palce głębiej między wilgotne, ciepłe płatki, a Belle westchnęła z rozkoszy. Przestał mieć sobie za złe, że tak niezdarnie się wyraził, i swoje przejęzyczenie starał się wynagrodzić pieśczością, dotykiem przekonać ją, jak jest nią zachwycony i jaka jest bez reszty cudowna.

Belle zadziwiła go swoją reakcją. Kiedy delikatnie masował ośrodek jej seksualnej rozkoszy, uniosła wyżej biodra.

- Och, Win! - Ten ochryply szept był jak muzyka dla jego uszu.

- Tak właśnie trzeba, Belle. Tak jest dobrze. Poddaj się temu po prostu. Tak powinno być.

Miał trochę doświadczenia w takich sprawach, chociaż nigdy wcześniej nie angażował w nie serca. Damy, z którymi flirtował, były doświadczone i chętne. Nigdy wcześniej nie uwiódł dziewicy.

Jego krytycznie nastawionemu sumieniu nie spodobało sięto sformułowanie, więc je przeredagował. Nigdy jeszcze nie miał do czynienia z kobietą, na której zależało mu tak mocno, jak zależało mu na Belle. Ukoiwszy w ten sposób sumienie, czule pieścił Belle dalej i w uniesieniu obserwował jej reakcje.

- Jesteś taka piękna, Belle. - Mówiąc to, pochylił się, by possać jej pierś.

W tej chwili Belle wydawała się już niezdolna do mówienia. Oddech miała szybki i urywany, ciało napięte jak struna. Jeszcze ułamek sekundy i przyszła rozkosz. W jednej chwili Belle pojękiwała cicho, w następnej zeszywniała. Potem jakby rozprysnęła się pod dotykiem Wina. Zadygotała z okrzykiem czystego upojenia. Patrzył na nią z zachwytem i zadziwieniem.

- Och, Win - szepnęła wreszcie, opadając bezwładnie na szezlong z ciałem

zroszonym potem.

Win pocałował ją niemal brutalnie.

- To najpiękniejszy widok, jaki w życiu widziałem. Zanim zdążyła dojsć do siebie, Win zanurzył się w nią.

Krzyknęła cichutko, a on nakrył jej wargi ustami. Był tak podniecony, że nie mógł się powstrzymać ani sekundę dłużej. Wystarczyło kilka ruchów i już eksplodował z rozkoszą, jakiej nigdy wcześniej nie zaznał. Niosła go jedna fala upojenia za drugą.

Kiedy ostatnia z nich opadła, osłabły Win jęknął cicho i osunął się przy boku Belle na szezlong. Sumienie leciutko go zakłuło, więc jeszcze przygarnął ją do siebie, a potem myśli odpłynęły, a ciało pogrzyżyło się w błogiej niemocy.

Belle nie wiedziała, jak długo leżeli tak w swoich objęciach, zanim jej mózg znowu zaczął funkcjonować. Nigdy w najśmielszych nawet marzeniach nie przypuszczała, że miłość cielesna może dać tyle szczęścia. Jej ciało wciąż pulsowało od niespodziewanych rozkoszy, z jakimi Win je zapoznał. Chwilami na wspomnienie czarodziejskich pieszczot Wina przechodził ją radosny dreszcz. I nagle świadomość popełnionego czynu jak obuchem uderzyła w sumienie Belle, która usiadła tak gwałtownie, że w głowie jej się zakręciło i spadła z niej ciepła i bezwładna ręka Wina, leżąca do tej chwili na jej brzuchu.

- Hmm? - wymamrotał.

- Ojej! - zawołała Belle.

Od dzieciństwa wpajano jej, że głos damy powinien przypominać słodkie jak kapryfolum, powolne murmurando, a oto zabrzmiał jak uderzenie gongu, aż podskoczyła. Podobnie podziałał na Wina. Poczula, jak szarpnął się raz, a potem zjechał z szezlongu i wyładował na podłodze z głośnym łomotem i jeszcze głośniejszym, całkowicie bezbożnym okrzykiem.

Belle rozglądała się, w popłochu szukając czegoś, czym mogłaby okryć swoje obnażone łono. Chociaż właściwie teraz to już nie miało znaczenia, pomyślała z

goryczą. Win obejrzał każdy cal jej ciała. Drobiazgowo. W zasadzie przestudiował je tak dokładnie, że pewnie mógłby podręcznik

o nim napisać.

Ale tamto było wtedy, a to jest teraz; w końcu się opamiętała. Odrobinę za późno.

Trele-morele. Belle toczyła zaciekłą walkę ze swoim dawnym ja, które usiłowało wdrzeć się z powrotem na stanowisko. Wymachiwało przy tym jak sztandarem obowiązkową na Południu delikatnością, a zbrojne było w napomnienia matki, od których aż Belle dzwoniło w uszach. Oczami wyobraźni widziała już całą lawinę telegramów, a potem zatrzasnęła drzwi przed nimi, przed swoimi rodzicami oraz swoimi południowymi korzeniami. A właśnie, że będzie nowoczesną kobietą, i już!

I do czorta ze staroświeckimi skrupułami rodziny.

Rezygnując z okrycia biustu, postanowiła skoncentrować się na Winie, który był równie goły jak ona i chyba wcale tym faktem niezażenowany. Wychyliła się za szezlong.

- Win? Czy wszystko w porządku?

- Nie. - Miał chyba jakieś kłopoty z koordynacją kończyn. - Spadłem na moją... na tyłek. Belle poczuła pewną satysfakcję, że - przynajmniej po części - to ona ponosi odpowiedzialność za jego zamroczenie.

- Czy nie trzeba ci pomóc?

Udało mu się podeprzeć i podnieść do pozycji siedzącej. Wykręcił głowę tak, by móc widzieć Belle, a potem kąciki jego warg uniosły się w czymś, co dało się określić tylko jako niemądry uśmiech.

- Nie - zapewnił ją - czuję się dobrze. - Zerwał się na nogi tak gwałtownie, że wystraszona Belle aż szarpnęła się w tył, i zaczął bębnić pięściami w swój pięknie sklepiony tors jak jakiś afrykański małpison. - Właściwie to nawet czuję się cudownie!

Belle musiała się roześmiać. Musiała się również z nim zgodzić. Bez wątpienia był wspaniały. Zgodziłaby się nawet, że jest cudowny. Ale chociaż tak bardzo

próbowała zmienić się w twardą, światową kobietę, nie potrafiła się zmusić, by to powiedzieć. Potrząsnęła tylko głową.

- Niemądry jesteś, Win.

Nie była przygotowana, że natychmiast do niej przyskoczy ani że porwie ją w ramiona. Jak cudownie!

- Co ty robisz? - zawołała, bo zaczął brykać po pawilonie, trzymając ją tak, że stopami nie dotykała podłogi.

- Tańczę z tobą.

Belle znowu roześmiała się, ale zaraz spoważniała. Otrzeźwiła ją myśl o Richmondach.

- Ojejku, Win, muszę wracać do hotelu.

- Do hotelu? - Położył Belle znowu na szezlongu i sycił oczy jej nagością.

Belle z pewnym zaniepokojeniem zauważyła, że im dłużej się jej przygląda, tym widoczniejsze stają się dowody jego podniecenia. Doszła do wniosku, że jeden raz wystarczy chwilowo - a może nawet na zawsze, w zależności od tego, jak jej świeżo wyzwolone sumienie zareaguje na to szokujące przełamanie wszystkich norm, które wpojono pannie Monroe jako właściwe i słuszne - i rozejrzała się w poszukiwaniu odzieży. A, tam leży. Kiedy Win wyciągnął ręce, żeby ją złapać, przeturlała się na drugą stronę szezlongu i rzuciła na koszulę i halkę.

- Nie, Win, muszę wracać do domu. - Wkładając bieliznę, nawet przez warstwy batysty słyszała jego ciężkie westchnienie.

Miał tak przygnębioną minę, kiedy szarpała się z całymi jardami materiałów, nakładając stroje na siebie, że musiała się uśmiechnąć.

- Nadal pracuję dla Richmondów, Winie. Nie mogę od nich odejść, przynajmniej wcześniej nie wymawiając. - Starła się nie patrzeć na jego mocno pobudzoną męskość - czy to coś naprawdę się gdzieś w jej wnętrzu zmieściło? Oderwała od niej wzrok i zaczęła szukać spódnicy. A, jest. Ale skąd się tam wzięła? Ach, wszystko jedno.

Win westchnął tak ciężko, że aż zafalowały firanki, którymi zasłonięte były

obydwa okna w pawilonie, i przyznał, że Belle ma rację.

- Bardzo dobrze. Ale jeszcze trochę, a nie będziesz już tego potrzebowała.

Wkrótce zarobisz mnóstwo pieniędzy, nie musząc pracować dla innych.

Poprawiając spódnicę, Belle zerknęła na niego.

- Będę pracowała dla ciebie - zwróciła mu uwagę.

Win sięgnął po spodnie, które zawisły na szczycie jednej z lamp stojących.

- Nie będziesz pracowała dla mnie - utyskiwał. - Mamy spółkę.

Wchodząc w spódnicę, Belle przyglądała mu się bacznie.

- O? Chodzi ci o to, że będę miała coś do powiedzenia o tym, jak i gdzie fotografie zostaną sprzedane?

Win spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- Nie za wiele. Ja znam się na tym interesie. A ty nie.

- Mogę się nauczyć. Jestem osobą kompetentną.

- Phi. Nawet ostatniej wojny nie potrafisz nazwać w sposób poprawny.

- Nie bądź śmieszny - prychnęła, pochylając się, by podnieść z podłogi trzewik. -

Każda sprawa ma dwie strony, nie wykluczając wojen. Wy, zatracone Jankesy, możecie nazywać ją wojną domową, jeżeli tak sobie życzycie, ale my, mieszkańcy Południa, wiemy lepiej. To była wojna wywołana przez agresję i inwazję. Waszą.

Win, który właśnie zapinał spodnie, spojrzał na nią gniewnie i warknął:

- Nie moją. Na świecie mnie jeszcze wtedy nawet nie było. Nie byłem nawet jeszcze błyskiem w oku mego ojca. Nie byłem nawet...

- W porządku, w porządku - fuknęła. - Nie chcę o tym mówić. Żebyś na głowie stanął, i tak w życiu nie zrozumiesz mojego punktu widzenia.

- Podobnie jak ty mojego.

- Dokładnie. - Belle zaczerpnęła około dziesięciu galonów powietrza i zaczęła się zastanawiać, jakim cudem ten rozkoszny wieczór mógł tak szybko zmienić się w coś równie okropnego. To wszystko wina tego Jankesa, zdecydowała natychmiast. Musiał gadać o wojnach domowych. Jak burza podeszła do jego toaletki i wzięła

szczotkę, którą Win trzymał tam, żeby fotografowani przez niego ludzie mieli się czym przyczesać. Długimi, wściekłymi pociągnięciami wyszczotkowała splątane włosy, dumając nad dziwnymi wybrykami losu.

Win odwrócony był do niej plecami; odbijały się w lustrze, szerokie i mocne. Pozapinał już spodnie i szukał teraz koszuli. Widziała ją, bo koszula niczym pomięty pokrowiec opadła na kamerę, ale nic mu nie powiedziała. Wołała przyglądać się, szczotkować włosy i gotować się ze złości.

Był taki okropnie irytujący. I taki cholernie pociągający. No cóż, prychnęła na siebie pogardliwie w myśli, chyba nikt nie ma już najmniejszych wątpliwości, że ją pociągał. Właśnie obdarowała go, dobrowolnie i bez żadnych warunków, najcenniejszym skarbem kobiety.

Uderzona tą myślą Belle, marszcząc brwi, spojrzała w lustro. Nie przestając szczotkować włosów i przyglądać się Winowi, zaczęła się nad nią zastanawiać. Co też, u czorta dla- bła, jest takiego cennego w błonie dziewiczej? To prawda, że potwierdzała ona dziewiczość właścicielki, ale dobrze wychowani ludzie nie rozmawiali o takich sprawach. Nikt by się nigdy o niczym nie dowiedział, chyba że dziewczyna byłaby tak nierozważna, by zająć w ciążę.

Belle przestała wymachiwać szczotką i zagapiła się w lustro oszołomiona. Czy przypadkiem...? Ojej. Przeliczmy jak najszybciej dni. Po dokonaniu pospiesznych obliczeń doszła do wniosku, że prawdopodobnie nie może być w ciąży. Dzięki Bogu. Dzięki Bogu. Jednak w tym całym dziewictwie kryło się więcej, niż dotychczas sądziła. Ale to nie nad tym się zastanawiała.

Dlaczego na całym świecie narzeczeni tak wysoko cenili sobie dziewictwo? Większość mężczyzn w nosie miała zachowanie czystości przed ślubem. Dlaczego więc kobiety powinny zachowywać czystość dla swoich mężów? Belle pomyślała, że już wie. Kobieca czystość była ważna, bo mężczyźni nie chcieli widzieć w kobiecie samodzielnego człowieka. Chcieli uważać ją za przedmiot, za swoją własność, za nagrodę, którą można wygrać lub przegrać podczas rytuałów godowych. I żądali, żeby

towar był świeży. Żadnych resztek po innych mężczyznach. O, nie.

Prychnęła głośno. Mężczyźni. Wydaje im się, że są właścicielami świata. Z marsem na czole spojrzała na swoje odbicie. Niestety, ci idioci, żeby ich piorun spalił, byli właścicielami świata. A gdyby któryś z nich dowiedział się, co robiła dziś wieczór z Winem Asherem, już nigdy nie zaszczyliłby jej wątpliwym komplementem, za jaki można uznać prośbę, by została jego niewolnicą. Chciała powiedzieć: żoną.

- Na jedno wychodzi - warknęła.

Szkoda gadać. Dzięki tej spółce z Winem, dopóki nie zwiędnie jej uroda, nie będzie musiała zostawać niewolnicą żadnego cholernego mężczyzny.

- Phi - mruknęła, skręcając długie włosy w prosty kok. Uświadomiła sobie, że nie pomyślała o spinkach, i odwróciła się, baczny spojrzeniem omiatając pawilon i przytrzymując włosy na czubku głowy. W tym momencie Win podniósł oczy znad paska, który właśnie zapinał. Chyba go trochę zaskoczył nieprzyjemny wyraz twarzy Belle.

- Co się stało? - zapytał łagodnie.

- Potrzebuję spinek.

- Hm, powinno ich kilka leżeć w szufladce toaletki. Poszukam twoich, a ty możesz tymczasem skorzystać z tamtych.

Nie przewidziała tego pojednawczego tonu. Nagle zebrało jej się na płacz, co było absurdalne. Opanowała się, wzięła się w garść, powiedziała „dziękuję” i odwróciła się, by, otworzyć szufladkę.

W pawilonie dał się słyszeć jedynie stukot szufladki o prowadnicę i cichy grzechot spinek, które Belle wyciągała i rzucała na blat. Wpinając je w kok, popełniła błąd i popatrzyła w lustrze na Wina. Ich oczy się spotkały i Belle przełknęła. Wyglądał jak mały chłopiec, który przygląda się, jak jego najukochańsza zabawka odpływa z falami na morze. Co to mogło znaczyć?

Win uniósł ręce i wyciągnął je do niej.

- Przepraszam cię, Belle. Nie chciałem zaczynać kłótni.

Trwało to w przybliżeniu około dwóch i pół sekund, zanim Belle pozbyła się spinek i furii, a przy sposobności również i koka. Z rozpuszczonymi włosami odwróciła się i rzuciła w ramiona Wina.

17

Będzie się z nią musiał ożenić. Wracając do domu z Congress Hotel, gdzie zostawił Belle przy drzwiach do jej pokoju - nie pozwoliła się pocałować, bo wstydziła się robić coś takiego w miejscu publicznym, chociaż w pobliżu żywej du- szy nie było - zadumał się nad tym, jakie są widoki na jego małżeństwo z Belle Monroe.

Zanim poznał Belle, przez myśl mu nawet nie przeszło, żeby się żenić. Ale teraz, po tym, co razem zrobili... No cóż, **albo** się z nią ożeni, albo już nigdy nie będzie mógł sobie spojrzeć w oczy.

Nie żeby mógł w tej chwili spojrzeć sobie w oczy, chyba że miałby przy sobie lusterko, ale...

- Tam do diabła.

Kopnął zmięty kawałek papieru, który leżał na chodniku, i zaczął zastanawiać się, czym właściwie jest los. Czy w ogóle coś takiego istnieje, czy też może życiem i wszystkim we wszechświecie rządzi czysty przypadek? Czy to los zesłał mu tę irytującą i cudowną południową Belle? Do tej pory na myśl o małżeństwie zawsze robiło mu się zimno. Teraz jeszcze zimniej zrobiło *mu się na* myśl, że mógłby *Belle pozwolić odejść*.

Przyszło mu do głowy, że Belle może nie chcieć małżeństwa, i rozchmurzył się na moment, ale zaraz uświadomił sobie, że to absurd. Belle? Miałaby się teraz nie zgodzić za niego wyjść? Kiedy już skonsumowali małżeństwo przed faktem? Mimo woli szeroko się uśmiechnął.

Jego ukochana Belle to prawdopodobnie najbardziej wyniosła, przyzwoita, dobrze wychowana, cywilizowana, nobliwa młoda dama - z rozmysłem użył w tym

kontekście słowa „dama” - jaką kiedykolwiek poznał. Nawet wchodzące w świat debiutantki, z którymi jako niedorostek musiał tańczyć, a obecnie już tylko je fotografować, mniej były wytworne i dystyngowane niż jego Belle.

Aż do dzisiejszego wieczoru. Serce zaczęło mu fruwać w piersi jak napełniony gorącym powietrzem balon, a męskość natychmiast zeszywniała, kiedy o tym wieczorze pomyślał. Nie była wtedy żadną damą, o, nie. Była... była... była... Tam do diabła, nie potrafił nawet znaleźć słów na to, jak wspaniałe okazało się ich zbliżenie.

Powinien był jednak przewidzieć, że w zasadzie Belle naturę musi mieć ognistą. Nie tylko na własne oczy widział, jak pierwszego dnia próbowała dać mu odprawę, by chronić dzieci Richmondów, ale na dodatek, chcąc uratować Kate Finney przed uduszeniem, tak palnęła jej ojca, że mało ducha nie wyzionął. Dzielną była, i tyle, albo on nie wie, co znaczy to słowo.

Ach, Belle. Ta jego Belle okazała się niespodziewanym skarbem. Jeżeli musi się żenić - a musi, bo niezależnie od tego, co myślała o nim Belle i od szelmowskich pów, które z taką radością przybierał, nie przestawał być dżentelmenem, instynktownie i bezwiednie - to pewnie Belle będzie najlepszą kandydatką. A przynajmniej najlepszą kandydatką ze wszystkich znanych mu do tej pory pań.

Pomyśl, że mógłby kiedyś spotkać inną kobietę, która budziłaby w nim tę samą mieszankę emocji i frustracji co Belle, przyszedł mu co prawda do głowy, ale został natychmiast odrzucony. To niemożliwe. Belle była jedyna w swoim rodzaju.

Poza tym nie miał po prostu wyboru. Wziął ją do łóżka. Teraz się musi z nią ożenić. Taki był kodeks postępowania dżentelmena. Zapewne taki był również kodeks postępowania damy, chociaż Win powątpiewał, by istniała kobieta, która zechce się do tego przyznać.

Dziwne, ale fakt, że nie miał w tej materii wyboru, bardzo go podniósł na duchu. Win przestał się stresować koniecznością podejmowania decyzji i w ogóle. Zanim doszedł do swego mieszkania przy 59th Street, pogwizdywał już wesolo.

Natomiast Belle, wchodząc do pokoju hotelowego, nie była aż tak pełna

optymizmu. Modliła się w duchu, by Gladys nie czekała na jej powrót. Nie była pewna, czy uda jej się ukryć przed swoją spostrzegawczą i życzliwą chlebodawczynią kłębiącą się we wnętrzu płataninę emocji.

Nowa Belle- wietrznica, która rzuciła ostrożność na cztery wiatry i wskoczyła do łóżka z Winem, musiała się chyba schować w jakiejś szafie. Dawna Belle, ta, której od dnia numer jeden wbijano do głowy poczucie przyzwoitości, cier- **piała** na ciężki atak paniki. A jeżeli Win nie zgodzi się z nią teraz ożenić? A jeżeli nawet jej się nie oświadczy?

- Łajdak - szeptała, a rozdygotane serce ścisnęło się jej w piersiach, jakby je ktoś wyżył. - I potwór. I niegodziwiec. I... I... - Z pomocą przyszedł jej najbardziej plugawy epitet, jaki знаła. - I cholerny Janke.

Kiedy już kobieta ulegnie kusicielskim namowom mężczyzny, małżeństwo było sprawą *de rigueur*. Belle wiedziała o tym. Jeszcze się mówić nie nauczyła, a już o tym wiedziała. W dzieciństwie nadstawiała ze wszystkich sił uszu, by podsłuchać zaszokowane szeptki starszych dam, i bardzo chciała dowiedzieć się, co mogło być takim koszmarem, że nie wolno o nim mówić na głos. Kiedy matka, ciotki i inne krewniaczki prowadziły taką szeptaną rozmowę, nieodmiennie dotyczyła ona ruiny jakiejś młodej damy. Zastanawiając się nad tym później, Belle nie przypominała sobie jednak, by u tych młodych kobiet dawały się zauważyć jakieś oznaki rujnacji. A przyglądała im się przecież bardzo dokładnie. Oznaki rujnacji jakoś umykały uwagi. Podobnie było teraz.

Cisnęła kapelusz na krzesło; z rozmysłem zachowała się tak niestosownie, bo była wściekła na cały świat.

- Zrujnowana. Też coś - wymamrotała.

Kto właściwie te zasady ustanawiał? Czy na Ziemi pojawił się Pan Bóg we własnej osobie, pogroził palcem krewniakom Belle z Georgii i powiedział:

„Nie skonsumujesz aktu miłości, dopóki pastor Gideon Hawkins nie da ci pozwolenia?”

Och, bardzo dobrze, istniało przykazanie zakazujące cudzołożenia, ale to, co dziś wieczorem zrobili z Winem, nie było cudzołożeniem. To był stosunek przedmałżeński.

Do licha. Co za paskudne wyrażenie. Belle nie mogła przypomnieć sobie, czy istnieje przykazanie, zakazujące stosunków. Chyba że...

Tu gwałtownym ruchem przycisnęła dłoń do serca i szeroko otwartymi oczami zapatrzyła się w drzwi do pokoju.- Dobry Boże.

Win nie może być chyba żonaty, prawda? Czy w rozmowach wspomniał choć słowem o swoim statusie małżonka lub tegoż braku? Czy sprowadził ją na manowce, tak jak wielu żonatych mężczyzn sprowadzało swoje niczego nie podejrzewające ofiary?

- Ojej. - Przejęta czystą zgrozą padła na łóżko.

Ale zaraz. Napomknął kiedyś, że jest kawalerem. Powiedział, że czuł się zażenowany, kupując ten ładny szlafroczek, bo jest stanu wolnego.

Z poczuciem ulgi Belle poderwała się z łóżka. Przeszła do łazienki, przylegającej do hotelowego pokoju, dzięki składając gwiazdom, pod którymi się urodziła, że Richmondowie są tak zamożni, iż stać ich nawet na wynajęcie pokoju z łazienką dla pomocy do dzieci.

W ramię postukało ją poczucie winy. Richmondowie. O matko kochana! Nie mogła ich tak zostawić na lodzie, chociaż teraz będzie zarabiała furę pieniędzy i prawdopodobnie - niemal na pewno - wyjdzie za mąż. Nie leżało to w jej charakterze. Zanim zaczęła pozować dla Wina, musiała może nagiąć jedną czy dwie zasady, ale nie straciła poczucia przyzwoitości na tyle, by odejść od Richmondów bez wypowiedzenia.

Dreszcz ją przeszedł na myśl, ile zasad nie tylko nagięła, ale całkowicie złamała dziś wieczorem, kiedy kochali się z Winem. Zalała ją fala wspomnień. Belle objęła się rękami.

Może postąpili niewłaściwie, ale nie miała takiego wrażenia. To było cudowne.

Woda wypełniała stojącą na pazurzastych łapach wannę, a Belle rozbierała się, sprawdzając, czy na ubraniu nie ma zagnieceń albo plam, które mogłyby ją zdradzić.

Kiedy minął początkowy chaos, zrodzony z niepokoju Belle i zamroczenia Wina, ten ostatni z wielką uprzejmością podał jej wilgotną szmatkę i odwrócił się plecami, by, zanim pójdzie do domu, mogła zmyć najbardziej widoczne ślady tego, że zeszła na złą drogę. Było to żenujące, ale teraz cieszyła się, że się tym zajęła, bo na ubraniach nie zostały żadne plamy.

Zanurzając się w wodzie, która koła i ciało, i duszę, zdecydowała, że chwilowo niczego nie będzie postanawiać w sposób ostateczny. Za duży miała mętlik w głowie, by podejmować choćby próbę sprecyzowania życiowych aspiracji. Poza tym skończyła dopiero dziewiętnaście lat. W tym świetle sam pomysł, że mogłaby decydować o własnej przyszłości, wydawał się raczej śmieszny.

Zaczeka ze złożeniem wymówienia, dopóki spółka i plany małżeńskie nie nabiorą oficjalnego charakteru, a ona nie zyska lepszego rozeznania, jakiego dochodu może się spodziewać. I kiedy. Na ile się w tej sprawie orientowała, może to trwać latami, zanim po opublikowaniu fotografii napłyną tantiemy.

- Jestem za bardzo zmęczona, żeby dłużej myśleć - zamruczała w końcu. Powieki jej opadały, głowa sama ułożyła się na porcelanowym obramowaniu wanny. W chwilę później Belle już spała i dopiero kiedy woda wystygła, zmusiła się do zakończenia kąpieli. Wyszła z wanny, wytarła się i padła na łóżko. Spała jak zabita.

Jadalnia w Congress Hotel lśniła od kryształów i białych obrusów, chociaż letni chicagowski poranek był parny. Belle założyła lekką, batystową sukienkę, zastanowiła się nad gorsetem i po chwili wyrzuciła go. Była już kobietą upadłą, cokolwiek to znaczy. Pewnie to samo, co zrujnowaną. A skoro tak się sprawy miały, jakim cudem mógłby sytuację uratować gorset?

W obawie, że się spóźniła, rozejrzała się nieco niespokojnie po jadalni. I z ogromną ulgą zobaczyła, że Gladys, Amalie i Garrett prowadzeni są właśnie do stolika przez pełnego godności kelnera. Pospiesznie do nich podeszła, uśmiechając się ze wszystkich sił. Nie miała ochoty się uśmiechać. Miała ochotę pospać. Jakim cudem przez tak krótki czas zrobiła się z niej taka kłamczucha?

Nie wiedziała, jak to się mogło stać w tak krótkim czasie, ale ucieszyła się, bo kiedy podeszła bliżej, cała trójka Richmondów uśmiechnęła się do niej radośnie.

- Dzień dobry! - przywitała się z nimi promiennie.

- Dzień dobry, Belle. - Gladys badawczo jej się przyjrzała. Belle aż miała ochotę zwinąć się z zażenowania. Ale się nie zwinęła. Tylko usiadła, nadal się uśmiechając, wzięła serwetkę i rozłożyła ją sobie na kolanach.

- Jakie mamy na dziś plany? - zapytała, nie kierując tego pytania do nikogo w szczególności. Marzyła o tym, żeby zobaczyć się z Winem, przede wszystkim dlatego, że czuła się tego ranka straszliwie niepewnie. W życiu by się do tego nie przyznała.

- Mama powiedziała, że możemy dziś pójść na diabelski młyn, panno Monroe! Belle zdusiła ziewnięcie, nie przestając się uśmiechać do dziewczynki.

- To cudownie, kochanie. - Nie patrzyła zeszłej nocy na zegar, ale musiała położyć się późno, bo czuła się tak, jakby ktoś jej sypnął piaskiem w oczy.

- George i ja wybieramy się dziś na wystawę rolniczą Belle. Obawiam się, że na większość dnia będziemy musieli zostawić dzieci pod twoją opieką.

- Taa - mruknął Garrett, spoglądając gniewnie na serwetkę. - Kto by tam chciał patrzeć na kupę jarzyn?

- No nie, Garrett. - Gladys przeniosła wzrok ze swojego naburmuszonego syna na Belle, która odniosła wrażenie, że chlebobawczyni chyba się spodziewa po niej protestów.

Ojej, czyżby ostatnio zaniedbywała swoje obowiązki? Próbowwała sobie przypomnieć, a myśli kotłowały się jej w głowie. Chyba nie, ale...

- Bardzo mi to odpowiada, Gladys. Jestem pewna, że nasza trójka wspaniale będzie się bawić. - Uśmiechnęła się do Amalie, która odpowiedziała jej uśmiechem, i do Garretta, który wciąż się boczył. Westchnęła, zanim zdążyła się powstrzymać.

- Czy jesteś pewna, moja droga? Nie czujesz się za bardzo zmęczona? Ja... dosyć długo wczoraj wieczorem czeka- **łam, ale** w końcu się położyłam, zanim wróciłaś do hotelu. Aha. Gladys martwi się o jej cnotę. I nie bez podstaw, pomyślała Belle ponuro.

Uśmiechnęła się jeszcze promienniej.

- Pan Asher odprowadził mnie do domu, kiedy skończyliśmy załatwiać nasze sprawy. - W życiu nie przyznałaby się, co to były za sprawy. - Przypuszczam, że musiało zrobić się dosyć późno. - Poczwała się zaskoczona, kiedy Gladys położyła dłoń na jej ręce.

- Czy wszystko w porządku, Belle? Między tobą a panem Asherem? Ja... nie chciałam być wścibska, ale...

Instynktownie Belle odwróciła dłoń i uściśnęła rękę Gladys. Gladys naprawdę była słodka. I na sercu leżało jej tylko dobro Belle, o czym ta ostatnia wiedziała. Tak więc w żaden sposób nie mogła usprawiedliwić faktu, że pytanie Gladys odrobinę ją zirytowało.

- Jest pani dla mnie stanowczo za dobra, Gladys. Wszystko układa się świetnie. - Doszła do wniosku, że jeżeli przyzna się do części swoich wieczornych przygód, uśmierzy tym trochę niepokój Gladys, więc ciągnęła: - Nawiasem mówiąc, pan Asher zaproponował mi spółkę w swoim interesie.

Nie zdziwiła się, kiedy Gladys popatrzyła na nią bez zrozumienia.

- Spółkę? Um...

- Spółkę pół na pół - mówiła dalej Belle wyjaśniająco. - Najwyraźniej przekonany jest, że może wprowadzić moje zdjęcia na rynek i zarobić dla nas obojga dużo pieniędzy.

- Rozumiem. - Gladys wciąż wydawała się zdezorientowana. Belle nie była tym zaskoczona. - Um, czy to znaczy, że od nas odejdziesz? - zapytała w końcu.

- Nie!

Ten spontaniczny okrzyk wyrwał się Amalie, a poczucie winy Belle wzrosło w zawrotnym tempie. Uściśnęła znowu rękę Gladys i wzięła Amalie za rączkę. Rączka lepiała się od dżemu, ale Belle to nie przeszkadzało.

- Dobrze nieba, nie. A przynajmniej na pewno nie od ra- zu. Wszystko zależy od tego, czy sprawdzą się przewidywania pana Ashera, dotyczące sukcesu finansowego.

- Nie chcę, żeby pani odeszła! - zawodziła Amalie. Ojej. Akurat dziś Belle nie miała na to sił. Potrzebny był

jej sen, a nie histeria Amalie.

- Nie odejdę, Amalie - zagruchała i równocześnie zdusiła w sobie chęć, by dać dziewczynce klapsa w wypchane tiurniurą siedzenie.

- Boże drogi! - wykrzyknęła Gladys. Nie miała już zdeprimowanej miny. A nawet się do Belle uśmiechała. - Ufam, że wszystko się ułoży po twojej myśli, kochanie. Zaslugujesz na dużo więcej niż praca w charakterze niańki.

Belle powiedziała sobie, że powinna już była się przyzwyczaić do życzliwej natury kochanej Gladys, ale na te słowa oczy jej wypełniły się łzami. Poczula się głupia i podła, i zakłamana, chociaż przynajmniej do tego ostatniego raczej nie miała podstaw. Przekazała Richmondom najważniejszą część prawdy, tę, która mogła' ich dotyczyć. Życie osobiste Belle było jej własną sprawą. Żeby tak powiedzieć.

- Dziękuję pani - wyszeptała.

W reakcji na wzruszenie Belle Gladys zaczęła pociągać nosem. Dotykając oczu serwetką, powiedziała:

- Nonsens, Belle. Jesteś śliczną młodą kobietą. A ja mam wrażenie, że należysz do naszej rodziny.

- Ja też! I co złego jest w byciu nianią? - zapytała Amalie. - My panią kochamy, panno Monroe! - Po jej policzkach również kapały łzy.

- Hunch - mruknął Garrett.

Belle poczuła się tak, jakby serce miało jej pęknąć na pół.

- Ja też kocham być z tobą, Amalie - powiedziała ochrypłym głosem. - Ale przy panu Asherze trafiła mi się niezwykła okazja.

- Och! - zawodziła Gladys.

Uwaga Belle przeniosła się na nią. Absolutnie nie zamierzała aż tak wyprowadzać swojej chlebodawczyni z równowagi.- Co się stało, Gladys? - Aż chwyciła za skraj stołu, bo uderzyła ją pewna myśl. Dobry Boże, a może Gladys wie o

Winie coś okropnego, o czym Belle nie ma pojęcia?

Gladys dała spokój serwetce i wygrzebała chusteczkę z kieszeni spódnicy.

- Nic, nic, kochanie. Tylko że miałam nadzieję, że ty i pan Asher... No cóż, wszystko jedno, Belle. Cieszę się, że przynajmniej stworzycie tę spółkę, i ufam, że okaże się ona rentowna.

- Nie chcę, żeby pani odeszła - łkała Amalie.

Belle przyjrzała się małej z pewną niechęcią, której jednak starała się po sobie nie pokazać. Uwielbiała Amalie, ale ubolewała nad tak jawnie okazywaną ckliwością. Jeżeli dziewczynka nie będzie uważała, gotowa skończyć jak matka Belle i co chwila mdleć.

Dobre nieba, czy naprawdę przyszła jej do głowy taka nielojalna myśl?

Nie zdążyła jeszcze rozstrzygnąć tej wątpliwości, kiedy przy ich śniadaniowym stole pojawił się chłopiec hotelowy, niosąc na tacce żółtą kopertę. Jak tylko Belle zauważyła chłopca, serce jej się ścisnęło. Błagam, Panie Boże, tylko nie następny telegram.

Bóg nie dał się ubłagać. Chłopiec podszedł do stolika, szeroko się uśmiechając. Zatrzymał się przed Belle.

- Panna Monroe? Belle westchnęła.

- Tak. Jestem panną Monroe.

Uśmiech chłopca zrobił się jeszcze szerszy.

- Wiedziałem! Zobaczyłem wczoraj pani zdjęcie w gazecie. Jest pani... - Tu jaskrawo się zaczerwienił. - Jest pani naprawdę piękna, madam, jeżeli pozwoli mi się pani tak wyrazić.

- Proszę bardzo. - Belle udało się bledziutko uśmiechnąć. A miała ochotę wrzasnąć. Podała chłopcu monetę, którą pospiesznie wygrzebała z leżącej na kolanach torebki, i wzięła telegram. - Dziękuję.

- Dziękuję pani, panno Monroe. To naprawdę nadzwyczaj- ne, że mogłem z panią rozmawiać. - Odwrócił się i pędem wybiegł z sali, a twarz mu płonęła jak

rozżarzony węgielek.

Belle przyglądała się, jak się oddalał. Zaczęło ją ogarniać dziwne odrętwienie. Czy właśnie coś takiego czeka ją w przyszłości? Że będą ją adorowali chłopcy hotelowi, jakby była jakimś ideałem kobiecości? Ta myśl w równym stopniu przeraziła ją, co rozśmieszyła. Ją? Rowenę Belle Monroe?

- Ależ to absurdalne - powiedziała półgłosem.

- Wcale nie - zaprzeczyła Gladys. Głowa Belle poderwała się do góry.

- Słucham panią?

- Jesteś śliczną młodą kobietą, Belle. Pan Asher uczyni cię sławną.

Przejęta grozą Belle wpatrywała się przez moment w panią Richmond. A przecież Gladys tylko wypowiedziała na głos to, o czym Belle już wiedziała. Westchnęła ciężko.

- Ma pani, oczywiście, rację. Wiem. Rozważyłam to wszystko, zanim podjęłam decyzję.

- A co złego jest w byciu sławną? - chciała dowiedzieć się Amalie. Dzięki Bogu przestała płakać i teraz przyglądała się Belle zażwawionymi błękitnymi oczami.

Gladys uśmiechnęła się łagodnie.

- No właśnie, Belle. Co złego w byciu sławną piękną? Jestem przekonana, że większość młodych kobiet byłaby szczęśliwa, gdyby trafiła im się taka okazja, chociaż niewiele z nich nadawałoby się do tej roli tak dobrze jak ty.

Belle przycisnęła dłoń do gwałtownie rumieniącego się policzka i zamruczała:

- Co też pani mówi! Ale wracając do pytania, co złego w... przede wszystkim moja rodzina jest temu straszliwie przeciwna.

- Hmmm.

- A czemu? - zapytała Amalie. Do licha z tym dzieckiem. Dlaczego nie potrafi pojąć czegoś, co dla Belle jest takie oczywiste? No, prawie oczywiste. Może.

Potrząsnęła głową, starając się zebrać myśli. - Nie jest rzeczą właściwą, tak się... um... wysuwać przed innych, Amalie. - A ponieważ Amalie miała po tym wyjaśnieniu

równie zdezorientowaną minę jak przed, Belle pospiesznie ciągnęła: - Nie jest także rzeczą rozsądną tak szeroko się reklamować. Przecież różnego rodzaju szubrawcy mogliby bez skrupowania czynić mi niemiłe awanse, gdyby uznali, że jestem czymś w rodzaju własności publicznej, że tak powiem.

- To pewnie może być prawda. - Gladys westchnęła.

- A wracając do pytania: dlaczego - kontynuowała Belle z desperacją - skłonna jestem zność to wszystko ze względu na pieniądze. - I nagle poczuła się jak Judasz Iskariota.

Porównanie było jednak nie tylko niemądre, ale również nieprawdziwe. Żeby nie wspomnieć już, że bluźniercze. Przecież Belle nie tylko nie zdradzała swego Zbawiciela, ale próbowała pomóc sobie i swojej rodzinie!

A skoro tak się sprawy miały, wzięła się w garść i mocno swoją psychiką potrzęsnęła, następnie podniosła żółtą kopertę i rozerwała ją.

- Ha.

- Co tam, Belle? Czy jakaś zła wiadomość?

- To, czego się spodziewałam - rzekła Belle zrezygnowana, ale i poirytowana. - Moja rodzina nie była zadowolona, kiedy przeprowadzałam się do Nowego Jorku. A teraz twierdzą, że załamani są tym, iż zarabiam trochę jako modelka.

Gladys, co zrozumiałe, miała zakłopotaną minę.

- Dlaczego?

Belle przeczytała ponownie telegram.

Dziś następna fotografia. Belle, dlaczego? Urażeni. Zdruzgotani. Zawiedzeni. Zażenowani. Upokorzeni. Kocham Matka

- Sama nie wiem - powiedziała, podając wiadomość Gladys. Gladys dokładnie przestudiowała telegram i ściągnęła brwi. Przez moment wpatrywała się w Belle.

- Wydawało mi się, że większość swoich poborów przesyłasz do domu, do Georgii. Moim zdaniem, twoja rodzina powinna być zadowolona, że im pomagasz, i podziękować za to, a nie przysyłać ci niemiłych telegramów z wyrzutami.

Belle przypomniało się, jak Win potępił jej rodzinę. Wspomnienie to przewinęło się przez jej pamięć jak pasek filmu przez aparat wyświetlający, który widziała w Machinery Hall. Dobrze ich ocenił. Wargi jej zacisnęły się na moment w wąską kreskę, a potem odpowiedziała Gladys na jej rozsądne pytanie.

- Nie podoba im się to, że moja twarz wystawiana jest na widok publiczny.

- Chyba potrafię ich zrozumieć - rzekła Gladys, chociaż najwyraźniej wcale nie rozumiała.

- Tak przynajmniej twierdzą - ciągnęła Belle, przepelniona jadem i rozgoryczeniem. - Ale naprawdę nie podoba im się to, że do czegoś doszłam. Wolą taplać się w minionej chwale i w nędzy, niż zrobić coś dla siebie, i oczekują, że ja zachowam się podobnie. Postępując inaczej, zakłócam status quo.

Wcale się nie zdziwiła, że oczy Gladys otworzyły się szeroko.

- Dobrze nieba! Nie potrafię sobie czegoś takiego wyobrazić. To oczywiste, że nie potrafiła. Była przecież Jankesem.

Nie pochodziła z rodziny, która swój status ofiary czciła jak jakieś Pismo Święte.

- Stara rodzinna tradycja - stwierdziła lapidarnie. Gladys zamrugła oczami.

- O.

- Nie rozumiem, panno Monroe - pisnęła Amalie.

- Nie powinnaś wtrącać się do rozmowy dorosłych - zwrócił jej świętoszkowate uwagę Garrett i zrujnował cały efekt świątobliwości, dając siostrze kuksańca.

- Przestań! - krzyknęła Amalie i oddała mu kuksańca. Bellepołożyła roztropnie dłonie na ich ramionkach i nie pozwoliła im się podnieść.

Uśmiechając się do Amalie, powiedziała Garrettowi:

- Nic się nie stało, Garretcie, Amalie martwi się tylko o moje dobro. - Garrett zmarszczył nos i skrzywił się, co, jak uznała Belle, było do przewidzenia. Doszła do wniosku, że nie da się porozumieć z siedmioletnim chłopcem, skupiła więc uwagę znowu na Amalie. - Ja tego również nie rozumiem, Amalie. Wydaje mi się to bezsensowne.

- Należy ci się od rodziny wdzięczność za twoją pomoc - stwierdziła Gladys najsurowszym głosem, na jaki potrafiła się zdobyć. - Nie powinni przysyłać ci wrednych telegramów.

- Opłacając je pieniędzmi, które ode mnie dostają - uzupełniła Belle.

Gladys stanowczo pokiwała głową.

- Dokładnie. - Uścisnęła rękę Belle po raz ostatni, a potem wzięła serwetkę, która leżała na jej kolanach. - Nie chciałabym ich krytykować, Belle, ale odnoszę wrażenie, że twoja rodzina nie całkiem sprawiedliwie cię traktuje.

Belle ponownie ciężko westchnęła.

- Jeżeli mam powiedzieć prawdę, mnie też się tak wydaje. - Długo to trwało, ale wreszcie zaczynała powątpiewać w rozsądek i serce swojej rodziny. Gdyby to jej na przykład ktoś w życiu pomógł, podziękowałyby mu, a nie miała za złe.

Naturalnie natychmiast przyszedł jej na myśl Win. Próbował jej pomóc w życiu, a ona nie potrafiła tak na poczekaniu wyobrazić sobie, że mogłaby mu za to podziękować. Właściwie to wolałaby wyskoczyć z dwudziestego pierwszego piętra Congress Hotel, niż mu podziękować. Za cokolwiek. Doszła do wniosku, że te dwie sytuacje nie mają ze sobą nic wspólnego i chwilowo nie musi martwić się swoim brakiem wdzięczności dla Wina.

- Czy pan Richmond przyłączy się do nas przy śniadaniu? - zapytała w nadziei, że skieruje rozmowę na inny tor.

- Tak. - Westchnienie Gladys zabrzmiało jak echo westchnienia Belle. - Poszedł do recepcji po swoją poranną porcję gazet. Nie rozumiem, co tak fascynuje dzentelmenów w wiadomościach ekonomicznych.

- Ja też nie rozumiem - roześmiała się Belle. - Chociaż nawet lubię czytać o zbrodniach. Pewnie to niewłaściwe z mojej strony.

Gladys rzuciła jej konspiracyjny uśmiech.

- Ja też lubię o nich czytać. - Spojrzała w stronę drzwi i wyprostowała się na krześle, jakby czymś zainteresowana.

- Idzie George. I ma... Mój Boże, czy to pan Asher?

Belle pożałowała, że nie zdąży się przygotować. Nim zdołała się powstrzymać, odwróciła się i zaczęła wstawać z krzesła. Na szczęście pohamowała się w porę. Zanim udało jej się zrobić z siebie kompletną idiotkę, usiadła i usiłowała ochłonać.

Naprawdę przyszedł! Stał tam w pełnej krasie i okazałości, cudowny aż do przesady. Win Asher, elegancki i wymuskany, w letnim garniturze i frakowej koszuli, gawędził z George'em Richmondem, jakby byli parą starych przyjaciół. George wydawał się zadowolony, więc Belle doszła do wniosku, że Win będzie mile widzianym uzupełnieniem ich śniadaniowej grupy.

- Dobry Boże - powiedziała, siląc się na zdawkowy ton. - To rzeczywiście pan Asher. - Nie przeoczyła ostrego spojrzenia Gladys i usiłowała zneutralizować je obojętnym wyrazem twarzy. Nie było to łatwe. Robiło jej się gorąco, rumieniec obejmował szyję i policzki, ale starała się zachować pogodę ducha.

- Popatrz, kto złożył nam wizytę przy śniadaniu, Gladys - odezwał się jowialnie George. Najwyraźniej dobrze wypoczął tej nocy. Belle zadowolona była z tego. George'owi zdarzało się przy śniadaniu bywać w niezbyt jowialnym nastroju.

- Jak się pan miewa, panie Asher? - Gladys rozpromieniła się na widok Wina.

Win odpowiedział jej promiennym uśmiechem.

- Świetnie, pani Richmond. A pani?

- Bardzo dobrze, dziękuję panu. Win ujął dłoń Belle i pochylił się nad nią w oficjalnym ukłonie, prawie jak dżentelmen z Południa na balu. Belle pamiętała dobrze ten gest ze swojej wczesnej młodości. Jeżeli zamierza sobie z niej kpić, będzie musiała...

- Dzień dobry, Belle. Mam nadzieję, że nie zatrzymałem pani wczoraj wieczorem zbyt długo. Mieliśmy mnóstwo spraw do omówienia.

- Tak, to prawda.

Powietrze wokół stołu wydawało się leciutko gęstnieć z napięcia; przerwał je głosik Amalie.

- Dzień dobry panu! Chce pan pójść dziś z nami na diabelski młyn?

- No - poparł ją Garrett, przynajmniej raz z czegoś zadowolony. - Może pan?

Belle wydało się interesujące, że oboje lubią Wina. Aprobata dzieci spowodowała, że poczuła się odrobinę lepiej.

- Z rozkoszą pójde z wami na „diabelski młyn” - zapewnił ich Win; głos miał niemal równie jowialny, jak wcześniej George.

- Proszę, niech pan siada i przyłączy się do nas, panie Asher - zaprosiła Gladys, pokazując na puste krzesło. - Belle opowiadała nam, że macie państwo nadzieję wejść w spółkę.

- Powiedziała to pani, czy tak? - Win błysnął zębami w skierowanym do Belle uśmiechu, która oddała mu go z nawiązką.

- Tak. Wydaje mi się to bardzo przedsiębiorcze z państwa strony, że chcecie razem prowadzić interes.

- Dziękuję pani, pani Richmond. Cieszę się, że pani ten plan aprobuje.

- Genialny pomysł, mój stary - huknął George, klepiąc Wina po plecach. - Nie przepuszczać żadnej okazji, oto moje motto.

Motto George'a, czy tak? Belle przeniosła wzrok z Wina na George'a i zaczęła zastanawiać się, czy przypadkiem nie jest to również motto Wina. Może uwiódł ją tylko po to, by nie uciekła mu szansa na dobry interes? Nie była to myśl przyjemna, a Belle pojęcia nie miała, jak się dowiedzieć prawdy. Mogła zapytać Wina, ale przecież zaprzeczyłby, nawet gdyby należało powiedzieć „tak”. Wydawał się odrobinę pozbawiony skrupułów, kiedy w grę wchodziły fotografie.

Sama nie wiedziała, co mogłoby być bardziej przygnębiające niż ta myśl. Wymagało to od niej wielkiego wysiłku, by uśmiechnąć się do kelnera, zamówić śniadanie - miała tylko nadzieję, że uda jej się go nie zwrócić - i jeść tak, jakby nie dręczyła jej żadna troska. A dręczyła. Do licha z tym całym Winem Asherem.

Panu Asherowi głupio trochę było, że przed ósmą rano przychodzi nieproszony do Congress Hotel. Całkiem skutecznie udawał nonszalancję, ale nie potrafił ukryć radości, kiedy George Richmond powitał go tak, jakby Win miał pełne prawo bezceremonialnie przerywać mu śniadanie. Zaczny stary George. Okazał się równie bystry jak smukły, a Win błogosławił go za to.

Prawda była taka, że w ogóle na niczym nie mógł się skupić. Musiał najpierw zobaczyć Belle i przekonać się, że ona... no, że naprawdę jest prawdziwa. Ze nie jest tylko wytworem jego artystycznej wyobraźni. Wiedział, że miewa czasem skłonność do fantazjowania, ale tych wczorajszych szaleńczych igraszek na szeszlangu z pewnością nie mógł sobie tylko wyobrazić.

Wszedł do restauracji, zobaczył ją i już wiedział, że pozostał przy zdrowych zmysłach. Belle wydawała się przez moment spłoszona tym, że się tak niespodzianie pojawił, a Winowi wystarczyła ta jedna chwilka niezdecydowania panny Monroe, by zyskał pewność, że w jego wszechświecie wszyst-ko układa się pomyślnie. Do tego zgodziła się wejść z nim w spółkę, więc kontakty mają zagwarantowane. A przynajmniej będą mieli, jak tylko Belle podpisze dokument, wiążący ją z panem Asherem na czas trwania spółki.

Na pomysł wiążącego prawnie kontraktu wpadł podczas ostatniej niespokojnej nocy. Nie mógł spać, bo bez przerwy myślał o Belle i o tym, jak ją zatrzymać. Och, wiedział, że powinien się z nią ożenić, i zamierzał jej się oświadczyć, ale co będzie, jeżeli Belle go zaskoczy i odmówi? Jedną z cech, którą najwyżej sobie u niej cenił, była nieprzewidywalność. Mogła jej wpaść do tej ślicznej główki jakaś godna południowej damy myśl, że rodzina wydziedziczy ją, jeżeli wyjdzie za Jankesa.

Kiedy o tym pomyślał, serce niemal stanęło mu w piersi. Nie wolno do czegoś takiego dopuścić. Miłość to efemeryda. Biznes to solidne fakty. Miłość była niepewna.

Biznes wręcz przeciwnie. Biznes jest czymś godnym podziwu, wartościowym i dobrym. A miłość jest przerażająca jak piekło.

Poza tym, nawet gdyby pominąć jej rodzinę, Belle od stóp do głów była damą z Południa. Win nie potrafił sobie wyobrazić, by miała wyrazić zgodę na rezygnację ze swych georgiańskich korzeni i zamieszkać razem z nim w Chicago. Czepiała się jak pąkla tej swojej cholernie niewdzięcznej rodziny. Obawiał się, że nawet jeżeli H. L. Mayowi, który przed kilkoma dniami pojechał pociągiem do Georgii, uda się dowiedzieć różnych złych rzeczy o jej rodzinie, Belle się od krewnych nie odwróci. Była na to za bardzo uparta. Za dobra, niech to piorun jasny strzeli.

Znieść tego nie mógł. A przecież pokochał ją między innymi dlatego, że sprawy pojmowała tak jednoznacznie, chociaż wnioski wyciągała dokładnie odwrotne niż on. Dla jego Belle wszystko było albo białe, albo czarne. Nie dawała do siebie przystępu żadnym z jego nietypowych poglądów na dobro i zło. Wiedziała, co jest czym w jej życiu. Kiedy zobaczyła na ulicy obdartego żebraka, nie zastanawiała się, czy za swoje łańchmany winę ponosi sam, czy też może ponosi jąokrutne społeczeństwo. Nie obchodziło jej to; widziała tylko żebraka w jego obecnym stanie. Przekonana była, że obecne niedole rodziny Monroe wynikają bezpośrednio z tego, co przed trzydziestoma kilkoma laty jego krewniacy z Północy zrobili mieszkańcom Południa.

Ten konkretny pogląd wydawał się Winowi śmiechu wart. Przyznawał bez oporów, że życie bywa niesprawiedliwe i niektórych doświadcza bardziej, a innych mniej dotkliwie. Ale nie starał się usprawiedliwiać niepowodzeń, jakie go na bieżąco spotykały w życiu, czepiając się tej niesprawiedliwości.

A Belle wręcz przeciwnie. Niewykluczone, że potrafiłaby zabić człowieka, który chciałby zrobić krzywdę komuś, kogo szanowała, albo nawet komuś kompletnie obcemu, jak Kate Finney. Natomiast jeśli chodzi o własną rodzinę, była całkowicie zaślepiona. Kochała ich ślepo. I ślepo ich usprawiedliwiała. Pozwalała im nawet terroryzować siebie na odległość.

I dlatego właśnie postanowił po śniadaniu odwiedzić zaprzyjaźnionego prawnika

i poprosić go o naszkicowanie kontraktu. Liczył na to, że Belle będzie mogła mu towarzyszyć, ale jeżeli obowiązki zatrzymają ją przy Richmondach, to pójdzie sam.

Złożywszy zamówienie, odwrócił się do Belle.

- Belle, czy znajdzie pani dziś wolną chwilkę? Belle miała zaniepokojoną minę.

- Nie. Chcę powiedzieć, że zabieram dzieci na Wystawę, Winie.

- Czy Belle jest panu potrzebna, panie Asher? - zapytała uprzejmie Gladys.

Winowi zdawało się, że w jej oczach błysnęło intensywne zaciekawienie.

Podniósł ręce do góry.

- Nie chciałbym przeszkadzać Belle w pełnieniu obowiązków, pani Richmond.

Muszę tylko pogadać z nią o tej naszej umowie.

- O? - zapytała Belle ostrym tonem.

- O? - w głosie Gladys słychać było tylko zainteresowanie.- Przyszło mi na myśl, że dobrze byłoby przejrzeć kilka paragrafów, to wszystko - starał się mówić swobodnie i od niechcienia.

- Jakich paragrafów? - chciała się dowiedzieć Belle. Win westchnął.

Najwyraźniej źle się do tego zabrał.

- Nic ważnego. Ale pomyślałem, że może dobrze byłoby spisać to wszystko czarno na białym i złożyć podpisy.

- Chce pan powiedzieć, na papierze? - dopytywała się Belle. Win nie rozumiał, czemu tak zeszywniała.

- Tak. Chyba najlepiej spisać to na papierze.

- Zdrowe podejście do sprawy - poparł go George, kiwając z powagą głową. -

Bardzo zdrowe. Dobre podejście handlowe.

- Rozumiem - powiedziała Belle.

Nagle zlodowaciała. Nie rokowało to chyba najlepiej.

- Bardziej po to, by chronić panią niż mnie - wyjaśniał; czuł się zdesperowany i niezrozumiany.

- Rozumiem - powtórzyła. Strzepnęła serwetkę, by ją rozwinąć, i gwałtownym

ruchem ułożyła sobie na kolanach.

To również nie rokowało dobrze.

- Niech pani posłucha, Belle, podpisywanie umów biznesowych, by były legalnie wiążące we wszystkich szczegółach, to naprawdę dobry pomysł.

Belle rzuciła Winowi taki uśmiech, że krew mu skrzepła w żyłach.

- Rozumiem. Tak, sędzę, że to bardzo dobry pomysł. Może popatrzymy na te papiery dziś wieczorem?

- W porządku. - Bardzo chciałby zrozumieć tę kobietę. Za każdym razem, kiedy wydawało mu się, że ją przejrzał, rozbijała jego teorię na atomy.

Skończyli śniadanie i wyszli z hotelu, by złapać dorożkę na Wystawę. Belle słowem się do niego nie odezwała. Wina aż ponosiło z niecierpliwości. Musi z nią porozmawiać, załatwić wszystko, dowiedzieć się, o co, u diabła, w tej chwili chodzi, uspokoić ją. Kochać się z nią.

Sfrustrowany przesunął dłonią po twarzy i zaczął się zastanawiać, czemu poeci z taką euforią rozplývają się nad miłością. Z jego doświadczeń wynikało, że miłość to czyste utrapienie.

Pewnie dobrze się stało, że już teraz dowiedziała się, iż dla Wina jest tylko elementem biznesu, myślała sobie Belle. Gdyby tego ranka nie przedstawił swoich poglądów tak jasno, może nadal łudziłaby się nadzieją, że naprawdę mu na niej zależy.

Idiotka, wrzeszczała na siebie. Głupia. Kretynka. Zamroczona lunatyczka.

Chora z miłości kobieta.

Ależ się postawiła w absurdalnej sytuacji. Znalazła taką świetną pracę u Richmondów, już się cieszyła życiem, miała nawet odrobinę pieniędzy, które od czasu do czasu mogła na siebie wydać, co było dla niej cudowną nowością, i wszystko to odrzuciła dla mężczyzny. Oddała nawet Winowi Asherowi dziewictwo (trudno powiedzieć, żeby do czegokolwiek jej się wcześniej przydało) i po niewczasie przekonała się, że dla niego akt miłosny to tylko środek, który pozwolił mu nagiąć Belle do swej woli. Trudno jej było uwierzyć, że coś takiego zrobiła. Że ona, zwykle

tak dumna ze swego zdrowego rozsądku, mogła zniżyć się do takiej głupoty, takiej... to było po prostu żenujące. Ot co.

Nigdy nie dopuści do tego, by Win się zorientował, jak ją upokorzył. Ani Richmondowie też. Przybrała radosny wyraz twarzy, wzięła Amalie za rączkę i usiłowała dotrzymać kroku dziecku, które w podskokach wybiegało z hotelu. Dotrzymywanie dzieciom kroku stało się dużo łatwiejszym zadaniem, od kiedy pozbyła się fiszbin i gorsetu; Belle czuła się dumna, że się na to zdecydowała. Stanęli wszyscy pod markizą, czekając, aż ubrany w liberię lokaj sprowadzi im dorożkę. Belle starała się nie Zwracać uwagi na Wina. Mniej więcej równie łatwo byłoby jej nie zwracać uwagi na słonia, gdyby się między nimi znalazł.

Win nie przestawał zerkać na nią i marszczyć brwi. Bellenie miała pojęcia, o co mu chodzi, ale wolałaby umrzeć, niż go zapytać.

- Czy jesteś pewna, że nie chcesz wziąć sweterka, Amalie?

- Sweterka? - Dziewczynka wytrzeszczyła oczy na swoją niańkę. I nic dziwnego, bo dzień zapowiadał się równie gorący i wilgotny jak wczoraj.

Belle westchnęła i się uśmiechnęła.

- Oczywiście, że nie. O czym ja myślę?

- A skąd mam wiedzieć - prychnęła Amalie. Belle z irytacją przypomniała sobie, że jest ona bardzo typowym jankeskim dzieckiem. Dobrze wychowane dziecko z Południa powiedziałyby raczej coś, co załagodziłoby sytuację, a nie potwierdziło, że dorosły odezwał się niemądrze.

Pochyliła się, by poprawić kokardę przy kołnierzyku marynarskiej sukienki Amalie. Był to milutki strój i Belle niemal dziewczynce zazdrościła. Kiedy się wyprostowała, aż drgnęła, bo zauważyła, że tymczasem Win przesunął się tak, że w końcu udało mu się stanąć u jej boku. Zanim zdołała się powstrzymać, rzuciła mu gniewne spojrzenie. I natychmiast zmieniała je w lodowaty uśmiech.

- Niech pani posłucha, Belle, musimy porozmawiać.

- Tak - zgodziła się. - Porozmawiamy dziś wieczorem. Win rzucił okiem na

grupę Richmondów i przekonawszy

się, że zajęci są sobą, syknął cicho:

- Co się, u diabła, dziś rano z tobą dzieje? Czy jesteś na mnie o coś zła?

Żałosny łajdak.

- Ależ nie. - Głos Belle był tak lodowaty, że zaczęła zastanawiać się, czy przypadkiem jej samej nie przydałby się sweter.

- Akurat, nie. Czy chodzi o ostatni wieczór? Posłuchaj, Belle...

- Żebyś mi się nie ośmielił wspominać o tym teraz! - od- syknęła Belle, żałując, że nie może go dźgnąć czubkiem parasolki tak, jak dźgnęła ojca Kate Finney. - Powiedziałam, że porozmawiam z tobą dziś wieczorem. Na miłość boską, Win, ja mam obowiązki. Win wymamrotał „diabli nadali” i wcisnął ręce do kieszeni. Belle orientowała się już, że kiedy tak robi, to jest sfrustrowany albo zły. Ale zamknął się, a w tej chwili tylko o to jej szło.

Niestety, Amalie zwróciła uwagę na tę drobną wymianę zdań. To do niej podobne, pomyślała Belle cierpko.

- Dlaczego jest pani zła na pana Ashera, panno Monroe?

- Wcale nie jestem na niego zła, kochanie - wycodziła Belle przez zęby. Była prawie pewna, że jej lodowaty, uśmiech zadaje kłam tym słowom.

Ale Amalie powiedziała tylko:

- Och. - Najwyraźniej nawet jankeskie dzieci wiedziały, że pewnych granic przekraczać nie wolno. I dzięki Bogu.

Win zmrużył oczy i przyglądał się Belle tak, jakby starał się dociec, z jakiej planety może pochodzić.

- Nie mam pojęcia, co się z panią dzieje, panno Monroe, ale porozmawiamy dziś wieczorem. Muszę teraz wracać do pawilonu. Ja również mam obowiązki.

Urażona jego tonem - ktoś mógłby pomyśleć, że to przez nią przerwał pracę w pawilonie i złożył wizytę w hotelu - Belle wycodziła:

- Tak, pewnie pan ma.

- Cholera - wymamrotał Win.

- Bardzo bym chciała, żeby przestał pan przeklinać - rzekła Belle. -

Powiedziałam, że porozmawiam z panem dziś wieczorem. Odwiedzę pana w pawilonie.

- Dobrze nieba, miała tylko nadzieję, że nie będzie próbował zrobić nic niestosownego.

Była dosyć pewna, że nie zdoła mu się oprzeć, chociaż tak ją rozwścieczył. I tak zranił.

Och, jak głęboko ją zranił. Świadomość, że okazała się kompletną idiotką, bardzo bolała.

- Belle... Belle spiorunowała go wzrokiem.

- A teraz proszę już odejść.

Win wyrzucił ręce w górę w geście poddania.

- Na miłość... W porządku. Dziś wieczorem. I nie żegnając się nawet z Richmondami, odszedł. Belle czuła się tak, jakby ktoś jej obracał nóż w ranie.

Co się, u czorta diabła, z tą kobietą dzieje? Podczas pracy Win przez cały dzień myślał o Belle i do niczego nie doszedł. Dzięki Bogu, roboty mu nie brakowało; inaczej popadłby w melancholię. Jego prawnik przyniósł mu kontrakt do pawilonu około południa, więc obydwaj poszli razem na lunch. Win wdzięczny był za towarzystwo z więcej niż jednego powodu.

Cieszył się, że może na chwilę oderwać się od pracy, ale jeszcze bardziej cieszył się, że będzie chociaż ogródkiem mógł rozmawiać o Belle Monroe. Miał wrażenie, że jeżeli z kimś o niej nie porozmawia, to głowa mu pęknie.

- Chciałbym poznać tę pannę Monroe - powiedział Tad Schwarz z szelmowskim uśmiechem. Win w życiu nie widział równie pociągającego prawnika. Kiedyś uważał każdego prawnika za pomiot diabelski, ale obecnie robił dla niektórych z nich wyjątek - Jej zdjęcia są świetne.

- Dzięki. - Win zastanawiał się, czy za tę ostatnią uwagę powinien dać Tadowi w zęby, czy może raczej uścisnąć mu dłoń z wdzięczności, że wymienił nazwisko Belle i pochwalił fotografie. Doszedł do wniosku, że i jedno, i drugie byłoby głupie.

- Czy jest równie śliczna w rzeczywistości jak na fotografii? Win wzruszył

ramionami.

- Naprawdę trudno mi powiedzieć. Poznałem ją na targach i tknęło mnie, że może być dobrą modelką, ale nie wiedziałem, na ile okaże się fotogeniczna.

- Pewnie tak.

- Jest sympatyczną kobietą - dodał Win i pożałował tych słów, jak tylko wyszły z jego ust.

- Miło mi to słyszeć. Uroda to przeważnie cecha powierzchowna.

- W niej jest dużo... - Czego? Czego było w Belle dużo, poza banałami z Południa i eufemizmami na wojnę domową? - Serca - zdecydował się w końcu. - I lubi dzieci. Tad przez sekundę przyglądał się Winowi spod oka.

- Słuchaj no, Win, czy jesteś pewien, że nie chciałbyś, żebym ci spisał inny rodzaj kontraktu?

Win patrzył na niego bez zrozumienia.

- Go takiego? Co za inny rodzaj kontraktu?

Tad zachichotał i włożył do ust porcję polskiej kielbasy z kiszoną kapustą. Przełknąwszy, stwierdził:

- Gadasz, jakbyś się w tej damie zadurzył. Może kontrakt małżeński?

Win podskoczył tak, jakby Tad przyłożył mu w żołądek.

- Co? Chcę powiedzieć... Jezu, Tad, w ogóle nie o to chodzi. Kogo próbował nabrać? Tada czy siebie? Diabli nadali,

Win w życiu nie czuł się tak zdezorientowany. Ale... małżeństwo? No pewnie, że się nad nim zastanawiał. Dużo. Zwłaszcza po wczorajszym wieczorze, ale... małżeństwo brzmiało tak permanentnie. Tak nierozzerwalnie. Tak... przerażająco.

- Do jasnej cholery, Tad, Belle i mnie łączą wspólne interesy. Odlegli jesteśmy od siebie o całe światy i wyobrazić sobie nie potrafię, żebyśmy mieli się zbliżyć w twoim rozumieniu tego słowa. Jasny gwint, człowieku, ona jest zakamieniałym Południowcem. Największą radość w życiu sprawia jej możliwość ponownego przeżywania wojny domowej, tyle że nigdy tak nie nazywa tego konfliktu. - Udało mu

się roześmiać, ale nienaturalnie. - Nie zliczę nawet, ile ma dla niego różnych określeń. Nie. - Potrząsnął głową. - Zdecydowanie nie zmierzamy do ołtarza. Wierz mi. Sama taka myśl jest absurdalna. - Ale jeżeli mówił prawdę, czemu jego serce krzychało z bólu, gdy wypowiadał te słowa?

- Jeżeli tak twierdzisz.

Tad nadal mu się przyglądał, a Winowi wcale się to nie podobało.

- No? - zapytał. - Co się tak we mnie wpatrujesz?

- Coś mi za bardzo się zarzekasz - powiedział Tad, masakrując cytaty z Szekspira, a jego szelmowski uśmiech pojawił się znowu. - Dyrzymały. - Win ukroił kawałek wieprzowego kotleta i z wściekłością zaczął go przeżuwać. - Masz źle w głowie.

- Jeżeli tak twierdzisz.

Tad odzepił się od tematu i Win mógł mu tylko być za to wdzięczny. Zdecydowanie wolał, by nikt nie wtykał nosa w jego osobiste życie. Już miał wystarczający zamęt w głowie. Nie potrzeba mu świadków tej bezgranicznej duchowej rozterki.

Kiedy wieczorem Belle szła do pawilonu Wina, opancerzyła się na wszelkie dostępne jej sposoby, tak cielesnie, jak i emocjonalnie. Powtarzała sobie, że nie skuszą jej żadne słodkie słówka, a już z pewnością nie da się uwieść po raz wtóry. Nie teraz, kiedy wiedziała, jak Win nią manipulował. Paskudny podlec. Niegodziwy uwodziciel. Jankeski diabeł.

Gdy podchodziła do pawilonu, minęła siódma. Niebo już pociemniało, ale wciąż jeszcze było ciepło. Belle zmieniła dzienną suknię na stateczną suknię spacerową z beżowego, wełnianego dżerseju. Wiedziała, że jest jej w tej toalecie do twarzy, chociaż nie starała się jakoś specjalnie wystroić. Bursztynową broszkę przypięła do stanika z jednego tylko powodu, a mianowicie tego, że przy tej sukni wyglądała uroczo. Broszka nie miała nic wspólnego z chęcią, by podobać się Winowi. O matko, nie! Belle nie zniżyłaby się do takich sztuczek.

A jedynym powodem, dla którego, idąc po Midway, popatrywała na okna i

starła się zobaczyć w szybie swoje odbicie, była chęć sprawdzenia, czy obrąbek sukni układa się równo. Nie chciałyby zaczepić o niego obcasem trzewiczka i rozedrzyć spódnicy. Miała to w nosie, czy Win uzna, że wygląda tego wieczoru atrakcyjnie. Jak najdalsza była od takich myśli.

Dała nura do toalety i poprawiła kapelusz wyłącznie dlatego... dlatego... że szpilki się poluzowały. Tak. Tak, to było to. Z zadowoleniem zauważyła, że lustro odbijało podobiznę kobiety, która nie tylko była atrakcyjna, a nawet ładna, ale wydawała się również spokojna i pewna swojej wartości.

Fatalna sprawa, że wcale nie czuła się tak, jak wyglądała. Cieszyła się jednak niezwykle, że ma na nogach nowe brązowe trzewiki z kozłej skórki, a w rękach nową brązową giemzową torebkę. A nowe giemzowe rękawiczki, które kupiła za zarobione pieniądze - do licha z rodzicami - układały się tak miękko i rozkosznie na dłoniach. Właściwie wyglądała całkiem elegancko. Beżowy odcień sukni spacerowej powodował, że cera Belle przybierała odcień śmietankowy, z delikatnym, brzoskwiniowym rumieńcem na policzkach. Nie miała na sobie niczego krzykliwego i ani jednej rzeczy która nie byłaby stosowna.

Miała natomiast na sobie gorset i Win prędzej ją zabije, niż go z niej zdejmie.

Na tę ostatnią myśl musiała przełknąć i przypomnieć sobie, że ma zachować trzeźwy umysł. Interesy. Trzeba myśleć o interesach. Poza interesami Win o nic nie dbał i niczego nie rozumiał.

Podszedłszy do pawilonu, zobaczyła, że Win pracuje i przestawia światła to tu, to tam. Chociaż była tak bardzo zdecydowana, serce jej drgnęło. Zdjął marynarkę i podwinął rękawy. Rozluźnił krawat, żeby mu było wygodniej; materiał koszuli opinał ciasno jego szerokie plecy i stalowe mięśnie na rękach. Belle zwolniła kroku i w końcu przystanąła, by złapać oddech.

To straszne. Wystarczy, że na niego popatrzyła, a już serce zaczynało jej się tłuc w piersiach, a w ustach zasychało. Może powinna łyknąć trochę wody, zanim z nim porozmawia.

Ale nie. Odsunęłyby tylko na później to, co nieuniknione, a chciała już mieć rozmowę za sobą. Z tą myślą wyprostowała się w ramionach, poklepała kapelusz, by upewnić się że bezpiecznie tkwi na głowie, ścisnęła mocniej skórzaną torebkę i sięgnęła do klamki.

Win okręcił się jak fryga, kiedy drzwi się otworzyły,

- Belle! - Na jego twarzy pojawił się promienny uśmiech który niemal doprowadził Belle do palpacji. Takie uśmiechy powinny zostać zakazane przez prawo, bo stanowiły zagrożenie dla kulturalnego społeczeństwa. Do tego Win powitał Belle tak, jakby był szczęśliwy, że ją widzi.

Wiedziała, że będzie musiała mocno się napracować, by nie znaleźć się znowu pod jego urokiem.

- Dobry wieczór, Winie.

Win biegł już do niej z wyciągniętymi rękami.

- Boże, jak się cieszę, że cię widzę!

Belle cofnęła się o krok. Win zwolnił i zmarszczył brwi. Ręce mu opadły.

- Słuchaj, Belle, jesteś na mnie zła? Daję ci najświętsze słowo, że nie chcę ci zrobić krzywdy.

- Jestem tego pewna - powiedziała głosem co najmniej sto razy pewniejszym niż ona. - Nigdy nie sądziłam, byś miał zamiar zrobić mi krzywdę. - Kłamczucha, zbesztala się. Ale nie chciała wdawać się w dyskusję. Nie dziś wieczorem. Nie była wystarczająco mocna, by się kłócić.

- Belle... - Win zrobił zbolalą minę.

Belle nie rozumiała, dlaczego. Prawdę powiedziawszy, nie rozumiała już niczego poza tym, że Win ma kontrakt i chce, by go podpisała. Interesy. Była taką idiotką, że myślała, iż Janke będzie w stanie zrozumieć coś, co się z interesami nie łączy. Na przykład miłość. Z wściekłością zauważyła, że ściska ją w gardle, i odchrząknęła. Chciała czuć się wytworna i pełna godności, a nie zraniona i upokorzona.

Surowo nakazała sobie udawać, że wszystko jest ślicznie i słodko, i zmusiła się

do uśmiechu.

- Jak mi się zdaje, kazałeś przygotować jakieś dotyczące spółki papiery? - Żeby mieć *co* robić z rękami, zaczęła zdejmować rękawiczki. Chociaż serce jej pękało, czuła się jak osoba światowa i była zadowolona, że się przebrała na wieczór.

- Papiery. - Win patrzył na nią tak, jakby jej nie poznawał. - Belle...

- Tak. - Odwróciła się nagle i jej uśmiech zniknął. - To ty prosiłeś mnie, żebym przyszła podpisać jakieś dokumenty, jeżeli sobie przypominasz. Chciałabym to zrobić bezzwłocznie, jeśliś tak łaskaw, bo muszę wracać do hotelu.

- Ale... A niech to, Belle, przecież musimy porozmawiać. Do licha. Oczywiście musiał sobie o tym przypomnieć,

prawda? Wściekła na siebie i na niego wydobyła następny uśmiech z wewnętrznego zapasu, którego istnienia do tej pory nie podejrzewała.

- Oczywiście. A więc rozmawiajmy, bo naprawdę mam niewiele czasu.

Richmondowie wybierają się na nową sztukę do teatru i jestem im potrzebna, muszę się zająć dziećmi.

Win wpatrywał się w nią przez dłuższy czas, Belle wydawało się, że chyba ze sto lat. Musiała zmobilizować wszystkie swoje siły, żeby trzymać się prosto i zachować pogodny wyraz twarzy. Wreszcie przygarbił się i westchnął, jakby się poddawał

- W porządku. Zajmijmy się tą spółką.

- Bardzo dobrze. - Belle podeszła za nim do biurka. Ustawił tam drugie krzesło, które jej teraz przytrzymał. To chyba pierwszy uprzejmy gest, jaki wykonał spontanicznie. Może to zresztą niesprawiedliwe z jej strony. To pierwszy taki gest, jaki Belle pamiętała. - Dziękuję.

Usiadł na krześle i przyciągnął do siebie grubą kopertę. Otworzył ją i wyjął dokument. Pchnął go w stronę Belle, mówiąc:

- Tekst jest dosyć prosty, ale lepiej go przeczytaj. Nie chcę, żebyś później mówiła, że próbowałem cię oszukać. - Głos miał pełen gorczy.

Belle podniosła oczy znad dokumentu na Wina.

- Oczywiście, że go przeczytam. A jeżeli zdecyduję się go podpisać, to nie będę miała żadnego powodu, by twierdzić, że mnie oszukałeś, prawda?

Win tylko patrzył na nią gniewnie. Ze wszystkich sił starała się to jego spojrzenie ignorować, chociaż wiedziała, że jej się to nie uda. Wzięła papiery i zaczęła czytać. Po kilku akapitach doszła do wniosku, że język profesji prawniczej tylko w niewielkim stopniu przypomina język angielski, którym się od tylu lat posługiwała. Zmarszczyła brwi.- Połowy z tego nie rozumiem, Win. Dlaczego adwokaci zawsze muszą wszystko pisać niezrozumiałym językiem?

- Nie wiem, ale chyba muszą, prawda?

Kiedy na niego popatrzyła, uśmiechał się, i Belle pożałowała, że nie ugryzła się w język. Po krótkiej walce ze sobą prawie już potrafiła znieść to, że się bocył, ale uśmiech Wina ją wprost oślepił.

- Wydaje mi się - brnęła dalej - że znaczy to, iż będę otrzymywała pięćdziesiąt procent zysków od każdej fotografii, którą mi zrobisz i którą sprzedasz za pośrednictwem agenta albo agencji. Czy tobie też się tak wydaje?

- Dokładnie to kazałem Tadowi napisać i w taki też sposób tekst rozumiem, więc pewnie tak jest.

No, to było dosyć proste. Belle pokazała na jeden z akapitów.

- Napisano tutaj, że możesz sprzedawać fotografie na cały świat. - Badawczo popatrzyła mu w twarz. - Czy naprawdę sprzedajesz swoje prace na cały świat? To znaczy do Anglii i do Francji, i do Niemiec i innych takich?

- Wykonane przeze mnie fotografie pojawiały się już w większej ilości krajów. - Belle słyszała dumę w jego głosie. - Moje dzieła zaszczyliły publikacje w Indiach i Egipcie, a nawet pojawiły się w kilku broszurach, które misjonarze rozdają w Chinach.

Matko kochana. Te wiadomości wprost nie mieściły się Belle w głowie. Nie była całkiem pewna, czy chce być znana na całym świecie, nawet gdyby nigdy nie miała wyjeżdżać dalej niż do Nowego Jorku czy Chicago. Z drugiej strony mieszka teraz w kraju Jankesów, gdzie pieniądź jest królem. Poza tym pieniądze się przydają, nie mogła

temu zaprzeczyć. Za pieniądze mogła kupić sobie ten śliczny komplet, który w tej chwili ma na sobie. Jeżeli wytapetowanie świata jej podobizną ma przynieść całe fury pieniędzy, równie dobrze może skorzystać z okazji. I okazja, i uroda Belle szybko przemina.

- Rozumiem.- Jeżeli będziesz czytać dalej, dojdiesz do miejsca, gdzie są wspomniane tantiemy. Na ogół przy sprzedaży moich prac stawiam pewne warunki, przynajmniej jeżeli mają być publikowane. Oczywiście zwyczajnym ludziom, którzy chcą mieć portrety, sprzedaję je bez zastrzeżeń i nie spodziewam się dalszych zysków. Ale za zdjęcia dla agencji informacyjnych i reklamowych często otrzymuję tantiemy. Każde zdjęcie z tobą, za które będą tantiemy... dostaniesz pięćdziesiąt procent również od tych tantiem.

- Rozumiem. - Ale zamiast zrozumienia miała w głowie olbrzymią pustą dziurę. Niczego nie rozumiała. Za nic by się do tego nie przyznała.

- W kontrakcie nie wymieniono całego szeregu innych sposobów zarabiania na fotografiach - ciągnął Win po chwili milczenia, podczas której Belle wpatrywała się w kontrakt i usiłowała się w nim rozeznąć. - Sprzedaję zdjęcia do wielu czasopism, to oczywiste, ale rozprawdzam moje prace również wśród producentów, reklamujących na różne sposoby swoje towary. Niektóre kompanie kosmetyczne, starając się sprzedać towar, chętnie publikują zdjęcia ładnych kobiet. Mydła Pears są wielkim odbiorcą moich prac, a zjednoczenie plantatorów pomarańczy z Kalifornii zwróciło się do mnie z prośbą, bym zrobił dla nich fotografię, przedstawiającą zdrową amerykańską kobietę. Pewnie chodzi im o to, że to jakoś pasuje do pomarańczy. Wiesz: „Jedz nasze owoce, a ty również będziesz zdrowa i piękna”.

Belle robiło się trochę słabo na myśl, że mogłaby wziąć udział w przedsięwzięciu, które wydawało się polegać na oszukańczym wykorzystywaniu jej podobizny. Chociaż pomarańcze pewnie można uznać za dobre dla zdrowia.

- Dobrze nieba. - W jej głosie słychać było bojaźliwość. Uśmiech Wina lekko się skrzywił.

- Wiem, takie to trochę głupie, ale chyba chodzi tu o amerykańską rzutkość i przedsiębiorczość. Wizerunek ma większe znaczenie niż prawda.- To brzmi okropnie, Win. Win wzruszył ramionami.

- Pewnie się z tobą zgadzam, ale taka jest dzisiejsza rzeczywistość. Dużą część zdjęć sprzedaję na własną rękę. Skontaktowałem się z człowiekiem, który zamierza produkować napędzane silnikiem powozy bez koni. Zaproponowałem mu, że sfotografuję ciebie, jak w goglach i długim szalu jedziesz na fotelu takiego samochodu.

Belle mogła już tylko wpatrywać się w niego. Na samą myśl, że miałyby wsiąść do jednej z tych potwornych, hałaśliwych, śmierdzących maszyn, jakie widziała z Transportation Building, robiło jej się niedobrze.

A Win był coraz bardziej urzeczony własnymi słowami. Potrząsał głową w geście, w którym Belle rozpoznawała już respekt i radosne oczekiwanie.

- Mam to wszystko w oczach, Belle. Boże, to będzie wspaniałe! Nie mogę doczekać się, kiedy zabiorą się do produkowania zmotoryzowanych powozów. A jaki to będzie wielki dzień dla biznesu transportowego. I dla nas, amerykańskiej publiki. Nawet siedząc tutaj, czuję już wiatr we włosach.

- Czujesz? - Belle czuła tylko, że zaczyna jej być niedobrze. Win zerwał się z krzesła i zaczął spacerować.

- Chcesz się założyć? Przecież jeżeli ktokolwiek zacznie te maszyny produkować, pierwszy stanę w kolejce, żeby coś takiego kupić. Wyobraź to sobie tylko, Belle.

Belle wyobraziła to sobie; wyobraziła sobie, jak jedna z tych demonicznych maszyn zderza się z krowami i drzewami, i rowami, i murami. A ona siedzi w środku. Przeszedł ją dreszcz.

Na szczęście Win nie zauważył tego, bo na pewno powiedziałby coś zjadliwego.

- Jak pragnę zdrowia, Belle, moglibyśmy pojechać na zachód! Zobaczyć Kalifornię!

- A co jest w Kalifornii?

- Drzewa! Złoto! Pomarańcze! Ocean!

- Na wchód od nas też jest ocean - zwróciła mu uwagę. - I wystarczy krótka przejażdżka pociągiem, żeby się tam dostać.

- Phi! Zautomatyzowany zmotoryzowany powóz bez koni będzie dobrodziejstwem dla ludzkości.

Ale nie dla kobiet. Mało brakowało, a Belle na głos wyraziłaby swoje zdanie, lecz powstrzymała się w samą porę i powiedziała tylko:

- O.

Niejasno przypominała sobie, że jeden z jej braci żywił w stosunku do powozów z silnikami podobne uczucia. Czy dwudziesty wiek ściągnie im na głowę coś takiego? Powozy z silnikami, dym, hałas i potworne krwawe zderzenia? Czy po Ameryce będą któregoś dnia roić się takie maszyny? Jak mrówki? Serce w niej zadrżało na samą myśl.

A ponieważ naprawdę była umówiona z Richmondami na wieczór, powiedziała:

- Lepiej dokończę teraz czytanie. Chociaż nie na wiele mi się ono przyda, skoro połowy tekstu nie rozumiem.

Win przestał spacerować i wrócił na krzesło. Jego optymistyczny nastrój prysnął, kiedy Belle poruszyła sprawę kontraktu i musiał przestać myśleć o samochodach.

- Tak jest.

Zapanowało milczenie. Belle próbowała czytać, a Win się w nią wpatrywał. Czuli się poważnie zaniepokojona: miał taki dziwny wyraz twarzy. Wyglądał, jakby go uraziła, jakby zadała mu ból, a przecież nie miał po temu żadnego absolutnie powodu. To ona została wykorzystana.

Oczywiście gdyby kochał ją tak, jak ona kochała jego, sprawy miałyby się inaczej i może nawet rozumiałaby, że swoim dzisiejszym chłodem uraziła jego wrażliwość. Ale ona była idiotką, a on Jankesem, i sam pomyślał, że Win miałby posiadać choć krztę wrażliwości, wart byłby śmiechu, gdyby Belle mogła uwierzyć, że kiedyś się jeszcze roześmieje. A nie wierzyła. Bo musiała ponosić konsekwencje swojej głupoty.

Cała ta sytuacja miała tylko jedną dobrą stronę, a mianowicie Belle zaczynała lepiej rozumieć własną rodzinę. Nie potrafiła już dłużej wzbudzać w niej poczucia winy za to, że próbuje poprawić swoją sytuację finansową. Przykro jej było, że cierpią, ale okazali się niesprawiedliwi, i Belle wiedziała, że takie są fakty. Będzie ich zawsze szanowała i kochała, i dołoży wszelkich starań, by być dobrą córką i siostrą, ale nie czuła się już zmuszona do rezygnacji z kariery i powrotu do Blissborough. Okazali się w stosunku do niej niesprawiedliwi, ale nie będzie ich przywoływała do porządku i postara się nie mieć im za złe tego nastawienia. Będzie nadal pracowała, posyłała pieniądze do domu i wierzyła, że przyjdzie dzień, kiedy zdołają wybaczyć jej to, że wyłamała się z rodzinnej tradycji.

Przeczytawszy ostatnie słowa kontraktu, z którego nie rozumiała nawet jednego zdania na dziesięć, powiedziała:

- Wydaje mi się, że wszystko jest w porządku. - A w duchu modliła się, by nie popełniała właśnie następnego monumentalnego błędu.

- Przyniosę pióro.

- Dziękuję. - Przejrzała jeszcze raz dokument, żałując, że musi go podpisać. Nie była przyzwyczajona do składania podpisów. Składanie podpisów wydawało się takie męskie i oficjalne, i niegodne damy. Przywołała się do porządku, powtórzyła sobie, że teraz jest kobietą interesu i musi któregoś dnia zacząć myśleć realistycznie. Im prędzej, tym lepiej.

- Czy będziesz mogła przyjść jutro wieczorem, Belle? Chcę zacząć serię fotografii, na których zarobimy krocie, jestem tego pewien.

Belle wzięła pióro, które podał jej Win, i zaczekała, aż odkorkuje butelkę atramentu. Potem, jak najdelikatniej, żeby nie poplamieć sobie atramentem sukni, zanurzyła pióro w butelce, głęboko wciągnęła powietrze i podpisała się na wyznaczonej do tego linii. Win przyglądał się z zainteresowaniem.

- Och, rzeczywiście. Masz przecież na imię Rowena, prawda? Zapomniałem.

- Tak. Zawsze wołałam, by wołano na mnie Belle. Moja matka uwielbiała

„Ivanhoe”. - Musiałem przeczytać „Ivanhoe”, kiedy byłem w szkole, w klasie panny Cavendish. Według mnie Rowena była rozkoszna.

Szukając na biurku kawałka bibuły, Belle powiedziała nieco cierpko:

- Z pewnością. Większość panów jest takiego zdania. Ja osobiście wolałam Rebeke. Ona przynajmniej miała trochę odwagi.

- Odwagi - powtórzył w zamyśleniu Win, podając jej wystrzępiony kawałek bibuły. - Wiesz, Belle, nigdy bym nie pomyślał, że ktoś taki jak ty będzie cenił odwagę w kobiecie.

Jakie to dla Wina typowe, pomyślała Belle z goryczą. Nie doczeka się od niego uznania.

- Wcale nie czuję się tym zaskoczona. - Podniosła się z krzesła, uznając, że dopełniła już swoich obowiązków przy biurku.

Win także się podniósł, i to dosyć gwałtownie.

- Słuchaj, Belle, nie chciałem, żeby zabrzmiało to obraźliwie. Tylko że ty przedstawiasz sobą istne wcielenie pogodnej damy z Południa. Czy coś. Nie wiem nic o damach z Południa. Ale uczciwie mówiąc, kiedy człowiek na ciebie patrzy, nie kojarzysz mu się z odwagą. Jeżeli wiesz, o co mi chodzi.

Belle przyjrzała się mu. W zamierzeniu jej spojrzenie miało być lodowate, ale wyszło zaledwie letnie.

- Na pewno.

Chwycił ją za rękę, zanim zdążyła z powrotem wsunąć dłonie w giemzowe rękawiczki. Zesztywniała, to dotknięcie aż nazbyt żywo przypomniało jej bezgraniczną intymność, która połączyła ich w tym dokładnie pawilonie poprzedniego wieczoru. Na miłość boską, jakże żałowała, że sprawy między nimi nie układają się inaczej! Chciałaby do końca życia spoczywać w jego ramionach, gdyby tylko mógł ją pokochać.

- Ale ty jesteś odważna, Belle. A właściwie nawet więcej - mówił błagalnym tonem. - Jesteś dzielna i masz... wielkie serce.

Nie była pewna, czy może mu ufać. A właściwie była dość pewna, że nie może.

W końcu tego ranka, mówiąc o kontraktach, boleśnie uświadomił jej, jakie ma priorytety; a minęło tylko kilka godzin od chwili, kiedy się kochali. Nie chcąc zachwiać się w swoim postanowieniu, powiedziała:

- Jestem pewna, że to bardzo uprzejmie z twojej strony. A teraz, jeżeli pozwolisz...

Win puścił jej rękę.

- A niech to, Belle, tak bym chciał, żebyś mi powiedziała, o co chodzi! To niesprawiedliwe, że nie mówisz, co cię gryzie.

No i masz. W sercu Belle wezbrało oburzenie. Prawdę mówiąc czuła się tak przepełniona emocjami, że obawiała się, iż ładna bursztynowa broszka może wyprysnąć na pokój, odrywając się od sukni. I chociaż surowo trzymała się w ryzach, część gniewu przeniknęła na zewnątrz.

- Przestań udawać niewiniątko, Winie Asher! Wiesz bardzo dobrze, że był tylko jeden powód, dla którego udawałaś, że mnie pragniesz. Chodziło ci o to, żebym się zgodziła na ten biznesowy plan. No więc dobrze, zgodziłam się na niego! A teraz zostaw mnie w spokoju!

Zatrząskując za sobą drzwi do pawilonu, widziała, że Win wpatruje się w nią szeroko otwartymi oczami, i nienawidziła go za to. Ten żaloszny nędznik. Taki podlec! Taki... taki, że ojej!

W uszach wciąż brzmiało jej ciche: „Ależ Belle...” Wina. Zaczęła jak szalona grzebać w małej brązowej torebce, szukając chusteczki do nosa. Czuła się jak idiotka, kiedy wsiadała do jadącego na północ tramwaju i wracała do Congress Hotel, bo nie potrafiła powstrzymać kapiących z oczu łez. Wieczorem bardzo jej było trudno nie warczeć na Amalie i Garretta, kiedy ich rodzice bawili się w teatrze.

A to wszystko wina tego jankeskiego fotografa i nienawidziła go za to. Niemal tak bardzo, jak go kochała.

19

Dobre kilka minut trwało, zanim Win przestał gapić się na miejsce, które opuściła Belle. Czy naprawdę zdawała sobie sprawę, co mówi, kiedy rzuciła mu w twarz te słowa? Czy szczerze wierzyła, że tylko udawał, że jej pragnie? Po to, żeby podpisała kontrakt?

Dobry Boże, przecież od chwili, kiedy ją poznał, niemal cały dygotał z pożądania. Czysty, głupi zbieg okoliczności sprawił, że nie polubił jej od pierwszego wejrzenia; gdyby nie to, zakrzętałby się dużo wcześniej, żeby ją wziąć do łóżka. Szlag by to trafił, gdyby musiał, posunąłby się nawet do tego, żeby się z nią ożenić!

To go wyhamowało, a myśli przestały furkotać i warczeć, jakby miał awarię mózgu.

Dobry Boże na niebiesiech, czy posunąłby się tak daleko, żeby poślubić Belle Monroe tylko po to, by wziąć ją do łóżka? Co za okropny pomysł.

Ale czy na pewno tylko po to, by ją wziąć do łóżka? Żeby powiedzieć prawdę, Win nie był tak do końca pewien. Ostatnio w wielu sprawach dręczyła go niepewność. Musiał przyznać, że małżeństwo z Belle nawet w przybliżeniu nie przerażało go tak, jak zaledwie kilka dni temu. Wręcz przeciwnie, wydawało się czymś całkiem miłym. Domowym. Zadowolającym.

Zadowolającym? Żeby Belle przez dwadzieścia cztery godziny na dobę ciosała mu kołki na głowie za to, że wojnę domową nazywa wojną domową, i do końca życia czepiała się jego manier?

Najwyraźniej zaszkodziło mu coś na umysł. Opadł ciężko na wyściełaną ławę, na której tak często siadywała Belle, a on się jej przyglądał. Tęsknił za nią; to przy najmniej było jasne jak słońce. Wyszła z pawilonu w przybliżeniu sześć minut temu, a on tęsknił za nią jak wszyscy diabli. Zerknął na biurko i nabrał otuchy.

Przynajmniej podpisała kontrakt. Nie odjedzie i nie zostawi go, w każdym razie

nie od razu. A zanim odjedzie, jemu może już przejdzie.

Ogarnęło go mdlące poczucie przygnębienia, które zadawało kłam tej radosnej myśli. Win ukrył twarz w dłoniach i żałował, że przestał być małym chłopcem, który mógł myśleć tylko o grze w kulki, zadaniach domowych, baseballu i o tym, jak unikać lania.

Belle pokazała się w pawilonie Wina następnego dnia o siódmej, punktualna i przygotowana do pracy. Pokazała się również następnego dnia i następnego, i jeszcze następnego po tym. Była dumna, że udało jej się nie okazywać żadnych uczuć, jeżeli nie liczyć kilku drobnych potknięć w tej materii.

Prawiła sobie surowe kazania, jak się powinna prowadzić. Bardzo chciała wierzyć, że jeżeli będzie wystarczająco długo zachowywała się jak profesjonalna modelka, to w końcu się tak poczuje.

Win traktował ją równie profesjonalnie, co wpływało dobrze na wszystko poza sercem. Belle miała wrażenie, że ktoś wyrwał jej to serce z klatki piersiowej, podeptał podkutymi butami, a potem przebił zatrutymi strzałami. Ale prędzej wyskoczyłaby z najwyższego powoziku diabelskiego młyna, niż okazała, jak cierpi w obecności Wina.

- W porządku, Belle, proszę się teraz odwrócić tak, żeby w trzech czwartych była pani zwrócona do mnie plecami, a głową wykonać około jednej czwartej obrotu.

Brzmiało to skomplikowanie, ale Belle nauczyła się już rozumieć polecenia Wina. Kiedyś kazał jej wziąć książkę, trzymać ją przed sobą, a potem popatrzeć w dal. Nie rozumiała, jaki cel może mieć ta poza, a przecież Win aż piał z zachwytem nad rezultatem. Tak więc odwróciła się, jak prosił, i zerknęła na niego przez ramię.

- Czy tak daleko wystarczy?

Nie rozumiała, dlaczego musiał przełknąć ani dlaczego przez moment wyglądał na bardzo przygnębionego. Może to sobie tylko wyobraziła, bo hipotetyczne przygnębienie ulotniło się zaraz z jego twarzy.

- Wspaniale. Proszę się przez chwilę nie ruszać. To zdjęcie będzie genialne.

Zdaniem Wina wszystkie powinny- być genialne. Belle miała nadzieję, że pan

Asher się nie myli. Nawet jeżeli ich kontakty miały jej przynieść tylko pieniądze, są tego warte. Na pewno są tego warte.

Trele-morele. Wszystko na nic. Mogła sobie dowolnie często powtarzać, że wystarczą jej pieniądze, ale nie wierzyła w to. Jednak nie chciała poddać się emocjom ani zrezygnować ze swojego nowego zawodu.

Chociaż jej rodzina nie należała może do najbardziej bystrych ani nawet najbardziej uczciwych na świecie, nauczyła ją przynajmniej, ile jest warta wytrwałość. Przykładem mogło być to, jak wytrwale trzymali się swojej biedy, swoich pretensji i nienawiści do Północy. I jak wytrwale podtrzymywali kampanię nienawistnych telegramów ku nieustającemu, wielkiemu przygnębieniu Belle. A Belle wytrwa w karierze modelki fotografa, będącej źródłem dochodów całej rodziny, nawet gdyby rodzina nie ceniła jej za to, i wytrwa przy zdroworozsądkowym podejściu do życia. Nie dla niej udreki utraconej miłości. Nie chciała być nieszczęśliwa, do licha ciężkiego.

- Idealnie - gruchał Win. - Proszę się jeszcze przez chwilę nie ruszać. - Skoczył do reflektora i przekręcił głowicę lampy tak, że żarówka zaświeciła Belle prosto w oczy. Belle zacisnęła powieki. Nauczyła się już dawno, że jeżeli ośmieli się podnieść rękę, by osłonić oczy, Win będzie na nią krzyczał. Wyrwało jej się westchnienie, kiedy rzucił się z powro- **tem** do kamery.

- Doskonale. Wspaniale. Nie ruszać się. - **Zmienił** jedną kliszę na drugą, dał nura pod czarną płachtę i wrzasnął: - Otwórz że oczy, do cholery!

Belle nawet jednym skrzywieniem ust nie zareagowała na **jego** niegrzeczność, bo wiedziała, że jeżeli się odezwie, to Win zrobi scenę. Twierdził, że w chwilach intensywnej koncentracji sam nie wie, co mówi. A chociaż nie do końca mu wierzyła, uczyła się szybko. Serce miała rozdarte na pół, szansa na jego reperację była bliska zeru, ale będzie się zachowywała jak profesjonalistka, i już. Otworzyła oczy.

Magnezja buchnęła płomieniem w chwili, kiedy drzwi do pawilonu akurat się otwierały. I Belle, i Win poczuli się zaskoczeni, bo niewiele osób odwiedzało ich wieczorami. Pan Asher interesy załatwiał głównie w dzień, kiedy jego studio

przyciągało damy i dżentelmenów, pragnących posiadać rodzinne portrety oraz fotografie dzieci i niemowląt.

Jak tylko Belle zobaczyła, że Win wychynął spod czarnej płachty, ośmieliła się poruszyć. Cieszyła się, że ktoś im przerwał, bo kark już zaczynał ją boleć od utrzymywania tej dziwacznie wygiętej pozy. W otwartych drzwiach do pawilonu stał jakiś zawadiacki młody człowiek w szarym kraciastym garniturze i miękkiej czapce, rękę oparł na biodrach i szeroko się uśmiechał.

- Win! - Jego głos zadudnił tak donośnie, że Belle aż się skrzywiła. Chyba nigdy nie przyzwyczai się do hałaśliwości, którą tak zdawali się lubić osobnicy jankeskiej proweniencji.

Kiedy Win poznał gościa, cała jego twarz skąpała się w uśmiechu. Belle uświadomiła sobie, że już od kilku dni nie widziała, by się w ten sposób uśmiechał, swobodnie i bez napięcia.

- H. L.! Wróciłeś!

- Spostrzegawczy jak zwykle ten nasz Win. - Krzykliwy intruz wykrzywił się jak jakiś nadmiernie wyrośnięty chochlik.

Aha. Więc to jest ten słynny H. L. May, reporter i mąż Wind Dancer, znakomitej, jeżdżącej na oklep wołyżerki - a nie ulegało kwestii, że znakomita to ona była. Wind Dancer, znanarównież jako Rose Ellen May, była chyba również dosyć sympatyczna. Belle nie potrafiła uwierzyć, by ta Rose Ellen May, którą poznała, miała poślubić jakiegoś bezwzględnego czy obmierzłego mężczyznę. Tak więc postanowiła nie nienawidzić H. L. Maya od pierwszego wejrzenia, tylko poczekać, aż zrobi on coś podłego, i dopiero wtedy zacząć go nie cierpieć. Nie miała wątpliwości, że coś takiego zrobi, nawet jeżeli był mężem Wind Dancer. W końcu to przyjaciel Wina Ashera, paskudnego oszukiwacza niewinnych młodych kobiet.

- A to - ciągnął pan May, rzucając się z wyciągniętą ręką ku Belle tak gwałtownie, że przerażona cofnęła się o krok - musi być panna Belle Monroe. Jak się pani ma, panno Monroe? W tej chwili, mniej więcej, wracam z pani pięknego ro-

dzinnego miasta Blissborough w Georgii.

- Och! - Belle poczuła się kompletnie zaskoczona i pozwoliła panu Mayowi potrząsać swoją dłońią.

- A cóż pan tam robił? - Na samym dnie jej umysłu załęgło się pewne palące podejrzenie.

H. L. puścił do niej oko. Belle wzdrygnęła się, jakby ją uderzył. Dobrze nieba, ależ ci Jankesi swobodnie się zachowują.

- Wysłał mnie tam Win, żebym przeprowadził wywiad z pani rodziną. Jest pani gwiazdą, panno Monroe. Można powiedzieć: lokalną znakomitością.

- Boże, zmiłuj się nade mną. - Kolana ugięły się pod Belle. Opadła z głuchym łupnięciem na podest, który niedawno zaszczyciała absurdalnie teatralnymi pozami w wielkim wyborze. Zapomniała o groźbach Wina, że pośle tego człowieka, by dręczył jej rodzinę. W głębi serca nie wierzyła, żeby stać go było na coś tak nikczemnego, a powinna była wierzyć. Wina Ashera stać było na wszystko.

- Belle! Belle! Co się stało? - Win skoczył do niej, usiadł obok i chwycił ją za rękę. Usiłowała mu je wyszarpnąć, ale był za mocny. Poza tym sprowadził sobie posiłki, drań jeden. Belle nie miała wątpliwości, że pan H. L. May stanąłby po stronie Wina, gdyby musiał opowiedzieć się po którejsz ze stron. **Ponieważ** Win nie chciał puścić jej rąk, Belle zmierzyła go **gniewnym** spojrzeniem.

- Wysłałeś pana Maya, żeby szpiegował moją rodzinę? Przypominam sobie teraz, że groziłeś czymś takim, ale nie sądziłam, że nawet ty dopuściłbyś się podobnej podłości, Winie Asher.

- Szpiegować? Podłości? Diabli nadali, Belle, twoja rodzina cię szantażowała! Chciałem dowiedzieć się, czy rzeczywiście cierpią i jak bardzo, a H. L. wspaniale się do tego nadawał, bo doczekać się nie mógł, żeby o tobie pisać. Do stu tysięcy fur beczek, może zanim będziesz mnie oskarżała o podłość, wysłuchaj, co ma do powiedzenia, dobrze?

- Uch... och - wymamrotał H. L., chociaż jego uśmiech nie zmienił się ani na jotę.

- Wygląda na to, że trafiłem w czułe miejsce.

- Ha - Belle nie była w stanie znaleźć odpowiednio potężnych słów, by unicestwić ich obu.

- Nie zwracaj na nią uwagi, H. L. Lubi po prostu robić wiele hałasu o nic.

- O nic! - Belle poderwała się z podestu. A ponieważ Win nie wypuścił jej dłoni, usiadła z powrotem z jeszcze głośniejszym łupnięciem niż uprzednio.

- Au. - Marzyła o tym, by rozmasować sobie siedzenie, ale naturalnie nie mogła tego zrobić. Nie przy tych dwóch panach. Zwłaszcza nie przy nich.

- Belle, posłuchaj mnie. - Win ścisnął mocniej jej dłonie.

- Au - powtórzyła Belle, *wpatrując się znacząco we własne dłonie*. Win odrobinę poluzował chwyt.

- Był tylko jeden powód, dla którego chciałem, żeby H. L. złożył wizytę w Blissborough, a mianowicie ten, że moim zdaniem rodzina nie traktuje cię sprawiedliwie. Do licha, przecież wiesz, że to prawda! Przysyłali ci te wszystkie niegodziwe telegramy, może nie?

Belle odwróciła głowę i nie odpowiedziała, przede wszystkim dlatego, że musiałyby się z nim zgodzić, a tego nie chciała robić.- Tak więc poprosiłem H. L.'a, żeby odwiedził Blissborough i sprawdził, ile dokładnie cierpień i bólu sprawiają twojej rodzinie te wszystkie pieniądze, które im wysyłasz.

- Cierpień? Bólu?

Oboje, i Belle, i Win, spojrzeli na H. L.'a ze złością, że przerwał im sprzeczkę. H. L. cofnął się, unosząc dłonie w pojednawczym geście.

- Przepraszam was. Nie chciałem się wtrącać.

- Ależ wtrącaj się - zachęcił go Win. - Chcę, żeby Belle to usłyszała. Sam też nie wiem, czego dowiedziałaś się w Georgii. Możemy oboje wysłuchać wieści z ust wiarygodnego źródła.

H. L. znowu szeroko się uśmiechnął.

- Różnie mnie ludzie już nazywali, Win, ale źródłem, i to wiarygodnym, chyba

jeszcze nie. Już raczej bywałem studnią bez dna.

Win nie zareagował na wesołą uwagę H. L.'a, tylko ze sceptycyzmem przyglądał się Belle.

- Czy obiecasz mi, że nie uciekniesz, jeżeli puszcze twoje ręce, Belle?

Belle nie miała ochoty mówić „tak”, ale chciała wysłuchać, co ma do powiedzenia H. L. Rozdrażniona, że musi podjąć jakąś decyzję, spojrzała na Wina z gniewem, który uprzednio podgrzała do wyższej temperatury, i fuknęła:

- Zostanę, żebyś pękł.

Poczuła urazę, kiedy Win odetchnął z ulgą. Poczuła również urazę, czując, jak powoli zmniejsza się ucisk na jej dłoniach.

- Na litość boską, Win, ktoś mógłby pomyśleć, że mi nie ufasz!

- Bo nie ufam.

Belle poczuła się tak obrażona, że mowę jej odjęło. A skoro nie mogła mówić, przeniosła tylko wściekle gniewne spojrzenie na H. L. Maya, który cofnął się o kolejny krok. Nie **dał** jej jeszcze żadnego powodu, by miała go nienawidzić, więc starała się popatrzeć łagodniej. Nie bardzo jej się to udało.

- A więc dobrze. Proszę mówić. - Nie przypominała sobie, by kiedyś już słyszała tak rozkazujący ton we własnym **głosie**, i poczuła się z siebie dumna.

- Już się robi, proszę pani. - H. L. zasalutował, potem się uśmiechnął, i Belle doszła do wniosku, że wciąż jeszcze go nie nienawidzi i może nawet wcale nienawidzić nie będzie. Wrażenie robił co prawda łobuzerskie, za co winę zrzucała na fakt, że urodził się i wychował w środowisku zatraconych Jankesów, ale mimo to był raczej czarujący.

- Dzięki Bogu - wymamrotał Win, otarł czoło wierzchem dłoni i przygarbił się, siedząc nadal obok Belle na podeście.

Ponieważ Win się przygarbił, Belle się wyprostowała i złożyła ręce na podolku. Skinęła po królewsku głową w stronę H. L.'a.

H. L., chociaż chyba nieco spłoszony jej apodyktyczną miną, odchrząknął,

jednym ruchem obrócił krzesło tyłem do przodu, usiadł na nim okrakiem i zaczął mówić.

- A więc dobrze. Pojechałem pociągiem z Chicago do Atlanty i wynająłem sobie łąkową szkapę, która dowiozła mnie do Blissborough. Próbowali mi wmówić zdrowego konia, ale się nie zgodziłem. W naszej rodzinie wyłącznie moja żona potrafi jeździć konno, wolałem więc wziąć tego łąkowego. - Zachichotał. Żadne z jego słuchaczy nie zareagowało najbłędzszym nawet uśmiechem, więc odchrząknął i mówił dalej, mrugnawszy okiem do Wina. - Spodobałoby ci się Blissborough, Winie. Jest bardzo malownicze.

Belle z miejsca się zachnęła. Zapytała:

- Co pan chce przez to powiedzieć? - Jeżeli uważał, że jej miasteczko jest „malownicze” dlatego, że było stosunkowo biedne i prowincjonalne w porównaniu z tą niekulturalną Północą, to może go jednak mimo wszystko znienawidzi.

H. L. wzruszył ramionami.

- Jest piękne. I wszędzie rosną dzikie kwiaty. Mieszkam w Chicago od tak dawna, że zapomniałem, jakie śliczne potrafią być sielskie okolice. Muszę przyznać, że nigdy nie widziałem nic równie wspaniałego i zielonego, jak tereny wokół Blissborough. Jest dużo ładniejsze od Atlanty.

- Tak - przyznała Belle - to prawda. - Pomyślała, że można by przypomnieć temu panu (nie wspominając już o drugim obecnym tu mężczyźnie), że i Atlanta była kiedyś prześlicznym miastem, dopóki nie skończyli z nią Jankesi, ale nie miała serca znowu zagłębiać się w to niedawne przykre zajście. Poza tym Win tylko by z niej drwił, gdyby tak zrobiła.

- A te drzewa. Mój Boże, nigdy nie widziałem tak olbrzymich, pięknych, starych drzew. I po prostu aż ociekają hiszpańskim mchem. Niesłychanie śliczna okolica. Doskonale rozumiem, że pani za nią tęskni, panno Monroe.

Belle doszła do wniosku, że co prawda H. L. May jest Jankesem, więc tak do końca nie można mu zaufać, ale zdecydowanie, góruje nad Winem Asherem.

- Dziękuję panu.

Win mruknął coś, ale słowem się nie odezwał. I dobrze. Belle była dosyć pewna, że nie udałoby jej się opanować i wrzasnęłyby na niego, gdyby zdyskredytował jej rodzinne strony.

- A pani rodzina też jest szalenie miła. Bardzo gościnna. Przyjęli mnie w swoim domu i nakarmili, i wmuszali we mnie koktajle miętowe, i w ogóle. - Roześmiał się.

Belle zamrugła oczami.

- Naprawdę?

Nigdy się właściwie nad tym nie zastanawiała, ale poczuła się dosyć zaskoczona, że jej rodzina naprawdę miło przyjęła Jankesa w swoim domu.

- No pewnie. Ekipa budowlana trochę przeszkadzała, ale pani matka nawet okiem nie mrugnęła. Bardzo z niej miła i uprzejma dama, typowa dla Południa, prawda? Udało jej się ignorować całe zamieszanie ze wspaniałą pewnością siebie.

- Budo... - Belle przełknęła z trudem. - Budowlana? - Jej głos utracił całą majestatyczność. Odbijał natomiast z podziwu godną dokładnością konsternację, jaką czuła.

H. L. dziwnie na nią popatrzył. - No pewnie. Czy nie pisali pani, że wszystko odnawiają? Belle otworzyła usta, zamknęła je i otworzyła znowu.

- Hm, pewnie list jeszcze nie doszedł do mnie.

- Akurat - prychnął Win, a Belle rzuciła mu miażdżące spojrzenie.

H. L. pokiwał głową.

- Pewnie tak. Naprawdę wdzięczni są za pieniądze, które im pani przysyła. Robią w domu instalacje wodno-kanalizacyjne i dobudowują kilka pokoi, i prowadzą różne prace remontowo-konserwacyjne. Bardzo im pani pomaga, panno Monroe. Powinna być pani z siebie dumna. Pani rodzina bardzo jest z pani dumna. - Obdarzył ją uśmiechem tak pełnym aprobaty, że Belle musiała znowu przełknąć ślinę.

- Domyślałem się tego. - Przygarbiona poza Wina w zasadzie się nie zmieniła, ale na jego twarzy pojawił się cień szyderczego uśmiechu; jak tylko jednak zauważył

minę Belle, uśmiezek zniknął.

Niech on się lepiej nie uśmiecha szyderczo, podlec jeden. Ignorując Wina, zapytała:

- Jakie to ciekawe, panie May. A czy mówili coś o mnie? O tym, że pozuję do fotografii?

- Czy mówili? No pewnie, że mówili! Mają pani zdjęcia w albumach, a oprawiona kopia tej pierwszej fotografii z „Globe” wisi na widocznym miejscu nad fortepianem. Pewnie zdjęcie musiała przedrukować jakaś gazeta z Atlanty, a Blissborough zamieściło je, ponieważ stamtąd pani pochodzi.

- Mój Boże. - Gniew Belle, dotychczas skupiający się na Winie i jego sąsiadach z Północy, zaczął skręcać z lekka na południe.

- Pani rodzina oblegana jest przez przyjaciół i krewnych. Bez przerwy składają jej wizyty od chwili, kiedy przed kilkoma tygodniami pojawiło się tamto zdjęcie. Bardzo ich cieszy, że jest pani taka sławna. Domyślam się, że pani matka lubi przyjmować.

- Tak - potwierdziła Belle. - Lubi. - A ta sama matka miała czelność przysyłać Belle telegramy, w których lamentowała nad jej nowym zawodem, i twierdziła, że córka przynosi wstyd rodzinie! Nigdy w życiu Belle nie była jeszcze tak okropnie zła na swoją rodzinę. Mniej się gniewała nawet wtedy, kiedy z dezaprobatą myślała o ich głębokiej, nieustannej indolencji.

- Całe miasto... jakiej ono jest wielkości, panno Monroe? Czy wie pani może, ile liczy sobie dusz?

- Dusz? - O czym ten człowiek mówi? Och, o populacji. Belle potrząsnęła głową, starając się odzyskać jasność myślenia, którą wściekłość wyraźnie przytłumiła.

- Hm, sądzę, że około trzech tysięcy ludzi, plus minus kilka tuzinów.

- Tak sądziłem. W Blissborough bez wątpienia aż huczało, kiedy złożyłem tam wizytę. Burmistrz z radością ze mną porozmawiał o pani i o tym, jak wszyscy panią kochają. Jego zdaniem społeczność Blissborough zawsze wierzyła, że czeka panią

sława i chwała.

- Czyżby. - Burmistrz, Harvey Clopp, nigdy o tym Belle nie wspominał.

- A czy rodzina pisała pani, że czołowi obywatele chcą wzniesć pomnik ku pani czci? Dzięki pani zapanowało w miasteczku ożywienie gospodarcze, bo ci, którzy widzieli pani fotografię, chcą zobaczyć, skąd pani pochodzi.

Oczy Belle rozszerzyły się, zapomniała też zamknąć buzię. To Win odpowiedział na pytanie H. L. 'a.

- Pomnik? - Rzucił przelotne spojrzenie na Belle. - O, nie, nikt nie wspominał o pomniku. Ani o ożywieniu w interesach.

- Nie - powiedziała Belle. - Chcę powiedzieć, że nie słyszałam o tym. -

Najchętniej pochyliłaby głowę na bok i mocno palnęła się w ucho, żeby pozbyć się tego czegoś, co zdawało się je zatykać.

- Ale tak jest. Kochają tam panią. Jeżeli kiedyś pojedzie pani znowu do domu, a jestem pewien, że tak się stanie, założyłbym się, że tak będą panią czcili, że z trudem to pani przeżyje. - H. L. serdecznie się roześmiał. - Podejrzewam, że będzie na panią czekał pochód i w ogóle, że małe nieśmialedziewczątka będą pani wręczały bukiety kwiatów, a każda z nich z nadzieją, że kiedy dorośnie, stanie się do pani podobna. Już to widzę tutaj. - Postukał się po głowie. - Proszę mnie powiadomić, kiedy wybierze się pani do domu z wizytą, bo chciałbym przygotować z tego relację.

Belle udało się wydać z siebie coś w rodzaju mdłego chichotu. Nie miała ochoty się śmiać. Miała ochotę rzucać kamieniami w swoją rodzinę. W każdego z jej zatraconych członków, co do jednego. Jak oni śmieli przysyłać jej te skamlące, rozjęczone telegramy, a równocześnie zgarniać - nie tylko oni, bo całe miasteczko Blissborough - takie wspaniałe zyski, które umożliwiała jej kariera? Nie odważyła się odezwać, bo bała się, że zacznie krzyczeć.

- Miałem takie przeczucie, że oni ci kłamią, Belle - powiedział Win półgłosem, jakby nie miał ochoty narażać się na jej gniew.

- Tak, wiem, że miałeś, ty podły draniu. - Głos Belle się rwał.

- Chce pani powiedzieć, że nie pisali do pani o tych dobrych nowinach? - H. L., co rozumiałe, wydawał się zaskoczony. Prawdę mówiąc, wydawał się nawet osłupiały.

Belle odchrząknęła.

- Nie. Niedokładnie.

H. L. wytrzeszczył na nią oczy.

- Do licha, ale oni tam panią uwielbiają. Wszyscy, do ostatniego.

Win, ignorując zarówno wytrzeszczone oczy H. L.'a, jak i jego komentarz, wykrzyknął z oburzeniem:

- Co masz na myśli, mówiąc „niedokładnie”? - Tu zwrócił się do H. L.'a i rwał przed siebie jak pociąg, który maszynista na stromym zjeździe porzucił na pastwę losu.

- Przysyłali jej telegramy. Tysiące telegramów, a w każdym informowali, jacy są nieszczęśliwi i jak upokarza swoją rodzinę. Przesłali jej olbrzymi stek bzdur, że przynosi im wstyd i że są tacy zażenowani, widząc jej zdjęcia w gazetach.

- Uch... och. - H. L. spoglądał to na Belle, to na Wina bezgranicznie ogłupiałym spojrzeniem.

- Nie było ich aż tyle - zawarczała Belle.

- Może nie, ale cała reszta to prawda.

Ponieważ miał rację, Belle milczała. Och, ależ była zła na swoich rodziców.

Potraktowali ją równie niegodziwie jak Win!

- Cóż, nie sądzę, żeby pani rodzina traktowała serio te telegramy, panno Monroe - powiedział wciąż jawnie zdezorientowany H. L. i dodał: - Chociaż nie rozumiem, dlaczego mieliby coś takiego pisać, skoro... no, skoro to nie jest prawda.

Belle również nie rozumiała. Rzuciła Winowi gniewne spojrzenie, by wiedział, że lepiej na tym wyjdzie, jeżeli się słowem nie odezwie.

H. L. ciągnął:

- Kiedy tam byłem... a wróciłem właśnie przed godziną czy coś koło tego... dumni byli z pani jak pawie. Jak już mówiłem, pani zdjęcia są wszędzie, w całym mieście. Nie mówiąc już o domu pani rodziców. Czyjaś ciotka... nie mogę sobie

przypomnieć czyja... ta malarka?

Ponieważ spoglądał pytająco, Belle oblizała wargi i wyjaśniła:

- Prawdopodobnie chodzi o ciocię Mae Scudder. To ciotka mojego ojca.

H. L. strzelił palcami.

- Tak się nazywała! - Uśmiechnął się do niej szeroko. Kiedy nie odpowiedziała uśmiechem, zaczął mówić dalej. - Pani Scudder maluje nawet portret z tego pierwszego zdjęcia. Pani matka powiada, że zawieszą go nad kominkiem.

- Na miejscu prawują Cyrusa? - zapytała Belle. - Bohatera znad Antietam?

- Czy to ten facet z długą brodą? - zapytał z zainteresowaniem H. L.

- Tak. - Niech no tylko stąd wyjdzie, a Belle skieruje się prosto do biura telegraficznego. Zamierzała natrzeć porządnie uszu rodzicom. Już ona napisze im, co o nich myśli, tak że się nie pozbierają.

Do licha. Trzeba będzie poczekać aż do jutra rano, bo pewnie o tak późnej porze biuro jest nieczynne. Ale wtedy na pewno to zrobi. Poderwała się z podestu i zaczęła spacerować tam i z powrotem, tak jak to często robił Win w ferworze wściekłości lub twórczym uniesieniu. Pomysły Belle chwilowo nie były ani odrobinę twórcze. Były raczej niszczycielskie. Na skutek oszałamiających wieści H. L.'a zapomniała zupełnie, że nie jest sama, i spacerując mamrotała pod nosem.

- Nie mogę uwierzyć, że mogliby tak postąpić. Podłe dranie. - Już nie pamiętała, że niecałe dziesięć minut wcześniej za podłego drania uznała Wina. W ogóle nie ma co porównywać go z jej rodziną.

Win przyglądał się, jak Belle chodzi tam i z powrotem po pawilonie, i czuł się okropnie. Zakładał wcześniej, że dobrze mu to zrobi, kiedy ona dowie się najgorszego o swojej rodzinie, Ale nie zrobiło. Zrozumiał, że H. L. zadał pannie Monroe miażdżący cios, i niczego tak nie pragnął, jak wziąć ją w ramiona i pocieszać. A gdyby spróbował, najpewniej Belle przyłożyłaby mu w szczękę. Westchnął i wstał, wciskając ręce do kieszeni, bo nie mógł ich wykorzystać w żadnym innym sensownym celu.

- Słuchaj, Win, nie chciałem wam narobić kłopotów. Pomyślałem sobie, że z

radością usłyszysz, że twoja wspaniała praca przynosi rodzinie panny Monroe wielkie korzyści.

Biedaczysko. Win przemógł się i uśmiechnął do przyjaciela.

- W porządku, H. L., ta cała sprawa jest nieco skomplikowana.

- Tego się mogę domyślić. - H. L. jeszcze przez moment wahał się, a potem powiedział: - No, pora wracać na „Dziki Zachód”. Rose będzie dziś wieczorem występować, a ja muszę ją zobaczyć. Po zamknięciu Wystawy chce się wycofać z tych pokazów. - Westchnął. - Ale wciąż będzie miała do czynienia z końmi. Ma do nich dobrą rękę. Win przyglądał się twarzy H. L.'a, kiedy ten mówił o swojej młodej żonie, i serce mu się ścisnęło. Nigdy wcześniej nie widział, by ktokolwiek zmienił się tak, jak H. L. May po tym, jak do szaleństwa zakochał się w małej Rose Ellen Gilhooley. Win oglądał ich ślubną ceremonię razem z tysiącami innych widzów, bo Buffalo Bill Cody namówił państwa młodych, żeby połączyli uroczystość z występami „Dzkiego Zachodu”.

O rety, rety! Win domyślał się, jeżeli H. L. May mógł wpaść w małżeńską pułapkę, i na dodatek był tym zachwycony, coś takiego może się przydarzyć każdemu. Nie wykluczając jego.

Nie wykluczając jego? Przestał gapić się na H. L. zagapił się z namysłem na Belle.

- Ja im pokażę - mamrotała, chodząc w kółko po jego pawilonie. - A niech ich! Tacy byli nieżyczliwi. Tacy zakłamani. Tacy okropni dla mnie!

H. L. odchrząknął.

- Słuchaj, Win, naprawdę już muszę iść, ale bardzo bym nie chciał was tak zostawiać. Obawiam się, że popełniłem gruby błąd, kiedy...

- Nie popełniłeś. - Win wyciągnął prawą rękę z kieszeni i klepnął nią H. L.'a po ramieniu. - W niczym tu nie zawiniłeś. Pewnie nie powinienem cię tam wysyłać, ale taki byłem zły na jej rodziców, że pomyślałem, że może dobrze będzie poznać prawdę. - Zerknął znowu na Belle. - Teraz już nie jestem taki pewien.

Belle, która ukończyła właśnie diatrybę, najwyraźniej go usłyszała, bo okrzyknęła się jak fryga.

- Nie! Miałaś rację, Win. A niech ich, przecież byli dla mnie po prostu okrutni!

- Hm, to ja już lepiej sobie pójdę. - H. L. boczkiem przesunął się w stronę drzwi.

Wystraszył się, kiedy Belle rzuciła się ku niemu, ale ona tylko chwyciła jego dłoń w obie ręce. Win zmarszczył brwi. Uświadomił sobie, że wcale mu się to nie podoba, kiedy Belle ściska dłonie innych mężczyzn. - Dziękuję panu, panie May. Wdzięczna jestem, że powiedział mi pan prawdę. - Win poczuł się okropnie, kiedy otarła łzę. - Powinnam się była dowiedzieć. Właściwie nawet odetchnęłam z ulgą.

- Nie wygląda mi na to - powiedział H. L.

- Może - przyznała Belle. - Ale taka jest prawda. Musiałam się kiedyś dowiedzieć.

- Miło było panią poznać, panno Monroe.

- Dziękuję panu. - Udało jej się wdzięcznie uśmiechnąć i Winowi znowu ścisnęło się serce. - Bardzo się cieszę, że pana poznałam. Z przyjemnością patrzyłam na występy pana żony przed kilkoma dniami. Naprawdę wspaniale jeździ na oklep.

- Jest najlepsza. - Twarz H. L.'a się rozjaśniła. Win potrząsnął głową ze zdumieniem.

- I wdzięczna jestem panu za sprawozdanie z Blissborough oraz wieści, jak dobrze powodzi się mojej rodzinie, panie May. - Ton Belle zrobił się nieco twardszy, ale brzmiał szczerze.

- A czy nie będzie pani miała mi za złe, jeżeli napiszę artykuł czy dwa o tym, jak pani sukcesy zmieniły życie w pani rodzinnym miasteczku i rodzinie, panno Monroe? Nie chcę już więcej narobić nikomu kłopotów.

Win, patrząc na H. L.'a, zamrugał. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby ten reporter przed napisaniem artykułu zapytał, czy bohater artykułu pozwoli o sobie pisać. Może złagodniał w tym małżeństwie bardziej, niż Win dotychczas podejrzewał.

Belle skwitowała jego wypowiedź machnięciem ręki.

- Proszę pisać, co tylko pan chce, panie May. Jestem pewna, że nie zdoła pan napisać niczego, co by zasmuciło mnie.

Win i H. L. wymienili spojrzenia. Ostatnia uwaga Belle zabrzmiała niemal brutalnie.

- No, dobrze. Dzięki, panno Monroe. Potraktuję ich życzliwie. Obiecuję - zapewnił ją H. L.

- Och. - Teraz w głosie Belle pojawiło się rozczarowanie.

- Bardzo mnie miło przyjęli, madam - wyjaśnił ze skruchą H. L.- To uroczo z ich strony.

Uch, och. Win wykrzywił się do H. L.'a, który zrozumiał aluzję i się ulotnił.

20

Chociaż Win bardzo chciał objąć Belle albo chwycić ją za rękę, nie ośmielił się tego zrobić, tylko odezwał się pojednawczym tonem:

- Słuchaj, Belle, nie bądź zbyt surowa dla swojej rodziny. Pewnie twój sukces wszystkich ich zaskoczył.

Belle tak gwałtownie na niego natarła, że cofnął się o krok, potknął o własny podest i z łoskotem na nim usiadł.

- Ha! Żebyś się nie odważył mnie pocieszać, Winie Asher! Rodzina pomiatała mną i dobrze o tym wiesz.

- No tak, pewnie rzeczywiście wiem. Przecież pierwszy ci o tym powiedziałem. Jeżeli spojrzenia Belle zrobią się choć trochę bardziej palące, obawiał się, że zwiędnie pod nimi jak zdeptana stokrotka.

- O, tak, powiedziałaś, czyż nie? Pan Win Asher, ideał, który wszystko wie najlepiej. Wiedziałaś o tym od samego początku, prawda?

Uważając, że Belle znęca się nad nim niezasłużenie, Win bezradnie wyciągnął ku niej rękę.

- Zaczekaj no chwileczkę, Belle. Wiesz przecież, że to naprawdę nie jest moja wina.

Belle już otwierała usta, żeby na niego wrzasnąć, a w każdym razie tego oczekiwał Win, ale tylko westchnęła i przygarbiła się.

- Masz rację... - Opadła przygarbiona na podest obok niego i ukryła twarz w dłoniach. - Niech cię лихо porwie, przez cały czas miałeś rację. Usiadł obok niej - nie za blisko, bo nie chciał, by oskarżyła go, że jest... jak to ona go nazwała? Podłym draniem? Boleśnie go tym dotknęła i już nie chciał słyszeć żadnych więcej epitetów z ust Belle, którą kochał ponad życie, chociaż nie ośmielał się tego powiedzieć, bo nie miał ochoty narażać się na kpiny.

- Wszystko będzie w porządku, Belle.

Belle wyprostowała się, opuściła dłonie i popatrzyła na niego gniewnie.

- Będzie?

Win wzruszył ramionami. Znieść tego nie mógł, że w żaden sposób nie jest w stanie jej pocieszyć.

- Pewnie, że tak. Przynajmniej zarobisz mnóstwo pieniędzy. A twoja rodzina będzie musiała skończyć z narzekaniem, skoro dowiedziałaś się, że wypisywali same bzdury.

- Bzdury? No, no, czyż nie jest to urocze słówko na określenie wielkiego, brutalnego kłamstwa? Zdumiona jestem twoją delikatnością, Winie. Nie podejrzewałam, byś miał choć odrobinę delikatności w charakterze.

- Słuchaj, Belle, to nie...

- niesprawiedliwe? - Westchnęła znowu. - Masz rację. Przepraszam. Nie jesteś nawet w przybliżeniu tak niegodziwy jak moja rodzina. Mogłeś mnie oszustwem skłonić, bym uwierzyła, że zależy ci na mnie, kiedy naprawdę chciałeś tylko, bym weszła z tobą w spółkę, ale przynajmniej byłeś wobec mnie bardziej uczciwy niż oni.

Umysł Wina utknął na słowie „oszustwem” i reszty jej wypowiedzi nie przyjął do wiadomości.

- Co? - zapytał.

Belle wpatrywała się posepnie w swoje złożone dłonie; na jego pytanie odwróciła głowę.

- Co „co”?

- Czy ty powiedziałaś to, co mi się zdaje, że powiedziałaś?

- A skąd ja mogę wiedzieć, co tobie się zdaje, że usłyszałeś? - fuknęła Belle poirytowana.

- Co powiedziałaś?

- Kiedy? Na litość boską, Win...

Zdanie Belle urwało się na cichym okrzyku, bo Win chwycił ją za ramiona i lekko nią potrząsnął.

- Czy ty powiedziałaś, że ja cię oszukałem? Popatrzyła na niego, mrugając oczami.

- No... Tak, chyba tak powiedziałam.

- Oszukałem cię, żebyś mi uwierzyła, że mi na tobie zależy?

- Tak. - Belle kiwnęła głową. - Tak właśnie postąpiłeś.

- Oszukałem cię, żebyś weszła ze mną w spółkę?

- Oszukałeś mnie, żebym poszła z tobą do łóżka i żebym potem czuła się zobowiązana podpisać te dokumenty o spółce.

- I ty uważasz, że mnie na tobie wcale nie zależy? Myślisz, że ze mnie jest taka podła, obślizgła kreatura, że uwiódłbym cię tylko po to, by móc cię dalej fotografować? Dla pieniędzy?

- No... - Oczy Belle zwięzły się, kiedy się nad tym zastanawiała. Potem wzruszyła ramionami. - Tak. Tak przecież zrobiłeś, prawda?

- I ty wierzysz, że ja mógłbym być taki... taki... zakłamany? Taki niemoralny? Taki przebiegły? Taki podstępny?

Tym razem Belle tylko kiwnęła głową.

- Czy właśnie tak o mnie myślisz? Uczciwie? Szczerze?

- No... Tak. Chyba tak.

- Dobry Boże, Belle! Przecież ja cię kocham do szaleństwa. Namiętnie! Nigdy w życiu nie kochałem żadnej kobiety, dopóki nie spotkałem ciebie! Nie potrafię uwierzyć, że tego nie wiesz!

Usta Belle się otworzyły. Win zamknął je pocałunkiem.

Belle najpierw zdrętwiała. Potem całe ciało zaczęło ją mrowić. Potem tchu jej zabrakło. Potem serce niemal wyfrunęło z piersi. Potem zaczęło śpiewać. Potem wszystkie nerwy zabrzękły jak struny. Odsunęła się od niego odrobinę i wyjąkała:

- Ty... mnie kochasz? Naprawdę?

- Nad życie, Belle Monroe. Dobry Boże, uwierzyć nie potrafię, że o tym nie wiedziałaś.

- A skąd miałam wiedzieć? Nie mówiłeś o niczym poza pieniędzmi, interesami i tą spółką.

- Dlatego, że tylko w taki sposób mogłem cię przy sobie zatrzymać.

- Boże drogi! Czemu tak miałbyś myśleć?

- Bo cały czas mówiłaś tylko o tym, jaki jestem prostacki i okropny, i jak kochasz Georgię, i że Północ ci śmierdzi.

- Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam.

- A właśnie że tak! I ciągle powtarzałaś, że wojna domowa to wcale nie jest wojna domowa!

- Bo to nie była wojna domowa! - krzyknęła Belle z oburzeniem. - To była napaść Północy!

- Zapomnij na chwilę o tej przeklętej wojnie, dobrze? Belle spojrzała na niego gniewnie, nie całkiem pewna, czy

to dobry pomysł zapominać o wojnie. No ale w końcu zawsze będzie mogła Wina doksztalcić później.

- Bardzo dobrze.

- O Boże. - Win przesunął rękę po oczach. - Nie potrafię wprost uwierzyć, że

mogłaś mnie uważać za gada, który uwiódłby cię tylko po to, żeby zadbać o własne interesy.

- No, tak naprawdę to nie myślałam, że jesteś gadem. Niedokładnie. Tylko że jesteś biznesmenem z Północy, który zrobi wszystko, by postawić na swoim.

Zupełnie nie potrafiła pojąć, czemu Win wpatruje się w nią aż tak markotnie. Podobnie jak nie mieściło się jej w głowie zapewnienie, że ją kocha. A skoro już o tym mowa, to po ostatnich kilku chwilach rozmowy przestała być całkiem pewna, czy naprawdę powiedział, że ją kocha. Oblizła wargi. Win wpatrywał się w nie łakomie.

- Belle...

- Tak? - Usiłowała odchrząknąć.- Belle...

- Tak? - powiedziała Belle znowu.

- Belle...

To się już robiło niemądre.

- Co? - fuknęła Belle. - Wykrztuś to wreszcie z siebie, Win. - Boże, nigdy w życiu tak się nie wyrażała. Obyczaje Północy przenikały lawiną do jej charakteru.

Win przeraził ją niemal śmiertelnie, bo zeskoczył z podestu i padł przed nią na kolano. Belle wpatrywała się w niego spłoszona i zmieszana.

- Co... co ty robisz?

- Jak to co! Chcę, żebyś za mnie wyszła, niech to szlag najjaśniejszy trafi! - Chwycił ją za rękę i trzymał je kurczowo.

We wzroku Belle pojawił się element ogłupienia.

- Ty... um, słucham cię?

- Do stu tysięcy połamanych parasoli! Powiedz, że wyjdiesz za mnie, nie możesz? Doprowadza mnie to do szaleństwa!

- Co?

- To, że nie wiem! Za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że robię coś dobrze, wychodzi źle! Za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że robię coś źle, wychodzi dobrze! Muszę zatrzymać cię przy sobie, dopóki się nie rozeznam, jak z tobą

postępować, a nie potrafię znaleźć na to innego sposobu niż ślub! Zresztą przecież tak czy owak musisz teraz za mnie wyjść!

- Muszę?

- Co to za pytanie, czy musisz? A niech to, Belle, przecież odebrałem ci dziewictwo!

Usta Belle lekko się ściągnęły.

- No, no, ależ się nagle zrobiliśmy poetyczni. W najmniejszym stopniu nie posądzałam cię o skłonności do poezji, Winie Asher.

Win, zupełnie jakby już znalazł się u kresu wytrzymałości, ryknął:

- Diabli nadali, czy możesz przestać gadać o poezji? Powiedz, że za mnie wyjdiesz, zanim mnie tu szlag najjaśniejszy trafi, do cholery!

Belle udawała, że zastanawia się nad tymi oburzającymi oświadczeniami. Robiła to tylko po to, by go ukarać. Wiedziała, że przyjmie propozycję małżeństwa. I to nie dlatego, że musi, ale dlatego, że bezgranicznie kocha ten irytujący, północny okaz człowieczeństwa.

- Belle... - Twarz Wina przybrała gniewny wyraz.

- Myślę.

- Myśl szybciej, dobrze? Kolano mnie zaczyna boleć. Minęło jeszcze kilka sekund i Belle zdecydowała, że dość już dręczyła Wina.

- Bardzo dobrze, Win. Wyjdę za ciebie. - A potem zarzuciła ręce na jego mocne ramiona i wybuchnęła płaczem.

Win leżał wyczerpany i tak szczęśliwy, jak nigdy dotąd w ciągu dwudziestu sześciu lat swego życia, gładził piersi Belle, połyskujące od potu po żywiołowym akcie miłosnym, i z niedowierzaniem popatrywał na jej doskonałe ciało. Zgodziła się za niego wyjść za mąż. Za niego. Za Wina Ashera. Paskudnego jankeskiego osobnika, który zbrukał dziewiczą Belle. Pomijając już to, że hałaśliwego, wstrętnego, grubiańskiego i... Chwilowo nie potrafił wymyślić, na jakie jeszcze sposoby nie dorasta do

ideałów Belle.

- Nie mogę uwierzyć, że zgodziłaś się mnie poślubić, Belle - wymamrotał, całując najpierw jedną pierś, potem drugą.

- Ja również nie - powiedziała.

Rozczarowany tym, że Belle wciąż nie wyznała mu miłości, zaprotestował:

- Mogłabyś mówić z trochę większym entuzjazmem. Belle odwróciła się do niego i uśmiechnęła się słodko.

- Kocham cię, Win. Bóg jeden wie dlaczego, bo ja z pewnością tego nie wiem.

Win uśmiechnął się z wyższością, chociaż serce rozśpiewało mu się w piersi.

- Po prostu nie byłaś w stanie oprzeć się urokowi Jankesa. Belle się roześmiała.

- To musi być to.

Win wciąż odczuwał niedosyt.

- A niech to, Belle, wyznałem ci, że kocham cię do szaleństwa. Mogłabyś przynajmniej jakoś z większym przekonaniem powiedzieć, że mnie kochasz. - Cieszył się, że światła są przyćmione, bo z pewnością się zaczerwienił.

- Och, Win. - Belle objęła go ramionami i mocno przytuliła. - Jak możesz choćby przez sekundę w to powątpiewać? Gdybym cię nie kochała do szaleństwa, czy zgodziłabym się za ciebie wyjść? Za ciebie? Za człowieka, którego wzięłam za jakiegoś donzuana, kiedy zaczepiłeś mnie na Midway? Za człowieka, który słodkimi słówkami nakłonił mnie, bym zrobiła coś, co jest antytezą całego mojego wychowania? Za człowieka, którego sytuacja życiowa jest tak odmienna od mojej, że niemal w niczym się nie pokrywają?

- Do licha, Belle, tylko tak dalej, a może się rozmyślę i wycofam z małżeńskich planów. Myślałem, że już większość tych problemów rozgryźliśmy.

Belle dała mu kuksańca, potem padła na plecy, a jej splątane włosy rozsypały się po poduszce.

- Ha! Mam takie przecucie, że jeszcze przez całe lata będziemy różne sprawy rozgryzali, Winie Asher. - Podparła się, uniosła do pozycji siedzącej i popatrzyła na

niego rozbawiona. Potem popchnęła go na sam skraj łóżka, a kiedy Win robił co mógł, żeby nie spaść, dodała: - Osobiście doczekać się na to nie mogę.

Win złapał ją i rzucił na płask na łóżko. Oboje tak się śmiali, że trudno im było dech złapać.

- Tak powiadasz? Nie zapominaj tylko, kto w tej rodzinie nosi spodnie, Belle. I nie zapominaj, że jesteś delikatną damą z Południa. Nauczono cię bić czołem przed głową rodziny, pamiętasz?

- Och, ty mój wielki brutalu. - Belle zatrzepotała rzęsami. - Pamiętam, że mama uczyła mnie, iż każdy z was, potężnych mężczyzn, jest dziką bestią. - Przestała sączyć słowa **jak** gęste krople miodu, zgodnie z tradycją Południa, i wróciła do mniej rozwlekłego, normalnego tonu. - Pamiętam także, że nauczyla mnie dokładnie, jak od takiego wielkiego silnego mężczyzny uzyskać to, czego chcę. Win ze śmiechem padł na łóżko u jej boku.

- Ach, Belle, ale będziemy mieli razem życie. Ciekawe, które z nas pierwsze się podda.

- Ty - powiedziała zdecydowanie.

Prawa brew Wina podjechała w górę, wyginając się w pełen niedowierzania łuk.

- A jak dokładnie do tego doszłaś?

- Zamierzam nakłonić cię, byś pojechał do Georgii i tam mnie poślubił. A pan H. L. May może to wszystko dokładnie opisać, jeżeli będzie miał ochotę.

- Do Georgii? - Win przełknął; wyobraźnia zaroila mu się od gniewnych, południowych krewniaków Belle; wszyscy paskudnie piorunowali go wzrokiem i groźnie wymachiwali rękami, niektórzy trzymali w nich strzelby.

- Hm, przypuszczam, że z całego serca chcesz ochajtnąć się w Georgii.

- Tak.

Spodobało mu się to „tak”, ale miał poważne wątpliwości co do fragmentu dotyczącego samej Georgii.

- Czy oni mnie zlinczują, Belle?

- Co takiego? - Belle gwałtownie się wyprostowała. - Co ty w ogóle sobie wyobrażasz, Winie Asher? Jeżeli sądzisz, że ludzie na Południu to jakaś niepiśmienna, dokonująca samosądów zgraja, to możesz o tym zapomnieć! Ty nędzniku! - Trzepnęła go w ramię. Uderzenie zapiekło, bo Win goły był, jak go Pan Bóg stworzył, a ciało miał wrażliwe.

- Au!

Belle natychmiast ogarnęła skrucha.

- Och, Win, tak mi przykro. - Obsypała pocałunkami czerwony ślad.

Przyglądał się Belle, a serce wypełniała mu miłość. Domyślał się, że następne dwadzieścia albo i trzydzieści lat może chwilami okazać się bolesne, ale nigdy nie będzie nudne,

Winslow Montgomery Asher i Rowena Belle Monroe pobrali się w Blissborough w Georgii, w kościele baptystów, 20 listopada 1893 roku, w niecały miesiąc po tym, jak Światowa Wystawa Columbii, przez pół roku nagradzana powszechnymi owacjami, zamknęła swoje podwoje. Niemal wszyscy ich przyjaciele byli na ślubie - nawet Richmondowie, którzy z radością przejechali się pociągiem do Georgii, by zobaczyć to szczęśliwe wydarzenie. Amalie sypała kwiaty podczas uroczystości, Garrett, nie rozchmurzając się ani na chwilę, niósł przez całą długość nawy na poduszce z niebieskiego aksamitu obrączki. Wcześniej poinformował wszystkich bez ogródek, co myśli o niebieskim aksamitnym ubranku, które kazano mu założyć.

Kate Finney, której matka niedługo przed tą uroczystością zmarła, nie mogła przyjechać, bo sama była w podróży poślubnej dookoła świata. Napisała jednak uroczy liścik, z którego Belle tak bardzo się ucieszyła, że się popłakała. Win pewien był, że nigdy nie zrozumie kobiet. Czasami wystarczyło słowo, żeby zaczęły płakać, albo brak słowa, żeby wybuchły. Ale niczego lepszego od nich nie wymyślono.

Belle była zachwycającą panną młodą, a Win najprzystojniejszym panem młodym. H. L. May dopilnował, by cały świat się o tym dowiedział, bo obfotografował samą uroczystość oraz druhny, kościół, pastora, rodziców Belle, rodziców Wina,

krewnych i krewniaczki w dużym wyborze, a nawet ustawił kamerę z wyzwalaczem i zrobił kilka zdjęć sobie i swojej żonie razem z Winem i Belle w weselnych toaletach.

I Win, i Belle wyjeżdżali z Blissborough bez przykrości. Jak powiedziała do męża Belle:

- Coś mi się zdaje, że zaczynam się zmieniać w Jankesa, Winie Asher.

Win szczerze pragnął, by tak było.

scandalous